

JAVIER SIERRA

# TAJEMNA WIECZERZA



JAVIER SIERRA

TAJEMNA  
WIECZERZA



**JAVIER SIERRA**

# TAJEMNA WIECZERZA

Z hiszpańskiego przełożyła ANNA JĘCZMYK

Tytuł oryginału: *LA CENA SECRETA*

Dla Evy, która oświetliła drogę temu żeglarzowi, zawsze ofiarowując mu swoje sanktuarium Kto jest kim w **Tajemnej Wieczery**

W celu ułatwienia lektury przedstawiamy tu wybrane osoby, które pojawiają się na kartach Tajemnej Wieczery. Te osoby, przy których podano daty życia, są postaciami historycznymi.

**Alberti Leon Battista** (1404-1427) - malarz, architekt, poeta, antykwariusz, filozof, kartograf i wynalazca. Miał także wybitne osiągnięcia w sztuce szyfrowania wiadomości, zaprojektował bowiem pierwszą maszynę kryptograficzną, „cyfrowy dysk”, umożliwiający kodowanie i odszyfrowywanie tajnych wiadomości; jako pierwszy sformułował naukowe zasady perspektywy.

**Aleksander VI**, papież (1431-1503) - właśc. Rodrigo de Borgia, Hiszpan, jedna z najbardziej kontrowersyjnych postaci tamtych czasów; na tronie papieskim zasiadł dzięki przekupstwu, przysporzył sobie wielu wrogów za sprawą swej rozwiązłości (orgie z własną córką) i zepsucia. Miał kilkanaścioro dzieci. Uważał się za potomka egipskiego boga Ozyrysa.

**Arno Guglielmo** - dominikanin, odpowiedzialny za kuchnię klasztoru Santa Maria delie Grazie. Pozostawał pod wpływem herezji katarskiej.

**Bacon Roger** (1214-1294) - franciszkanin, wynalazca, teolog i filozof, autor traktatu *De secretis artis et naturae operibus*, w którym opisał dwanaście sposobów ukrywania informacji w dziele sztuki. W istocie była to pierwsza europejska praca opisująca zastosowanie kryptografii. Wielu uważa Bacona za kogoś w rodzaju Leonarda da Vinci trzynastego stulecia.

**Bandello Matteo** (1484-1561) - bratanek przeora Vicenza Bandella, dominikanin, biskup Agen (Francja), stał się najwybitniejszym nowelistą włoskiego renesansu. W swoich pismach wspominał lata wczesnej młodości, spędzone w pobliżu Leonarda da Vinci.

**Bandello Vincenzo** (1435-1506) - przeor mediolańskiego klasztoru Santa Maria delie Grazie w latach 1495-1501, po śmierci ojca Gioacchina Torrianiego generał zakonu Świętego Dominika.

**Benedetto** - dominikanin w klasztorze Santa Maria delie Grazie, spowiednik i sekretarz przeora Vicenza Bandella. Stracił lewe oko w wieku siedemnastu lat podczas walk w jego ojczystym Castelnuovo. Po zniszczeniu klasztoru w Castelnuovo został przeniesiony do Santa Maria delie Grazie w Mediolanie.

**Binasco Veronica da** (1445-1497) - błogosławiona, zakonnica w klasztorze augustia-nek pod wezwaniem świętej Marty w Mediolanie. Ekstatyczna wizjonerka, jej przepowiednie wywoływały sensację. Udzielała upomnień nawet papieżowi Aleksandrowi VI z powodu jego rozwiązłego trybu życia.

**Botticelli Sandro**, właśc. Alessandro di Mariano Filipepi (1445- 1510) - podobnie jak Leonardo da Vinci był uczniem Verocchia, pobierał także nauki u fra Filippa Lippiego, uwa-

żany za jednego z najwybitniejszych artystów włoskiego renesansu, przedstawiciel szkoły florenckiej. Zgłębił mitologię antyczną, co znalazło odbicie w takich jego dziełach jak Wiosna czy Narodziny Wenus. Historycy sztuki doszukują się w jego obrazach symboli związanych z herezją świętego Graala. Porzucił malarstwo pod wpływem Savonaroli.

**Crivelli Lukrecja** (1452-1519) - pozowała Leonardowi da Vinci do portretu La belle Ferroniere (obecnie w Luwrze). Była jedną z kochanek Lodovica il Moro, urodziła mu przynajmniej jedną córkę.

**Crivelli Elena** - córka Lukrecji z jej małżeństwa z hrabią Crivellim. Bratanica znanego weneckiego malarza Carla Crivelli. W Tajemnej Wieczery została przedstawiona jako spadkobierczyni prastarego rodu kobiet wywodzącego się od Marii Magdaleny. Dostała wtajemniczenia w sekrety swojej pramatki.

Este **Beatrice d'** (1475-1497) - księżna Mediolanu, córka księcia Ferrary, żona Lodovica il Moro Sforzy. Pragnęła przekształcić Mediolan w Nowe Ateny, które przywróciłyby ludzkości Złoty Wiek, opisywany przez starożytnych pisarzy i filozofów. Lubiła luksus, kochała sztuki piękne. Dla wielu stanowiła ucieleśnienie ideału renesansowej włoskiej księż-

niczki.

**Ficino Marsilio** (1433-1499) - uczyony, muzyk i kaznodzieja. Jeden z najwybitniejszych intelektualistów swoich czasów. Jako pierwszy przełożył na łacinę pisma Platona i Plotyna oraz Corpus Hermeticum. Twórca terminu „miłość platoniczna”. Współzałożyciel Akademii Platońskiej, która była kolebką renesansu.

**Forzetta Mario** - uczeń Leonarda da Vinci pochodzący, podobnie jak Beatrice d'Este, z Ferrary. W szesnastym roku życia udał się do Mediolanu, by uczyć się malarstwa w bottega Leonarda. Po odejściu z pracowni Leonarda zaczyna handlować starożytnymi manuskryptami w służbie Oliveria Jacarandy. Po raz pierwszy zetknął się z herezją katarską w swojej ojczy-Stej Ferrarze.

**Giberto, dominikanin** - zakrystian w klasztorze Santa Maria delie Grazie. Urodził się w pobliżu granicy niemieckiej. Jego włosy w kolorze dyni były częstym powodem żartów współbraci.

**Jacaranda Oliverio** - antykwariusz pochodzący, podobnie jak papież Aleksander VI, z Walencji (Hiszpania). Był jednym z pierwszych antykwariuszy, którzy dostarczali starożytne eksponaty zarówno Pałacowi Papieskiemu, jak i domowi Sforzów. Specjalista od starożytnych tekstów, a także ojciec pięknej Marii.

**Leyre Augustyn** - dominikanin, rzymski inkwizytor i wybitny funkcjonariusz Sekretariatu Szyfrów Państwa Papieskiego. Ekspert w zakresie kryptografii i teologii. To on jest narratorem historii opowiedzianej w Tajemnej Wieczery. Opisuje ją u schyłku życia, w Egipcie, gdzie schronił się w jakiś czas po odkryciach, których dokonał podczas szpiegow-skiej misji, podjętej w związku z osobą

Leonarda da Vinci zimą 1497 roku w Mediolanie.

**Luini Bernardino** (ok. 1485-1532) - uczeń Leonarda da Vinci, jego prace znajdują się w wielu muzeach europejskich. Jego biografia pełna jest tajemnic i niejasności, przypuszcza się, że nigdy nie opuścił Lombardii.

**Medici Cosimo, Starszy** (1389-1464) - w źródłach polskich występuje również jako Kosma (Kuźma) Medyceusz Starszy, faktyczny władca Republiki Florenckiej, sławny kupiec.

Był mecenasem uczonych i artystów, założył Akademię Platońską, a jej prowadzenie powierzył młodemu Marsyliowi Ficinie.

**Oggiono Marco d'** (1470-1549) - jeden z ulubionych uczniów Leonarda da Vinci, wyróżniał się biegłością w malowaniu fresków. Był jednym z artystów, którzy najczęściej ko-piowali Ostatnią Wieczerzę.

**Pico della Mirandola Giovanni** (1463-1494) - książę, filozof i filolog, jeden z najbardziej żarliwych zwolenników Platona, jego mistrzem był Marsilio Ficino, który nauczył go hebrajskiego i zachęcił do studiowania kabały. Choć papież zakazał czytania jego pism, w 1493 roku Pico della Mirandola otrzymał rozgrzeszenie.

**Pinturicchio**, właśc. Bernardino di Betto (1454-1513) - malarz, ukształtowany intelektualnie w akademii Marsilia Ficina. W 1493 roku został wezwany do Rzymu przez papieża Aleksandra VI, by wykonać dekoracje jego apartamentów. Według zaleceń Giovanniego Annio da Viterbo, Pinturicchio namalował sceny z mitologii egipskiej - historię Ozyrysa, Izdy i Apisa. Jako pierwszy przedstawił święte woły i pogańskie bóstwa w samym sercu papieskiego Rzymu.

**Platon** (ok. 427-347 p.n.e.) - filozof grecki, uczeń Sokratesa, twórca pierwszego systemu filozoficznego (idealizm obiektywny), założył Akademię Platońską, by przekazywać swoje nauki. Aż do XV wieku był praktycznie nieznany. Dopiero w roku 1483 jego dzieła zostały przełożone przez Marsilia Ficina i wydane drukiem.

**Ponte Fabio** - osobisty sekretarz Giovanniego Annio da Viterbo i siostrzeniec generała zakonu dominikanów Gioacchina Torrianiego.

**Savonarola Girolamo** (1452-1498) - dominikanin, opat klasztoru Świętego Marka we Florencji, kaznodzieja i reformator, był najbardziej kontrowersyjną postacią swoich czasów.

Występował przeciw świeckiej władzy papieża, piętnował zepsucie duchowieństwa, nawoływał do ascezy. W 1494 roku stanął na czele powstania, które obaliło na krótko władzę Medyceuszy. Pod jego wpływem Botticelli spalił te spośród swych obrazów, na których widniały motywy pogańskie. Jego potężni wrogowie oskarżyli go o herezję, powiesili, a ciało spalili na stosie.

**Sforza Lodovico** (1452-1508) - zwany il Moro (Maur), z powodu ciemnej karnacji.

Czwarty książę Mediolanu o tym nazwisku. Bezwzględny i pragmatyczny, wspomagał jednocześnie uczonych i artystów. Mecenasa Leonarda da Vinci, zamówił u niego Ostatnią Wieczerzę, której namalowanie miało być jednym z etapów przekształcenia klasztoru w mauzoleum rodu Sforzów. W 1500 roku ujęty przez Francuzów, do końca życia przetrzymywany był w zamku Loches w Tureni.

**Sforza Mauro** - dominikanin, kuzyn księcia Mediolanu, wstąpił do klasztoru Santa Maria delie Grazie po śmierci swego wuja Giana Galeazzo Sforzy w 1494 roku. W klasztorze pełnił funkcję grabarza.

**Torriani Gioacchino** (1417-1500) - generał (magister generalny), czyli zwierzchnik, zakonu dominikanów. Ten czołowy humanista doby renesansu był człowiekiem wielkiej kultury i rozległej wiedzy, władał pięcioma językami.

**Toscanelli Paolo dal Pozzo** (1397-1482) - matematyk, kartograf i geograf włoski, który zainspirował Kolumba do podróży, podczas której ten odkrył Amerykę. Jego prace przyczyniły się do pogłębienia ówczesnej wiedzy o astronomii. Zbudował gnomon w katedrze florenckiej, o którym mowa w Tajemnej Wieczerzy.

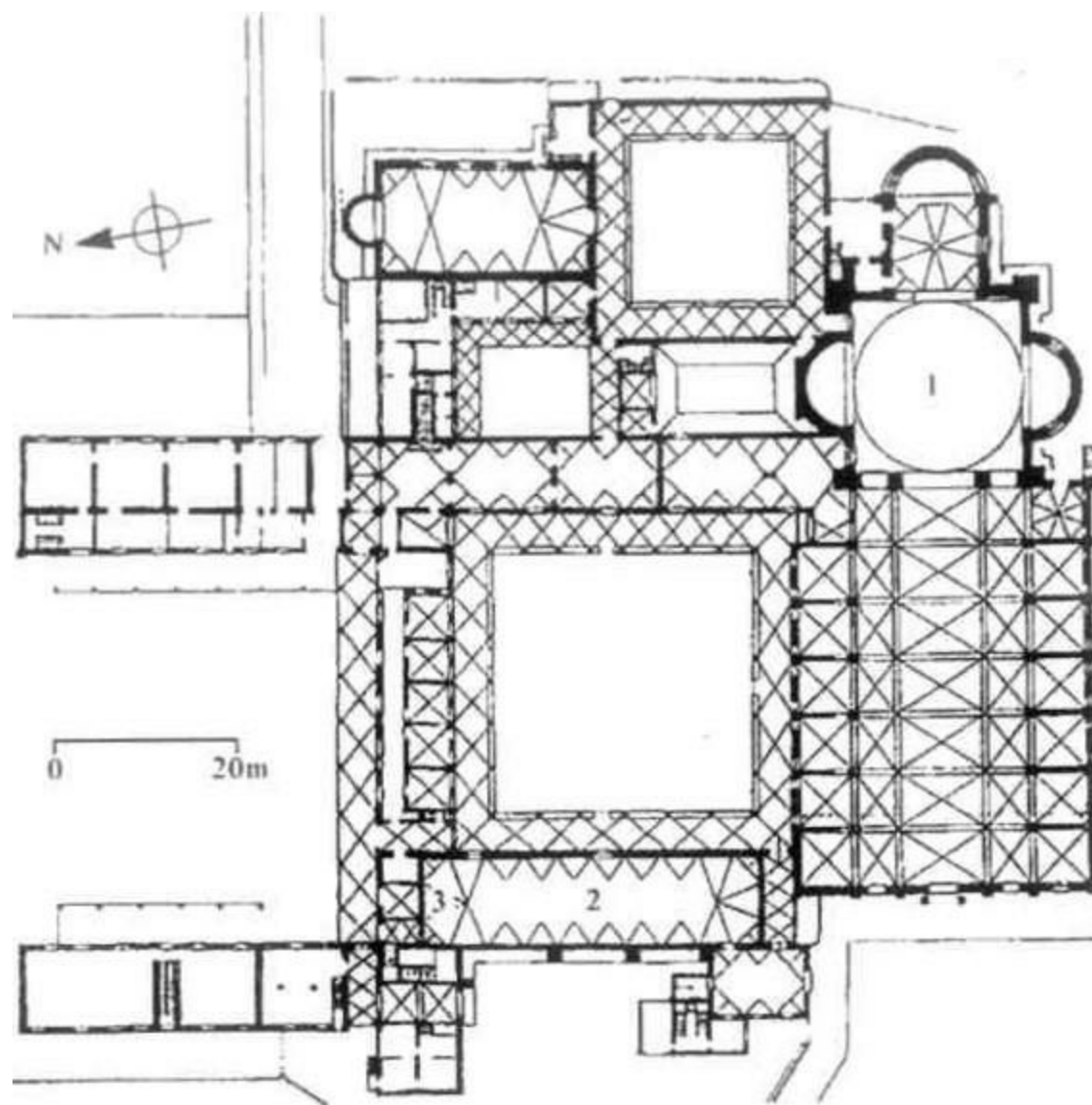
**Trivulzio Alessandro** - dominikanin, urodzony w Ricci, był bibliotekarzem w klasztorze Santa Maria delie Grazie. Miłośnik dawnych manuskryptów, zgromadził cenną kolekcję druków i rękopisów w bibliotece klasztornej.

**Vinci Leonardo da** (1452-1519) - ucieleśnienie ideału człowieka renesansu; malarz, rzeźbiarz, uczonek, inżynier, zgłębiał ludzką anatomię, doskonale gotował, grał na instrumentach. Pozostawił ponad 13 tys. stron notatek, wiele projektów maszyn i urządzeń (m.in. pływacz, model spadochronu, łożysko, katapulta) i zaledwie kilka obrazów.

Współcześni podejrzewali go, że nie jest prawowiernym chrześcijaninem, zaś papież nigdy nie zlecili mu wykonania dekoracji sal pałacu watykańskiego. Tak pisał o nim Giorgio Vasari w Żywotach najsławniejszych malarzy: „To, czego dokonuje, każdą dziedziną się zajmując, jest darem Boga, a nie ludzkich umiejętności”.

**Viterbo Giovanni Annio de** (1432-1502) - dominikanin, profesor teologii i ekspert w dziedzinie języków wschodnich. Aleksander VI mianował go Mistrzem Pałacu Papieskiego.

Najprawdopodobniej został otruty. Autor wielu książek, był pierwszym „archeologiem” w hi-



storii, a także fałszerzem zabytków - produkował eksponaty „egipskie” i opatrywał fałszywymi napisami, mającymi potwierdzać jego teorie. Postać niemal zapomniana.

**Voragine Jakub de, Jacopo de Varazze** (1230-1298) - dominikanin, arcybiskup Genui, pisarz. W swoim dziele *Złota legenda* (*Legendi di Sancti Vulgari Storiado*) spisał żywoty świętych i apostołów. Wywarło ono duży wpływ na malarzy różnych epok, którzy przy malowaniu scen religijnych korzystali z zawartych w nim szczegółowych opisów.

**Wawrzyniec Wspaniały (Medyceusz), Lorenzo il Magnifico, Lorenzo Medici** (1449-1492) - wnuk Cosima Starszego, władca Florencji, kolejny opiekun uczonych i artystów. Był

mecenasem Michała Anioła Buonarottiego. Jego pasją były starożytne manuskrypty, gemmy i numizmaty.

1. Empora
2. Refektarz
3. Ostatnia Wieczerza Leonarda da Vinci

Współczesny plan klasztoru i kościoła Santa Maria delie Grazie w Mediolanie.



# EXORDIUM

Przez całe wieki średnie i okres renesansu Europa wciąż zachowywała nietkniętą umiejętność rozumienia symboli i prastarych wyobrażeń. Jej mieszkańcy wiedzieli, jak interpretować kapitel kolumny, fragment malowidła czy znak przydrożny, choć tylko niewielu z nich opanowało sztukę czytania i pisanania.

Ta umiejętność interpretacji zaginęła wraz ze zwycięstwem racjonalizmu, a razem z nią zaginęła ogromna część odziedziczonej po przodkach spuścizny.

W tej książce zgromadzono wiele spośród tych symboli, ujętych w taki sposób, w jaki były one ówczesnie pojmowane. Stanowi ona też próbę przywrócenia nam zdolności pojmowania znaczenia tych symboli i korzystania z ich niewyczerpanej mądrości.

Wraz z nadejściem nowego roku 1497, w czasie gdy pod baczynym okiem papieżstwa księstwo Lodovica il Moro pogrążyło się w bólu, przyszło mi rozwiązać najbardziej zawiłą i niebezpieczną zagadkę, o jakiej kiedykolwiek słyszałem.

Świat był wówczas miejscem wrogim, zmiennym, piekłem z ruchomymi piaskami, w którym piętnaście wieków kultury i wiary mogło zaważyć się pod lawiną nowych idei, przywiezionych ze Wschodu. Grecja Platona, Egipt Kleopatry czy osobliwości Chin, odkryte przez Marca Polo, z dnia na dzień zyskiwały więcej uznania, odsuwając w cień naszą własną biblijną historię.

Dla chrześcijaństwa nadeszły dni wstrząsów. Mieliśmy papieża, który dopuścił się symonii -

był to hiszpański diabeł, koronowany jako Aleksander VI, który bezwstydnie kupił tiarę na ostatnim konklawe, mieliśmy książąt zafascynowanych pogaństwem i zastępy uzbrojonych po zęby Turków, gotowych przy pierwszej nadarzającej się okazji najechać śródziemnomorski zachód i nawrócić nas na islam. Można by rzec, że w ciągu tysiąca pięciuset lat historii nasza wiara nigdy nie była równie bezbronna.

W takim oto świecie przyszło działać piszącemu te słowa słudze Bożemu, strapionemu stuleciem zmian, epoką, w której granice świata stale się poszerzały, wymagając od nas bezprzykładnych wysiłków, by się jakoś do tego przystosować. Wydawało się, że Ziemia z każdym dniem staje się coraz większa, co zmuszało nas do bezustannej rewizji naszej wiedzy o geografii. My, duchowni, już wtedy przeczuwaliśmy, że nie zdołamy przekazać naszych nauk milionom zaludniających świat dusz, które nigdy nawet nie słyszały o Chrystusie. A ci spośród nas, którzy byli najbardziej sceptyczni, przepowiadali, że Europa wkrótce, wraz z przybyciem nowych hord pogańskich, pogrąży się w chaosie.

Pomimo to tamte lata były fascynujące. Teraz, kiedy jestem już stary, na wygnaniu, które stopniowo zżera moje zdrowie i pamięć, myślę o nich z nostalgią. Z trudem panuję nad dłoń-

mi, mam coraz słabszy wzrok, a oślepiające słońce południowego Egiptu mąci mój umysł. Jedynie w godzinach poprzedzających świt mogę uporządkować myśli i poświęcić się rozważaniom nad tym, jakie to wyroki losu przywiodły mnie aż tutaj. Losu nieobcego Platonowi, Aleksandrowi VI, jak i poganom.

Ale nie będę wyprzedzał wydarzeń.

Dość powiedzieć, że teraz, pod koniec życia, zostałem sam. Spośród sekretarzy, których kiedyś miałem, nie ostał się ani jeden. Dziś tylko Abdul, młodzieniec nie znający mojego języka, który ma mnie za jakiegoś ekscentrycznego świętego, przybyłego na jego ziemię, by umrzeć, zaspokaja moje najbardziej podstawowe potrzeby. Wegetuję, odosobniony, w prastarym, wykutym w skale grobowcu, otoczony piaskiem i pyłem pustyni, zagrożony przez skorpiony, chromy na obie nogi. Oddany Abdul co dzień przynosi praśny placek, a także to, co zbywa w jego domu. Jest niczym tamten kruk, co przez sześćdziesiąt lat przynosił w dziobie pół uncji chleba świętemu Pawłowi Pustelnikowi, który zmarł na tej ziemi jako ponad stuletni starzec.

Abdul, w odróżnieniu od tego ptaka dobrych wróżb, uśmiecha się, wręczając mi jedzenie, bo nie bardzo wie, co jeszcze mógłby dla mnie zrobić. Mnie to wystarcza. Dla takiego grzesznika jak ja wszelka wyświadczona mi uprzejmość jest nieoczekiwaną nagrodą Stwórcy.

Lecz samotność to nie jedyne moje zmartwienie. Moją duszę trawi również żal. Smutkiem napawa mnie świadomość, że Abdul nigdy się nie dowie, co przywiodło mnie do jego wioski.

Nie potrafiłbym wytłumaczyć mu tego na migi. Nigdy też nie przeczyta tych słów. A jeśli nawet, co mało prawdopodobne, znajdzie je po mojej śmierci i sprzeda jakiemuś poganiaczowi wielbłądów, to zapewne posłużą do rozniecenia ogniska w zimną pustynną noc. Nikt tu nie zna łaciny ani żadnego z języków romańskich, zaś Abdul, kiedy zastaje mnie pochylonego nad tym tekstem, zakłopotany wzrusza ramionami, świadom, iż traci coś ważnego.

Każdego dnia trapi mnie ta myśl. Jasność umysłu mąci mi przeświadczenie, że żaden chrze-

ścijanin nigdy nie przeczyta tych stronic. Kiedy skończę pisać, poproszę, by pochowano je wraz z moimi zwłokami, w nadziei, iż w dniu sądu nad moją duszą Anioł Śmierci nie zapomni ich zabrać przed oblicze Ojca Wiekuistego. Historia ludzkości jest smutna: największe tajemnice to te, które nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Czy taki będzie los mojej tajemnicy?

Zapewne.

Tu, w jaskiniach zwanych Jabal al-Tarif, zaledwie kilka kroków od wielkiego Nilu, którego wody błogosławią niegościnną pustynię, proszę Boga jedynie o dość czasu na to, bym na pi-

śmie usprawiedliwił moje czyny. Przywileje, którymi niegdyś cieszyłem się w Rzymie, są mi teraz tak obce, że nawet gdybym uzyskał przebaczenie nowego papieża, nie mógłbym powró-

cić do Bożej owczarni. Brak by mi było dobiegającego z odległych minaretów zawodzenia muezinów i u schyłku życia cierpiałbym katusze tęsknoty za tą ziemią, która wielkodusznie udzieliła mi schronienia.

Moją pociechą jest układanie wydarzeń w takiej kolejności, w jakiej po sobie następowały. W

niektórych z nich uczestniczyłem, o innych dowiedziałem się długo po czasie, w którym mia-

ły miejsce. Jednakże, opisane jedno po drugim, dadzą wam, hipotetycznym czytelnikom, pewne pojęcie o rozmiarach zagadki, która zmieniła moje życie.

Nie. Już nie mogę odwracać się od przeznaczenia. A teraz, zważywszy na to, ile widziały moje oczy, czuję się zobowiązany, by to opowiedzieć. Nawet jeśli trud ten będzie daremny.

Wszystko zaczęło się nocą 2 stycznia 1497 roku, daleko, bardzo daleko od Egiptu. Tamta zima, czterdzieści lat temu, była najostrzejszą, jaką odnotowały kroniki. Śnieżyło obficie i całą Lombardię pokryła gruba warstwa bieli. W zawiei znikły nie tylko konwenty Świętego Ambrozego, Świętego Wawrzyńca i Świętego Eustachego, lecz nawet pinakle katedry. Na ulicach widać było tylko wózki z drewnem na opał - połowa Mediolanu spała w tak głębokiej ciszy, że zdawało się, iż spowija ona miasto od wieków.

Była jedenasta w nocy drugiego dnia nowego roku. Lodowaty spokój zamku Sforzów zakłócił przenikliwy kobiecy krzyk. Potem dał się słyszeć szloch, a następnie przejmujące zawodzenie pałacowych służebnic. Wraz z przedśmiertnym rżeniem najjaśniejszej Beatrice d'Este na zawsze legły w gruzach marzenia o świetności księstwa. Boże Święty! Księżna zmarła z szeroko rozwartymi oczami. Wściekła. Z całej siły wczepiona w habit przerażonego spowiednika, przeklinała Chrystusa i wszystkich świętych za to, że tak szybko zabierają ją przed oblicze Pana.

Tak. To z pewnością tam wszystko się zaczęło.

Kiedy po raz pierwszy przeczytałem raport o tych wydarzeniach, miałem czterdzieści pięć lat.

Sprawozdanie było przerażające. Betania, jak zwykle w takich sprawach, zwróciła się z proś-

bą o ten raport w trybie secretissimus do nadwornego kapelana księcia il Moro, a ten bezzwłocznie wysłał go do Rzymu. Tak właśnie działały oczy i uszy Państwa Papieskiego. Były czujne jak żadne inne. A nasi bracia, na długo przed wpłynięciem oficjalnego zawiadomienia o śmierci księżnej do biur dyplomatycznych Watykanu, znali wszystkie okoliczności zdarzenia.

Formalnie, w ramach zawilej struktury Betanii, pełniłem obowiązki asystenta generała zakonu Świętego Dominika. Ale w istocie nasza organizacja była ściśle tajna. W czasach intryg dworskich, morderstw przy użyciu trucizny i zdrad w łonie rodów panujących, Kościołowi potrzebne były służby wywiadowcze, które wskazywałyby bezpieczną drogę. Byliśmy tajnym bractwem, wiernym jedynie papieżowi i - oczywiście - głowie zakonu dominikanów. Dlatego prawie nikt o nas nie słyszał. Ukrywaliśmy się pod obszernym płaszczem Sekretariatu Szyfrów Państwa Papieskiego, neutralnej i niezbyt ważnej organizacji, rzadko obecnej w życiu publicznym i posiadającej dość ograniczone kompetencje. Lecz w istocie działaliśmy jako congregatio tajnych służb, swego rodzaju stała komisja do badania spraw wagi państwowej, umożliwiająca Ojcu Świętemu wyprzedzanie posunięć jego rozlicznych wrogów. Przez nasze ręce przechodziła każda, nawet najmniej istotna informacja, która mogła mieć jakikolwiek wpływ na status quo Kościoła. Ocenialiśmy taką informację, a następnie przekazywaliśmy ją właściwym osobom. Było to naszym jedynym zadaniem.

W ramach tej misji uzyskałem dostęp do raportu o śmierci naszej przeciwniczki, donny Beatrice d'Este. Nadal mam przed oczami twarze uradowanych tą wiadomością braci. Głupcy.

Wierzyli, że natura, odbierając życie księżnej, wyręczyła nas. Ich mentalność była prostacka.

Działali za pomocą takich środków jak szafot, wyrok Świętego Oficjum lub płatny zabójca.

Lecz ja byłem inny. W odróżnieniu od nich nie żywiłem przekonania, że odejście księżnej Mediolanu oznacza koniec długiego łańcucha czających się na dworze księcia il Moro nieprawości, spisków i zagrożeń, które wystawiały naszą wiarę na niebezpieczeństwo i od miesięcy utrzymywały w gotowości sieć naszych informatorów.

Dość było wymienić jej imię w trakcie kapituły generalnej Betanii, by natychmiast rozeszły się plotki, które zdominowały dalszy przebieg zgromadzenia. Wszyscy ją znali. Wszyscy też wiedzieli, że oddaje się niezbyt chrześcijańskiej działalności, lecz nikt nigdy nie odważył się na nią donieść. Donna Beatrice budziła w Rzymie tak wielki lęk, że nawet raport, który otrzymaliśmy od kapelana księcia - godnego zaufania przeora naszego nowego klasztoru Santa Maria delie Grazie\* - nie zawierał żadnych uwag co do dalekich od ortodoksji poczynań księżnej. Brat Vincenzo Bandello, ceniony teolog i mądry zwierzchnik mediolańskich dominikanów, ograniczył się do opisu wydarzeń, zachowując dystans wobec mogących go narazić na niebezpieczeństwo kwestii politycznych.

I nikt w Rzymie nie potępił ostrożności brata Vicenza.

Zgodnie z raportem przeora Bandella, do dnia poprzedzającego tragedię wszystko było w po-rzładku. Beatrice w bardzo młodym wieku miała wszystko: potężnego męża, ogromną energię i rozwijające się w jej łonie dzieciątko, które wkrótce miało zapewnić przedłużenie szlchetnego rodu swego ojca. Ostatnie w swoim życiu popołudnie spędziła z ulubioną dworką, upojona szczęściem, tańcząc i bawiąc się w komnatach pałacu Rochetta. Księżnej obce były kłopoty przeciętnej matki. W trosce o drobne delikatne piersi nie chciała nawet karmić dziecka; to starannie wybrana niańka miała czuwać nad rozwojem tej maleńkiej istoty, miała ją nauczyć chodzić i jeść, a także, zrywając się skoro świt, obmywać dziecko wodą i wycierać ciepłymi ściereczkami. Oboje - zarówno niemowlę, jak i opiekunka - mieli zamieszkać w Rochette, w pokojach urządzonych z ogromną dbałością przez samą Beatrice. Macierzyństwo miało być dla księżnej uroczą i nieoczekiwaną rozrywką, wolną od odpowiedzialności i trosk.

Ale to właśnie tam, w maleńkim rajku, który urządziła dla swej

\* W tradycji polskiej kościoły i instytucje kościelne pod tym wezwaniem noszą imię Matki Boskiej Łaskawej.

latorośli, przydarzyło jej się nieszczęście. Zgodnie z opisem brata Vicenza, tuż przed zmierzchem donna Beatrice osunęła się zemdlna na jedno z posłań znajdujących się w pokoju. Po odzyskaniu przytomności czuła się bardzo źle. Miała zawroty głowy, a jej żołądkiem wstrzą-

sały fale nudności. Długo wymiotowała, ale nie przynosiło jej to ulgi. Nie wiadomo było, co jej dolega. Po wymiotach nastąpiły skurcze dolnej części brzucha, zapowiadające najgorsze.

Syn księcia il Moro postanowił przedwcześnie przyjść na świat. Nikt tego nie przewidział.

Beatrice po raz pierwszy w życiu była przerażona.

Sprowadzenie medyków do pałacu trwało o wiele za długo. Akuszerki trzeba było szukać poza murami miasta, a kiedy wreszcie wszystkie niezbędne osoby znalazły się u boku księż-

nej, było już za późno. Pępowina karmiąca przyszłego Leona Marię Sforzę owinęła się wokół

jego delikatnej szyjki. Stopniowo, coraz mocniej, ze skutecznością stryczka, ścisnęła małe gardziółko, aż doprowadziła do uduszenia dziecka. Beatrice od razu poczuła, że dzieje się coś złego. Jej syn, który przed chwilą ze wszystkich sił starał się wydostać z jej wnętrza, nagle znieruchomiał. Raz jeszcze gwałtownie się poruszył, a potem, jakby wycieńczony tym wysił-

kiem, zmarł i wyzionął ducha. Medycy, widząc, co się dzieje, rozcięli w poprzek księżnę, która wijąc się z bólu, zaciskała między zębami szmatkę nasączoną octem. Jednak wszelkie starania lekarzy okazały się nadaremne. Ku ich rozpaczce, dziecko o jasnych, szklanych teraz oczach było sine i martwe, uduszone w łonie matki.

Kilka godzin później zgasła Beatrice. Wyczerpana bólem, nie mając czasu na pogodzenie się ze strasznym nieszczęściem, jakie zesłał na nią los. W swoim raporcie przeor Bandello poinformował nas, że zdążył jeszcze zobaczyć ją w agonii. Zakrwawiona, z wnętrznościami na wierzchu, wśród trudnego do zniesienia fetoru, szalała z bólu, głośno domagając się rozgrze-szenia i komunii. Lecz, na szczęście dla naszego brata, Beatrice zmarła przed otrzymaniem jakiegokolwiek sakramentu.

I dobrze mówię: na szczęście.

Księżna opuściła nasz świat w wieku zaledwie dwudziestu dwóch lat. Betania wiedziała, że księżna prowadziła grzeszne życie. Ja sam miałem okazję badania i archiwizowania wielu dokumentów na ten temat, począwszy od czasów Innocentego VIII. Tysiąc par oczu Sekretariatu Szyfrów Państwa Papieskiego dobrze wiedziało, jaką osobą była córka księcia Ferrary. Tam, w naszej kwaterze głównej, na Wzgórzu Awentyńskim, mieliśmy pełne prawo sądzić, że żaden ważny dokument, sporządzony na którymkolwiek z europejskich dworów, nie jest nam obcy. W Domu Prawdy dziesiątki lektorów co dzień badały dokumenty spisane w różnych ję-

zykach, niektóre pod postacią kryptogramów, zaszyfrowanych przy użyciu niezwykle skomplikowanych metod. My mieliśmy je odszyfrować, posegregować według stopnia ważności i złożyć w archiwum. Ale nie wszystkie. Te, które dotyczyły Beatrice d'Este, przez dłuższy czas zajmowały w naszej pracy priorytetową pozycję i składane były w pomieszczeniu, do którego dostęp mieli tylko nieliczni. Owe niebudzące wątpliwości świadectwa dowodziły, że Beatrice opętał demon okultyzmu. A co gorsza, wiele wskazywało na to, iż to głównie za jej sprawą na dworze il Moro krzewiły się praktyki magiczne. Takie informacje należało oceniać ze szczególną starannością, z uwagi na to, iż dotyczyły obszarów tradycyjnie podatnych na najbardziej zgubne herezje.

Dominikanie z Mediolanu - wśród nich ojciec Bandello - wielokrotnie mieli w zasięgu ręki dowody na to, że zarówno donna Beatrice, jak i jej siostra Isabella już w Mantui kolekcjono-wały amulety i idole pogańskie oraz że obie przywiązywały nadmierną wagę do przepowiedni astrologów i wszelkiej maści szarlatanów. Jednak nasi bracia nigdy nie podjęli w tej sprawie żadnych kroków. Wpływ owych ludzi na Beatrice był tak fatalny, iż w ostatnich swoich dniach nieszczęsna żywiła głębokie przekonanie o rychłym końcu naszej Świętej Matki Ko-

ścioła. Mawiała też, że cała kuria rzymska zostanie zawleczona przed Sąd Ostateczny, gdzie w obecności archaniołów, świętych i czystych mężów Ojciec Wiekuisty ukarze nas wszystkich bez litości.

Nikt w Rzymie nie znał lepiej ode mnie poczynań księżnej Mediolanu. Lektura kolejnych raportów na jej temat uświadamiała mi, jak wielką zagadką może być kobieta. Odkryłem też, że Beatrice w ciągu zaledwie czterech lat małżeństwa bardzo odmieniła zwyczaje i zamiary swego potężnego małżonka. Jej osobowość zaczęła mnie fascynować. Była łatwowierna, oddana świeckim lekturom, a także łatwo poddawała się wszelkim egzotycznym ideom, krążącym na obszarze księstwa. A jej obsesją stało się uczynienie z Mediolanu spadkobiercy dawnej świetności Florencji Medyceuszy.

Chyba właśnie to tak bardzo mnie zaniepokoiło. Kościół co prawda osłabił fundamenty potęż-

nej florenckiej rodziny, stopniowo podkopując wsparcie, jakiego udzielała myślicielom i artystom - przyjacielom wszelkiej nieprawowierności, lecz Rzym nie był przygotowany, by w potężnym Mediolanie stawić czoło ponownemu rozkwitowi tych idei. Wille Medyceuszy, wspomnienie Akademii założonej przez Cosima Starszego w celu zachowania mądrości starożytnych Greków, a także hojne wsparcie udzielane architektom, malarzom i rzeźbiarzom zawładnęły bujną wyobraźnią księżnej, podobnie zresztą jak i moją. Lecz dla niej stały się one wyznacznikami wiary, a co więcej swoją niezdrową fascynacją zaraziła księcia.

Od kiedy w roku 1492 na Tronie Piotrowym zasiadł Aleksander VI, słałem moim zwierzchnikom ostrzeżenia przed tym, co może się wkrótce wydarzyć. Nikt jednak nie przywiązywał do nich wagi. Mediolan, nieodległy od granic Francji, tradycyjnie buntowniczo nastawiony wobec Rzymu, był idealnym miejscem, w którym mogło dojść do rozłamu w łonie Kościoła. Betania również nie dawała mi wiary. A papież, wyrozumiały wobec heretyków - już w rok po przywdzianiu tiary prosił o przebaczenie za prześladowanie takich kabalistów jak Pico della Mirandola - zlekceważył moje ostrzeżenia.

- Ten ojciec, Augustyn Leyre - mawiali moi bracia z Sekretariatu Szyfrów - przywiązuje zbyt dużą wagę do wiadomości przesyłanych przez Wróżbitę. Jeszcze trochę i sam zwariuje.

Wróżbita.

Brakujący fragment łamigłówki.

Jego obecność tutaj wymaga wyjaśnienia. Otóż poza ostrzeżeniami, że Księstwo Mediolań-

skie obrało niewłaściwy kurs, przesyłanymi przeze mnie Ojcu Świętemu i najwyższym zwierzchnikom zakonu dominikanów, istniało jeszcze jedno źródło informacji, dręczone tymi samymi obawami. Był to anonimowy świadek wydarzeń, który co tydzień przysyłał do naszego Domu Prawdy szczegółowe, obszernie udokumentowane listy, ujawniające podjęcie na ziemiach księcia il Moro zakrojonych na szeroką skalę przedsięwzięć magicznych.

Jego listy zaczęły przychodzić jesienią 1496, na cztery miesiące przed śmiercią donny Beatrice. Wysyłał je do siedziby zakonu w Rzymie, klasztoru Santa Maria sopra Minerva. Po przeczytaniu przechowywano je jako utwory biednego diabła, opętanego domniemanymi odchyleniami doktrynalnymi domu Sforzów. I nikogo za to nie winię. W tamtych czasach nie brakowało szaleńców, nic więc dziwnego, że nasi ojcowie przełożeni w mniejszym czy większym stopniu lekceważyli listy anonimowego wizjonera.

Jednak nie wszyscy.

O pismach tego nowego proroka dowiedziałem się od archiwisty naszego macierzystego domu podczas ostatniej kapituły generalnej Betanii.

- Powinniście, ojcze, przeczytać te listy - powiedział. - Gdy tylko je zobaczyłem, od razu o was pomyślałem.

- Doprawdy?

Pamiętam, że archiwista z przejęcia zamrugał rozbieganymi oczkami.

- To ciekawe, napisał je ktoś, kto podziela wasze obawy, ojcze Leyre, apokaliptyczny prorok, wykształcony, biegły w gramatyce, taki, jakiego od czasów brata Tanchelma z An-twerpji nie widział świat chrześcijański.

- Brat Tanchelmo?

- Ach, zbzikowany starzec z dwunastego wieku, który twierdził, że Kościół zamienił

się w burdel, a kapłanów oskarżał o życie w nieustannym konkubinacie. Nasz Wróżbita nie posuwa się aż tak daleko, choć z tonu jego listów wnoszę, że niedługo zacznie.

Archiwista, zgięty w pół, zboliałym głosem dodał coś jeszcze:

- Wiecie, co odróżnia go od innych szaleńców?



Nachyliłem się nad nim.

- Sprawia wrażenie lepiej poinformowanego niż którykolwiek z nas. Nasz Wróżbita to maniak ścisłości. Wie o wszystkim!

Ten klecha miał rację. Listy Wróżbity, pisane nienagannym kaligraficznym pismem na delikatnym papierze w kolorze kości słoniowej, zgromadzone w drewnianej skrzyni, opatrzonej pieczęcią riservatto, obsesyjnie demaskowały tajemny plan, który miał uczynić z Mediolanu nowe Ateny. Już od dawna podejrzewałem coś takiego. Il Moro, podobnie jak wcze-

śniej Medyceusze, należał do tych zabobonnych władców, którzy wierzyli, że starożytni byli w posiadaniu wiedzy o świecie znacznie bardziej zaawansowanej niż nasza. Ta idea była bardzo stara. Według niej, zanim Bóg ukarał świat potopem, ludzkość cieszyła się Złotym Wiekiem powszechnej pomyślności, który za wszelką cenę starali się wskrzesić najpierw florent-czycy, a teraz książę Mediolanu. Aby to osiągnąć, byli gotowi - zważywszy, iż w owej sławnej epoce Bóg nie stworzył jeszcze reprezentującej go instytucji - odłożyć na bok zarówno Biblię, jak i zastrzeżenia Kościoła.

Było jednak coś jeszcze: w listach Wróżbita podkreślał, że kamień węgielny tego za-mierzenia został wmurowany tuż pod naszym nosem. Jeśli to, co twierdził, było prawdą, to przebiegłość il Moro wydawała się zaiste niezwykła. Jego plan przekształcenia księstwa w stolicę odrodzenia filozofii i nauk starożytnych miał być oparty na zaskakujących fundamen-tach: ni mniej, ni więcej, tylko na naszym nowym mediolańskim klasztorze.

Wróżbicie udało się mnie zaskoczyć. Kimkolwiek był człowiek stojący za tymi odkry-ciami, posunął się bardzo daleko. Ja nigdy bym sobie na to nie pozwolił. I, jak słusznie zauważył archiwista, jego oczy były wszędzie. I to nie tylko w Mediolanie, lecz także w Rzymie, ponieważ niektóre z jego listów zaczynały się od słów Augur dixit\*. To nas zdumiewało.

Kim zatem był nasz konfident? Kto, jeśli nie osoba dobrze wprowadzona w sprawy kurii, mógł wiedzieć, jak nazywali go sekretarze Betanii?

Nie wiedzieliśmy nawet, kogo podejrzewać.

W tym czasie, w miejscu, o którym pisał, w klasztorze Santa Maria delie Grazie, nadal trwały prace nad wystrojem wnętrza. Książę Mediolanu wyznaczył do jego wzniesienia najlepszych ówczesnych architektów: emporę kościoła zlecił Bramantemu, wnętrza Cristoforowi Solariemu, i nie szczędził dukatów, by opłacić najlepszych artystów, którzy mieli zająć się ozdobieniem ścian. Chciał uczynić z naszej świątyni mauzoleum własnej rodziny, miejsce wiecznego spoczynku, dzięki któremu pamięć o nim przetrwa przez wieki.

\* Augur... (łac.) - Augur powiada. Augur - w starożytnym Rzymie kapłan przepowia-dający przyszłość i odgadujący wolę bogów z lotu ptaków, z grzmotów, wnętrzości zwierząt ofiarnych itd.

Jednakże to, co dominikanie traktowali jako wyróżnienie, autor listów uznał za zamysł

przeklęty. Zapowiadał, że papież zostanie srogo ukarany, jeśli nikt nie przerwie realizacji tych

planów, a także wieszczył, iż wkrótce cała Italia pogrąży się w mroku i nieszczęściu. Dlatego anonimowy autor tych wiadomości natychmiast zyskał u nas przydomek „Wróżbita”. Trudno o bardziej ponurą wizję świata chrześcijańskiego niż ta, którą roztaczał on przed naszymi oczami.

Nikt się nie przejmował tym anonimowym diabłem aż do dnia, w którym przyszedł jego piętnasty list.

Otóż w tym dniu brat Giovanni Gozzoli, mój asystent w Betanii, wpadł ogromnie poruszony do scriptorium. Potrząsał nowym listem Wróżbity i nie zwracając uwagi na nasze pełne wyrzutu spojrzenia - w końcu pochłonięci byliśmy pracą - skierował kroki ku mojemu pulpitowi.

- Bracie Augustynie, powinniście to zobaczyć! Powinniście to przeczytać!

Nigdy nie widziałem go tak przejętego. Młody brat opuścił dłoń, w której zaciskał list, na mój pulpit i pełnym niepokoju głosem wyszeptał:

- Ojczy, to niebywałe. Nie-by-wa-łe.

- Co jest tak niebywałe, bracie?

Gozzoli nabrał powietrza.

- List... ten list... Wróżbita... Generał Torriani prosił mnie, żebyście od razu go prze-czytali.

- Generał?

Pobożny Gioacchino Torriani, trzydziesty piąty następca świętego Dominika Guzmána na ziemi i zarazem najwyższy zwierzchnik naszego zakonu, nigdy nie przywiązywał wagi do tych anonimów. Rozprawiał się z nimi szybko, kiedyś nawet mnie upomniał, że poświę-

cam im zbyt wiele czasu. Skąd taka zmiana? Dlaczego przysyłał mi ten nowy list, prosząc, bym natychmiast się nim zajął?

- Wróżbita... - Gozzoli przełknął ślinę.

- Tak?

- Wróżbita odkrył, na czym polega plan.

- Plan?

Brat Giovanni nadal ścisnął wiadomość w dłoni. Jego ręka drżała z wysiłku. Wreszcie list, składający się z czterech kartek, opatrzony złamaną lakową pieczęcią, powoli opadł na mój pulpit.

- Plan księcia il Moro - wyszeptał mój sekretarz, jakby pozbywał się wielkiego ciężaru. - Bracie Augustynie, nie rozumiecie tego? Wyjaśnia, co naprawdę zamierza zrobić il Moro w klasztorze Santa Maria delie Grazie. Zamierza uprawiać magię!

- Magię? - Nie posiadałem się ze zdumienia.

- Przeczytajcie list!

Od razu się weń zagłębiłem. Na pewno pisany był tą samą ręką, co poprzednie listy: charakterystyczne nagłówki, układ akapitów i kaligrafia nie pozostawiały co do tego wątpliwości.

- Bracie, czytajcie! - nalegał sekretarz.

Szybko zrozumiałem, skąd ten upór. Wróżbita znów odkrywał przed nami coś, czego nikt z nas się nie spodziewał. Cofał się prawie sześćdziesiąt lat wstecz, do czasów papieża Eu-geniusza IV. Wówczas patriarcha Florencji, Cosimo Medici, zwany Starszym, postanowił sfi-nansować sobór, który mógł na zawsze zmienić oblicze chrześcijańskiego świata. Były to dawne dzieje. Nie ulegało wątpliwości, że Cosimo wspierał trwające kilka lat bezowocne spotkania różnorodnych przedstawicieli dyplomatycznych. W ten sposób chciał doprowadzić do ponownego zjednoczenia Kościołów wschodniego i rzymskiego. Świata śródziemnomorskie-mu zagrażało rozszerzenie wpływów tureckich i należało zapobiec temu za wszelką cenę. Stary bankier wpadł na niezwykle pomysł. Uznał, iż należy zjednoczyć wszystkich chrześcijan pod wspólnym przywództwem i dzięki sile wiary stawić czoło wrogowi. Jednak swoich za-mierzeń nie zrealizował.

A może stało się inaczej?

Wróżbita twierdził, że sobór miał również swój tajny program. Ukryty zamiar, którego efekty nadal, po upływie sześciu dziesięcioleci, były odczuwalne w Mediolanie. Jego zdaniem, Cosimo Medici poświęcił sporo czasu nie tylko na typowe dla tamtej epoki dyskusje polityczne. Prowadził również z przybyłymi z Grecji i Konstantynopola wysłannikami nego-cjacje w sprawie kupna starożytnych ksiąg, instrumentów optycznych, a także przypisywanych Platonowi i Arystotelesowi manuskryptów, uważanych za zaginione. Poleciał przetłumaczyć wszystkie bez wyjątku i dowiedział się z nich zaskakujących rzeczy. Odkrył na przykład, że już w Atenach wierzono w nieśmiertelność duszy i wiedziano, iż niebiosy są odpowiedzialne za wszystko, co dzieje się na Ziemi. Zrozumcie mnie dobrze: Ateńczycy nie wierzyli w Boga, lecz we wpływ ciał niebieskich. To znaczy, według tych godnych pogardy traktatów, gwiazdy oddziałują na materię poprzez „ciepło duchowe”, podobne temu, które łączy ciało istoty ludzkiej z jej duszą. Arystoteles dowiedział się o tym z kronik Złotego Wieku, a Cosimo, po przeczytaniu jego dzieł, był tą koncepcją zafascynowany.

Zdaniem Wróżbity stary bankier założył Akademię na wzór akademii antycznych tylko po to, by przekazywać tę tajemną wiedzę artystom. Pod wpływem lektur nabrał przekonania, że zaprojektowanie dzieła sztuki jest nauką ścisłą. Dzieło stworzone zgodnie z subtelny-mi wskazówkami działałoby jak odbicie sił kosmicznych i mogło być wykorzystane do ochro-ny bądź zniszczenia tego, kto byłby w jego posiadaniu\*.

\* Ta wiedza tajemna już wcześniej, przed Cosimą Starszym, była znana budowniczym gotyckich katedr. Dotarła do nich ze wschodu, na długo przed tym, nim pojawiła się we Florencji. W mojej wcześniejszej powieści zatytułowanej Bramy templariuszy wyjaśniam, w jaki sposób doszło do przekazania tej pradawnej mądrości (przyp. aut.).

- I co? Bracie Augustynie, czy już rozumiecie? - pytanie Gozzolego wyrwało mnie z oszołomienia. - Wróżbita twierdzi, że sztuka może być stosowana jako broń!

W istocie. Następna część listu traktowała o potędze geometrii. Liczba, harmonia, dźwięk to elementy, które można zastosować w dziele sztuki po to, by wywierało dobroczynny wpływ na otoczenie. Pitagoras, jeden z Greków, obrońców Złotego Wieku, którym Cosimo był zachwycony, mówił, że „jedyni bogowie, których istnienia można dowieść, to liczby”.

Wróżbita wszystkich ich przeklinał.

- Broń - wyszczałem - broń, którą księżę il Moro próbuje ukryć w klasztorze Santa Maria delie Grazie.

- Otóż to! - Gozzoli był z siebie dumny. - Właśnie o tym pisze. Czyż to nie jest niesamowite?

Zaczynałem rozumieć, skąd to nagle zainteresowanie mistrza Torrianiego. Wiele lat temu, z powodu podobnych podejrzeń, nasz drogi generał potępił prace malarza Sandro Botticellego. Oskarżył go o użycie wyobrażeń inspirowanych pogańskimi kultami do zobrazowania dokonań Kościoła. Oskarżenie zawierało coś jeszcze. Dzięki informatorom z Betanii, Torriani wiedział, że w Villa di Castello, należącej do rodziny Medyceuszy, Botticelli przedstawił

nadejście wiosny za pomocą „magicznej” techniki. Tańczące nimfy były rozmieszczone na malowidle niczym elementy gigantycznego talizmanu. Później Torriani dowiedział się, że Lorenzo di Pierfrancesco, protektor Botticellego, prosił go o talizman przeciw starzeniu się. Tym magicznym środkiem był obraz. W istocie zawierał pełen traktat o tym, jak zapobiec przemijaniu, włącznie z połową olimpijskich bóstw, tańczących na przekór postępowi Chronosa.

I chcieli, aby takie dzieło było ozdobą florenckiej kaplicy i jeszcze uchodziło za po-bożne!

Nasz generał w porę odkrył nikczemny zamysł. Wskazówki dostarczyła mu jedna z nimf Wiosny, Chloris, przedstawiona z gałązką powoju w ustach. Był to bez wątpienia symbol „zielonego języka” alchemików, tropionych przez Święte Oficjum poszukiwaczy wiecznej młodości, przesiąkniętych fałszywymi ideami. Choć w Betanii nigdy nie udało nam się do końca odszyfrować tego zagadkowego języka, to wystarczył cię podejrzeń, by obraz nigdy już nie zawisł w żadnym kościele.

A teraz, jeśli Wróżbita miał rację, groziło nam, że ta sama historia powtórzy się w Mediolanie.

- Bracie Giovanni, powiedzcie mi jedno: wiecie, dlaczego mistrz Torriani prosił, abym zbadał tę wiadomość?

Mój asystent, który już zajął miejsce przy sąsiednim pulpicie i zajmował się teraz oglądaniem niedawno iluminowanej książki godziniek, zrobił zdziwioną minę:

- Jak to? Nie doczytaliście listu do końca?

Ponownie spojrzałem na list. W ostatnim akapicie Wróżbita pisał o śmierci Beatrice d'Este i o tym,

że jej odejście przyspieszy realizację magicznego planu księcia il Moro.

- Drogi Giovanni, nie widzę tu niczego szczególnego - wyznałem otwarcie.

- Nie dziwi was, że tak jasno wspomina o śmierci księżnej?

- A dlaczego miałoby mnie to dziwić?

Ojciec Gozzoli wyrzucił z siebie:

- Dlatego, że Wróżbita datował list na trzydziesty grudnia. I tego dnia go wysłał. Na dwa dni przed nieszczęśliwym pościem donny Beatrice.

- Zatem, mistrzu, przysięgacie, że ukryliście w tej ścianie tajemnicę?

Marco d'Oggiono ponownie spojrzął na malowidło, w zakłopotaniu skubiąc zarost.

Leonardo da Vinci uwielbiał takie zabawy. Gdy, jak właśnie owego dnia, dopisywał mu humor, w niczym nie przypominał sławnego malarza, wynalazcy, konstruktora instrumentów muzycznych i inżyniera, podziwianego przez połowę Italii ulubieńca księcia il Moro. Tamtego mroźnego poranka mistrz miał oczy psotnego dziecka. Świadom, że nie jest to po myśli zakonników, wykorzystał pełną napięcia ciszę panującą w Mediolanie po śmierci księżnej, i przybył do refektarza ojców dominikanów, by sprawdzić, jak prezentuje się jego dzieło.

Wspiął się właśnie na rusztowanie i jak młody chłopak radośnie przeskakiwał z jednego podestu na drugi - od apostoła do apostoła.

- Oczywiście, że jest tajemnica! - wykrzyknął. Jego zaraźliwy śmiech zadudnił pod sklepieniami klasztoru Santa Maria delie Grazie. - Wystarczy przyjrzeć się uważnie i pamię-

tać o liczbach. Trzeba liczyć! Liczyć! - zaśmiał się.

- Ale mistrzu...

- No dobrze. - Leonardo pokręcił głową z pobłażaniem. - Widzę, że tak łatwo tego nie pojmiesz. Weź do ręki Biblię, leży tam na dole, obok skrzynki z pędzlami, i przeczytaj rozdział trzynasty z Ewangelii Jana, od wersetu dwudziestego pierwszego. Być może tam znajdziesz wskazówkę.

Urodziwy Marco, jeden z młodych uczniów Toskańczyka, natychmiast zaczął rozglą-

dać się po refektarzu w poszukiwaniu Pisma Świętego. Biblia leżała na pulpicie w kącie obok drzwi. Wziął ją do ręki. Ważyła dobrych kilka funtów. Marco z wysiłkiem zaczął przewracać strony drukowanej w Wenecji księgi, oprawionej w czarną skórę z miedzianymi okuciami, aż trafił na Ewangelię Jana. Było to wspaniałe wydanie: wielkie, czarne gotyckie inicjały ozdobiono kwietnymi motywami.

- To powiedziawszy - zaczął czytać - Jezus doznał głębokiego wzruszenia i tak oświadczył: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Jeden z was Mnie zdradzi”. Spoglądali uczniowie jeden na drugiego niepewni, o kim mówi. Jeden z uczniów Jego - ten, którego Jezus miłował - spoczywał na jego piersi. Jemu to dał znak Szymon Piotr i rzekł do niego: „Kto to jest? O kim mówi?”\*

- Dosyć! - zagrzemiał Leonardo z góry. - Spójrz teraz tutaj i powiedz: nadal nie pojmujesz mojej tajemnicy?

Uczeń pokręcił głową. Marco wiedział dobrze, że mistrz przygotował jakiś podstęp.

- Messer Leonardo - powiedział z wyrzutem, a w jego głosie pobrzmiewało szczere rozczarowanie. -

Przecież wiem, że pracujecie nad tym fragmentem Ewangelii. Czytanie Biblii w niczym mi nie pomoże! Chcę poznać prawdę!

- Prawdę? Jaką prawdę, Marco?

- Po mieście krążą plotki, że ukończenie dzieła zabiera wam aż tyle czasu, bo chcecie w nim coś ukryć. Zrezygnowaliście z techniki al fresco na rzecz innej, nowszej, dzięki której macie więcej czasu. Powiem wam dlaczego: dzięki temu możecie lepiej przemyśleć to, co chcecie w tym dziele przekazać.

\* Wszystkie cytaty biblijne według Biblii Tysiąclecia, wydawnictwo Pallotinum, wyd.

VI, 1976.

Leonardo nawet nie mrugnął.

- Wszyscy wiedzą o waszym zamiłowaniu do tajemnic, mistrzu. I ja też chcę je wszystkie poznać! Już od trzech lat jestem przy was, rozrabiam farby, pomagam wam przy szkicach, noszę kartony. Chyba powinienem wiedzieć więcej niż pozostali, prawda?

- Tak, tak. Ale kto, jeśli można wiedzieć, rozpowszechnia te plotki?

- Jak to kto, mistrzu? Wszyscy! Nawet mnisi z tego świętego domu często zaczepiają waszych uczniów i wypytyują o różne rzeczy!

- I cóż takiego mówią? - rzucił coraz bardziej rozbawiony Leonardo.

- Że tych dwunastu to nie są prawdziwi apostołowie, tacy, jakich namalowałby brat Filippo Lippi czy Crivelli. Że są odbiciem dwunastu znaków zodiaku, że w ich gestach ukryli-

ście nuty jednej z tych partytur, jakie skomponowaliście dla księcia il Moro. Różne rzeczy opowiadają, mistrzu.

- A ty?

- Ja?

- Tak, tak, ty. - Twarz Leonarda ponownie rozjaśnił figlarny uśmiech. - Jesteś tak blisko mnie, całymi dniami pracujesz w tej cudownej sali. Do jakich wniosków ty sam doszedłeś?

Marco podniósł oczy i spojrzał na północną ścianę, na której Toskańczyk pędzlem z cienkiego włosia dokonywał drobnych poprawek. Na murze widniało najbardziej niezwykle przedstawienie Ostatniej Wieczery, jakie Marco kiedykolwiek widział. Jezus, we własnej osobie, znajdował się w samym centrum kompozycji. Miał smutne, melancholijne spojrzenie, rozłożył ręce i jakby kątem oka badał reakcje uczniów na to, co przed chwilą im wyjawiał.

Obok Jezusa zasiadał Jan, umiłowany uczeń, i słuchał Piotra, który szeptał mu coś do ucha.



Postaci były jak żywe. Niemal widać było ruch warg apostoła.

Lecz Jan nie spoczywał na piersi Mistrza, tak jak opisywała Ewangelia. Przeciwnie, wydawało się, że nigdy do tego nie doszło. Z drugiej strony Chrystusa stał Filip, olbrzym, z obiema dłońmi wzniesionymi ku własnej piersi. Zdawało się, że pyta Mesjasza: „A może to ja jestem zdrajcą, Panie?”. Jakub Starszy zaś wypinał pierś niczym strażnik, przysięgając do-zgonną wierność. Chłubił się: „Nikt cię nie skrzywdzi, dopóki ja będę w pobliżu”.

- I cóż, Marco? Nic nie mówisz...

- Nie wiem, mistrzu - wykrztusił uczeń. - W tym malowidle jest coś, co mnie niepokoi. Ono jest tak, tak...

- Tak...?

- Tak bliskie, tak ludzkie, że nie wiem, co powiedzieć.

- Dobrze! - pochwalił Leonardo, wycierając dłonie o fartuch. - Widzisz? Bez zbytniego wysiłku znalazłeś się o krok bliżej odkrycia mojej tajemnicy.

- Nie pojmuję was, mistrzu.

- I być może nigdy ci się to nie uda - uśmiechnął się Leonardo. - Ale słuchaj uważnie: wszystko w naturze skrywa jakąś tajemnicę. Ptaki ukrywają przed nami, w jaki sposób unoszą się w powietrzu, woda strzeże sekretu swojej niezwykłej siły... A jeśli malujemy tak, by obraz był odbiciem natury, to czyż nie powinniśmy zawrzeć w nim tej samej ogromnej ilości informacji? Zawsze gdy podziwiasz jakiś obraz, pamiętaj, że zgłębiasz najbardziej szlachetną spo-

śród sztuk. Nigdy nie pozostawaj na powierzchni: przedostań się do wnętrza sceny, poruszaj się wśród przedmiotów i postaci, poszczególnych elementów, odkrywaj geometrię, myszkuj w tle. W ten sposób odkryjesz prawdziwe znaczenie tego obrazu. Lecz ostrzegam: do tego potrzeba odwagi! Nierzadko to, co odkrywamy na takim malowidle ściennym jak to, które masz przed oczami, znacznie odbiega od tego, czego oczekiwaliśmy. No dobrze, na dziś wystarczy.

Brat Giovanni bezzwłocznie przeszedł do realizacji drugiej części misji powierzonej mu przez generała zakonu.

Po naszej rozmowie, w trakcie której pokazał mi ostatni list Wróżbity, zdążył opuścić Betanię przed zmierzchem, i udał się z powrotem do macierzystego domu naszego zakonu.

Torriani polecił mi wrócić i powiadomić go o mojej reakcji. Chciał zwłaszcza wiedzieć, co sędzę o pogłoskach na temat poważnych nieprawidłowości, do jakich doszło jakoby w trakcie prac nad nowym wystrojem klasztoru Santa Maria delie Grazie. Mój asystent miał przekazać Torrianiemu jasną i zwięzłą wiadomość: skoro wreszcie moje obawy zostały potraktowane poważnie, a także uznano, iż rewelacje Wróżbity mogą być prawdziwe, to należało odszukać tego informatora w Mediolanie i bezpośrednio od niego dowiedzieć się, jak daleko sięgają związane z klasztorem tajemne projekty księcia il Moro.

- Zwłaszcza - powiedziałem z naciskiem bratu Giovanniemu - należałoby uważnie przyjrzeć się pracom Leonarda da Vinci. W Betanii dysponujemy już dowodami na to, że wykazuje szczególne zamiłowanie do ukrywania heretyckich idei w na pozór pobożnych dzie-

łach. Leonardo przez wiele lat pracował we Florencji. Utrzymywał kontakty z potomkami Cosima Starszego, a spośród wszystkich pracujących w klasztorze artystów jemu właśnie najbliższe są idee księcia il Moro.

Gozzoli w sprawozdaniu dla mistrza Torrianiego zawarł jeszcze jedną niepokojącą mnie kwestię: nalegałem na rozpoczęcie śledztwa w sprawie śmierci donny Beatrice. Precyzyjna przepowiednia Wróżbity sugerowała istnienie jakiegoś złowrogięgo tajnego planu. Jego autorem mógł być książę Lodovico bądź jego perfidni doradcy, a celem - ustanowienie po-gańskiej republiki w samym sercu Italii. Z pozoru wydawało się, że nie ma to sensu. Po cóż książę miałby nakazać zamordowanie własnej żony, a także swego nienarodzonego syna?

Jednakże sposób myślenia adeptów sztuk tajemnych często bywał pokrętny i zagmatwany.

Nieraz słyszałem o tym, że przed rozpoczęciem wielkiego dzieła należało poświęcić jakąś dostojną osobę. Starożytni, ci barbarzyńcy z epoki Złotego Wieku, wielokroć tak czynili.

Przypuszczam, że moja determinacja wpłynęła pobudzająco na mistrza Torrianiego.

Mistrz powiadomił brata Gozzolego o swych zamiarach i następnego ranka, kiedy szron nadal pokrywał cały Rzym, porzucił swoje obowiązki w klasztorze Santa Maria sopra Minerva, gotów rozprawić się z tym problemem raz na zawsze.

Torriani, brnąc przez zaśnieżone drogi prowadzące z Wiecznego Miasta, wspiał się na mule aż do kwatery Betanii i natychmiast zażądał widzenia ze mną. Choć nigdy nie dowiedziałem się, jakimi słowami brat Gozzoli przedstawił moją opinię, to z pewnością udało mu się wywrzeć duże wrażenie na Torrianim. Po raz pierwszy widziałem naszego mistrza w takim stanie: pod szarymi oczami miał

worki, jego spojrzenie było zgaszone, zdawało się, że plecy uginają się pod ciężarem odpowiedzialności, która stopniowo tłumiła pogodę ducha i sprawiała, że nikł w oczach. Torriani, mentor, przewodnik i stary przyjaciel, ze śladami udrę-

ki na twarzy starał się sprostać wyzwaniu, dając z siebie wszystko, na co było go jeszcze stać.

Błysk w jego oku wskazywał, że dla niego jest to sprawa nie cierpiąca zwłoki. Ledwo mnie ujrzał na dziedzińcu Betanii, zapytał:

- Możecie przyjąć biednego sługę Bożego, przemoczonego i schorowanego?

Skłamałbym, mówiąc, że nie zdziwiłem się, widząc go o tak wczesnej porze. Wspiął

się na górę do naszej kwatery sam, bez świty, na habit miał narzuconą derkę, zaś sandały owinał wąskimi paskami króliczej skóry. Jeśli najwyższy zwierzchnik zakonu Świętego Dominika opuszczał w taki sposób nasz macierzysty dom i swoją trzodę oraz przemierzał całe miasto wśród szalejącej zamieci po to, by spotkać się z osobą odpowiedzialną za jego służby wywiadowcze, to sprawa musiała być niezwykle poważna. I choć jego zasepione oblicze wskazywa-

ło na potrzebę jak najszybszej rozmowy, nie miałem odwagi o nic zapytać.

Czekałem, aż zdejmie wierzchnie okrycie i wypije kieliszek grzanego wina, którym go poczęstowałem. Następnie przeszliśmy do mojego skromnego gabinetu. Było to ciasne i mroczne pomieszczenie wypełnione skrzyniami i manuskryptami, z którego okien widać było cały Rzym. Ledwo zamknęły się za nami drzwi, ojciec Torriani potwierdził moje obawy.

- Oczywiście przyjechałem tu z powodu tych przeklętych listów! - zawołał, unosząc siwe brwi. - I wy mnie pytacie, kto jest ich autorem? Akurat wy, ojcze Leyre?

Torriani wziął głęboki oddech. Wino miało dobroczynny wpływ na jego schorowany organizm, który powoli zaczął się rozgrzewać. Na zewnątrz, w dolinie, zawieja śnieżna przybrała na sile.

- Odnoszę wrażenie-mówił dalej-że nasz człowiek musi być kimś ze świty księcia. Je-

śli moje podejrzenia nie zostaną potwierdzone, to w drugiej kolejności obstawałbym za tym, że jest nim któryś z zakonników naszego nowego klasztoru. Ktoś, kto zna nasze zwyczaje i wie, do kogo powinny trafić jego listy. Jednakże...

- Jednakże?

- Widzicie, ojcze Leyre, odkąd przeczytałem list, któryście wczoraj widzieli, nie zmr-

zyłem oka. Tam na zewnątrz jest ktoś, kto przestrzega nas przed spiskiem wymierzonym w Kościół. Sprawa jest niezwykle poważna. Zwłaszcza jeśli, zgodnie z moimi obawami, nasz informator należy do wspólnoty klasztoru Santa Maria.

- A zatem sądzicie, ojcze, że Wróźbita jest dominikaninem?

- Jestem tego prawie pewien. Ta osoba zna sprawę od środka, jest świadkiem postęp-ków księcia il Moro, ale lękając się represji, nie ma odwagi otwarcie go oskarżyć.

- Przypuszczam, że już zbadaliście życiorysy tamtejszych mnichów w poszukiwaniu tego, o którego wam chodzi. Czy się mylę?

Torriani uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Wszystkie. Bez wyjątku. Większość mnichów pochodzi z zacnych lombardzkich rodzin. Ci zakonnicy są lojalni zarówno wobec księcia il Moro, jak i Kościoła. To ludzie nieskłonni do fantazjowania ani do spisków. Jednym słowem porządni dominikanie. Nie mam pojęcia, który z nich może być Wróżbitą.

- Jeśli w ogóle któryś z nich nim jest.

- Oczywiście.

- Wybaczcie, mistrzu Torriani, tę uwagę, lecz chciałbym wam przypomnieć, że Lombardia zawsze była ziemią heretyków.

Przemarznięty generał zakonu, nim odpowiedział, stłumił kichnięcie.

- To dawne dzieje, ojcze. Bardzo dawne. Od ponad dwustu lat nie ma na tych terenach ani śladu herezji katarów. To prawda, że ci nikczemnicy, którzy sprowokowali naszego ukochanego świętego Dominika do utworzenia Świętej Inkwizycji, ukryli się na tych ziemiach po krucjacie przeciw albigensom\*. Ale oni wszyscy wymarli, nim zdążyli kogokolwiek zarazić swoimi pomysłami.

\* W 1208 roku papież Innocenty III wydał rozkaz wykorzenia herezji katarów. W

tym celu utworzono armię, której zadaniem była eksterminacja odstępców z Langwedocji.

Przyjmuje się, że w roku 1244 w twierdzy Montsegur zginęli ostatni heretycy, choć nie spalili ich krzyżowcy. To oni sami rozniecili stos, na który weszli, gdy twierdza została zdobyta.

Wielu historyków przyznaje, że całe rodziny Dobrych uciekły do Lombardii (czyli w okolice Mediolanu) i przez długi czas zdołały przetrwać na tych terenach, gdzie, nie nękane prześladowaniami Rzymu, nadal kultywowały swoją wiarę (przyp. aut.).

- A jednak nie można wykluczyć, że ich bluźnierstwa głęboko zapadły w świadomość mediolańczyków. Przecież wiadomo, że są bardzo otwarci na heretyckie idee. Nic dziwnego, że książę, który wyrósł w takim środowisku, akceptuje pogańskie wierzenia. I zastanówmy się

- ciągnąłem - dlaczego wierny Rzymowi dominikanin miałby ukrywać swoją tożsamość, pisząc anonimy? Może dlatego, że sam był wcześniej wyznawcą herezji, z którą teraz postanowił walczyć?

- To niedorzeczne, ojcze Leyre! Wróżbita nie jest katarem. Przeciwnie: bardziej martwi się o zachowanie ortodoksji niż sam wielki inkwizytor z Carcassonne.

- Dziś o poranku, zanim tu przyjechaliście, raz jeszcze przeczytałem wszystkie listy tego osobnika. Wróżbita ma jasny cel: chce, abyśmy wysłali kogoś, kto powstrzyma realizację planów księcia il Moro. Tak jakby cała reszta projektów il Moro - place, kanały do żeglugi wewnątrz miasta, śluzy - w ogóle go nie obchodziły... A to potwierdza waszą hipotezę.

Torriani przytaknął z zadowoleniem.

- Jednakże - ośmieliłem się mu sprzeciwić - zanim podejmiemy jakieś działania, powinniśmy rozważyć, czy jego prośba nie kryje jakiejś pułapki.

- Jak to? Chcecie zostawić Wróżbitę samemu sobie, teraz, kiedy dostarczył nam takich dowodów? Przecież sami od dłuższego czasu ostrzegaliście przed odchyleniami doktrynalnymi zmarłej małżonki il Moro!

- W rzeczy samej. Ta rodzina jest przebiegła. Niełatwo będzie znaleźć argumenty na ich niekorzyść. Uważam, że powinniśmy działać z najwyższą ostrożnością, by ustrzec się przed błędnym krokiem.

- Nie, ojcze. Nie ma mowy. Ten człowiek, kimkolwiek jest, prosi nas o pomoc. Dłużej nie możemy zwlekać. Ponadto powinniście wiedzieć, że kardynał Ascanio, brat księcia, potwierdził wszystko o czym pisze Wróżbita w najdrobniejszych szczegółach. I wiercie mi, wszystko się zgadza.

- Wszystko... - powtórzyłem, starając się uporządkować myśli. - Wiecie, co najbardziej mnie w tym dziwi? Zmiana waszego nastawienia, mistrzu Torriani.

- Nic podobnego! - oburzył się. - Oddawałem listy Wróżbity do archiwum, ponieważ nie miałem dowodów na potwierdzenie jego oskarżeń. Przecież wiecie, ojcze Leyre, że gdybym ich nie brał pod uwagę, byłbym je zniszczył.

- Wobec tego, mistrzu, skoro nasz informator działa w imię prawdy i jest dominikaninem zatroskanym o przyszłość swojego nowego klasztoru, to jak sądzicie, dlaczego ukrywa swoją tożsamość?

Brat Gioacchino wzruszył ramionami i spojrzał na mnie z lekkim zakłopotaniem:

- Chciałbym to wiedzieć, ojcze Leyre. Mnie również to niepokoi. Im więcej czasu mija bez odpowiedzi na to i na inne pytania, tym bardziej martwi mnie ta sprawa. W dzisiejszych czasach nasz zakon działa na wielu frontach. Jeszcze jedna rana w łonie Kościoła doprowadziłaby do jego wykrwawienia. Dlatego nadeszła pora na działanie. Nie możemy dopu-

ścić do tego, by w Mediolanie powtórzyło się to, co dzieje się we Florencji. To by była prawdziwa klęska!

„Jeszcze jedna rana”. Nie byłem pewny, czy poruszyć ten temat, ale milczenie Torrianiego nie pozostawiło mi wyboru.

- Domyślam się, że macie na myśli ojca Savonarolę.

- A kogóż by innego? - Starzec wciągnął głęboko powietrze, po czym mówił dalej: -

Ojciec Święty stracił już cierpliwość i zamierza go ekskomunikować. Jego kazania na temat przepychu, jakim otacza się papież, są coraz ostrzejsze. Na domiar złego, spełniły się przepowiednie Savonaroli o upadku domu Medyceuszy. I teraz, wspierany przez tłumy, ogłasza, że Pan srogo ukarze Państwo Papieskie. Twierdzi, że Rzym musi cierpieniem odkupić swoje grzechy. Ten nikkczennik jeszcze się z tego cieszy. A wiecie, co jest najgorsze? Że każdego dnia przybywa mu zwolenników. Jeśli przypadkiem dojdzie do tego problem księcia il Moro, to nic już nie powstrzyma postępującego braku zaufania do naszego zakonu...

Zgnębiony, przeżegnałem się, rozmyślając o tragicznych perspektywach, jakie zarysował przede mną generał zakonu.

Cały Rzym wiedział, że Girolamo Savonarola przysparzał Torrianiemu ogromnych problemów. Był na ustach wszystkich. Ten dominikanin, uwodzący tłumy mistrz słowa, świetny znawca Apokalipsy, wypełnił pustkę po Medyceuszach, ustanawiając we Florencji republikę teokratyczną. Ze swej kazalnicy zaciekle atakował ekscesy, których dopuszczał się Aleksander VI. Savonarola był albo szalony, albo - co gorsza - zuchwały. Zwierzchnicy przywoływali go do porządku, lecz on nie dawał im posłuchu i świadomie ignorował prawo kanoniczne. Nic sobie nie robił z Dictatus Papae, który nie dopuszczał możliwości popełnienia błę-

du przez papieża, i za nic miał nawet dziewiętnastą sentencję tego dokumentu („Nikt nie może osądzać papieża”). Krzyczał z ambony, że w imię Boga należy papieża powstrzymać.

Nasz mistrz był bliski desperacji. Nie dość, że nie potrafił okiełznać żądzy sławy tego egzaltowanego dominikanina, to na dodatek postawa Savonaroli kompromitowała w oczach Jego Świątobliwości cały nasz zakon. Buntownik, dumny niczym Samson wobec Filistynów, najpierw odrzucił kapelusz kardynalski, który proponowano mu z nadzieją, iż w ten sposób uda się go uciszyć, a następnie odmówił opuszczenia ambony florenckiego kościoła Świętego Marka, uzasadniając to tym, iż Bóg powierzył mu szczególną misję. I to właśnie było przyczyną, dla której ojciec Torriani nie chciał, aby kwestionowano lojalność mediolańskich kaznodziejów Świętego Dominika. Jeśli Wróżbita był dominikaninem, a jego podejrzenia co do pogańskich zamysłów księcia il Moro wobec naszego nowego domu były słuszne, to nasz zakon znów znalazłby się w opałach.

- Podjąłem decyzję, bracie - oświadczył z powagą mistrz po chwili namysłu. - Prowa-dzone w klasztorze Santa Maria delie Grazie prace nie mogą budzić cienia wątpliwości. Jeśli okaże się to konieczne, sięgniemy nawet po środki, które przysługują Świętemu Oficjum.

- Pater! Chyba nie zamierzacie postawić przed sądem księcia il Moro? - spytałem, po-ważnie zaniepokojony.

- Tylko jeśli będzie to konieczne. Wiecie aż nazbyt dobrze, że nic nie sprawia takiej satysfakcji świeckim władcom, jak odkrywanie słabych punktów Kościoła i wykorzystywanie ich przeciwko nam. To zmusza nas do uprzedzania ich ruchów. Kolejny skandal, taki jak ten z Savonarolą, a nasz dom w Państwie Papieskim zostanie do reszty sponiewierany. Rozumiecie?

- A jak wyobrażacie sobie, jeśli wolno spytać, dotarcie do Wróżbity, potwierdzenie jego oskarżeń i zebranie dowodów?

- Wiele o tym myślałem, mój drogi ojciec Augustynie - odparł brat Gioacchino z tajemniczą miną. - Wiedziecie lepiej ode mnie, że gdybym wysłał jednego z naszych inkwizytorów w nieodpowiednim momencie, to trybunał w Mediolanie zadałby zbyt wiele pytań. A wówczas niezbędna dyskrecja nie zostałaby zachowana. Jeśli mamy do czynienia ze spiskiem o tak dużym zasięgu, to wszelkie dowody zostałyby zawczasu ukryte przez współników księcia il Moro.

- A zatem?

Torriani otworzył drzwi gabinetu i zaczął schodzić po schodach. Podążyłem za nim.

Na dziedzińcu stajennym odszukał swojego muła. Najwyraźniej uznał tę nieoczekiwaną wizytę za zakończoną. Na zewnątrz nadal szalała zamieć.

- Powiedzcie, co zamierzacie? - powtórzyłem.

- Il Moro zapowiedział, że uroczysty pogrzeb księżnej rozpocznie się za dziesięć dni -

powiedział wreszcie. - W Mediolanie zjawią się wówczas delegacje i poselstwa z różnych stron świata.

To dobra okazja, by niepostrzeżenie dostać się do klasztoru Santa Maria delie Grazie, przeprowadzić stosowne dochodzenie i zidentyfikować Wróżbitę. Jednakże - dodał - nie mo-

żemy wysłać byle kogo. Musi być to ktoś wykazujący się zdrowym rozsądkiem, posiadający wiedzę z zakresu prawa, znawca herezji i tajnych szyfrów. Jego misją będzie odnalezienie Wróżbity, potwierdzenie po kolei wszystkich wysuwanych przez niego oskarżeń i powstrzymanie herezji. Musi być to ktoś z tego domu. Z Betanii.

Mistrz spojrzał nieufnym wzrokiem na wijącą się w dole drogę, którą miał zaraz ruszyć. Przy odrobinie szczęścia mogło mu to zająć godzinę. Jeśli nie zostanie poturbowany za sprawą swojego muła, który może poślizgnąć się na lodzie, to będzie miał szansę znaleźć się w swojej siedzibie już w samo południe.

- Człowiekiem, którego potrzebujemy - powiedział tak, jakby miał oznajmić coś niezwykle ważnego - jesteście wy, ojciec Leyre. Nikt inny nie rozwiąże tej sprawy.

- Ja? - spytałem, nie kryjąc zaniepokojenia. Wymówił moje nazwisko z niekłamaną satysfakcją, równocześnie szukając czegoś w przytroczonych do siodła sakwach. - Przecież wiecie, że mam swoje zajęcia, obowiązki...

- Nie ma nic ważniejszego od tej sprawy!

Wyciągnął gruby plik opatrzonych jego pieczęcią papierów i wręczył mi je, wypowiadając ostatni rozkaz:

- Wyruszycie czym prędzej do Mediolanu. Jeśli to możliwe, nawet dziś. A to - spojrzał

na plik papierów, który trzymałem w ręku - pomoże wam ustalić tożsamość naszego informatora. Sprawdzicie, na ile to nowe zagrożenie jest realne, i postaracie się mu zapobiec.

Mistrz wskazał pergamin leżący na samym wierzchu pliku dokumentów. Wypisano na nim czerwonym atramentem, wielkimi literami zagadkę, która skrywała imię naszego informatora. Widziałem te słowa wiele razy, Wróżbita umieszczał je na końcu każdego listu, lecz aż do tej chwili nigdy nie wczytałem się w nie uważnie.

Kiedy spojrzałem na te siedem linijek, poczułem, że oczy zachodzą mi mgłą - przeczuwałem już, że od tej chwili będą spędzać mi sen z powiek.

Tekst brzmiał:

Oculos ejus dinumera sed noli voltum ddspicere.

In latere nominis mei notam rinvenies.

Contemplari et contemplata aliis tradere.

Veritas \*

\* Oculos... (łac.) - Policz oczy, lecz nie spoglądaj w oblicze. Z boku znajdziesz liczbę mojego imienia. Kontemplować, a owoc kontemplacji przekazać innym. Prawda (przyp. aut.).



Oczywiście, usłuchałem rozkazu. Cóż innego mogłem uczynić?

Przybyłem do Mediolanu w sobotę, dzień po nocy Trzech Króli. Był to jeden z tych poranków, kiedy blask śniegu oślepia, a mroźne i czyste powietrze bezlitośnie wdziera się w płuca. Jechałem wierzchem bez wytchnienia, by jak najszybciej dotrzeć do celu. Spałem po trzy, cztery godziny w odrażających zajazdach, zeszywniały z zimna i przemoczony do suchej nitki. Ta trzydniowa podróż w środku zimy dała mi się bardziej we znaki niż jakakolwiek inna. Lecz teraz byłem gotów o tym wszystkim zapomnieć. U moich stóp rozciągał się Mediolan, stolica Lombardii, miejsce, gdzie rozgrywały się pałacowe intrygi i spory terytorialne z Francją i z sąsiednimi księstwami, które wcześniej były przedmiotem moich wnikliwych badań.

To miejsce robiło imponujące wrażenie. Miasto Sforzów, największe na południe od Alp, było dwukrotnie większe od Rzymu. Prowadziło do niego osiem wielkich bram, osadzonych w otaczających miasto potężnych murach. Mediolan zbudowano na planie owalnym. Z

lotu ptaka musiało zapewne wyglądać niczym tarcza olbrzymiego wojownika. Ale nie mury obronne wywarły na mnie największe wrażenie, lecz to, że miasto było nowoczesne, czyste i niezwykle uporządkowane. Mieszkańcy nie sikali na każdym rogu, tak jak w Rzymie, a nierządnicę nie nagabywały podróżnych, oferując im swoje wdzięki. W tym mieście każdy zaułek, dom czy budynek publiczny zdawał się przeznaczony do wyższych celów. Nawet dumna mediolańska katedra, o kruchej kościstej konstrukcji, będąca całkowitym przeciwieństwem masywnych brył kościołów włoskiego Południa, zdawała się wywierać dobroczynny wpływ na całą dolinę. Mediolan, widziany z otaczających go wzgórz, zdawał się ostatnim miejscem na świecie, w którym mogłyby zakorzenieć się nieporządek i grzech.

Na drodze prowadzącej do Porta Ticinese, najszlachetniejszego wjazdu do miasta, pewien uprzejmy kupiec zaoferował mi swoje towarzystwo aż do Wieży Filaretego, głównego wjazdu do twierdzy il Moro. Zamek Sforzów, znajdujący się na jednym z brzegów owalnej tarczy miasta, zdawał się miniaturą potężnych murów miejskich. Kupiec na widok mojej zaskoczonyj miny zaśmiał się. Powiedział, że jest garbarzem z Cremony, porządnym katolikiem, i z przyjemnością będzie mi towarzyszyć aż do środka twierdzy w zamian za błogosławieństwo dla niego i jego rodziny. Przystałem na tę propozycję.

Zacny człowiek opuścił mnie przed bramą zamku tuż przed wybiciem trzeciej po po-

łudniu. To miejsce było o wiele wspanialsze, niż przypuszczałem. Z blank murów zwisały chorągwie z przerażającym herbem Sforzów - ogromnym wężem pożerającym człowieka. Na wietrze powiewały błękitne szarfy, a pół tuzina olbrzymich kominów, znajdujących się gdzieś wewnątrz fortecy, wyrzucało z siebie chmury czarnego gęstego dymu. Do Wieży Filaretego prowadziła przerażająca opuszczana krata i dwie pary okutych brązem drzwi. Pilnowało ich co najmniej piętnastu ludzi. Pikami nakłuwali worki ze zbożem, które powożący dwukołowymi wozami chcieli dowieźć jak najbliżej zanikowych kuchni.

Jeden z tych przyodzianych w liberię strażników wskazał mi drogę. Miałem skierować się ku

zachodniej ścianie wieży, znajdującej się już wewnątrz fortecy, i spytać o pokój recepcyjny, a także o

„gabinet żałoby”, który przygotowano specjalnie, by przyjmować delegacje przybywające na uroczystości pogrzebowe donny Beatrice. Mój cicerone z Cremony już mnie uprzedził, że całe miasto jest pogrążone w żałobie, W istocie, jak zauważyłem, nie działo się w nim zbyt wiele. Zdziwiło mnie, że sekretarz il Moro, rosty dworzanin, zjawił się niemal natychmiast. Prosił o wybaczenie, że nie może zaprowadzić sługi bożego przed oblicze swego pana.

Pomimo to z dość sceptyczną miną przeczytał list, który mu wręczyłem, sprawdził autentyczność papieskiej pieczęci, po czym oddał mi go z gestem wyrażającym bezradność.

- Ubolewam nad tym, ojcze Leyre. - Marchesino Stanga, tak się bowiem nazywał, to-nął w morzu przeprosin i tłumaczeń. - Proszę o wyrozumiałość, mój pan od śmierci swej mał-

żonki nie przyjmuje żadnych wizyt. To bardzo trudny moment. Księżę potrzebuje teraz samotności.

- Oczywiście - przyznałem z udawaną uprzejmością.

- Jednakże - dodał - gdy tylko minie okres żałoby, powiadomię go o waszej obecności w mieście.

Wiele bym dał za to, by spojrzeć w oczy księcia il Moro i wywnioskować, jak to już tyle razy czyniłem w trakcie licznych przesłuchań, czy kryje się w nich złowrogi cień herezji lub innego występku. Lecz ten dworak, wystrojony w szkarłatną, obszytą futrem czapkę oraz aksamitny kaftan, wyraźnie zdecydowany był mi w tym przeszkodzić. Złośliwie, z nieskrywaną wyższością oznajmił:

- Nie możemy również, jak to mamy w zwyczaju, udzielić wam gościny. Teraz nie przyjmujemy na zamku gości. Błagam was, ojcze, byście modlili się za duszę donny Beatrice i powrócili po jej pogrzebie. Wówczas przyjmiemy was z wszelkimi należnymi honorami.

- Requiescat in pace - wymamrotałem i przeżegnałem się. - Tak też uczynię. Będę się modlić również i za was.

Miałem dziwne odczucia. Zostałem pozbawiony możliwości zamieszkania w pobliżu księcia i jego rodziny. Tym samym udaremnił mój pierwotny zamiar pomyszkowania z mniejszą lub większą swobodą po zamku, co oznaczało, że wstępne dochodzenie ulegnie opóźnieniu. Musiałem znaleźć dyskretne lokum, w którym miałbym odpowiednie warunki do pracy. Dokumenty wręczone mi przez Torrianiego nie dawały mi spokoju. Potrzebowałem ciszy, trzech ciepłych posiłków dziennie i sporej dozy szczęścia, by rozszyfrować ukryte w nich tajemnice. Mnichowi nie godziło się zamieszkać wśród świeckich, zatem szybko doszedłem do wniosku, że mam tylko dwie możliwości. Albo zatrzymam się w starym klasztorze Świętego Eustachego, albo w nowym - Santa Maria delie Grazie. Możliwość spotkania Wróżbity w tym drugim przypadku dodatkowo poruszała moją wyobraźnię. Kiedy już znajdę dach nad głową, będę miał czas, by zagłębić się w badaniach nad powierzoną mi przez mistrza Torrianiego zagadką.

Przyznaję, że Opatrzność dobrze wykonała swoje zadanie. Wkrótce okazało się, że Święty Eustachy

byłby najgorszym wyborem. Znajdował się w pobliżu katedry, tuż obok tar-gowiska, i zazwyczaj pełno w nim było ciekawskich, którzy zaraz zaczęliby wypytywać, cóż to za sprawy zatrzymują tutaj rzymskiego inkwizytora. Choć, gdybym się w nim zatrzymał, mógłbym z bezpiecznego dystansu ocenić postępowanie Wróźbity. Zarazem uniknąłbym przypadkowego spotkania z nim twarzą w twarz, zanim ustalę jego tożsamość. Pomimo to by-

łem świadom, że klasztor Świętego Eustachego miał z mojego punktu widzenia więcej wad niż zalet.

Co się zaś tyczy drugiej możliwości, klasztoru Santa Maria delie Grazie, poza tym, że stanowił domniemane schronienie poszukiwanej przeze mnie osoby, miał jedną drobną, choć dającą się znieść wadę. Mianowicie tam właśnie, w obecności tłumów, miały zostać odpra-wione egzekwie przy trumnie donny Beatrice. Kościół klasztorny, niedawno przebudowany przez Bramantego, miał wkrótce znaleźć się w samym centrum uwagi.

W zamian za to klasztor dysponował wszystkim, czego mogłem potrzebować. W dobrze zaopatrzonej bibliotece, którą umieszczono na drugim piętrze budynku, przylegającego do miejsca zwanego tu Dziedzińcem Umarłych, znajdowały się dzieła Swetoniusza, Filostrata, Plotyna, Ksenofonta, a nawet niektóre pisma samego Platona, które dotarły tu za czasów Cosima Starszego. Klasztor położony był w pobliżu zamku księcia, niedaleko Porta Vercellina. Miał dobrą kuchnię, słynącą z wyśmienitych wypieków, studnię, ogród warzywny, szwal-nię i szpital. Lecz wszystkie te zalety były niczym w porównaniu z jedną: jeśli mistrz Torriani się nie mylił, to być może Wróźbita, spotkawszy mnie w jednym z licznych korytarzy, sam wyjawi swoją tożsamość, oszczędzając mi trudu rozwiązywania zagadek.

Byłem naiwny.

Pomijając tę jedną kwestię, Opatrzność dobrze wywiązała się ze swych zadań. W

klasztorze Santa Maria delie Grazie była akurat wolna jedna cela, którą natychmiast mi przy-dzielono. Była to kłitka o wymiarach trzy kroki na dwa, z prostym łóżem z desek, bez matera-ca i z małym stolikiem ustawionym pod okienkiem, wychodzącym na ulicę o nazwie Magenta. Bracia o nic mnie nie pytali. Podobnie jak sekretarz Stanga, nieufnie sprawdzili moje listy uwierzytelniające. Uspokoili się dopiero, gdy zapewniłem, że przybyłem do ich domu w poszukiwaniu spokoju dla mego zgębnionego ducha. „Nawet inkwizytor potrzebuje czasem samotności i skupienia”, wytłumaczyłem im. I zrozumieli.

Postawili tylko jeden warunek. Zakrystian, mnich o wyłupiastych oczach i obcym ak-cencie, ostrzegł mnie niezwykle poważnym tonem:

- Nigdy nie wchodzić bez pozwolenia do refektarza. Mistrz Leonardo nie życzy sobie, by ktokolwiek przeszkadzał mu w pracy. Przeor zaś we wszystkim stara się go zadowolić.

Rozumiecie?

Skinąłem głową.

Od razu udałem się do klasztornej biblioteki. Byłem jej bardzo ciekaw. Znajdowała się nad osławionym refektarzem, do którego dostęp, jak się teraz na dodatek okazało, był ograniczony. A refektarz, zdaniem Wróżbity, stanowił centrum wszelkiego zła. Biblioteka zajmowa-

ła przestronne pomieszczenie o prostokątnych oknach. Ustawiono w niej tuzin małych pulpitów do czytania i jeden duży dla bibliotekarza. Z tyłu za pulpitem znajdowały się masywne drzwi z zamkiem, za którymi przechowywano książki. Moją uwagę przyciągnął zwłaszcza system ogrzewania: kocioł parowy zainstalowany piętro niżej rozprowadzał parę za pośrednictwem systemu miedzianych rur, które ogrzewały kamienne płyty posadzki.

- To nie z uwagi na czytelników - pośpieszył z wyjaśnieniem mnich odpowiedzialny za to miejsce, gdy zauważył, że baczenie przyglądam się temu genialnemu mechanizmowi -

lecz ze względu na książki. Przechowujemy tu zbyt cenne egzemplarze. Nie możemy pozwolić, by zniszczył je mróz.

Zdaje się, że brat Alessandro, strażnik i opiekun tej sali, był pierwszym mnichem, któ-

ry nie patrzył na mnie podejrzliwie. W jego spojrzeniu widać raczej było nieskrywane zaciekawienie. Wysoki, kościsty, o bardzo jasnej karnacji i wytwornych manierach, zdawał się zachwycony widokiem nowej twarzy w swoim królestwie.

- Nie mamy tu zbyt wielu gości - przyznał. - Zwłaszcza z Rzymu!

- Och... Już wiecie, że przybyłem tu z Rzymu?

- Wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy. Wspólnota Santa Maria delie Grazie nadal jest bardzo mała. Przypuszczam, że o tej porze wszyscy już wiedzą, że do naszego domu zawitał inkwizytor.

Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

- Nie sprowadza mnie tu oficjalna misja - skłamałem - lecz sprawy osobiste.

- To bez znaczenia! Inkwizytorzy to ludzie nauki. A tu prawie każdy mnich ma trudności z czytaniem i pisaniem. Jeśli zabawicie wśród nas dłużej, z pewnością wejdziemy w ko-mitywę.

Po chwili dodał:

- To prawda, że w Rzymie pracujecie w Sekretariacie Szyfrów?

- Tak... - przyznałem z wahaniem.

- Wspaniale, ojcze. Wspaniale. Na pewno będziemy mieli o czym rozmawiać. Wybraliście najlepsze z możliwych miejsc, by spędzić kilka dni odpoczynku.

Alessandro zrobił na mnie dobre wrażenie. Zbliżał się do pięćdziesiątki. Miał haczykowaty nos, którego wcale się nie wstydził, najbardziej spiczastą brodę, jaką kiedykolwiek widziałem, oraz wyraźnie sterczącą grdykę, która bezustannie poruszała się w dół i w górę.

Na pulpicie spoczywały grube szkła, których zapewne używał, aby powiększyć litery, zaś rę-

kawy jego habitu znaczyły plamy atramentu. Nie powiem, żebym od razu wyzbył się wobec niego wszelkich podejrzeń, dlatego starałem się nie wpatrywać w niego zbyt intensywnie, by nie ulec fascynacji tą niezwykle wąską twarzą. Przyznać jednak muszę, że natychmiast nawią-

zała się między nami nić szczerej sympatii. To Alessandro dbał o to, by moje podstawowe potrzeby zostały zaspokojone. zaproponował, że oprowadzi mnie po tym wspaniałym miejscu, w którym wszystko zdawało się nowe, a także obiecał, że będzie czuwać nad tym, bym mógł

w spokoju skupić się na pracy.

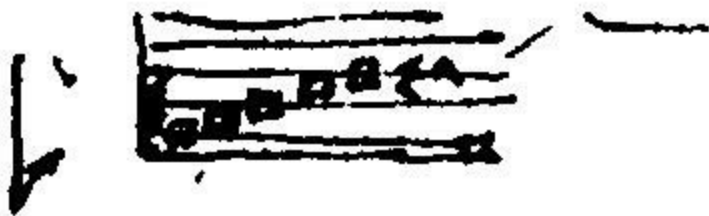
- Gdyby inni poszli za waszym przykładem i zaczęli przyjeżdżać do naszego domu, by zająć się nauką - westchnął rozgadany zakonnik-to moglibyśmy nasz klasztor przekształcić w Studium Generale\* na wzór rzymskiego i kto wie, może nawet w uniwersytet...

- To bracia tu nie przybywają, by zająć się księgami?

- Bardzo niewiele, biorąc pod uwagę, ile to miejsce ma do zaoferowania. Biblioteka, choć zapewne wydaje wam się skromna, posiada najwspanialszy w całym księstwie zbiór starożytnych tekstów.

- Doprawdy?

- Wybaczcie, jeśli grzeszę brakiem skromności, lecz pracuję tu już od dawna. Być może dla kogoś takiego jak wy ta biblioteka nie jest niczym szczególnym w porównaniu z Bi-bliotheca Vaticana, lecz wiercie mi, zgromadziliśmy tu dzieła, o których papieskim bibliote-karzom nawet się nie śniło...



- W takim razie możliwość zapoznania się z nimi będzie dla mnie zaszczytem.

Brat Alessandro pochylił głowę w podzięce za wygłoszoną przeze mnie pochwałę i zaczął szukać czegoś wśród swoich papierów.

- Zanim to się stanie, mam do was prośbę - zaśmiał się przez zaciśnięte zęby. - W istocie spadliście mi z nieba. Dla kogoś, kto na co dzień odczytuje wiadomości dla Sekretariatu Szyfrów, ta zagadka będzie jak bułka z masłem.

\* W dominikańskich ośrodkach kształcenia wykładano teologię oraz prowadzono nauczanie w zakresie zarówno teologii jak i uniwersyteckich scholastycznych studiów wstępnych czy siedmiu sztuk wyzwolonych (Artes Liberales), obejmujących Trivium (gramatyka, retoryka, dialektyka, czyli logika) oraz Quadrivium (arytmetyka, geometria, astronomia i muzyka) (przyp. aut.).

Dominikanin podał mi kawałek papieru z jakimiś gryzmołami. Był to prosty rysunek.

Niedbale przedstawiona gama przerwana jednym tylko zapisem („za”), który był nie na miejscu, i czymś w rodzaju haczyka. Wyglądało to tak:

- I co? - spytał niecierpliwie. - Rozumiecie to? Już od trzech dni głowię się nad tym.

- A co miałyby to przedstawiać?

- Zdanie w dialekcie rzymskim.

Przyglądałem się rebusowi, nie mając najmniejszego pojęcia, co też może znaczyć. Na pierwszy rzut oka było widać, że kluczem do jej rozwiązania jest to „za”), którego w ogóle nie powinno być w tym miejscu. Pod rzeczami znajdującymi się nie w tym miejscu, co trzeba, zawsze coś się kryło. A co wobec tego oznaczał haczyk? Uporządkowałem w myślach wszystkie elementy, odczytałem nuty, po czym roześmiałem się, rozbawiony.

- Rzeczywiście to jest zdanie - powiedziałem wreszcie. - I to bardzo proste.

- Proste?

- Wystarczy umieć czytać, bracie Alessandrze. Spójrzcie: jeśli zaczniecie od przetłumaczenia haczyka na dialekt rzymski, to otrzymacie słowo „amo”), dalej to już bardzo proste.

- Nie rozumiem...

- To łatwe. Przeczytajcie „amo”), a następnie nuty.

Zakonnik z powątpiewaniem przesuwiał palcem po rysunku.

- L'amo... re... mi... fa... sol... la... „za”)... re... L'amore mi fa sollazare!\*... - podskoczył z wrażenia. - Co za kuglarz z tego Leonarda! Niech ja go tylko zobaczę! To tak się zabawia nutami... Maledetto\*\*.

\* L'amore ... (wł.) - Miłość sprawia mi przyjemność (przyp. aut.).

\*\* Maledetto (wł.) - przeklęty.

- Leonardo?

Na dźwięk tego imienia powróciłem do rzeczywistości. Przyszedłem do biblioteki w poszukiwaniu schronienia, w którym mógłbym w spokoju zająć się odszyfrowaniem zagadki Wróżbity. Klucz do niej, o ile się nie myliliśmy, był dość blisko związany z Leonardem, refektarzem, do którego wstęp

był zakazany, i powstającym na jego murze malowidłem.

- Och! - wykrzyknął bibliotekarz, którego nie opuszczała euforia wywołana rozwiązaniem rebusu. - Jeszcze go nie poznaliście?

Pokręciłem głową.

- Uwielbia zagadki. Co tydzień przygotowuje dla nas nowe wyzwanie. Ta należała do najtrudniejszych...

- Leonardo da Vinci?

- Któż by inny?

- Sądziłem... - zacząłem z powątpiewaniem - że nie rozmawia zbyt wiele z zakonnikami.

- Tylko wtedy, kiedy pracuje. Ale mieszka niedaleko i często zagląda, żeby sprawdzić, jak się prezentuje jego dzieło. Zatrzymuje się na krużgankach i żartuje z nami. Uwielbia wieloznaczność, igraszki słowne i stale zabawia nas swoimi żartami.

„Wieloznaczność”.

Mnie wcale to nie rozbawiło. Przeciwnie, byłem strapiiony. Przyjechałem tu, by odcyfrować wiadomość, która wystawiła na pośmiewisko wszystkich analityków z Betanii. Od zgłębienia tajemnicy tego tekstu, który niewiele miał wspólnego z tym figlarnym, ukrytym przez Leonarda w pięcioliniu zdaniem, zależało wiele spraw najwyższej wagi. Jak mogłem tracić czas na błahe pogaduszki?

- Przynajmniej - powiedziałem na zakończenie - wasz przyjaciel Leonardo i ja mamy coś wspólnego: obaj lubimy pracować w samotności. Czy moglibyście przydzielić mi pulpit i zadbać o to, by nikt mi nie przeszkadzał?

Brat Alessandro zrozumiał, że nie jest to prośba. Z jego kanciastej twarzy zniknął

uśmiech. Posłusznie przytaknął.

- Zostańcie tu. Nikt nie przeszkodzi wam w pracy.

Tego popołudnia bibliotekarz dotrzymał słowa. Godziny spędzone nad siedmioma po-wierzonymi mi przez mistrza Torrianiego wersetami należały do najbardziej samotnych spo-

śród wszystkich, które spędziłem w Mediolanie. Wiedziałem, że to zadanie wymaga dużo większej koncentracji niż wszystkie inne, z jakimi się wcześniej zmierzyłem. Ponownie przeczytałem wersety:

Oculos ejus dinumera, sed noli voltum ddspicere.

In latere nominis mei notam rinvenies.

Contemplari et contemplata aliis iradere.

Veritas

Wszystko było kwestią cierpliwości.

Zgodnie z naukami, jakie pobierałem w Betanii, zastosowałem przy tej łamigłówce technikę godnego podziwu ojca Leona Battisty Albertiego. Ojciec Alberti byłby zachwycony stojącym przede mną wyzwaniem: nie tylko miałem wydobyć ze zwykłego tekstu ukrytą wiadomość, lecz jeszcze dotrzeć za jej pomocą do tajemnicy ukrytej w dziele sztuki. Ojciec Alberti jako pierwszy w sposób naukowy pisał o perspektywie, był miłośnikiem sztuki, poetą, filozofem, skomponował pieśń żałobną ku czci swego psa, a nawet zaprojektował fontannę di Trevi w Rzymie. Nasz podziwiany doktor, którego Bóg przedwcześnie wezwał przed swe oblicze, mawiał, że rodzaj i pochodzenie zagadki są bez znaczenia: zawsze należy zacząć od tego, co oczywiste, a następnie przejść do tego, co ukryte. A więc najpierw należy wyróżnić to, co jest widoczne, takie „za”, a dopiero później doszukiwać się ukrytego znaczenia. Sformułował również jeszcze jedną użyteczną zasadę: zagadki zawsze należy rozwiązywać bez pośpiechu, skupiając się na najdrobniejszych szczegółach i pozwalając, by zapadły nam w pa-mięć.

W tym szczególnym przypadku, tym co aż nadto oczywiste był fakt, iż wersety skrywały w sobie imię. Torriani miał pewność, ja zaś, w miarę jak wczytywałem się w tekst, również nabierałem takiego przeświadczenia. Obaj byliśmy zdania, że Wróżbita celowo wskazał

trop po to, by Sekretariat Szyfrów mógł ustalić jego tożsamość i nawiązać z nim kontakt. Powinien zatem istnieć taki sposób odczytania tekstu, aby ostateczne rozwiązanie nie budziło żadnych wątpliwości. Nasz anonimowy informator sprawiał wrażenie kogoś niezwykle ostrożnego. Jeśli w istocie takim był, to jedynie oczy wytrawnego badacza mogły go wytro-pić.

W całym tym galimatiasie moją uwagę zwróciło jeszcze jedno: cyfra siedem. Liczby są zazwyczaj bardzo ważne w tego rodzaju szaradach. Wiersz składał się z siedmiu wersetów.

Jego dziwny nieregularny układ musiał na coś wskazywać. Podobnie jak haczyk w rebusie Leonarda. A jeśli tym czymś była tożsamość osoby, której szukałem, to tekst mówił, iż ustalę ją wyłącznie dzięki policzeniu oczu kogoś, komu nie mogę spojrzeć w twarz. Jednak ten para-doks sprawił, że stanąłem bezradnie w miejscu. Jak miałem policzyć czyjeś oczy, nie patrząc w jego oblicze?

Tekst wciąż stawiał opór. Co oznaczała tajemnicza aluzja do oczu? Może chodziło o coś takiego jak siedem oczu Jahwe, o których pisał prorok Zachariasz\*, a może o siedem ro-gów i siedem oczu zabitego baranka z Apokalipsy\*\*?

\* Księga Zachariasza 4, 10 (przyp. aut.).

\*\* Apokalipsa św. Jana 5, 6 (przyp. aut.).

A jeśli tak było, to jakie imię mogło ukrywać się w liczbie? Środkowe zdanie było dość wymowne: „na boku znajdziesz liczbę mojego imienia”. Liczbę? Jaką liczbę? Może siedem? Czy chodzi o



liczebnik główny czy porządkowy? Na przykład jak w imieniu antypapie-

za Klemensa VII z Awinionu? Tę możliwość natychmiast odrzuciłem. Mało prawdopodobne, by nasz anonimowy skryba był kimś, kto zasłużył na liczbę towarzyszącą imieniu. Zatem co dalej? I jak miałem interpretować dziwny błąd, który odkryłem w czwartym wersecie? Dlaczego ten, kto zaszyfrował wiadomość, napisał *rinvenies* zamiast *invenies*?

Osobliwości nakładały się jedna na drugą.

Po pierwszym dniu pracy w konwencie Santa Maria delie Grazie utwierdziłem się tylko w jednym: ostatnie słowa „podpisu” były z całą pewnością formułą, którą mógł posłużyć się tylko dominikanin. Instynkt nie zawiódł Torrianiego. *Contemplari et contemplata aliis tradere* to słynne zdanie świętego Tomasza z Akwinu z jego *Summa Theologiae*, stanowiło najbardziej znaną dewizę naszego zakonu. Znaczyło: „Kontemplować, a owoc kontemplacji przekazać innym”. Zaś ostatnie słowo *veritas*, czyli „prawda” również było powszechnie stosowaną dewizą dominikanów, umieszczoną na naszym godle. Nigdy jednak nie widziałem tych dwóch sformułowań razem. Czytane jednym tchem zdawały się mówić, że aby dotrzeć do prawdy, należy być czujnym. Była to zresztą całkiem dobra rada. Ojciec Alberti z pewno-

ścią by ją pochwalił.

Lecz co oznaczały dwa pierwsze zdania? Jakież to imię bądź przesłanie zawierały?

- Słyszeliście o nowym gościu konwentu Santa Maria?

Ostatnie godziny przed zmierzchem Leonardo poświęcał zazwyczaj kontemplacji swej Ostatniej Wieczerzy. Zachodzące słońce stopniowo zmieniało siedzące przy stole postaci w czerwone cienie, a następnie w ciemne, złowrogie plamy. Często przychodził do klasztoru Santa Maria jedynie po to, by oglądać swoje ukochane dzieło. Znajdował w tym odpoczynek od codziennych zmartwień. Księżę ponaglał go, by ukończył kolosalny posąg konny Francesca Sforzy, olbrzymi koń za dnia całkowicie go absorbował. Lecz wszyscy, nawet księżę il Moro, wiedzieli, że przedmiot prawdziwej pasji Leonarda znajduje się w refektarzu Santa Maria. To malowidło o rozmiarach prawie pięć na dziewięć metrów było największym dzie-

łem mistrza. Tylko Bóg jeden wiedział, kiedy zostanie ukończone. Leonardo był tak bardzo zatopiony w swoim magicznym obrazie, że Marco d'Oggiono, jeden z bardziej ciekawskich uczniów mistrza, musiał powtórzyć pytanie:

- Naprawdę nic o nim nie słyszeliście?

Mistrz pokręcił z roztargnieniem głową. Kiedy Marco wszedł do refektarza, Leonardo, jak zwykle po zakończeniu pracy nad posągiem, siedział na drewnianej skrzyni stojącej po-

środku pomieszczenia. Jego długie włosy były jeszcze pokryte śniegiem.

- Nie... - zawahał się. - Czy to ktoś interesujący, caro\*?

- To inkwizytor, mistrzu.

- Cóż to za straszne zajęcie!

- Chodzi o to, messere, że on również wydaje się zainteresowany waszymi tajemnicami.

Leonardo odwrócił wzrok od Cenacolo\*\* i spojrzał w błękitne oczy swojego ucznia.

Miał poważną minę, jakby bliskość reprezentanta Świętego Oficjum obudziła w jego duszy jakieś skryte obawy.

\* Caro (wł.) - drogi, kochany.

\*\* Cenacolo (wł.) - jadalnia, popularna nazwa, pod jaką znana jest w Mediolanie Ostatnia Wieczerza Leonarda da Vinci (przyp. aut.).

- Moimi tajemnicami? Znów o to pytasz, Marco? Wszystkie są tutaj. Już ci to wczoraj mówiłem. Na widoku. Nauczyłem się już wiele lat temu, że jeśli chcesz ukryć coś przed ludzką głupotą, to najlepszym miejscem będzie takie, gdzie wszyscy mogą to coś zobaczyć. Rozumiesz, prawda?

Marco przytaknął bez przekonania. Dobry humor, który dopisywał mistrzowi poprzedniego dnia,

ulotnił się bez śladu.

- Wiele myślałem o tym, co mi powiedzieliście, mistrzu. Sądzę, że teraz wiem na ten temat coś więcej.

- Naprawdę?

- Choć pracujecie w poświęconym miejscu, pod okiem sług Bożych, to nie chcieliście, by wasza Wieczerza przedstawiała pierwszą mszę. Nieprawdaż?

Mistrz uniósł ze zdziwieniem gęste jasne brwi. Marco d'Oggiono mówił dalej:

- Nie udawajcie zdziwienia. Jezus nie trzyma w dłoni hostii, nie ustanawia Eucharystii, zaś jego uczniowie nic nie piją ani też nie jedzą. Nie otrzymują nawet błogosławieństwa.

- Niech cię! No proszę, proszę! - wykrzyknął Leonardo. - Mów dalej. Jesteś na dobrej drodze.

- Nie rozumiem natomiast, dlaczego namalowaliście węzeł na obrusie. Chleb i wino są w Piśmie, rybę, choć żaden ewangelista o

64 niej nie wspomina, mogę zrozumieć jako symbol samego Chrystusa. Ale gdzie napisano, że obrus podczas uczty paschalnej miał zawiązany węzeł?

Leonardo gestem przywołał d'Oggiona do siebie.

- Widzę, że starałeś się zagłębić w malowidło. To bardzo dobrze.

- Lecz pomimo to wciąż jestem daleki od odkrycia waszego sekretu, nieprawdaż?

- Nie powinieneś myśleć o celu, Marco. Skup się na drodze. Marco spojrzał na niego zdziwiony.

- Mistrzu, czy słyszeliście, co wam powiedziałem? Nie martwi was fakt, iż do klasztoru przybył inkwizytor, który wypytuje o waszą Świętą Wieczerzę?

- Nie.

- Nie? Tylko tyle?

- A co chciałbyś usłyszeć? Mam ważniejsze sprawy na głowie. Na przykład jak ukoń-

czyć tę Wieczerzę oraz jej tajemnicę. - Leonardo zabawnym gestem zmierzwił sobie brodę. -

Wiesz, Marco? Kiedy wreszcie odkryjesz tajemnicę i po raz pierwszy uda ci się ją odczytać, już zawsze będziesz ją widzieć. I będziesz zadawał sobie pytanie, jak mogłeś być tak ślepy.

Oto najlepiej strzeżone sekrety. Takie, które mamy przed nosem i nie potrafimy ich zobaczyć.

- A w jaki sposób uda mi się odczytać wasze dzieło, mistrzu?

- Idąc za przykładem wielkich mężów naszych czasów. Takich jak Toscanelli, geograf, który niedawno na oczach całej Florencji ukrył swoją tajemnicę.

Uczeń nigdy nie słyszał o tym przyjacielu Leonarda. We Florencji zwano go Fizykiem i, choć już od lat zarabiał na życie sporządzaniem map, to wcześniej był lekarzem i zapalonym czytelnikiem pism Marca Polo.

- Lecz ty nic o tym nie wiesz. - Leonardo pochylił głowę. - Opowiem ci o tym, co Toscanelli zostawił po sobie we florenckiej katedrze, żebyś mi już nigdy nie zarzucał, że nie nauczyłem cię odkrywania tajemnic. Marco nastawił uszu.

- Kiedy wrócisz do Florencji, idź koniecznie zobaczyć ogromną kopułę nad Duomo, którą zaprojektował Filippo Brunelleschi. Spokojnie sobie pod nią pospaceruj. Jeśli przyrzysz się uważnie, zauważysz w niej mały otwór. W dniach świętego Jana Chrzciciela i świę-

tego Jana Ewangelisty, w czerwcu i grudniu, w samo południe promienie słońca wpadają przez ten znajdujący się osiemdziesiąt metrów nad posadzką otwór i rozświetlają linię z marmuru, którą mój przyjaciel Toscanelli precyzyjnie wyznaczył.

- Ale w jakim celu?

- Nie rozumiesz? To kalendarz. Zaznaczone w ten sposób przesilenia wyznaczają początek zimy i lata. Ten fenomen odkrył już Juliusz Cezar i to on jako pierwszy ustalił czas trwania roku na trzysta sześćdziesiąt pięć i ćwierć dnia. On też wprowadził rok przestępny\*.

A wszystko to dzięki obserwacji przesuwania się słońca po linii takiej jak ta w katedrze. Toscanelli postanowił zadedykować ten instrument Juliuszowi Cezarowi. Wiesz, jak to zrobił?

\* W 1582 roku, za pontyfikatu papieża Grzegorza XIII, kalendarz juliański został skorygowany i dlatego obecnie stosowany kalendarz nazywa się gregoriańskim (przyp. aut.).

Marco wzruszył ramionami.

- Umieszczając na początku tego wyznaczonego w marmurze południka znaki zodiaku: Koziorożca, Skorpiona i Barana, w takiej właśnie osobliwej kolejności. Wykonanie tej pracy zlecił Hiszpanom, dlatego nazwy niektórych znaków zostały zapisane w tym języku.

- A co mają wspólnego znaki zodiaku z hołdem dla Cezara, mistrzu?

Leonardo zaśmiał się.

- Tu właśnie ukryta jest tajemnica. Nazwy tych znaków to po hiszpańsku Capricornio, Escorpio i Aries. Jeśli weźmiesz dwie pierwsze litery każdej z tych nazw i przeczytasz je w takiej kolejności, w jakiej Toscanelli ustawił znaki na linii, czyli: ca-es-ar, otrzymasz ukryte imię, o które chodzi.

- Ca-es-ar... Jasne jak słońce! To doskonałe!

- W istocie.

- I coś podobnego skrywa wasz Cenacolo, mistrzu?

- Coś w tym rodzaju. Ale wątpię, by ten inkwizytor, którego tak się obawiasz, kiedykolwiek to odkrył.

- Ale...

- Węzeł zaś - przerwał młodzieńcowi Leonardo - jest jednym z wielu symboli, które towarzyszą Marii Magdalenie. Któregoś dnia ci to wytłumaczę.

Najwyraźniej musiałem zasnąć nad pulpitem.

Kiedy brat Alessandro potrząsnął moim ramieniem koło trzeciej nad ranem, tuż po jutrzni, całe moje ciało było odrętwiałe i każdy ruch sprawiał mi ból.

- Ojczy, ojczy! - krzyczał przejęty bibliotekarz. - Dobrze się czujecie?

Brat Alessandro nadal szarpał moje ramię. Nagle powiedział coś, co sprawiło, że natychmiast otrzeźwiałem.

- Mówiliście przez sen! - oznajmił z emfazą. W moim odczuciu zabrzmiało to tak, jakby naśmiewał się z tego, że nie potrafię rozwiązywać zagadek. - Brat Matteo, bratanek przeora, słyszał, jak bełkotaliście dziwne zdania po łacinie. Przybiegł do kościoła, żeby mnie zawiadomić. Myślał, że was opętało!

Alessandro przyglądał mi się ni to rozbawiony, ni to zaniepokojony. Marszczył przy tym groźny haczykowany nos.

- To nic takiego - powiedziałem, ziewając.

- Ojczy, pracujecie już od wielu godzin. Od kiedy przyjechaliście, nic nie wzięliście do ust. Zaś moje czuwanie przy was nie na wiele się zdaje. Jesteście pewni, że nie mogę po-móc wam w pracy?

- Nie. To niepotrzebne. Uwierzcie mi. - Niedołęstwo, jakie wykazał bibliotekarz przy rozwiązywaniu rebusu z haczykiem, nie dawało nadziei na skuteczną pomoc.

- A co, u licha, znaczyło to Oculos ejus dinumera? Powtarzaliście to raz za razem.

- Tak mówiłem?

Zbladłem.

- Tak. I coś tam jeszcze o jakimś miejscu o nazwie Betania. Często śnią się wam sceny biblijne, wskrzeszenie Łazarza i tak dalej? Bo Łazarz mieszkał w Betanii, nieprawdaż?

Uśmiechnąłem się. Prostoduszność brata Alessandra zdawała się nie mieć granic.

- Wątpię, czy to zrozumiecie, bracie.

- Przynajmniej spróbuję - powiedział, kołysząc się w rytm wypowiedzianych słów. Stał

zaledwie o jedną piędź ode mnie, obserwował mnie uważnie z rosnącym zainteresowaniem, zaś jego stercząca grdyka rytmicznie wznosiła się i opadała. - Ostatecznie jestem jedynym naprawdę uczonym człowiekiem w tym konwencie...

Obiecałem zaspokoić jego ciekawość w zamian za coś do jedzenia. Uświadomiłem sobie, że nie zszedłem nawet na kolację. Burczało mi w brzuchu. Troskliwy bibliotekarz zaprowadził mnie do kuchni, gdzie udało mu się zdobyć dla mnie resztki z kolacji.

- To jest panzanella, ojciec - wyjaśnił, podając mi glinianą miskę. Była jeszcze letnia, co przyniosło natychmiastową ulgę moim zgrabiąłym palcom.

- Panzanella!

- Jedzcie. Zupa z ogórków, pomidorów, cebuli i chleba. Dobrze wam zrobi.

Ta gęsta i aromatyczna zawiesina spłynęła niczym jedwab do moich wnętrzności. Na zewnątrz wciąż jeszcze panował głęboki mrok. Przy słabym świetle jednej tylko świeczki po-chłonałem również resztki wspaniałego świątecznego przysmaku zwanego torroni, a także dwie suszone figi. Kiedy mój brzuch się wypełnił, poczułem, że znów jestem sobą.

- A wy nie jecie, bracie Alessandrze?

- Ach, nie - zaśmiał się chudzielec. - Nałożyłem na siebie post. Zacząłem jeszcze przed waszym przybyciem do naszego domu.

- Rozumiem.

W istocie niewiele mnie to obchodziło.

Wyrzucałem sobie w duchu, że zapadłem w sen, rozważając pierwsze wersety „podpisu” Wróźbity. Mogłem jednak przewidzieć, że tak to się skończy. Kiedy dziękowałem bratu Alessandrowi za okazaną mi troskę, chwalać równocześnie wysmienitą kuchnię klasztorną, przypomniałem sobie, że w Betanii dowiedziono już, że te wersety nie pochodzą z Ewangelii.

Co więcej, nie miały też żadnego związku z tekstami Platona czy innego klasyka. Nie stanowiły też cytatu z listów Ojców Kościoła czy też z przepisów prawa kanonicznego. Okazało się, że te siedem wierszy ułożono, całkowicie lekceważąc podstawowe kody używane przy szyfrowaniu tekstów. Kody te były przecież powszechnie stosowane przez kardynałów, biskupów i opatów, którzy - z obawy przed szpiegami - zapisywali przy ich użyciu wszystkie wiadomości przeznaczone dla Państwa Papieskiego. Zdania rzadko były czytelne: urzędowa łacina - dzięki szablonom podstawień, które opracował i wykuł w brązie podziwiany przeze mnie Leon Battista Alberti - przekształcała się w niezrozumiałe ciągi liter i cyfr. Zwykle komplet do szyfrowania składał się z kilku par koncentrycznych tarcz, na których krawędziach umieszczone były litery alfabetu. Przy odrobinie wprawy i po uzyskaniu podstawowych instrukcji litery na tarczy zewnętrznej można było zamienić na znaki, które znajdowały się na tarczy wewnętrznej. Pozwalało to zaszyfrować każdą wiadomość.

Ta ostrożność, doprawdy, nie była bezpodstawną. Kuria obawiała się, że jej tajemnice wpadną w ręce znienawidzonych arystokratów lub dworzan, przeciw którym snuła nieustanne intrygi. Z tego też powodu Betania miała pełne ręce roboty. Staliśmy się więc jednym z niezbędnych narzędzi zarządzania Kościołem. Lecz jak miałem wytłumaczyć to wszystko zacnemu Alessandrowi?

Miałbym mu wyznać, że zaszyfrowana wiadomość, która nie daje mi spokoju, nie podlega znanym mi metodom szyfrowania i dlatego doprowadza mnie niemal do ob-sesji?

Nie. Oculos ejus dinumera z pewnością nie należało do tych zagadek, które można by przedstawić w sposób przystępny, zwłaszcza komuś, kto jest laikiem w dziedzinie tajnych szyfrów.

- Można wiedzieć, o czym rozmyślacie, ojczy Leyre? Mam wrażenie, że zupełnie nie zwracacie na mnie uwagi.

Brat Alessandro pociągnął mnie za rękaw habitu i ruszyliśmy pogrążonymi w mroku korytarzami w stronę dormitorium.

- Teraz, kiedy już podjedliście - powiedział opiekuńczym tonem z tym swoim kpiącym uśmiechem, którym od początku mnie obdarzał - powinniście wypocząć. Przynajmniej do czasu porannego nabożeństwa. Zbudzę was tuż przed świtem, a wówczas wyjaśnicie mi, nad czym pracujecie. Dobrze?

Niechętnie przystałem na tę propozycję.

O tej porze w celi panował lodowaty chłód. Już sama myśl, że mam zdjąć habit i poło-

żyć się na wilgotnym pościeli, napawała mnie przerażeniem dużo większym niż perspektywa czuwania. Bibliotekarz na moją prośbę zapalił ustawioną na stoliku świeczkę. Ustaliliśmy, że o świcie wyjdziemy na krużganki otaczające Dziedziniec Szpitalny i wtedy wyjaśnię mu, nad czym pracuję. Nie pociągał mnie pomysł dzielenia się z kimś szczegółami mojego zadania.

Najlepszym dowodem na to był fakt, że nie pokłoniłem się dotąd przeorowi Santa Maria delie Grazie. Coś jednak mówiło mi, że brat Alessandro, pomimo swej nieudolności w rozwiązywaniu rebusów, okaże się bardzo pomocny.

Położyłem się na łóżku w ubraniu i okryłem jedynym przydzielonym mi kocem. Ze wzrokiem wbitym w pobielany wapnem sufit po raz kolejny zacząłem analizować zaszyfrowane wersety. Miałem wrażenie, że pominąłem jakiś istotny szczegół. Jakieś „za”, absurdalne, ale zarazem niezbędne do rozwiązania zagadki. I tak, z szeroko rozwartymi oczami, zacząłem przypominać sobie wszystko, co wiedziałem na temat tych wersetów. Oczywiście było, o ile nie myliłem się w szacunkach, a znużenie nie mąciło mego rozumowania, że imię naszego anonimowego informatora - lub przynajmniej „liczba jego imienia” - ukryte zostało w dwu pierwszych wersetach.

Dziwna to była zabawa. Może w tym tekście, podobnie jak w niektórych wyrazach hebrajskich, znajdują się określniki dopełniające podstawowe znaczenie słowa. Użycie dwóch dewiz dominikańskich wskazywało na to, że poszukiwany przeze mnie człowiek jest kaznodzieją. Tego byłem niemal całkowicie pewien. Lecz co oznaczały poprzedzające je wersety?

Policz oczy, lecz nie spoglądaj w oblicze.

Z boku znajdziesz liczbę mojego imienia.



Oczy, oblicze, liczba, imię, bok...

Kiedy tak leżałem w półmroku, mój udręczony umysł wreszcie wpadł na trop. Nie mogłem oczywiście wykluczyć, że nie jest to kolejna ślepa uliczka. Lecz zdecydowałem się podążyć tym tropem, albowiem dzięki niemu „liczba imienia” zaczynała nabierać sensu.

Przypomniałem sobie mianowicie, że Żydzi znali naukę zwaną gematrią, która przypisuje każdej literze alfabetu wartość liczbową. Jan posłużył się nią z dużym kunsztem w swojej Apokalipsie, w tym jej fragmencie, w którym napisał: Kto ma rozum, niech liczbą Bestii prze-liczy: liczba ta bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć. To 666 odpowiadało w istocie najokrutniejszemu spośród współczesnych Janowi mężów: cesarzowi Nero-nowi. Suma wartości cyfrowej liter jego imienia dawała tę straszliwą potrójną liczbę. A może Wróżbita jest przechrzczonym Żydem i z obawy przed represjami ukrył swoją tożsamość, od-wołując się do gematrii? Ilu mnichów z klasztoru Santa Maria delie Grazie wiedziało, że święty Jan był wtajemniczony w sztukę gematrii i za jej pośrednictwem wskazał Nerona, nie narażając własnego życia na niebezpieczeństwo?

Czyżby Wróżbita postąpił podobnie?

Nim zasnąłem, gorączkowo próbowałem zastosować ten koncept do alfabetu łaciń-

skiego. Przy założeniu, że A (hebrajskie aleph) odpowiada 1, B (beth) 2, i tak dalej, nietrudno było zamienić dowolne słowo na ciąg cyfr. Potem wystarczyło dodać uzyskane w ten sposób cyfry, by otrzymać ostateczną wartość liczbową danego wyrazu. Liczbę. Żydzi na przykład obliczyli, że pełne sekretne imię Jahwe wynosi 72, zaś kabaliści, magowie hebrajskich liczb, skomplikowali sprawy jeszcze bardziej, szukając 72 imion Boga. W Betanii często z tego żar-towaliśmy.

Niestety, w tym przypadku sprawa była jeszcze bardziej mroczna. Nie znaliśmy przecież wartości liczbowej imienia autora, o ile w ogóle jego imię taką wartość posiadało. Chyba że stosując się do zawartych w tekście instrukcji, odnajdziemy ją na boku kogoś, kto posiada oczy, unikając równocześnie patrzenia mu w twarz.

Z tą godną Sfinksa zagadką w głowie zapadłem w sen.

Brat Alessandro zjawił się w mojej celi punktualnie, tuż przed nabożeństwem. Znow uśmiechnięty i szczęśliwy niczym nowicjusz. Zapewne myślał sobie, że nie co dzień przybyły z Rzymu uczony dzieli się z nim swoimi niezwykle ważnymi sprawami. Najwyraźniej zamierzał w pełni delektować się swym dniem chwały. Miałem wrażenie, że pragnie stopniowo do-stąpić wtajemniczenia, tak jakby obawiał się, iż dozna „objawienia” zbyt gwałtownie, co pozostawi w nim uczucie niedosytu. W każdym razie, nie wiem, czy to z powodu uprzejmości, czy też z chęci przedłużenia przyjemności, jaką sprawiał mu fakt, że znajdowałem się w jego rękach, mnich uznał, iż świt to najodpowiedniejsza pora na spowiedź. Oczywiście po uprzed-nim przedstawieniu mojej osoby reszcie wspólnoty.

Zegar umieszczony w kopule Bramantego wybijał piątą, kiedy bibliotekarz prowadził

mnie w półmroku, niemal po omacku, w stronę kościoła. Świątynia znajdowała się na przeciwległym końcu klasztoru, w pobliżu biblioteki i refektarza. Beczkowe sklepienie niewielkiej prostokątnej nawy podtrzymywały granitowe kolumny, przeniesione z jakiegoś rzymskiego mauzoleum, zaś jej ściany i sufit pokrywały freski z motywami geometrycznymi, promie-niste koła i słońca. Całość była, jak na mój gust, zbyt przeładowana.

Przybyliśmy trochę spóźnieni. Bracia Santa Maria delie Grazie, zgromadzeni przy głównym ołtarzu, śpiewali już Te Deum w słabym świetle dwóch wielkich kandelabrow. Było zimno i para, która wydobywała się z ust mnichów, owiewała ich twarze niczym gęstą, tajemniczą mgłą. Stanęliśmy pod jednym z pilastrów i z dogodnej odległości przypatrywaliśmy się zgromadzonemu.

- Ten na rogu - wyszeptał bibliotekarz, wskazując na cherlawego zakonnika o migda-

łowych oczach i posiwiałej czuprynie - to przeor Vincenzo Bandello. Jest bardzo uczony. Od lat walczy z franciszkanami i z ich pomysłem o niepokalanym poczęciu Dziewicy... Ale wielu sądzi, że przegra.

- Studiował teologię?

- Oczywiście - przytaknął Alessandro zdecydowanie. - Ten chłopiec po jego prawej stronie, ciemny, o smukłej szyi, to jego bratanek Matteo.

- Tak, zwróciłem na niego uwagę.

- Wszyscy są przekonani, że któregoś dnia zostanie znanym autorem. Ma zaledwie dwanaście lat, ale jest bardzo rozzębny i żywym chłopcem... Niech się zastanowię... - bibliotekarz zawahał się. - Tam dalej, przy drzwiach od zakrystii, stoją bracia Andrea, Giuseppe, Lucca i Jacopo. Są braćmi nie tylko w sensie metaforycznym, lecz również synami tej samej matki.

Uważnie przyjrzałem się ich twarzom, starając się zapamiętać imiona.

- Powiedzieliście, że niewielu spośród braci potrafi płynnie czytać i pisać, nieprawdaż? - spytałem.

Brat Alessandro nie był w stanie odgadnąć, co kryło się za moim pytaniem. Gdyby potrafił dać mi precyzyjną odpowiedź, mógłbym za jednym zamachem skreślić z listy podejrzanych wiele imion. Wróżbita z pewnością był człowiekiem wykształconym, biegłym w róż-

nych dziedzinach i dobrze obeznanym z dworem księcia. Na tym etapie uważałem za wielce prawdopodobne, że moje próby roszyfrowania jego imienia zakończą się niepowodzeniem.

Nadal miałem żywo w pamięci nieudolność, z jaką rozprawiłem się z muzycznym rebusem Leonarda. Jeśli wszystko pójdzie źle, nie pozostanie mi nic innego, jak odszukać autora listów drogą dedukcji. Lub liczyć na łut szczęścia.

Bibliotekarz przebiegł wzrokiem po zebranych, starając się przypomnieć sobie ich biegłość w posługiwaniu się alfabetem.

- Zobaczmy... - wymamrotał. - Brat Guglielmo, kucharz, czyta i recytuje poezje. Benedetto, jednooki, przez wiele lat pracował jako skryba. Zaczny mnich stracił oko podczas ucieczki z oblężonego klasztoru w Castelnovo. Starał się wtedy uratować Godzinki. Od tamtej pory zawsze jest w złym humorze. Wszystko krytykuje, nigdy nic mu się nie podoba.

- A chłopiec?

- Matteo, jak już mówiłem, pisze jak anioł. Ma zaledwie dwanaście lat, ale jest bardzo rozgarnięty i żywy... Pozwólcie, że się zastanowię - bibliotekarz znów się zawahał. - Hadrian, Stefan, Nicola i Jerzy nauczyli się czytać w tutejszym scriptorium. Andrea i Giuseppe również.

W kilka minut lista podejrzanych nabrała niepokojących rozmiarów. Musiałem zmienić strategię.

- A powiedzcie, kim jest ten przystojny brat, wysoki i silny, ten, co stoi po lewej? -

spytałem zaciekawiony.

- Ach! To Mauro Sforza, grabarz. Zawsze chowa się za którymś z braci, jakby bał się, że zostanie rozpoznany.

- Sforza?

- No cóż... Jest dalekim kuzynem księcia il Moro. Już dość dawno temu książę poprosił nas, byśmy przyjęli go do klasztoru i traktowali na równi z innymi. Nigdy się nie odzywa.

Zawsze jest taki wystraszony. Krążą plotki, że to przez to, co stało się z jego wujem, Gianem Galeazzo\*.

\* Ojciec królowej Bony (Bona Maria Sforza d'Aragona), żony Zygmunta Starego, matki króla Zygmunta Augusta i babki króla Zygmunta III Wazy.

- Gian Galeazzo! - niemal wykrzyknąłem. - Mówicie o Gianie Galeazzo Sforzy?

- Tak, tak. Prawowitym księciu Mediolanu, zmarłym przed trzema laty. Tym samym, którego otruła il Moro, by zasiąść na tronie. Biedny brat Mauro, zanim go tu przysłano, opiekował się Gianem Galeazzo. Z pewnością to on podał mu napój z ciepłego mleka, wina, piwa i arszeniku, który najpierw wypalił mu żołądek, a następnie po trzech dniach agonii doprowadził do śmierci.

- A więc to on go zabił?

- Powiedzmy, że użyto go do popełnienia zbrodni. Lecz to - wycedził przez zęby mnich, szczęśliwy, że udało mu się mnie zaskoczyć - jest tajemnicą spowiedzi, rozumiecie?

Przyglądałem się ukradkiem Maurowi Sforzy, współczując mu smutnego losu. Został

zmuszony do porzucenia życia dworskiego na rzecz zakonu, w którym przysługiwał mu tylko jeden habit z surowej wełny, jedna zmiana bielizny i dwie pary sandałów. Dla młodego człowieka musiał to być prawdziwy kielich goryczy.

- Umie pisać?

Alessandro nie odpowiedział. Popchnął mnie w stronę braci, nie tylko po to, byśmy przyłączyli się do modłów, lecz również abyśmy ogrzali się ciepłem bijącym od gromady mnichów. Na mój widok przeor schylił głowę na znak powitania, po czym podjął modlitwę.

Modły trwały do chwili, aż przez rozetę umieszczoną nad głównym wejściem wpadł pierwszy promień słońca. Nie mogę powiedzieć, by moje przybycie wywarło jakieś szczególne wrażenie na zgromadzonych, bowiem oprócz przeora o orlim profilu i czujnym spojrzeniu żaden z braci nie zwrócił na mnie uwagi. Zauważyłem natomiast, że ojciec Bandello wbił świdrujący wzrok w mojego przewodnika. Alessandro najwyraźniej poczuł się nieswojo, bo natychmiast usunął się na bok.

Co więcej, ledwo przeor udzielił zebrany błogosławieństwa, brat Alessandro ponaglił mnie, bym czym prędzej odłączył się od grupy i podążył za nim w stronę krużganków Dziedzińca Szpitalnego.

O tej porze nieliczni przebywający w szpitalu chorzy nadal pogrążeni byli we śnie.

Opustoszały dziedziniec z czerwonej cegły wyglądał dość ponuro.

- Mówiliście wczoraj, że dobrze znacie mistrza Leonarda...- zagadnąłem. Byłem pewny, że czas odpoczynku przydzielony mi przez brata Alessandra dobiega końca. Wkrótce znów zarzuci mnie pytaniami.

- Któż go tu nie zna! Ten człowiek to prawdziwy cud. Dziwny cud, wyjątkowe stworzenie boskie.

- Dziwny?

- No cóż, można powiedzieć, że ma dziwaczne zwyczaje. Nigdy nie wiadomo, czy właśnie przyszedł, czy już wychodzi. Czy zamierza malować, czy tylko przybył, aby kontemplować swoje dzieło i doszukiwać się nowych niedociągnięć pędzla czy błędów w przedstawieniu postaci. Zawsze ma przy sobie te swoje taccuini\* i cały czas coś w nich notuje.

\* Taccuini (wł.) - zeszytiki do robienia notatek (przyp. aut.).

- A więc jest skrupulatny...

- Nie, nie. Jest nieporządnym i nieprzewidywalnym, za to jego ciekawość nie zna granic.

W trakcie pracy w refektarzu wymyśla przeróżne szalone wynalazki, które mają poprawić życie w klasztorze: automatyczne rydło do przekopywania warzywnika, system rur doprowadzających wodę do cel, samooczyszczające się gołębniki...

- A to malowidło, nad którym pracuje, to kolejne przedstawienie Ostatniej Wieczerzy, tak? - przerwałem mu.

Bibliotekarz zatrzymał się przy wspaniałej granitowej studni, która zdobiła otoczony krużgankiem dziedziniec, po czym spojrzał na mnie tak, jakbym był jakąś osobliwością:

- Jeszcze jej nie widzieliście, prawda? - zaśmiał się, pewien odpowiedzi. W jego głosie pobrzmiwała nuta politowania. - To, co mistrz Leonardo kończy malować w refektarzu, nie jest kolejnym przedstawieniem Ostatniej Wieczerzy, ojcze Augustynie. To jest Ostatnia Wieczerza. Zrozumiecie to, kiedy ujrzycie ją na własne oczy.

- Wobec tego mistrz Leonardo jest istotą dziwną, lecz natchnioną.

- Widzicie - pokręcił głową Alessandro - kiedy mistrz Leonardo przybył przed trzema laty do tego domu i rozpoczął przygotowania do Cenacolo, przeor nie darzył go zaufaniem.

Dlatego nakazał mnie, jako odpowiedzialnemu za archiwa, a w przyszłości również za nasze scriptorium, bym napisał do Florencji i dowiedział się, czy Toskańczyk jest artystą godnym zaufania, czy dotrzymuje terminów, czy jest profesjonalistą, czy też raczej jednym z tych poszukiwaczy przygód, którzy rzucają wszystko w połowie i z którymi trzeba się procesować, by ukończyli swe dzieło.

- Ale, o ile się nie mylę, przybył tu z polecenia księcia?

- To prawda. Lecz dla naszego przeora nie stanowiło to wystarczającej gwarancji.

- Rozumiem. Mówcie dalej. Czego się dowiedzieliście? Jest dokładny czy chaotyczny?

- I jedno, i drugie! Rozłożyłem bezradnie ręce.

- I jedno, i drugie?

- Czyż nie mówiłem wam, że jest dziwny? Jest bez wątpienia najbardziej niezwykłym spośród malarzy, lecz zarazem najbardziej buntowniczym. Dotrzymywanie terminów przychodzi mu z trudem. Właściwie jeszcze nigdy mu się to nie udało. A co gorsza, ignoruje wskazówki swych mecenasów. Zawsze maluje to, na co ma ochotę.

- Niemożliwe!

- A jednak tak właśnie jest. Mnisi z klasztoru Świętego Donata ze Scopeto w pobliżu Florencji piętnaście lat temu zlecili mu namalowanie sceny narodzin Naszego Pana. Nadal nie jest ukończona! I wiecie, co jest w tym wszystkim najgorsze? Leonardo zupełnie zmienił tę scenę. Zamiast namalować pastuszków oddających cześć dzieciątku Jezus, rozpoczął malowanie sceny, którą zatytułował Pokłon Trzech Króli\*. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że wypełnił płótno tłumem poskręcanych postaci, jeźdźców i pieszych, wyciągających ręce w dziwnym geście ku niebu. Oczywiście w ewangeljach nie ma na ten temat żadnej wzmianki.

Wstrząsnął mną dreszcz.

\* Obecnie malowidło znajduje się w Galerii Uffizi we Florencji.

- Jesteście pewni?

- Zawsze mówię prawdę. Ale to jeszcze nic.

Nic? Jeśli to, co sugerował brat Alessandro, było prawdą, to obawy Wróźbity były bardziej niż usprawiedliwione: ten piekielny da Vinci, nim dotarł do Mediolanu, pozostawił w swoich dziełach dowody licznych manipulacji. Niektóre lapidarne zdania, które czytałem w listach Wróźbity, zaczęły rozbrzmiewać w mojej głowie niczym grzmoty zwiastujące burzę.

Pozwoliłem bratu Alessandrowi mówić dalej.

- To nie jest zwyczajny Pokłon Trzech Króli. Na obrazie nie ma nawet gwiazdy betle-jemskiej! Czy nie sądzicie, że to dziwne?

- A wy, co o tym myślicie?

- Ja? - Błede policzki brata Alessandra przybrały brzoskwiniowy odcień. Był skrepowany tym, że ktoś wykształcony, przybywający z Rzymu, jest zainteresowany jego opinią. -

Prawdę mówiąc, nie wiem, co o tym myśleć. Leonardo, jak już mówiłem, jest istotą nieprze-ciętną. Nie dziwi mnie, że zainteresowała się nim Inkwizycja...

- Inkwizycja?

Znów poczułem skurcz żołądka. W czasie naszej krótkiej znajomości brat Alessandro rozwinął swą wrodzoną umiejętność zaskakiwania rozmówców. A może to ja stałem się bardziej podejrzliwy? Wzmianka o Świętym Oficjum wywołała we mnie poczucie winy. Jak mogłem wcześniej o tym nie pomyśleć? Dlaczego, nim wyruszyłem w podróż, nie poszperałem w archiwach Sacra Congregazione?

- Pozwólcie, że dokończę. - Był podekscytowany, jakby odszukiwanie w pamięci takich informacji sprawiało mu dużą przyjemność. - Leonardo pozostawił Pokłon Trzech Króli nieukończony, po czym przeniósł się do Mediolanu. Tu został zatrudniony przez Bractwo Niepokalanego Poczęcia. Jak

zapewne wam wiadomo, to ci franciszkanie, którzy władają ko-

ściołem Świętego Franciszka, ci sami, z którymi toczy bezustanne spory nasz przeor. I znów Toskańczyk przysporzył podobnych kłopotów.

- Znów?

- Jakżeby inaczej. Messer Leonardo miał wraz z braćmi Ambrogiem i Evangelistą de Predis wykonać tryptyk do kaplicy bractwa. W trójkę pobrali dwieście dukatów zaliczki, po czym każdy z nich zajął się swoją częścią tryptyku. Toskańczyk miał wykonać część środkową. Zobowiązał się do namalowania Madonny otoczonej prorokami, zaś na skrzydłach mieli znaleźć się aniołowie grający na różnych instrumentach.

- Nie musicie już mówić dalej. Nigdy nie ukończył swego dzieła.

- Otóż nie. Tym razem messer Leonardo namalował swoją część tryptyku, lecz nie przedstawił na niej tego, o co go proszono. Na obrazie nie było ani jednego proroka, zaś Matka Boska została przedstawiona w grocie, z dzieciątkiem Jezus i świętym Janem\*.

. \* Mowa o tej wersji Madonny wśród skał, która obecnie znajduje się w Luwrze.

Bezczelnie zapewnił braci, że jego malowidło przedstawia spotkanie obu chłopców, które miało miejsce, gdy Jezus wraz z rodziną uciekał do Egiptu. Ale o tym również nie wspomina żadna z ewangelii!

- I dlatego złożyli na niego donos do Świętego Oficjum?

- Złożyli, ale oskarżono go o coś innego. Jednak książę il Moro zrobił, co mógł, by proces się nie odbył, i Leonardo umknął kary.

Zawahałem się, czy pytać dalej. W końcu to on pierwszy chciał się czegoś ode mnie dowiedzieć na temat mojej zagadki. Lecz jego opowieści mnie zaintrygowały.

- Wobec tego, jaki zarzut mu postawiono?

- Że malując ten obraz, inspirował się Apocalipsis Nova.

- Nigdy nie słyszałem o tej księdze.

- To heretycki tekst, napisany przez jego przyjaciela Joao Mendesa da Silva, znanego również jako Amadeusz z Portugalii, który zmarł w Mediolanie w tym samym roku, w któ-

rym Leonardo ukończył swoją część tryptyku. Ten Amadeusz napisał paszkwil, w którym insynuował, jakoby to nie Jezus, lecz Madonna i święty Jan byli właściwymi bohaterami Nowego Testamentu.

Apocalipsis Nova. Zapamiętałem tę informację, na wypadek gdyby przyszło mi wyto-

Leonardowi proces o herezję.

- A w jaki sposób zakonnicy dopatrzyli się związku pomiędzy Apocalipsis Nova a malowidłem Leonarda?

Bibliotekarz uśmiechnął się.

- To było oczywiste. Obraz przedstawia Madonnę z dzieciątkiem Jezus i aniołem Arie-lem, strzegącym świętego Jana. Zgodnie z porządkiem rzeczy, to Jezus powinien błogosławić swojego kuzyna, Jana Chrzciciela. Lecz na obrazie dzieje się na odwrót! A na dodatek Madonna, zamiast trzymać w ramionach pierworodnego, rozpościera opiekuńczym gestem dłoni nad głową Chrzciciela. Rozumiecie już? U Leonarda nie tylko Madonna gestem podkreśla wyjątkowość świętego Jana, ale i on sam udziela błogosławieństwa Chrystusowi, co sugeruje jego wyższość nad Mesjaszem.

Nie szczędziłem pochwał bratu Alessandrowi.

- Jesteście bystrym obserwatorem - powiedziałem. - Bardzo oświeciliście umysł stojącego przed wami sługi Bożego. Jestem waszym dłużnikiem, bracie.

- Pytajcie, a ja wam odpowiem. Temu przyrzeczeniu zawsze pozostaję wierny.

- To tak jak z waszym postem?

- Tak. Tak jak z moim postem.

- Szczerze was podziwiam bracie.

Bibliotekarz był dumny jak paw. Dziedziniec stopniowo wypełniał się światłem, wydobywającym skryte wcześniej w półmroku reliefy i ornamenty. Wreszcie Alessandro odwa-

żył się przerwać kłopotliwe milczenie:

- W takim razie, pozwolicie, bym pomógł wam w rozwiązaniu waszych zagadek?



Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Lecz Alessandro nie był jedynym spośród braci, z którym wdawałem się w częste pogawędki. Nieraz rozmawiałem również z bratankiem naszego przeora. Matteo był jeszcze chłopcem, lecz jak na swój wiek rzeczywiście wyjątkowo rozgarniętym i ciekawym świata.

Zapewne dlatego zbliżył się do mnie i zasypywał pytaniami o moje życie w Rzymie. We wspaniałym, jak mówił, Rzymie.

Nie wiem, jak sobie wyobrażał pałace ksiąząt kościoła oraz niezliczone świątynie i klasztory. W każdym razie w zamian za liczne opisy, których mu nie żałowałem, zdradził mi kilka sekretów, a te sprawiły, że zacząłem wątpić w dobre intencje bibliotekarza.

Chichocząc, oznajmił, że powie mi, co naprawdę może wyprowadzić z równowagi przeora, jego stryja.

- Cóż to takiego? - spytałem zaintrygowany.

- Widok brata Alessandra i mistrza Leonarda, jak z zakasanyimi rękawami kroją sałatę u brata Guglielma w kuchni.

- To Leonardo tam bywa?

- Jakżeby nie! On przecież niczym innym się nie zajmuje. Mój stryj wie, że to jego ulubiona kryjówka. Tam najłatwiej go znaleźć. Bywa, że Leonardo przez wiele dni nie bierze pędzla do ręki, ale zawsze kiedy nas odwiedza, spędza wiele godzin przy garnkach. Nie wiedzieliście, że Leonardo prowadził we Florencji tawernę i sam w niej gotował?

- Nie.

- Sam mi o tym opowiadał. Nazywała się Pod Trzema Żabami Sandra i Leonarda.

- Naprawdę?

- Ależ oczywiście! Powiedział, że prowadził ją wraz ze swym przyjacielem, też malarzem, Sandrem Botticellim.

- I co się stało?

- Ano nic! Tym, co tam zachodzili, nie smakowały wymyślone przez nich potrawy z warzyw, sardele zawinięte w liście kapusty oraz ogórki w sałacie, powycinanej tak, że miała kształt żaby.

- I tutaj też robi takie rzeczy?

- No cóż-uśmiechnął się Matteo-mój stryj nie godzi się na to. Ale odkąd Leonardo tu zawitał,

upodobał sobie specjały z klasztornej spiżarni. Powiada, że poszukuje odpowiedniego zestawu dań do Ostatniej Wieczerzy. Że dania, które znajdują się na stole, są równie ważne jak oblicza apostołów. Co więcej, ten zuchwalec od tygodni przyprowadza tu swoich uczniów i przyjaciół na posiłki. Sadza ich przy tym wielkim stole, który sam ustawił w refektarzu. A tu-tejsze piwnice pustoszeją\*.

\* Istnieje historyczne świadectwo potwierdzające takie zachowanie Leonarda. Jest to list przeora Vicenza Bandella do księcia Lodovica il Moro, napisany w Wielkim Tygodniu 1496 roku. Jego treść jest następująca: Panie, minęło już dwanaście miesięcy, odkąd przystali-

ście do mnie mistrza Leonarda z zadaniem wykonania zleconej pracy. Przez cały ten czas nie uczynił na naszej ścianie ani jednego maźnięcia pędzlem. Za to w naszych piwnicach dokonał

tak wielkich spustoszeń, że niemal zupełnie je osuszył, albowiem mistrz Leonardo chce sprawdzić wszelkie możliwe wina, by wybrać najwłaściwsze dla jego wielkiego dzieła: żadne inne nie wchodzi w rachubę. A co więcej, przez cały ten czas moi bracia cierpią głód, a to dlatego, że mistrz Leonardo dysponuje wedle własnego uznania naszymi kuchniami, tak za dnia jak i nocą, przygotowując dania, które, jak twierdzi, są odpowiednie na jego stół. Lecz nigdy nie jest zadowolony z rezultatów i co więcej, dwa razy dziennie sadza przy stole swych uczniów i sługi, częstując ich tymi potrawami. Panie, błagam Was, byście ponagliłi mistrza Leonarda, by wykonał swe dzieło, ponieważ dalsze pozostawanie tu jego samego i jego ludzi doprowadzi nas do nędzy (przyp. aut.).

- A brat Alessandro mu przy tym pomaga?

- Brat Alessandro? - powtórzył chłopiec. - Ależ on jest jednym z tych, którzy biesiadują przy tym stole. Leonardo twierdzi, że studiuje wtedy sylwetki biesiadników oraz potrawy, które jedzą, by potem to wszystko namalować. Ale jak na razie widzimy tylko, że pożera nasze zapasy!

Matteo roześmiał się rozbawiony.

- Prawda jest taka - dodał - że mój wuj napisał już kilka razy do księcia, protestując przeciw nadużyciom, których dopuszcza się Toskańczyk. Ale książę nic sobie z tego nie robi.

Jak tak dalej pójdzie, będziemy przez mistrza Leonarda głodować!

Mediolańczycy nigdy nie przepadali za piątkami trzynastego. Choć byli bardziej od-porni na francuskie przesady niż pozostałe plemiona romańskie, to piąty dzień tygodnia wraz ze złowieszczym miejscem, jakie zajmował Judasz przy stole w trakcie Ostatniej Wieczerzy, przypominały im o zapisanych na kartach kronik tragicznych wydarzeniach. Nie zagłębiając się zbytnio w przeszłość, to właśnie w piątek 13 października 1307 roku na rozkaz Filipa IV

Pięknego pojmano we Francji templariuszy. Oskarżono ich o to, że wyrzekli się Chrystusa, opluwali krucyfiks, w miejscach kultu wymieniali nieprzyzwoite pocałunki oraz czcili bożka, zwanego Bafometem. Nieszczęście, które dotknęło rycerzy w białych płaszczach, było tak wielkie, że od tego czasu wszystkie piątki trzynastego uznawano za feralne.

Trzynasty dzień stycznia 1497 roku nie stanowił pod tym względem wyjątku.

W południe niewielki tłum zebrał się u drzwi klasztoru Świętej Marty. Większość pozamykała przed czasem sklepy z jedwabiami, perfumami lub wełną, znajdujące się przy placu Verzaro, za katedrą, po to, by nie uszedł ich uwagi sygnał, na który czekali. Robili wrażenie zniecierpliwionych. Wiadomość, która ich tu przywiodła, była wyjątkowo dokładna: przed zmierzchem służebnica pańska Veronica da Binasco odda duszę Bogu. Sama to przepowiedziała, z tą samą przynoszącą jej chlubę pewnością, z jaką przewidziała wcześniej mnóstwo nieszczęść. Była przyjmowana przez książąt i papieży, a przez wielu już za życia została uznana za świętą. Ostatni jej wyczyn, który miał miejsce dwa miesiące temu, polegał na tym, że zdołała zasłużyć sobie na to, by wyrzucono ją z pałacu księcia il Moro. Krążyły plotki, że chciała widzieć się z donną Beatrice d'Este, by powiadomić ją o czekającym ją losie. Księżna rozżościła się tak bardzo, że rozkazała zamknąć Veronicę w klasztorze, by więcej jej nie na-chodziła.

Marco d'Oggiono, ulubiony uczeń mistrza Leonarda, znał ją dobrze. Często widywał

Toskańczyka pogrążonego w rozmowie z Veronicą. Leonardo lubił omawiać z mniszką jej osobliwe wizje Madonny. Nie tylko notował jej słowa, lecz również często szkicował jej anielskie rysy, pełne słodczy gesty oraz przygarbioną sylwetkę, starając się później przenieść to na swoje malowidła. Niestety, jeśli siostra Veronica nie była w błędzie, spotkania te miały się w ten piątek zakończyć na zawsze. Marco, świadom, że nie pozostało im wiele czasu, zrezygnował ze śniadania i pośpiesznie sprowadził Toskańczyka do łóżka umierającej mniszki.

- Wdzięczny wam jestem, że zgodziliście się przyjść tu ze mną. Siostrę Veronicę ucie-szy możliwość zobaczenia was po raz ostatni - wyszeptał uczeń do mistrza.

Maleńką celę wypełniała woń kadzideł i olejków. Wzruszony Leonardo z podziwem patrzył na białe jak marmur oblicze świątobliwej niewiasty. Biedaczka nie miała nawet sił, by rozewrzeć powieki.

- Nie sądzę, bym mógł cokolwiek dla niej uczynić - powiedział.

- Wiem, mistrzu, lecz to ona nalegała, by się z wami zobaczyć.

- Ona?

Leonardo pochylił się do ust konającej. Jej wargi od dłuższego już czasu poruszały się bezgłośnie, jakby odmawiała jakąś litanię.

Proboszcz od Świętej Marty, który namaścił już siostrę Veronicę świętymi olejami, a teraz odmawiał u jej boku różaniec, odsunął się nieco, robiąc gościowi więcej miejsca.

- Czy nadal malujecie bliźnięta?

Mistrz zdziwił się. Mniszka rozpoznała go, choć nie otworzyła oczu.

- Maluję to, co jest mi znane, siostrze.

- Och, Leonardo! - wyszeptała. - Nie sądzicie chyba, że nie zorientowałam się, kim jesteście. Wiem bardzo dobrze. Choć u schyłku mojego życia nie chcę już wdawać się z wami w spory.

Siostra Veronica mówiła bardzo powoli, ledwo słyszalnym głosem. Toskańczyk z trudem ją rozumiał.

- Widziałam wasz obraz w kościele Świętego Franciszka, waszą Madonnę.

- Podobał wam się?

- Madonna tak. Macie wielki talent. Lecz bliźnięta - nie... Powiedźcie, czy już go po-prawiliście?

- Tak, siostrze. Zgodnie z prośbą franciszkanów.

- Wasz upór jest powszechnie znany. Dziś powiedziano mi, że znów zaczęliście malować bliźnięta, w refektarzu dominikanów. To prawda?

Leonardo wyprostował się zdumiony.

- Widzieliście Cenacolo, siostrze?

- Nie. Lecz wiele mówi się o waszym malowidle. Powinniście o tym wiedzieć.

- Jak już wam powiedziałem, siostrze Veronica: maluję tylko to, czego jestem pewien.

- Wobec tego dlaczego na obrazach, które malujecie dla Kościoła, uparcie przedstawiacie bliźnięta?

- Bo naprawdę istniały. Andrzej i Szymon byli braćmi. Mówi o tym święty Augustyn i inni wielcy teolodzy. Apostoła Jakuba często mylono z Jezusem z powodu ich niezwykłego podobieństwa. Ja niczego nie wymyślam. To zostało opisane.

- Oj, Leonardo! Żebyście tylko nie popełnili tego samego błędu, co w kościele Świętego Franciszka! Zadaniem malarza nie jest sianie wątpliwości wśród wiernych, lecz jasne ukazanie postaci, które

zlecono mu namalować.

- Błądu?! - Leonardo podniósł głos. Marco, proboszcz i dwie siostry, które opiekowały się konającą, zwrócili ku niemu spojrzenia. - Jakiego błędu?

- Nie udawajcie, mistrzu! - westchnęła konająca. - Czy to nie was oskarżono o to, że na swoim malowidle pomyliliście świętego Jana z Jezusem? Czy przypadkiem nie namalowaliście ich tak, że są do siebie podobni jak dwie krople wody? Czyż nie mają takich samych kręconych włosów, pucułowatych policzków, a ich gesty niemal niczym się nie różnią? Czyż wasze dzieło nie wprowadza przewrotnie w błąd co do tego, który z nich jest Janem, a który Chrystusem?

- Tym razem to się nie wydarzy, siostro. Nie w Cenacolo.

- Ależ doszły mnie słuchy, że Jakub już ma to samo oblicze co Chrystus!

Wszyscy usłyszeli słowa wypowiedziane przez siostrę Veronicę. Marco, który wciąż miał nadzieję, że udowodni mistrzowi, iż potrafi rozszyfrować tajemnicę jego dzieła, nastawił

uszu.

- Nie ma mowy o pomyłce - zapewnił Leonardo. - Jezus jest osią mojego najnowszego dzieła. Jest ogromnym „A” w samym środku malowidła. Gigantyczną Alfą. Podstawą całej kompozycji.

D'Oggiono w zadumie pogładził się po podbródku. Jak to możliwe, że wcześniej tego nie zauważył? Kiedy teraz przypomniał sobie Ostatnią Wieczerzę, w istocie musiał przyznać, że postać Jezusa przypomina ogromne „A”.

- Literą „A”? - siostra Veronica zniżyła głos. - A można wiedzieć, Leonardo, jaki to tekst wpisaliście tym razem w swoje malowidło?

- Nic, czego prawdziwy wierny nie mógłby odczytać.

- Większość dobrych chrześcijan nie potrafi czytać, mistrzu.

- Dla nich właśnie maluję.

- I to daje wam prawo umieszczenia waszej osoby wśród Dwunastu?

- Uosabiam najpokorniejszego spośród uczniów, siostro. Judę Tadeusza, przedstawionego prawie na końcu stołu niczym Omega, która jest na samym końcu alfabetu.

- Omega? Wy?... Messere, zachowajcie ostrożność. Jesteście próżni, a pycha może zgubić waszą duszę.

- Czy to proroctwo? - spytał Leonardo z ironią.

- Nie róbcie sobie żartów ze staruszki i posłuchajcie uważnie mojej przepowiedni. Bóg objawił mi

to, co ma się wydarzyć. Powinniście wiedzieć, Leonardo, że nie ja jedna oddam dziś duszę Ojcu Wiekiystemu. Niektórzy spośród tych, których zwiesz prawdziwymi wiernymi, staną wraz ze mną przed Sądem. I mam powody sądzić, że nie dostąpią miłosierdzia Najwyższego.

Marco d'Oggiono, na którym te słowa wywarły ogromne wrażenie, zauważył, że siostra Veronica z trudem łapie oddech.

- Wam zaś pozostało jeszcze sporo czasu, by żałować za grzechy i uratować własną duszę.

Zawsze będę wdzięczny bratu Alessandrowi za pomoc, jakiej mi udzielał w tych dniach, które nastąpiły po naszej przechadzce po krużganku Dziedzińca Szpitalnego. Poza nim i młodym Matteo, który od czasu do czasu wpadał do biblioteki, ciekaw tego, czym zajmuje się ten skryty mnich przybyły z Wiecznego Miasta, prawie z nikim nie zamieniłem sło-wa. Pozostałych zakonników widywałem tylko w kościele podczas modłów oraz w trakcie posiłków w prowizorycznym refektarzu, urządzonym w pobliżu tak zwanego Wielkiego Dziedzińca. Lecz zarówno w jednym jak i w drugim miejscu obowiązywała reguła milczenia, zatem nawiązanie rozmowy z którymkolwiek z mnichów nie było rzeczą łatwą.

W bibliotece natomiast wszystko ulegało zmianie. Brat Ales-sandro tracił sztywność, z którą obnosił się wśród swoich konfratrów, zaś usta prawie mu się nie zamykały. Bibliotekarz pochodził z Ricci, nad jeziorem Trasimeno, położonym znacznie bliżej Rzymu niż Mediolan. To w pewien sposób tłumaczyło jego wyobcowanie w tutejszym środowisku, a także to, że traktował mnie trochę jak swojego ziomka i poczuwał się do sprawowania nade mną swoistej opieki. Choć nigdy nie widziałem, by wziął cokolwiek do ust, co dzień przynosił mi wodę i pszenne bułeczki w kształcie otoczek (arcydzieła brata Guglielma, które Alessandro ukradkiem wynosił dla mnie z kuchni). Zaopatrywał mnie nawet w czystą oliwę do lampy zawsze, kiedy groziło, że mi jej zabraknie. A wszystko to - jak zrozumiałem dużo później - po to, by stale być w pobliżu, na wypadek gdybym odczuł potrzebę podzielenia się z kimś swoimi zmartwieniami i tym samym odkrył przed nim kolejne szczegóły mej „tajemnicy”. Przypuszczam, że z godziny na godzinę tajemnica ta w oczach Alessandra stawała się coraz bardziej doniosła. Wyrzucałem mu, że wyobraźnia nie jest najlepszym sprzymierzeń-

cem kogoś, kto usiłuje rozszyfrować tajemnicę, lecz on w odpowiedzi śmiał się, pewien, że jego umiejętności okażą się któregoś dnia przydatne.

Z pewnością nigdy nie mogłem narzekać na brak życzliwości z jego strony. Wkrótce brat Alessandro stał się moim prawdziwym przyjacielem. Był przy mnie zawsze, kiedy go potrzebowałem. Pocieszał mnie, gdy rozczarowany brakiem wyników, ciskałem pióro, dodawał

otuchy i zalecał, abym dalej wytrwale badał zagadkę. Lecz Oculos ejus dinumera stawiało twardy opór. Nawet przypisanie wartości numerycznych poszczególnym literom nic nie da-owało. Wręcz przeciwnie: spowodowało tylko jeszcze większy zamęt w mojej głowie. Po trzech pełnych rozczarowań dniach i po kolejnej bezsennej nocy brat Alessandro znał już wersety na pamięć. Z przejściem rozważał tekst na wszelkie możliwe sposoby i marszcząc czoło, zastanawiał się, jak złamać kod. Za każdym razem, gdy wpadał na jakiś trop, jego twarz ja-

śniała zadowoleniem. Ostre rysy miękły, a surowe oblicze przypominało nagle twarz podeks-cytowanego dziecka. Przy jednej z takich okazji dowiedziałem się, że odkąd zapoznał się z dziełem Raimunda Lulio, twórcy Ars Magna tajnych szyfrów, stał się prawdziwym amatorem szarad. Ten gufo\* stanowił niewyczerpane źródło

\* Gufo (wł.) - puchacz. Tak nazywano zakonników spędzających bezsenne noce lub tych, którym

wstawanie na jutrznię nie sprawiało żadnego kłopotu (przyp. aut.).

niespodzianek. Sprawiał wrażenie, że przeczytał dosłownie wszystko. Każde istotne dzieło na temat sztuki kryptografii, każdy traktat kabalistyczny, każde dzieło o tematyce bi-blijnej. A jednak te solidne podstawy teoretyczne na niewiele nam się przydawały.

- Zatem - mruknął Alessandro któregoś popołudnia, gdy cały klasztor ogarnęła gorączka przygotowań do pogrzebu donny Beatrice - naprawdę sądzicie, że powinniśmy policzyć oczy jakiegoś wizerunku, który znajduje się na terenie klasztoru? W ten sposób rozwiążemy ten problem? Sądzicie, że to takie proste?

Poklepałem go uspokajająco po dłoni i wzruszyłem ramionami. Cóż miałem mu odpowiedzieć? Że nic innego już nam nie pozostało? Bibliotekarz wbił we mnie swoje swoje oczy i w zadumie gładził się po spiczastej brodzie. Podobnie jak ja, nie był przekonany do tego rozwiązania. I nie bez powodu. Jeśli liczba imienia miała być równa liczbie oczu na którymś wizerunku - wszystko jedno: Madonny, świętego Dominika czy świętej Anny - to wynik zaprowadziłby nas w ślepą uliczkę. Bo jakie imię składa się z jednej lub dwu liter? A taki wynik przecież byśmy otrzymali. Ponadto żaden z braci należących do wspólnoty nie miał tak krótkiego imienia ani przydomka. Nie mieszkał tu żaden Io, Eo czy Au. Nawet takie trzyliterowe imię jak Jan też na nic by się nie przydało. W Santa Maria delie Grazie nie było nikogo takiego. Nie było też żadnego Noego czy Lota. A nawet, gdyby był, to na czym obliczu znajdziemy troje oczu?

Nagle coś sobie uświadomiłem. A jeśli w zagadce nie chodziło o oczy ludzkie, lecz o smoka, hydrę o siedmiu głowach i czternastu oczach lub jakieś inne monstrum wymalowane

„na boku” jednej z sal?

- Ale nigdzie na terenie Santa Maria delie Grazie nie ma wizerunków potworów - zaprotestował Alessandro.

- Wobec tego może ruszyliśmy złym tropem. I postać, której należy policzyć oczy, nie znajduje się w klasztorze, lecz w innej budowli. W jakiejś wieży, pałacu, pobliskim kościele...

- Ależ tak, ojciec Augustynie! Już wiem! - Oczy bibliotekarza zapłonęły. - Nie zauwa-

żyliście? Te słowa nie odnoszą się do osoby ludzkiej ani do żadnego stwora lecz do budowli!

- Do budowli?

- Oczywiście! Mój Boże, cóż za głupota! Przecież to jasne jak słońce! Oculos znaczy nie tylko oczy, ale i okna. Okrągłe okna. A w naszym klasztorze jest ich mnóstwo!

Bibliotekarz nabazgrał coś na kawałku papieru. Był to pośpiesznie wykonany alternatywny przekład dwu wersetów. Kiedy to przeczytałem, wstąpiła we mnie nadzieja. Jeśli Alessandro się nie mylił, to przez cały czas mieliśmy rozwiązanie przed nosem. Zdaniem gufo, nasze „policz oczy, lecz nie spoglądaj w oblicze” mogło równie dobrze oznaczać „policz okna, lecz nie spoglądaj na fasadę”.



Brzmiało to co prawda nieco sztucznie, ale tekst rzeczywiście można było tak właśnie odczytać.

Zewnętrzna część kościoła Santa Maria była w istocie pełna okulusów, okrągłych okien zaprojektowanych przez niejakiego Guinifortego Solariego wedle zasad stylu lombardzkiego, ulubionego stylu księcia il Moro. Były dosłownie wszędzie. Zostały nawet wbudowane w obwód nowej kopuły Bramantego, pod którą od tygodnia się modliłem. Czyżby to było tak proste? Brat Alessandro nie miał żadnych wątpliwości.

- Widzicie? Chodzi o boczną elewację, ojczyźnie Augustynie! - nalegał. - Potwierdza to drugie zdanie: In latere nominis mei notam rirwenies. Liczby jego imienia należy szukać na boku! Policzyć okna na jedynej ścianie bocznej, na której się one znajdują, pominąć zaś te w fasadzie! Tam jest jego liczba!

Była to najbardziej szczęśliwa chwila mojego pobytu w Mediolanie.

Nikt go nie zauważył.

Żaden z właścicieli sklepów i kantorów wymiany pieniędzy, ani też żaden z braci zakonnych, którzy o zmierzchu przechadzali się pod kościołem Świętego Franciszka, nie zwró-

cił uwagi na nędznie odzianą postać, która pośpiesznie wślizgnęła się do kościoła franciszkanów. Działo się to w dzień targowy, w wigilię uroczystej ceremonii, zatem mediolańczycy byli pochłonięci gromadzeniem zapasów wędlin i innych wiktuałów, które musiały im wystarczyć w nadchodzących dniach oficjalnej żałoby. Ponadto wiadomość o śmierci siostry Veroniki rozeszła się już lotem błyskawicy po mieście, stając się głównym tematem rozmów i powodując gorące dyskusje na temat prawdziwości jej przepowiedni.

Nic dziwnego, że nie zwrócili uwagi na jakiegoś tam włóczęgę.

Lecz ci głupcy i tym razem popełnili błąd. Ten włóczęga, który wślizgnął się do ko-

ścioła Świętego Franciszka, nie był zwyczajnym żebrakiem. Miał kolana posiniaczone od nieustannego klęczenia, a także starannie wygoloną tonsurę jako dowód pobożności. Był to zatem człowiek bogobożny, mąż o czystym sercu. Przemknął się pod nadprożem głównego wej-

ścia do kościoła, drżąc z obawy, że prędzej czy później zostanie zadenuncjowany przez które-goś z tych zabobonnych mieszczan, roztrząsających sens przepowiedni siostry Veroniki.

Nietrudno mu było wyobrazić sobie, co się wkrótce wydarzy: ktoś poinformuje zakrystiana o pojawieniu się w świątyni kolejnego żebraka. Ten z kolei opowie o tym diakonowi, który niezwłocznie powiadomi kata. Tak działo się już od wielu tygodni. I najwyraźniej nikogo to nie obchodziło. Fałszywi żebracy, którzy przed nim dotarli do świątyni, znikali bez śladu. Dlatego był pewien, że nie wyjdzie stąd żywy. Jednak gotów był z radością zapłacić taką cenę.

Mężczyzna w łachmanach, nie tracąc czasu na odpoczynek, minął dwa rzędy ławek w nawie głównej i szybkim krokiem ruszył w stronę wielkiego ołtarza. Poza nim w kościele nie było żywego ducha. Tym lepiej. Już niemal czuł obecność Świętości. Nigdy dotąd nie przeżywał tak wyraźnej bliskości Boga. On był tuż. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że właśnie o tej godzinie, przefiltrowane przez witraże światło najpełniej wydobywało wszystkie szczegóły

„cudu”? Pielgrzym podjął niemały trud i ryzyko, by się tu znaleźć. Dlatego, gdy dotarł wreszcie do retabulum, by oddać hołd Opus Magnum, z jego oczu popłynęły łzy. Trud nie był daremny. Wreszcie dane mu było ujrzeć malowidło, którego właściwa nazwa, *Maestà\**, znana była jedynie nielicznym.

\* *Maestà*, Majestat, taki pierwotnie tytuł otrzymało dzieło Leonarda Madonna wśród skał (przyp. aut.).

\*\* Wszystkie miary w tekście ojca Leyre zostały, w celu ułatwienia lektury, zastąpione miarami zgodnymi z dziesiętnym systemem metrycznym.

Czy był to już kres drogi?

Rzekomy żebrak podejrzewał, że tak.

Ostrożnie zbliżył się do ołtarza. Opisywano mu już Dzieło tyle razy, że teraz głosy tych, którzy pouczyli go o tajemnych szczegółach, stanowiących prawdziwy klucz do zrozumienia malowidła, rozbrzmiewały w jego pamięci, niemal go oślepiając. Obraz o wymiarach 189x120 centymetrów\*\*, pasujący jak ulał do przeznaczonego dlań miejsca w ołtarzu, był

całkowicie jednoznaczny. Scena przedstawiała dwoje małych dzieci, patrzących sobie prosto w oczy. Kobieta o spokojnym obliczu opiekuńczo rozpościerała nad nimi ramiona, zaś dostojny anioł, Ariel, wskazywał na Bożego wybrańca w oskarżycielskim geście. „Kiedy bę-

dziesz kontemplował ten gest, utwierdzisz się w prawdzie, która została ci ujawniona”. Zdawało mu się, że nadal słyszy te słowa. „Spojrzenie anioła przyzna ci rację”.

Jego serce zaczęło bić żywiej. Świadom swojej samotności w świątyni, pielgrzym wy-ciągnął dłoń, jakby na zawsze pragnął połączyć się z tą boską sceną. To było oczywiste.

Oczywiste jak czystość jego wiary. Ci, którzy w tajemnicy odbyli wcześniej pielgrzymkę do tego miejsca, nie kłamali. Żaden z nich nie kłamał. To dzieło mistrza Leonarda zawierało klucz, stanowiący kulminację tysiącletnich poszukiwań prawdziwej religii.

Pielgrzym raz jeszcze przyjrzał się niezwykłemu malowidłu. Nagle coś go zaniepokoiło. Jakież to dziwne! Kto namalował aureole nad głowami trzech postaci z Ewangelii? Czyż jego bracia nie mówili, że ta zbędna ozdoba, wytwór zacofanych i żądnych cudów umysłów, była celowo pomijana przez mistrza? Cóż tu zatem robią? Rzekomy żebrak przeraził się. Aureole nie były jedyną zmianą, jaka dokonała się w Opus Magnum. A gdzie podział się palec, którym Ariel wskazywał na prawdziwego Mesjasza? Dlaczego jego dłoń spoczywa na podoł-

ku, miast wskazywać na prawdziwego Syna Bożego? I dlaczego anioł nie patrzy już na tych, co oglądają obraz?

Przerażenie pielgrzyma rosło coraz bardziej. Ktoś dokonał zmian w Maestà.

- Zważyłeś, nieprawdaż?

Żebrak nawet nie drgnął. Zastygł bez ruchu, kiedy za jego plecami rozległ się ten oschły głos. Nie usłyszał skrzypienia drzwi, zatem intruz musiał obserwować go już od dłuż-

szego czasu.

- Już wiem, że jesteś taki sam jak pozostali. Z jakiegoś niejasnego powodu heretycy gromadnie przybywają do tego domu Bożego.

Przyciąga was światło, lecz nie potraficie go rozpoznać.

- Heretycy? - wyszeptał żebrak, sparaliżowany strachem.

- Och, daj spokój! Sądziłeś, że się nie zorientujemy?

Pielgrzym nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

- Przynajmniej tym razem nie znajdziesz pocieszenia w modlitwie przed waszym bez-cennym obrazem.

Czuł łomot tętna w skroniach. Nadeszła jego ostatnia godzina. Był oszołomiony i wściekły. Miał wrażenie, że z niego zakpiono: ryzykował życie, by paść na kolana przed oszustwem. To, co miał przed oczami, nie było Opus Magnum? To nie była obiecana Maestà!.

- Niemożliwe... - wyszeptał. Nieznajomy zaśmiał się.

- To proste. Udzielę ci łaski poznania, nim wyślę cię do piekieł. Leonardo namalował

waszą Maestà w tysiąc czterysta osiemdziesiątym trzecim roku, zatem czternaście lat temu.

Jak się domyślasz, franciszkanie nigdy nie byli nią zachwyceni. Spodziewali się obrazu, który wzmocni ich wiarę w Niepokalane Poczęcie i rozświetli ten ołtarz. W zamian otrzymali scenę, która nie została opisana w żadnej ewangelii, przedstawiającą świętego Jana z Chrystusem w którymś epizodzie Jego ucieczki do Egiptu.

- Matkę Boską, Jana, Jezusa i archanioła Ariela. Tego samego, który przestrzegł Noego przed potopem. Cóż takiego złego w tym widzicie?

- Wszyscy jesteście tacy sami - odparł jego prześladowca zgorzkniałym tonem. - Leonardo zgodził się przerobić obraz, ale ostatecznie dostarczył nam jego nową wersję, w której pominał zuchwałe detale.

- Zuchwałe?

- A jak nazwałbyś dzieło, na którym nie można odróżnić świętego Jana od Jezusa Chrystusa, a na dodatek ani Madonna, ani też jej Syn nie są ukoronowani należną im aureolą świętości? Jak należy rozumieć fakt, że dwójka świętych dzieci jest do siebie podobna jak dwie krople wody? Czyż nie jest bluźnierstwem wprowadzanie zamętu w głowach wiernych?

Uczucie ulgi pozwoliło mu nareszcie głęboko odetchnąć. Kat - pewien był bowiem, że to właśnie on - niczego nie zrozumiał. Bracia, którzy przybyli tu przed nim i nigdy nie powró-

cili, musieli zginąć z jego ręki, nie wyjawiając przyczyny tego tajemnego kultu, on zaś był

gotów dochować ślubu milczenia nawet za cenę własnej krwi.

- Nie będę tym, który rozwieje wasze wątpliwości - odparł spokojnie, nie odważając się spojrzeć w twarz prześladowcy.

- To szkoda. Doprawdy wielka szkoda. Nie rozumiesz, że Leonardo zdradził was, malując tę nową wersję Maestà? Przyjrzyj się dobrze obrazowi. Każde z dzieci można łatwo od-różnić. Ten, który znajduje się bliżej Madonny, to święty Jan. Trzyma swoją charakterystyczną, zakończoną znakiem krzyża laskę i modli się, otrzymując równocześnie błogosławieństwo od drugiego dziecka, Chrystusa. Ariel nie wskazuje już na nikogo palcem i wreszcie nie ma wątpliwości, które z dzieci jest oczekiwanym Mesjaszem.

Zdrada?

Czy to możliwe, by mistrz Leonardo odwrócił się od swoich braci?

Pielgrzym raz jeszcze wyciągnął dłoń w stronę obrazu. Przybył tu pod osłoną tłumów zmierzających do Mediolanu, by uczestniczyć w uroczystościach pogrzebowych donny Beatrice d'Este, jego opiekunki. Czyżby i ona ich zdradziła? Czy to możliwe, że wszystko, o co walczyli, miało lec teraz w gruzach?

- W istocie, twoje wyjaśnienia nie są mi potrzebne - ciągnął nieustępliwie głos. - Wiemy już, kto natchnął Leonarda do popełnienia tej niegodziwości, zaś dzięki Ojcu Wiekuistemu nieszczęśnik ten spoczywa już od dłuższego czasu pod ziemią. Możesz być tego pewien: Bóg należycie pokarze brata Amadeusza z Portugalii wraz z jego Apocalipsis Nova. A wraz z nim jego ideał Madonny pojmowanej nie jako matka Chrystusa, lecz jako symbol mądrości.

- Przecież to wspaniały symbol - zaprotestował żebrak. -

Ideał wyznawany przez wielu. Nie zamierzacie chyba skazywać wszystkich, którzy malują Madonnę z dzieciątkiem Jezus i ze świętym Janem?

- Jeśli wprowadzają zamęt w dusze wiernych, tak.

- I doprawdy sądzicie, że kiedykolwiek dane wam będzie dosięgnąć mistrza Leonarda, jego uczniów i malarza de Luino?

- Mówicie o Bernardinie de Lupino? Zwanym też Lovinusem bądź Luinim?

- Znać go?

- Znam jego dzieła. To młody naśladowca Leonarda, który najwyraźniej popełnia te same błędy. Możesz być pewien, on również poniesie klęskę.

- Co zamierzacie uczynić? Zabić go?

Pielgrzym zorientował się, że dzieje się coś złego. Za jego plecami rozległ się meta-liczny dźwięk wyciąganej z pochwy szpady. Złożona przez niego przysięga zabraniała mu po-sługiwać się bronią, wzniósł zatem modły do fałszywej Maestà, prosząc o pocieszenie.

- Zamierzacie skończyć i ze mną?

- Wróżbita kończy z nierozważnymi.

- Wróżbita...?

Nie zdążył dokończyć, bowiem jego ciałem wstrząsnęły gwałtowne konwulsje. Ostrze długiej szpady przeszło mu plecy. Z gardła pielgrzyma dobyło się przedśmiertne rzęzenie.

Piędź metalu przebiła jego serce. Było to przejmujące doznanie, niczym błyskawica, które zmusiło go do otwarcia przerażonych oczu. Rzekomy żebrak nie czuł bólu, jedynie zimno: lodowaty uścisk, który sprawił, że zachwiał się przed ołtarzem, po czym padł na posiniaczone kolana.

Wówczas po raz pierwszy i ostatni spojrział na napastnika.

Wróżbita był gęstym, czarnym cieniem, jego twarzy nie można było rozpoznać. W ko-

ściele robiło się coraz ciemniej. Wszystko powoli roztapiało się w mroku. Nawet czas zaczął

biec w dziwnym tempie. Kiedy pielgrzym osunął się na posadzkę, z przerzuconego przez ramię tobołka wypadł kawałek chleba i garść kartoników z dziwnymi wizerunkami. Leżący najbliżej przedstawiał kobietę w habicie świętego Franciszka, z potrójną koroną na głowie, trzymającą w prawej dłoni krzyż świętego Jana, zaś w lewej zamkniętą księgę.

- Przeklęty heretyk! - wymamrotał Wróżbita na widok karty.

Pielgrzym obserwował, jak Wróżbita podnosi tę właśnie kartę i macza pióro w jego krwi, by coś zapisać na rewersie. Posłał mu ironiczny uśmiech.

- Nigdy... nie otworzycie... księgi kapłanki.

Skurczony pielgrzym, którego krew tryskała na kamienną posadzkę, nagle dostrzegł

coś, co wcześniej umknęło jego uwagi: chociaż Ariel nie wskazywał już na Jana Chrzciciela, jak na prawdziwym Opus Magnum, jego oczy mówiły wszystko. Przesłonięte powiekami oczy „Boskiego płomienia” wskazywały na mędrca znad Jordanu jako na jedynego zbawcę świata. Leonardo - pocieszył się pielgrzym, nim na zawsze zanurzył się w ciemność - jednak nas nie zdradził. Wróżbita skłamał.

Dotrwaliśmy aż do sobotniego ranka, 14 stycznia. Dopiero wówczas opuściliśmy klasztorne mury, by spokojnie obejść ceglana fasadę Santa Maria delie Grazie. Brat Alessandro, który udowodnił swą szczególną przebiegłość w rozwiązywaniu zagadek, znów promieniował radością. Tak jakby wyjątkowo mroźna ostatnia noc w ogóle nie dała mu się we znaki.

O wpół do siódmej, tuż po nabożeństwie, obaj byliśmy gotowi do wyjścia na ulicę. Czekające nas zadanie było bardzo proste. Miało zresztą zająć nam niewiele więcej niż dwie minuty. Pomimo to byłem głęboko przejęty.

Nie uszło to uwagi brata Alessandra. Postanowił jednak zachować milczenie.

Wiedział, że bez względu na to, jaką „liczbę imienia” odnajdziemy, i tak nie będzie to równoznaczne z rozwiązaniem problemu. Będziemy mieć co prawda liczbę, być może będzie to wartość imienia naszego anonimowego informatora, lecz przecież nie będziemy mieć co do tego pewności. Może będzie to całkowita liczba liter jego nazwiska? A może numer jego celi?

A może coś jeszcze innego?

- Zapomniałem wam o czymś powiedzieć - przerwał w końcu milczenie bibliotekarz.

- O co chodzi, bracie?

- To coś, co przyniesie wam ulgę. Kiedy wreszcie będziemy mieć tę upragnioną liczbę, trzeba się będzie jeszcze sporo napracować, by rozgryźć tę zagadkę.

- Z pewnością.

- Otóż to. Powinniście wiedzieć, że w całej Italii nie ma zakonników bardziej do-

świadczonych w rozwiązywaniu zagadek niż bracia z Santa Maria delie Grazie.

Uśmiechnąłem się. Bibliotekarz, podobnie jak większość sług Bożych, nigdy nie słyszał o Betanii. Tym lepiej. Brat Alessandro koniecznie chciał mi wyjaśnić, co daje mu prawo do wygłaszania tak pochlebnej opinii. Zapewnił mnie, że ulubioną rozrywką tej elitarnej grupy, składającej się z około trzydziestu dominikanów, jest rozwiązywanie zagadek i szarad.

Niektórzy wykazywali się przy tym niezwykłą biegłością. Byli też wśród nich tacy, którzy pasjonowali się ich układaniem.

- Lasy rodzą dzieci, które je potem niszczą. Co to takiego? - zapytał, świadom, że nie podzielam jego entuzjazmu. - Trzonki toporów!

Brat Alessandro nie szczędził mi szczegółów. W jego opowieści najbardziej zwróciło moją uwagę to, że ich zagadki nie były tylko rozrywką. Bracia często wykorzystywali je w swojej pracy

kaznodziejskiej. Jeśli brat Alessandro nie przesadzał, to w klasztornych murach znajdowała się najlepsza w całym świecie chrześcijańskim, nie licząc Betanii, szkoła specjalistów od zagadek. Nic dziwnego, że Wróżbita wywodził się właśnie stąd.

- Nie ignorujcie tego, ojcie Leyre - bibliotekarz uprzedził moje myśli. - Kiedy już bę-

dziecie mieć tę liczbę i nie będziecie wiedzieli, co dalej z tym zrobić, poradźcie się któregoś z braci. Ten, po którym najmniej byście się tego spodziewali, znajdzie rozwiązanie.

- Któregokolwiek, mówicie?

Bibliotekarz wykonał wymowny gest.

- Oczywiście! Któregokolwiek! Z pewnością ten, kto uczestniczy w zawodach, wie więcej o zagadkach niż taki rzymianin jak wy, ojcie Leyre. Spytajcie bez obawy przeora, ojca kucharza, odpowiedzialnych za spiżarnię, skrybów, każdego! Uważajcie tylko, żeby zrobić to dyskretnie i żeby nie oskarżono was o łamanie ślubu milczenia, który obowiązuje każdego z nas.

Mówiąc te słowa, odsunął rygiel, blokujący główne wyjście z klasztoru.

Czapa śniegu zleciała z dachu i rozpadła się z łoskotem u naszych stóp. Szczerze mó-

wiąć, nie spodziewałem się, że coś tak banalnego jak obejście o poranku murów kościelnych okaże się trudnym zadaniem. Ostry mróz sprawił, że pokrywa śniegu stała się śliska jak lód.

Było białe i pusto, wszystko zaś spowijała zatrważająca cisza. Już sam pomysł, by opierając się o ceglany mur mistrza Solariego, iść wzdłuż parkanu, który otaczał trzeci krużganek, przeraziłby najbardziej odważnego: pechowe poślizgnięcie groziło skręceniem karku lub kalec-twem na resztę życia. Nie wspominając już o tym, jak trudno byłoby nam wytłumaczyć braciom, co oderwało nas o tej porze od modłów i sprawiło, że wyszliśmy poza mury klasztorne, ryzykując życie.

Lepiej było o tym nie myśleć. Ostrożnie, starając się nie zmoczyć sandałów bardziej niż to konieczne, posuwaliśmy się powoli naprzód, stąpając między taflami lodu w kierunku fasady, równoległe do ulicy. Przemknęliśmy na drugą stronę i, kiedy uznaliśmy już, że znaj-dujemy się w rozsądnej odległości, zapewniającej nam widok na całą budowlę, przyjrzeliliśmy się uważnie oknom. Były rozświetlone od wewnątrz łagodnym blaskiem, który sprawiał, że lśniły niczym oczy smoka. Boczna elewację kościoła zdobił cały rząd takich okien - okulusów. Za rogiem zaczynała się fasada, „oblicze” zwrócone w inną stronę.

- Lecz nie spoglądaj w oblicze... - powiedziałem, szczękając zębami.

Skostniały z zimna, chowając dłonie w rękawy sukienego habitu, zacząłem liczyć: jeden, dwa, trzy... siedem.

Ta liczba wprowadziła mnie w zdumienie. Siedem wersetów, siedem okulusów... Liczbą imienia anonimowego autora listów musiało być, bez wątplenia, to nieszczęsne i powtarzające się siedem.



To, co wydarzyło się później, wiele mi wyjaśniło.

- A więc to wy jesteście tym ojcem z Rzymu, który niedawno zagościł w naszym domu?

Przeor Santa Maria delie Grazie, Vincenzo Bandello, nim zaprosił mnie do zakrystii, przez chwilę przyglądał mi się z surowym wyrazem twarzy. Nareszcie miałem poznać człowieka, który napisał dla Betanii raport o śmierci Beatrice d'Este.

- Brat Alessandro wiele mi o was mówił - ciągnął. - Zdaje się, że jesteście człowiekiem bardzo oddanym nauce. Byстрыm uczonym o dużej sile woli, którego pobyt tu może wzbogacić naszą wspólnotę. Przypomnijcie mi, jak się zwiecie?

- Augustyn Leyre, ojciec przeorze.

Bandello skończył właśnie odprawiać tercję w słabych promieniach słońca, które ledwo ogrzewało dolinę Padu. Kiedy do niego podszedłem, zamierzał zająć się przygotowaniem kazania na pogrzeb donny Beatrice. Tylko po części uczyniłem to pod wpływem irracjonalnego impulsu. Przecież brat Alessandro nalegał, żebym poradził się w sprawie mojej zagadki któregokolwiek z braci. I zapewniał, że najmniej oczekiwany wybór okaże się odpowiedni. A kogóż mógł dotyczyć najmniej oczekiwany wybór, jak nie przeora?

Podjąłem tę decyzję wkrótce po powrocie do klasztoru, kiedy, przemarznięty, szuka-

łem wewnątrz murów jakiegoś ciepłego miejsca. Los sprawił, że trafiłem do zakrystii, w któ-

rej akurat znajdował się ojciec Bandello. Bibliotekarz zostawił mnie samego. Odszedł, tłumacząc, że musi zejść do kuchni po wiktuały dla mnie na naszą kolejną sesję w sprawie siedmiu wersetów. Uznałem, że należy wykorzystać nadarzącą się okazję.

Ojciec Vincenzo Bandello miał nieco ponad sześćdziesiątkę, oblicze pomarszczone i pofałdowane niczym zwinięty żagiel, silnie zarysowany podbródek i niezwykłą zdolność obrazowania szerokiej gamy emocji za pośrednictwem mimiki i gestykulacji. Był drobniejszy, niż mi się zdawało, kiedy go widziałem po raz pierwszy podczas jutrzni w kościele. Krążył

nerwowo po zakrystii, od jednej szafy o malowanych drzwiach do drugiej, jakby nie mógł się zdecydować, którą z nich najpierw zamknąć.

- I powiedzcie mi, ojciec Augustynie - spytał, chowając kielich i patenę, których używał podczas ostatniej mszy - czym zajmujecie się w Rzymie?

- Przydzielono mnie do Świętego Oficjum.

- Tak, tak... I jak rozumiem, w chwilach wolnych od obowiązków lubicie rozwiązywać zagadki? To świetnie - uśmiechnął się. - Na pewno znajdziemy wspólny język.

- Z tego właśnie powodu chciałem z wami rozmawiać.

- Doprawdy?

Przytaknąłem. Jeśli przeor był taką znakomitością, jak mówił bibliotekarz, to być może nie uszła jego uwagi obecność w Mediolanie kogoś takiego jak Wróżbita. Musiałem jednak zachować ostrożność. Być może on sam był autorem anonimów i nie chciał, abym odkrył jego tożsamość, nim on sam się dowie, jakie są moje prawdziwe intencje. Mogło być jeszcze gorzej: być może nie wiedział o istnieniu Wróżbity, lecz to nie wykluczało, że może powiadomić il Moro o naszym dochodzeniu.

- Powiedzcie mi coś jeszcze, ojcze Leyre. Jesteście tak wielkim miłośnikiem odkrywania tajemnic, ale zapewne nie słyszeliście nigdy o sztuce pamięci?

Bandello zadał to pytanie mimochodem, ja zaś na próżno starałem się określić stopień jego zaangażowania w sprawę listów. Być może grzeszyłem nadmierną podejrzliwością. W

końcu każdy zakonnik, którego poznawałem w Santa Maria delie Grazie, powiększał moją listę podejrzanych. I nie było powodu, by inaczej traktować ojca Vicenza. Prawdę powiedziawszy, biorąc pod uwagę wszystkie możliwości, spośród prawie trzydziestu zakonników, którzy zamieszkiwali te mury, przeor był człowiekiem najbardziej pasującym do charakterystyki Wróżbity. Nie wiem, jak to możliwe, że już wcześniej, w Betanii, nie zdaliśmy sobie z tego sprawy. Nawet jego imię, Vincenzo, składało się z siedmiu liter. Ni mniej, ni więcej. Jak siedem wersetów tego nieszczęsnego Oculos ejus dinumera lub siedem okien południowej elewacji kościoła. Uświadomiłem to sobie, gdy podziwiałem zręczność, z jaką manipulował wyjętym spod habitu pękiem kluczy. Przeor był jedynym człowiekiem dobrze zorientowanym w projektach i planach finansowych księcia związanych z klasztorem Santa Maria i być może jedynym, który mógłby wysłać listy do Rzymu pocztą oficjalną i zarazem najbezpieczniejszą.

- A zatem? - ponaglił mnie, coraz bardziej rozbawiony moim zamyśleniem. - Słyszeliście o tej sztuce czy nie?

Pokręciłem głową. Starałem się doszukać w nim czegoś, co potwierdziłoby moje podejrzenia.

- To wielka szkoda! - ciągnął. - Tylko nieliczni wiedzą, że nasz zakon wydał wielkich znawców tej szlachetnej dyscypliny.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- I zapewne nie wiecie również, że już sam Cycero wspominał o tej sztuce w swoim De Oratore, ani też o tym, że pewien jeszcze starszy traktat Ad Herennium, opisuje ją szczegółowo, a także podaje nam przepis na zapamiętanie wszystkiego, co się komu zamarzy.

- Podaje nam? Dominikanom?

- Oczywiście! Od trzydziestu czy czterdziestu lat, ojcze Leyre, wielu spośród nas po-

święca się zgłębianiu tajników tej sztuki. Przecież wy sami macie na co dzień do czynienia z opasłymi zbiorami dokumentów. Czy nigdy nie marzyliście o tym, by przechować w pamięci jakiś tekst, wizerunek czy imię i już nigdy nie martwić się tym, że ta wiedza wam umknie?

- Ależ tak. Lecz jedynie osoby obdarzone wyjątkowymi zdolnościami...

- A skoro jest wam to potrzebne w pracy - przerwał mi - to czy nigdy nie staraliście się odkryć najlepszego sposobu na osiągnięcie czegoś tak cudownego? Starożytni, którzy nie posiadali takich jak my możliwości kopiowania ksiąg, odkryli doskonałą metodę: wymyślili

„pałace pamięci”, w których gromadzili skarby swej wiedzy. Zapewne o nich też nie słyszeliście, nieprawdaż?

Pokręciłem głową, oniemiały ze zdumienia.

- Grecy na przykład wyobrażali sobie wielką budowlę pełną sal i okazałych galerii, po czym każdemu oknu, arkadzie, kolumnadzie, schodom czy sali przypisywali inną dziedzinę nauki. W sieni „przechowywali” wiedzę dotyczącą gramatyki, w salonie - retorykę, w kuchni umiejętności oratorskie, i tak dalej. Aby zaś przypomnieć sobie coś, co wcześniej w jakimś miejscu złożyli, musieli jedynie udać się w wyobraźni do tego zakątka pałacu i wydobyć wiedzę na ten temat w porządku odwrotnym do tego, w jakim ją tam umieścili. Genialne, nieprawdaż?

Spojrzałem na przeora. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Czy próbował podsunąć mi jakiś powód, bym mógł zřęcznie zadać mu pytanie o listy, które dotarły do Rzymu? Czy powinienem, zgodnie z radą brata Alessandra, bez ogródek prosić go o pomoc w rozwiązaniu zagadki? W obawie przed utratą jego dopiero co zdobytego zaufania zdecydowałem się na subtelną insynuację:

- Powiedzcie mi jedno, ojciec Vincenzo. Jeśli zamiast „pałacu pamięci” użyjemy „ko-

ścioła pamięci”? Czy moglibyśmy, na przykład, ukryć imię jakiejś osoby w kościele z cegły i kamienia?

- Widzę, bracie Augustynie, że nie brak wam przenikliwości - zmrużył oczy. - I zmysłu praktycznego. To, co zaprojektowali Grecy z myślą o pałacach istniejących wyłącznie w wyobraźni, Rzymianie, a także Egipcjanie, zastosowali przy wznoszeniu prawdziwych budowli. Jeśli wchodził do nich ktoś, kto znał właściwy „kod pamięci”, pozyskiwał, przechodząc z sali do sali, cenne informacje.

- A kościół?

- Tak, kościół również może służyć do tego celu - przyznał. - Ale pozwólcie, że najpierw, nim wytłumaczę wam, jak działa ten system, coś wam pokażę. Jak już mówiłem, od wielu lat dominikanie z Rawenny, Florencji, Bazylei, Mediolanu czy Fryburga pracują nad systemem zapamiętywania, który ma się opierać na specjalnie zaprojektowanych wizerunkach lub strukturach architektonicznych.

- Zaprojektowanych?

- Tak, odpowiednio przystosowanych, wyretuszowanych i ozdobionych dekoracyjnymi detalami, które komuś nie wtajemniczonymu wydają się zbyteczne, zaś dla kogoś, kto zna ukryty w nich tajemny alfabet, mają fundamentalne znaczenie.

Przeor wyciągnął z fałd habitu kawałek papieru i położył go na stole. Była to biała kartka, nie większa od jego dłoni, z rogami poplamionymi lakierem. Ktoś odbił na niej postać kobiety, która lewą stopę opiera na drabinie. Towarzystwo jej jakieś ptaki, zaś na jej piersi widniały dziwne przedmioty. U jej stóp umieszczono łaciński napis, który nie pozostawiał

wątpliwości co do jej tożsamości. „Pani Gramatyka”, bo to o nią chodziło, patrzyła w dal nieobecny wzrokiem.



- Opracowaliśmy właśnie jeden z takich wizerunków, który w przyszłości posłuży do zapamiętania różnych obszarów gramatyki. Tak to wygląda - powiedział, wskazując na ten osobliwy rysunek. - Interesuje was, jak to działa?

Przytaknąłem.

- Przyjrzyjcie się dobrze - zachęcił przeor. - Gdyby ktoś zadał nam teraz pytanie o podstawowe zasady, którymi rządzi się gramatyka, to mając przed oczami tę kartę, mogliby-

śmy odpowiedzieć bez chwili namysłu.

- Doprawdy?

Moje niedowierzanie zostało potraktowane z powagą.

- Odpowiedź byłaby bardzo zwięzła i jasna: praedicatio, applicatio i continencia. Wiecie dlaczego? To bardzo proste, odczytałem odpowiedź z tego wizerunku.

Przeor pochylił się nad kartką i kreśląc nad nią kręgi w powietrzu, zaczął objaśniać poszczególne części rysunku:

- Spójrzcie uważnie: praedicatio zostało zaznaczone poprzez ukazanie siedzącego na prawym ramieniu ptaka, a pierwsza litera tego wyrazu to „P”. Dodatkowo wskazuje na to jego głowa, która ma kształt tej litery. Jest to najważniejszy atrybut „pani Gramatyki”. Dlatego na tym obrazku został przedstawiony aż dwukrotnie. Tym bardziej że jest również przypisany do naszego zakonu. W końcu jesteśmy ordo predicatorum, czyli zakonem kaznodziejów, nieprawdaż?

Spojrzałem na zabawną chorągiewkę, którą trzymała „pani Gramatyka”. Była zwinięta w taki sposób, że tworzyła literę „P”, o której mówił Bandello.

- Drugi atrybut - ciągnął - applicatio, jest przedstawiony jako aquila, czyli orzeł, ten, którego Gramatyka trzyma w dłoni. Oba słowa aquila, orzeł, i applicatio zaczynają się od litery „A”. Umysł wyćwiczony w ars memoriae natychmiast skojarzy te dwa fakty. A jeśli chodzi o continencia, to została prawie w całości wypisana na piersi kobiety. Jeśli spojrzycie na te przedmioty: łuk, koło, pług i młotek, tak jakby każdy z nich był literą, to od razu przeczytacie c-o-n-t... Continencia!

Było to zadziwiające. Komuś udało się zamknąć całą teorię gramatyki w jednym nie-winnie wyglądającym rysunku. Nagle przyszło mi do głowy, że książki drukowane już setka-mi w oficynach Wenecji, Rzymu czy Turynu mogą zawierać na swych kartach tytułowych ry-ciny z ukrytymi informacjami, których my, niewtajemniczeni, nigdy byśmy nie dostrzegli. W

Sekretariacie Szyfrów nikt nas czegoś takiego nie uczył.

- A te przedmioty, które zwisają z szyi ptaków lub są przez nie trzymane w dziobach?

Czy one również mają jakieś znaczenie? - spytałem, nadal oszołomiony tym niespodziewa-nym odkryciem.

- Mój drogi bracie, wszystko, absolutnie wszystko ma jakieś znaczenie. Zwłaszcza w naszych czasach, kiedy każdy możny, władca czy kardynał ma tak wiele do ukrycia. Ich uczynki, dzieła sztuki, które zamawiają, a także księgi, nad którymi sprawują pieczę, kryją w sobie wiele tajemnic.

Na zakończenie przeor uśmiechnął się zagadkowo. To była odpowiednia chwila.

- A wy? - wyszeptałem. - Czy wy również coś ukrywacie?

Bandello spojrział na mnie. Z jego twarzy nie zniknął ironiczny grymas. Poglądził się po idealnie wygolonym ciemieniu i z roztargnieniem przeczesał palcami włosy.

- No cóż, niejeden przeor ma swoje sekrety.

- I ukryłby je w już wzniesionym kościele? - ciągnąłem dalej moją grę.

- Ach! - wykrzyknął. - Z łatwością. Najpierw wszystko by policzył: ściany, okna, wie-

że, dzwony... Liczba jest najważniejsza! Następnie, po zredukowaniu kościoła do liczb, zastanowiłby się, które z nich łączą się z odpowiednimi literami lub słowami. Porównałby je ze sobą, biorąc pod uwagę zarówno liczbę znaków składających się na słowo, jak i wartość tego słowa po jego zredukowaniu do liczby.

- Ależ to jest gematria, ojczy! Tajemna nauka Żydów!

- Rzeczywiście, to jest gematria. Lecz wiedza ta, w przeciwieństwie do tego, co sugeruje wasze oburzenie, nie zasługuje na pogardę. Jezus był Żydem i nauczył się gematrii w świątyni. Przecież wiemy, że słowa Abraham i Misericordia są słowami numerycznie bliźnia-czymi. A drabina Jakubowa i góra Synaj w języku hebrajskim mają wartość liczbową sto trzydzieści, co wskazuje na to, że są to zaplanowane przez Boga miejsca dostępu do nieba.

- Czy to znaczy - przerwałem mu - że gdybyście mieli ukryć wasze imię, Vincenzo, w kościele Santa Maria delie Grazie, wybralibyście do tego celu jakieś szczególne elementy architektoniczne, które w sumie dają cyfrę siedem, jak siedem liter waszego imienia?

- Nie inaczej.

- Coś takiego jak na przykład... siedem okien? Siedem okulusów?

- Nie byłby to zły wybór. Choć ja raczej skłoniłbym się ku któremuś z fresków, które zdobią kościół. Pozwoliłoby to na dodanie innych treści, co w przypadku zwykłego ciągu okien jest niemożliwe. Im więcej elementów zawartych w jednej przestrzeni, tym większe możliwości otwierają się przed sztuką zapamiętywania. Elewacja kościoła Santa Maria jest, prawdę powiedziawszy, trochę zbyt prosta, by służyć do tego celu.

- Doprawdy tak uważacie?

- Oczywiście. Co więcej, siedem to liczba, którą można interpretować na wiele sposobów. Liczba w najwyższym stopniu święta. Biblia często się do niej odnosi. Nie przyszłoby mi do głowy użyć tak wieloznacznej liczby w celu ukrycia mojego imienia.

Miałem wrażenie, że Bandello jest ze mną szczery.

- Chciałbym wam coś zaproponować - dodał zniechęcony. - Powierzę wam zagadkę, nad którą teraz pracuje nasze zgromadzenie, a wy powierzycie mi swoją. Jestem pewny, że będę-

dziemy mogli nawzajem sobie dopomóc.

Oczywiście przyjąłem jego propozycję.

Zadowolony z siebie przeor poprosił, abym udał się wraz z nim do przeciwległej części klasztoru. Chciał mi coś pokazać. I to szybko.

Wolnym krokiem obeszliliśmy ołtarz główny, pozostawiliśmy w tyle chór i trybunę, które kończono właśnie dekorować z okazji uroczystości pogrzebowych donny Beatrice, i po-dążyliśmy długim korytarzem w stronę Dziedzińca Umarłych. Ceglane mury, rzędy granito-wych kolumn ustawionych w nienagannych odstępach i posadzka z doskonale dopasowanych kamiennych płyt podkreślały surowość tych korytarzy. W drodze do naszego tajemniczego miejsca przeznaczenia brat Vincenzo dał znak ojcu Benedettowi, jednookiemu skrybie, który zgodnie ze swoim zwyczajem przechadzał się bez celu pod arkadami ze wzrokiem wbitym w brewiarz, którego nie zdołałem zidentyfikować.

- Co takiego? - mruknął, gdy zorientował się, że jego przełożony go wzywa. - Kolejne odwiedziny Opus Diaboli? Lepiej by było, gdybyście pogrzebali je pod warstwą zaprawy wa-piennej!

- Ależ proszę, bracie! Jesteście mi potrzebni - powiedział przeor rozkazującym tonem.

- Nasz gość wymaga towarzystwa osoby, która zna historię tego miejsca. Nie ma nikogo, kto byłby w tym od was lepszy. Najdłużej jesteście w naszym zgromadzeniu. Dłużej nawet, niż stoją mury tego domu.

- Historię, powiadacie?

Jedynie oko starego mnicha rozblęskło zainteresowaniem. Byłem pod silnym wrażeniem tego człowieka, który zachowywał się tak, jakby demonstrowanie swego kalectwa sprawiało mu przyjemność. Dumnie obnosił się z blizną, jaka pozostała w miejscu, gdzie niegdyś posiadał utracony już teraz organ.

- O tym domu rzeczywiście można wiele opowiedzieć. Założę się, że nie wiecie, dlaczego to miejsce nazywamy Dziedzińcem Umarłych? - spytał, dołączając do nas. - To proste.

Tutaj chowamy naszych braci, by powrócili do ziemi tak, jak się na niej znaleźli. No wiecie, bez honorów ani upamiętniających ich tablic. Bez pychy. Jedynie w habicie naszego zakonu.

Nadejdzie dzień, w którym cały ten dziedziniec zapełnią kości.

- To jest wasz cmentarz?

- Dużo więcej niż cmentarz. To nasz przedsionek niebios. Bandello stanął już na wprost potężnych podwójnych drzwi.

Sprawały wrażenie bardzo solidnych, zamocowano w nich równie solidnie wyglądają-ący żelazny zamek. Przeor szybko dopasował do niego jeden zawieszonych u pasa kluczy.



Serce zabiło mi mocniej, przeczuwałem, że za drzwiami znajduje się to, co przeor chciał mi pokazać. Brat Alessandro naprowadził mnie już na trop, zresztą ja sam również zdążyłem przygotować się na ten doniosły moment. Tam za drzwiami, w przestronnej sali znajdującej się pod posadzką biblioteki, powinien mieścić się słynny refektarz klasztoru Santa Maria delie Grazie, do którego Leonardo ograniczył mnichom dostęp. O ile się nie myliłem, to właśnie refektarz był powodem mojej obecności w Mediolanie, a także przyczyną tego, iż Wróżbita pi-sał do Domu Prawdy swe zatrważające listy.

Ogarnęły mnie nowe wątpliwości: a może obaj, Bandello i ja, staramy się rozwiązać tę samą zagadkę?

- Gdyby to miejsce zostało już poświęcone - oznajmił pogodnie przeor, otwierając drzwi - musielibyśmy najpierw umyć ręce, zaś wy obaj czekali byście na zewnątrz na moje pozwolenie, by wejść do środka.

- Lecz nie jest! - burknął jednooki.

- Nie. Jeszcze nie. Co nie znaczy, że nastrój świętości nie może przeniknąć do naszych dusz.

- Nastrój świętości... Głupoty!

Tak rozmawiając, weszliśmy do środka.

Zgodnie z moimi przypuszczeniami, przekroczyliśmy właśnie próg sali, która w przyszłości miała stać się refektarzem. Było to ciemne i zimne pomieszczenie pełne wielkich kar-tonowych arkuszy opartych o ściany i porozrzucanych na posadzce. Panował tu straszny bałagan. Sznury i cegły, parawany, wiadra i - rzecz niezwykła - nakryty do obiadu stół, na którym rozłożono wielki obrus z białego lnu, wypełniały pomieszczenie, które robiło wrażenie od dawna zapomnianego. Zwróciłem szczególną uwagę na stół, ponieważ w całym tym chaosie stanowił niewątpliwie oazę porządku. Nic nie wskazywało na to, by był używany. Talerze były puste, a cała zastawa zdawała się pokryta cienką warstwą kurzu, co stanowiło świadectwo kilkutygodniowego opuszczenia.

- Błagam, niech was nie przerazi opłakany stan naszej przyszłej jadalni, ojcze Augustynie - powiedział Bandello, podciągając habit i przedzierając się przez morze kartonów. -

To będzie nasz nowy refektarz. Już od trzech lat tak to wygląda. Wyobrażacie sobie? Bracia nie mają właściwie wstępu do tego pomieszczenia, z powodu wyraźnego zakazu mistrza Leonarda, który do czasu ukończenia pracy trzyma to miejsce pod kluczem. A tymczasem nasze meble wciśnięte w tamten kąt niszczeję wśród tego brudu i ohydneho zapachu farby.

- A nie mówiłem, że to piekło? Piekło, z diabłem i całą resztą...

- Benedetto, na Boga! - skarcił go przeor.

- Nie przejmujcie się - wtrąciłem. - W Rzymie stale coś się buduje albo ozdabia. To dla mnie nic nowego.

Pod jedną ze ścian tej wielkiej sali, za drewnianymi parawanami, można było dostrzec ogromny stół w kształcie litery „U”, na którym ustawiono wielkie, bejcowane na czarno zydle. W tym ciemnym kącie spoczywały również, niszczone z powodu wilgoci, szczątki wy-twornego drewnianego baldachimu.

W miarę jak brnęliśmy przed siebie, przesuając napotkane po drodze graty, Bandello wyjaśniał:

- W tym klasztorze żadna praca dekoratorska nie została jeszcze wykonana na czas.

Lecz najgorzej jest z tą salą. Zakończenie robót wydaje się niemożliwe.

- To wina Leonarda - znów mruknął Benedetto. - Od miesięcy z nami igra. Skończmy z nim wreszcie!

- Uspokójcie się, błagam. Dajcie mi wytłumaczyć ojcu Augustynowi, na czym polega nasz problem.

Bandello zerknął na prawo i lewo, jakby chciał się upewnić, że nikogo prócz nas tu nie ma. Ostrożność była niczym nieuzasadniona, bo od kiedy opuściliśmy kościół, nie spotkali-

śmy na naszej drodze żadnego z braci, za wyjątkiem cyklopa. Zaś prawdopodobieństwo, że ktoś się tu ukrył, w czasie gdy wszyscy powinni być pochłonięci przygotowaniami do uroczystości pogrzebowych lub zajęci codziennymi obowiązkami, było doprawdy znikome. Jednak-

że przeor najwyraźniej nie był takiego zdania. Przeciwnie, wyglądał na przestraszonego. Być może dlatego ściszył głos, szepcząc mi niemal do ucha:

- Zaraz zrozumiecie, dlaczego zachowuję taką ostrożność.

- Doprawdy?

Ojciec Vincenzo przytaknął zdenerwowany.

- Mistrz Leonardo, malarz, jest człowiekiem niezwykle wpływowym i gdyby wiedział, że pozwoliłem wam tu wejść bez jego pozwolenia, mógłby narobić mi wielu kłopotów.

- Mówicie o mistrzu Leonardzie da Vinci?

- Nie wymawiajcie tak głośno jego imienia! - syknął. - Tak was to dziwi? Sam książę wezwał go tu cztery lata temu, by wykonał część dekoracji klasztoru. Il Moro chce, by w ab-sydzie kościoła znalazł się panteon rodziny Sforzów. Dlatego potrzebna mu jest okazała opra-wa, nie mająca sobie równych, która usprawiedliwiłaby jego decyzję w oczach rodziny. Dlatego go zatrudnił. I zaprawdę powiadam wam, że - od kiedy książę powziął takie plany wzglę-

dem naszego klasztoru - dom ten nie zaznał ani jednego dnia spokoju!

- Ani jednego - powtórzył Benedetto. - A wiecie dlaczego? Bo ten mistrz, który zawsze chodzi ubrany na białą i nigdy nie bierze do ust mięsa, ani nie jest w stanie zabić żadnego zwierzęcia, ma tak naprawdę przewrotną duszę. Do prac, które wykonuje na rzecz naszego zgromadzenia, wprowadził

zgubną herezję i rzucił nam wyzwanie: mamy sami wpaść na jej trop, zanim on ukończy prace. A il Moro go wspiera!

- Ale przecież Leonardo nie jest...

- Heretykiem? - przerwał mi przeor. - Nie, skądże. Na pierwszy rzut oka nie sprawia takiego wrażenia. Nie skrzywdziłby nawet muchy, cały dzień nad czymś rozmyśla, robi notatki w swoich zeszytach. Wydaje się, że to mędrzec. Ale jestem pewny, że nie jest dobrym chrześcijaninem.

- Czy mogę was o coś spytać?

Przeor przytaknął.

- Czy to prawda, że poleciliście zebrać wszelkie możliwe informacje na temat Leonarda, bo nie mieliście do niego zbytniego zaufania? Dowiedziałem się o tym od brata bibliotekarza.

- Widzicie, po tym jak rzucił nam wyzwanie, było to jak najbardziej właściwe. Wkrótce to zrozumiecie. Czuliśmy się zobowiązani do zbadania jego przeszłości. Musieliśmy przecież wiedzieć, z kim mamy do czynienia. Gdyby rzucił takie wyzwanie Świętemu Oficjum, też byście tak postąpili.

- Tak przypuszczam.

- A zatem zleciłem bratu Alessandrowi sporządzenie charakterystyki twórczości Leonarda, byśmy mogli uprzedzić jego posunięcia. I tak dowiedzieliśmy się, że franciszkanie z Mediolanu mieli z nim poważne kłopoty. Zdaje się, że malując dla nich obraz, inspirował się pogańskimi źródłami. I w efekcie powstało dzieło, które wprowadza wiernych w błąd.

- Brat Alessandro opowiadał mi o tym. A także o pewnej heretyckiej księdze niejakiego brata Amadeusza.

- Chodzi o Apocalipsis Nova?

- Tak.

- Ale to jeszcze nic. Alessandro odkrył dużo więcej. Nie wspominał wam o tym, że Leonardo unika malowania pewnych scen biblijnych?

- Unika?

- Tak, to bardzo znaczące. Dotąd nie udało nam się znaleźć ani jednego jego dzieła, które przedstawiałoby scenę ukrzyżowania. Ani jednego. I w ogóle żadnego, które dotyczyło-by męki Naszego Pana.

- Może nigdy nie dostał takiego zlecenia.

- Nie, ojciec Leyre. Toskańczyk z jakichś tajemniczych powodów unika malowania tych scen. Na początku podejrzewaliśmy, że może jest Żydem, lecz później okazało się, że nie. Nie przestrzega

zasad szabasu ani innych żydowskich obyczajów.

- A zatem?

- No cóż... Sądzę, że ta anomalia ma związek z naszym problemem.

- Opowiedzcie mi o nim. Brat Alessandro nigdy nie wspomniał o tym, że Leonardo rzucił wam takie wyzwanie.

- Bibliotekarza przy tym nie było. Zresztą z całej wspólnoty wie o tym nie więcej niż pół tuzina braci.

- Słucham was uważnie.

- To było w trakcie jednej z kurtuazyjnych wizyt, jakimi donna Beatrice zaszczycała Leonarda. Mistrz namalował już postać świętego Tomasza. Przedstawił go jako brodatego mężczyznę, który tuż obok Chrystusa wznosi do góry palec wskazujący.

- Przypuszczam, że to ten palec, którym później dotknął rany Chrystusa, po Jego zmartwychwstaniu, prawda?

- Tak pomyślałem i tak też wytłumaczyłem to Jej Wysokości, księżniczce d'Este. Lecz Leonardo wyśmiał moją interpretację.

Powiedział, że mnisi nie mają pojęcia o symbolach i gdyby zechciał, mógłby tu nawet wymalować scenę z życia Mahometa i żaden z nas by tego nie zauważył.

- Tak powiedział?

- Donna Beatrice i mistrz zaczęli się śmiać. My zaś odebraliśmy to jako obelgę. Lecz cóż mogliśmy na to poradzić? Poróżnić się z małżonką księcia il Moro i z jego ulubionym malarzem? Gdybyśmy tak uczynili, Leonardo z pewnością obwiniłby nas za opóźnienia prac przy Ostatniej Wieczerzy.

Przeor po chwili kontynuował:

- Prawdę mówiąc, to ja rzuciłem mu wyzwanie. Chciałem mu pokazać, że nie jestem tak tępy w rozszyfrowywaniu symboli, jak mu się zdaje. Lecz okazało się, że wkroczyłem na teren, na którym nigdy nie powinna stanąć moja stopa.

- Co macie na myśli, ojcze?

- W tamtym okresie byłem częstym gościem pałacu Rochetta. Miałem informować księcia o postępach prac w klasztorze Santa Maria. Kiedy tam bywałem, widziałem niejedno-krotnie, jak donna Beatrice bawi się w sali tronowej talią kart. Karty przedstawiały dziwne postaci, przykuwające uwagę, namalowane żywymi kolorami. Byli wśród nich wisielcy, kobiety podtrzymujące gwiazdy, papieże, anioły z oczami przesłoniętymi opaską, diabły... Dość szybko dowiedziałem się, że te karty stanowiły dawne dziedzictwo rodziny. Zaprojektował je książę Mediolanu, Filippo Maria Visconti z pomocą kondotiera Francesca Sforzy, około roku tysiąc

czterysta czterdziestego pierwszego. Później, gdy ten ostatni przejął władzę w księstwie, podarował talię swoim dzieciom. Jedna z kopii trafiła do rąk Lodovica il Moro.

- I co się dalej wydarzyło?

- Widzicie, jedna z tych kart przedstawiała niewiastę we franciszkańskim habicie, która trzymała zamkniętą księgę. Zwróciła moją uwagę, ponieważ miała na sobie męski habit.

Dodatkowo wyglądała tak, jakby była brzemienna. Wyobrażacie to sobie? Brzemienna niewiasta w habicie franciszkanina? Wyglądało to na kpinę.

No dobrze. Nie wiem, czemu przypomniałem sobie tę kartę podczas tamtej rozmowy z Leonardem, dość powiedzieć, że wywołałem wilka z lasu. „Wiem, co oznacza karta z »franciszką«,” powiedziałem. Pamiętam, że donna Beatrice spoważniała. „Cóż takiego wiecie?”, fuknęła. „Ten symbol odnosi się do was, księżno”, odparłem. To ją zainteresowało.

„»Franciszka« to panna w koronie, a zatem posiada tę samą co wy, pani, godność. I jest brzemienna. To z kolei zwiastuje, że spłynie na was ten stan łaski. Ta karta zapowiada to, co przyniesie wam przeznaczenie”.

- A księga?

- To właśnie najbardziej go wzburzyło. Powiedziałem, że „franciszka” zamknęła księgę, aby ukryć, że jest to dzieło zakazane. „A jak sądzicie, coż to za księga?”, spytał mnie mistrz Leonardo. „Być może dobrze wam znana, Apocalipsis Nova”, odparłem nie bez złośliwości. To rozgniewało Leonarda. Wtedy właśnie rzucił mi wyzwanie. „Nie macie o tym żadnego pojęcia!”, powiedział. „Oczywiście ta księga jest ważna. Jak Biblia, a może nawet bardziej. Lecz przez waszą pychę teologa nigdy jej nie poznacie”. I dodał: „Kiedy urodzi się dziecko księżnej, skończę wpisywać w Cenacolo objawione w tej księdze tajemnice. I zapewnię was, że choć będziecie je mieć przed oczami, nigdy nie zdołacie ich odczytać. Taka bę-

dzie potęga mojej zagadki! A zarazem świadectwo waszej głupoty”.

- Kiedy będę mógł obejrzeć Ostatnią Wieczerzę! - zapytałem przeora.

- Teraz, jeśli tylko chcecie - odparł z uśmiechem. - Macie ją przed sobą. Musicie tylko szerzej otworzyć oczy.

Z początku nie wiedziałem, w którą stronę mam patrzeć. Jedyne malowidło, jakie mogłem dojrzeć w zakurzonym i wilgotnym refektarzu, przedstawiało gorzko płaczącą Marię Magdalenę u stóp krucyfiksu. Ozdabiała południową ścianę sali. Przyglądał się jej święty Dominik o ekstatycznym spojrzeniu. Magdalena klęczała na prostokątnym kamieniu, na którym można było wyczytać nieznane mi imię: Io Donatvs Montorfanv P.

- To praca mistrza Montorfana. - Bandello rozwiął moje wątpliwości. - Pobożne dzie-

ło, godne pochwały, które zostało ukończone już prawie dwa lata temu. Lecz to nie jest to, co chcieliście zobaczyć.

Przeor wskazał na przeciwległą ścianę. Opowieść o karcie i tajemniczej księdze tak mnie pochłonęła, że z trudem rozpoznałem to, co widziały moje oczy. Znaczną część północnej ściany refektarza zasłaniał stos kartonów. Pomimo to słabe światło, w którym skąpana była ta część refektarza, pozwoliło mi dostrzec coś, co sprawiło, że zamarłem. Zza barykady z pudeł i kartonów, poprzez potężne drewniane rusztowanie, które rozciągało się na całej długości ściany, przeświecała... druga sala! Nim dotarło do mnie, że to iluzja, minęło sporo czasu. Lecz cóż to była za iluzja! Za długim prostokątnym stołem, takim samym jak ten, który zaraz po wejściu do sali przykuł moją uwagę, siedziało trzynaście osób. Ożywione postacie i gesty były tak rzeczywiste, że wszystko razem sprawiało wrażenie inscenizacji teatralnej. Nie byli to jednak, niech mi Bóg wybaczy, komedianci, lecz najbardziej realistyczne i przejmują-

ce wizerunki Pana Naszego Jezusa Chrystusa i jego uczniów, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek oglądać. Oczywiście niektóre oblicza, między innymi samego Nazarejczyka, wymagały jeszcze dopracowania, lecz całość była już niemal ukończona i tętniła życiem.

- I co? Już widzicie? Dostrzegliście, co się tam z tyłu znajduje?

Przełknąłem ślinę, po czym przytaknąłem.

Brat Benedetto, z jakiegoś tajemniczego powodu rad z mojej reakcji, lekko poklepał mnie po plecach, zachęcając, bym zbliżył się do tej magicznej ściany.

- Podejdźcie bliżej, nie ugryzie was. To właśnie jest opus diaboli, przed którym starałem się was przestrzec. Uwodzicielskie niczym rajski wąż i równie jak on jadowite...

Słowa nie są w stanie oddać tego, co wówczas poczułem. Miałem wrażenie, jakbym patrzył na coś,

czego nie miałem prawa oglądać, zastygła w bezruchu scenę sprzed piętnastu wieków, którą Leonardo uwiecznił z niezwykłym realizmem. Nie zastanawiałem się wtedy, dlaczego jednooki nazywa malowidło „dziełem diabła”, skoro zdawało się, że to same anioły nam to dzieło zesłały. Jak zaczarowany ruszyłem na jego spotkanie, w roztargnieniu nie zwa-

żając na to, gdzie stąpam. W miarę jak się zbliżałem, malowidło nabierało coraz więcej życia.

Chryste Panie! Nagle pojąłem, co robił w tej sali, wśród rusztowań, nakryty stół: obrus, zastawa, dzbany, wielkie szklane kubki, a nawet misy z kamionki były rozstawione identycznie jak na stole namalowanym na ścianie dwa metry wyżej, niczym nie różniły się od prawdziwych.

A uczniowie? Na kim wzorowane są ich gesty? Skąd wziął ich szaty?

- Jeśli chcecie, ojcie Augustynie, możemy wejść na rusztowanie, by obejrzeć dzieło z bliska. Mistrz Leonardo raczej się tu dziś nie zjawi.

Bardzo tego chciałem.

- Wkrótce odkryjecie, że choćbyście nie wiem jak blisko podeszli, nic wam to nie da -

zaśmiał się złośliwie przeor. - To malowidło ogląda się inaczej niż wszystkie inne. Jeśli po-dejdzie się zbyt blisko, traci się poczucie całości, dostaje zawrotu głowy i nie dostrzega się żadnego szczegółu, który byłby wskazówką przy interpretacji całości.

- To kolejny dowód na to, że jest heretykiem! - ryknął jednooki. - Ten człowiek to ja-kiś czarownik!

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Przez chwilę - może przez kilka minut, nie wiem - nie mogłem odwrócić oczu od najwspanialszych postaci, jakie w życiu widziałem. W

istocie nie było tam żadnych śladów, kresek czy rys, które mogła zostawić szpatułka, ani też plam, przez które przeświecałyby szkice rysowane węglem. I co z tego? Choć malowidło nie było jeszcze ukończone - dwaj apostołowie zostali zaledwie naszkicowani, obliczu Pana Naszego brak było wyrazu, zaś kontury trzech innych postaci wymagały uzupełnień - nieomal można było wejść w tę scenę Świętej Uczty. Bandello, świadom, że czas upływa, spróbował

przywrócić mnie do rzeczywistości:

- Zatem powiedzcie mi, bracie Augustynie, czy wasza przenikliwość, która zrobiła takie wrażenie na bracie Alessandrze, pozwala wam już dostrzec w tym obrazie coś podejrzanego?

- Nie... Nie wiem, o czym mówicie, ojcie przeorze.

- Och, ojcie. Nie sprawiajcie mi zawodu. Zgodziliście się pomóc nam w rozwiązaniu zagadki. Jeśli uda nam się znaleźć w tym malowidle jakieś dowody odstępstwa i określić, z jakiej zakazanej księgi zostały wzięte, zdołamy powstrzymać Leonarda i oskarżyć go o to, że znów szuka inspiracji w apokryfach. To będzie jego koniec. Przeor na chwilę umilkł.

- Dam wam wskazówkę - powiedział. - Nie zwróciliście uwagi na to, że nad głową żadnego apostoła, ba, nawet nad głową samego Chrystusa, nie jaśnieje aureola? Nie powiecie mi chyba, że w dziele chrześcijańskim to normalne!

Dobry Boże, Vincenzo Bandello miał rację. Moja głupota nie miała granic. Niezwykły realizm przedstawienia postaci zrobił na mnie tak ogromne wrażenie, że nie zauważyłem braku tak podstawowego atrybutu.

- A co powiecie na temat Eucharystii? - wtrącił cyklop o niewyparzonej gębie. - Jeśli naprawdę jest to Ostatnia Wieczerza, to dlaczego przed Jezusem Chrystusem nie stoi chleb i wino, które powinien poświęcić? Gdzie jest święty Graal ze świętą krwią odkupienia? I dlaczego Jego miska jest pusta? Heretyk! To heretyk!

- Co sugerujecie, bracie? Że mistrz, malując tę scenę, nie trzymał się tekstu Biblii?

W moich uszach rozbrzmiały opowieści brata Alessandra o obrazie Madonny, który Leonardo namalował dla mnichów z bractwa Świętego Franciszka. Wtedy Toskańczyk również nie kierował się wskazówkami zawartymi w Biblii ani instrukcjami swych protektorów.

Pytanie, które zadałem, musiało im się wydawać dziecinne.

- Czy spytaliście go, dlaczego tak zrobił?

- Oczywiście - odparł przeor. - Śmieje nam się prosto w twarz, mówiąc, że jesteśmy naiwni. Powiada, że udzielanie nam wskazówek, jak należy rozumieć jego Wieczerzę, nie należy do jego obowiązków. Możecie w to uwierzyć? Ten przebiegły lis bywa tu niemal każde-go popołudnia, tu i tam maźnie pędzłem, poprawi rysy jakiegoś apostoła, a potem przesiaduje godzinami, wpatrując się w to, co już namalował, i nie raczy nawet porozmawiać ze wspólnotą, by wytłumaczyć osobliwości swego dzieła...

- Ale przynajmniej powołuje się na jakiś fragment Ewangelii? - zapytałem, przeczuwając już, jaka będzie odpowiedź.

- Fragment Ewangelii? - spytał drwiąco jednooki. - Znacie Ewangelię równie dobrze, jak ja. Powiedzcie mi zatem, gdzie jest mowa o tym, że święty Piotr miał przy sobie sztylet albo że Judasz i Jezus Chrystus sięgnęli równocześnie do tej samej misy... Nie znajdziecie żadnej aluzji do czegoś takiego.

- Zatem zmuscie go, by się wytłumaczył!

- On się nam wymyka. Twierdzi, że tłumaczy się jedynie przed księciem, bo to on mu płaci.

- Chcecie powiedzieć, że wchodzi tu i wychodzi, kiedy tylko zechce?

- I dobiera sobie towarzystwo wedle własnego upodobania! Czasem bywa tu nawet z damami dworu, na których chce zrobić wrażenie.



- Wybaczcie zuchwałość, bracie Benedetto, rozumiem, że przy waszej żarliwości mo-

żecie czuć się zaniepokojeni takim postępowaniem, lecz pomimo to takie argumenty nie są wystarczające, by oskarżyć kogoś o herezję.

- Jak to nie? To nie dość? Nie wystarczy wam Chrystus bez boskiego atrybutu, Ostatnia Wieczerza bez Eucharystii i święty Piotr dobywający sztylet, jakby Bóg jeden wie kogo chciał nim przebić?

Benedetto zmarszczył poczerwieniały ze złości nos i prychnął. Przeor starał się załagodzić sprawę:

- Nie rozumiecie, prawda?

- Nie... - odparłem.

- Brat Benedetto stara się wam wytłumaczyć, że choć ta scena wydaje wam się jedynie cudownym przedstawieniem uczyty paschalnej, być może w istocie wcale nim nie jest. Widzia-

łem już przy pracy wielu malarzy, wykonujących podobne zlecenia, mniej ambitnych, to przyznaję, lecz tym razem doprawdy nie mam pojęcia, co, u licha, zamierza Leonardo umie-

ścić w moim domu. - Przeor położył nacisk na zaimek dzierżawczy, aby podkreślić, jak bardzo jest poruszony tą sprawą. Następnie, łapiąc mnie za rękaw habitu, ciągnął ponurym tonem: - Mamy poważne obawy, ojcze, że malarz księcia il Moro zamierza zakpić z naszej wiary i naszego Kościoła i, jeśli nie odkryjemy klucza do odczytania jego dzieła, pozostanie tu ono na zawsze, niczym wiekuista drwina z naszej głupoty. Dlatego potrzebna nam jest wasza pomoc, ojcze Leyre.

Ostatnie zdanie ojca Bandella odbiło się echem w ogromnym refektarzu. Cyklop po-ciągnął mnie w bok, pod deski rusztowania, skąd wyraźnie widać było wszystkich biesiadników Cenacolo.

- Chcecie więcej dowodów? Dam wam jeszcze jeden, żebyście mogli spalić na stosie tego oszusta!

Ruszyłem za nim.

- Widzicie?! - wrzasnął. - Przyjrzyjcie się dobrze!

- Co mam zobaczyć, bracie Benedetto?

- Mistrza Leonarda! A kogóż by innego? Nie poznajecie go? To drugi po prawej. Nie ma wątpliwości, to samo spojrzenie, te same wielkie i silne dłonie, nawet ta sama siwa grzywa. Twierdzi, że to Tadeusz Juda. Ale wygląda jak Leonardo!

- Doprawdy, ojcze, w tym również nie widzę nic złego - odparłem. - Ghiberti też sportretował się na drzwiach z brązu prowadzących do baptysterium we Florencji i nic się nie sta-

ło. To bardzo tokański zwyczaj.

- Ach tak? To dlaczego Leonardo jest jedyną, oprócz Mateusza, postacią odwróconą plecami do

Jezusa Chrystusa? Doprawdy wierzycie, że to nic nie znaczy? Nawet sam Judasz Iskariota nie zachowuje się tak zuchwale! Nauczcie się jednej rzeczy - dodał, a w jego głosie czaiła się groźba - wszystko, co czyni ten diabelski da Vinci, wynika z tajnego planu, służy jakiemuś celowi.

- Wobec tego, jeśli Leonardo uosabia Tadeusza Judeę, to kim jest ten, który pozował do postaci Mateusza, który również odwraca się od Jezusa Chrystusa?

- Tego właśnie od was oczekujemy! Że zidentyfikujecie uczniów i powiecie nam, co naprawdę oznacza ta przekłeta Wieczerza?

Staralem się uspokoić tego energicznego i pobudliwego starca.

- Lecz, czcigodni ojcowie - powiedziałem, zwracając się do przeora i jego ekscentrycznego spowiednika - jeśli moja głowa ma posłużyć do rozwiązania tej zagadki, musicie mi wytłumaczyć, na czym opiera się wasze oskarżenie skierowane przeciw mistrzowi Leonardowi. Jeśli chcecie, by został osądzony, a prace przerwane na podstawie solidnych dowodów, to musimy mieć niepodważalne przesłanki, a nie posługiwać się samymi podejrzeniami. Nie muszę wam przypominać, że Leonardo cieszy się poparciem księcia.

- Wszystko wam wyjaśnimy, nie martwcie się o to. Lecz najpierw odpowiedzcie nam na jeszcze jedno pytanie...

Ucieszyło mnie, że ton przeora znów jest pogodny. Cofnął się o kilka kroków, by ogarnąć wzrokiem całą Ostatnią Wieczerzę.

- Wiecie, co na pierwszy rzut oka dokładnie przedstawia ta scena?

Położenie nacisku na to jedno słowo sprawiło, że ogarnęły mnie wątpliwości.

- Wy mi to powiedzcie, ojcze.

- Dobrze. Wydaje się, że chodzi o scenę opisaną w Ewangelii Jana, w której Jezus oznajmia uczniom, że jeden z nich go wyda. Il Moro wraz z Leonardem bardzo starannie wybrali ten fragment.

- Amen dico vobis quia unus vestrum me traditus est\* - wyrecytowałem.

\* Jan 13 (przyp. aut.).

- „Jeden z was mnie zdradzi”. Właśnie tak.

- I cóż dziwnego w tym widzicie?

- Dwie rzeczy. Po pierwsze, w odróżnieniu od klasycznych przedstawień Ostatniej Wieczerzy, nie wybrał na to malowidło sceny ustanowienia Eucharystii, a po drugie... - zawahał się - nie wydaje się, by właśnie Judasz był tu zdrajcą...

- Czyżby?

- Wielkie nieba, przyjrzyjcie się dobrze malowidłu - upomniał mnie Benedetto. - Osta-

ło mi się tylko jedno oko, lecz wyraźnie widzę, że tym, który chce zdradzić Chrystusa, a nawet Go zabić, jest święty Piotr.

- Piotr? Święty Piotr, mówicie?

- Tak. Szymon Piotr. Ten tutaj - upierał się jednooki, wskazując na jednego spośród Dwunastu. - Nie widzicie, że za plecami trzyma sztylet i szykuje się, by zaatakować Chrystusa? Nie widzicie, jak grozi świętemu Janowi, przykładając dłoń do jego szyi?

Starzec zapalczywie szeptał oskarżenia, jakby już od dawna ukradkiem studiował sposób rozmieszczenia postaci i doszedł do wniosków, których rozumienie wymykało się przeciętnemu śmiertelnikowi. Przeor z kolei niepewnie przytakiwał.

- A co mi powiecie o t y m oto apostołe Janie? - Położony przez niego nacisk sprawił, że wzmogłem czujność. - Widzicie, jak go namalował? Gołobrodego, z delikatnymi zadbany-mi dłońmi i obliczem Madonny. Przecież on wygląda jak kobieta!

Schyliłem głowę, pełen niedowierzania. Twarz Jana nie była ukończona. Słodkie, łagodne rysy, niemal dziecięce, były ledwo zarysowane.

- Kobieta? Jesteście tego pewni? W opisanej w ewangeljach wieczerzy do stołu nie zasiadła żadna...

- Widzę, że zaczynacie rozumieć - odpowiedział spokojniejszy już teraz Bandello. -

Dlatego musimy czym prędzej rozwiązać zagadkę. Dzieło Leonarda zawiera zbyt wiele dwuznaczności. Zbyt wiele zawoalowanych aluzji. Tylko Bóg jeden wie, jak bardzo lubię zagadki, sztukę ukrywania informacji w miejscach realnych lub namalowanych, lecz ta jest ponad moje siły.

Zauważyłem, że przeor bardzo stara się opanować.

- Oczywiście - dodał, nie czekając na moją odpowiedź - jest za wcześnie, abyście mogli ogarnąć wszystkie aspekty problemu. Możecie tu wrócić, kiedy tylko zechcecie. Najlepiej pod nieobecność malarza. Usiądźcie i podziwiajcie jego ściennie malowidło i spróbujcie rozszyfrować poszczególne elementy, tak jak my to uczyniliśmy. Za kilka dni ogarnie was ten sam lęk i obawy, które nas dopadły. To malowidło stanie się waszą obsesją.

Mówiąc to, przeor poszukał wśród pęku kluczy, które miał u pasa, tego jednego wła-

ściwego. Był to wielki, ciężki, żelazny klucz z trzema występami w kształcie łacińskiego krzyża.

- To dla was. Istnieją tylko trzy takie klucze. Jeden ma Leonardo i często użycza go swoim uczniom. Drugiego pilnuję ja, trzeci zaś spoczywa teraz w waszych rękach. I możecie w każdej chwili liczyć na brata Benedetta lub na mnie, jeśli potrzebne wam będą jakiegokolwiek wyjaśnienia.

- Bez wątpienia - dodał jednooki - nasza pomoc okaże się bardziej przydatna niż pomoc

bibliotekarza.

- Mogę spytać, czego oczekujecie od inkwizytora, który właśnie oddał się do waszej dyspozycji?

- Że w pełni i przekonująco objaśnicie znaczenie tej Wieczerzy. Że odkryjecie, czy księga, na której Leonardo, jak twierdzi, się wzorował, rzeczywiście istnieje. I co takiego zawiera. Że stwierdzicie, czy jest to tekst heretycki jak Apocalipsis Nova, czy też nie. A jeśli nasze podejrzenia się potwierdzą, oczekujemy, że go powstrzymacie.

- W zamian - uśmiechnął się przeor - pomożemy wam w rozwiązaniu waszej zagadki.

O której, o ile się nie mylę, jeszcze nic nam nie powiedzieliście.

- Szukam człowieka, który napisał te słowa.

I mówiąc to, podałem im kopię Oculos ejus dinumera.

Bernardino z wielkim trudem zdobywał się na odwagę, by wyrzeć z za sztalug. Choć nie był już młodzieńcem i dawno przekroczył trzydziestkę, prace tego rodzaju napełniały go niepokojem. Nigdy nie obcował z kobietą, być może jako jedyny z cechu, i przysiągł Bogu, że nigdy tego nie uczyni. Po ukończeniu czternastu lat złożył podobną obietnicę ojcu, a wcze-

śniej jeszcze swemu mistrzowi, kiedy ten przyjął go na ucznia do najbardziej prestiżowej mediolańskiej bottega. A teraz tego żałował. Córka Crivellich od dwóch tygodni wystawiała na próbę jego siłę woli. Naga, ze złotymi spływającymi do pasa lokami, wyprężona na brzegu kanapy, z błękitnymi oczami wbitymi w sufit, szesnastoletnia hrabianka była ucieleśnieniem pożądanego. Za każdym razem, gdy wbijała w niego wzrok, a z jej twarzy znikał anielski wyraz, Bernardino miał wrażenie, że umiera.

- Mistrzu Luini - donna Lukrecja przemówiła do niego stłumionym głosem tak, jakby i ona sama starała się ukradkiem zająć jego myśli. - Jak sądzicie, kiedy będzie gotów portret mojej córki?

- Wkrótce, pani hrabino. Naprawdę już niedługo.

- Pamiętajcie, że termin naszej umowy upływa w przyszłym tygodniu - przypomniała.

- Dobrze mi o tym wiadomo, pani. W moim życiu nie ma równie ważnej daty jak ta.

Matka Afrodyty często była obecna na sesjach pozowania. Nie dlatego, że nie miała zaufania do Bernardina, człowieka o nieskazitelnej reputacji, którego rzadko można było zobaczyć przy pracy poza murami któregoś z klasztorów. Słyszała jednak tak wiele o rozpasaniu kanoników, a nawet samego papieża, że nie uważała nadzorowania tych sesji za przesadę. Ponadto Bernardino był mężczyzną wielkiej urody, być może nawet trochę zniewieściałym, a zarazem jedynym gentiluomo\*, któremu jej mąż bez obawy o swój honor pozwalał

wejść do domu. Hrabia miał aż nadto powodów do podejrzeń: od dawna krążyły plotki o związku pomiędzy jego piękną małżonką a księciem. Lukrecja była kobietą najbardziej godną pożądanego w całym Mediolanie. Kobieta wyzwoloną, którą podniecała każda nowość. Zaś już teraz wszystko wskazywało na to, że Elena, jej córka, będzie jej godną następczynią.

\* Gentiluomo (wł.) - potocznie szlachcic, szerzej człowiek z towarzystwa, ktoś dobrze wychowany, por. gentleman (ang.).

- Jakaż ona piękna, prawda? - zauważyła z dumą hrabina. - Te piersi jak jabłuszka, tak kształtne, twarde... Nie wyobrażacie sobie, mistrzu, ilu mężczyzn przez nie oszalało.

- Oszalało? - Malarz z trudem powstrzymał drżenie dłoni, w której dzierzył pędzel. Na jego płótnie już zostały uwiecznione wszystkie szczegóły ciała Eleny: kaskada nieco ciemniejszych niż w rzeczywistości włosów pieszczotliwie spływała na jej łono, skrywając ten niezwykły zakątek rozkoszy, z których artysta dobrowolnie zrezygnował.

- Nie rozumiem jedynie, mistrzu, dlaczego wybraliście temat Marii Magdaleny, by sportretować moją córkę. I to akurat teraz. Zupełnie jakbyście chcieli przyciągnąć uwagę Świętego Oficjum. Poza tym wszystkie Magdaleny są strapione, melancholijne. I nie wiem, co myśleć o tej strasznej czaszce, którą trzyma w dłoniach...

Bernardino odłożył pędzel na paletę i odwrócił się w stronę donny Lukrecji. Popołudniowe światło wydobywało z mroku otomanę, na której siedziała, przydając wyrazistości kształtom i rysom, które w jakiś subtelny sposób wydawały mu się dobrze znane: kosmyki włosów, jasne i kręcone, były takie same jak u Eleny, podobnie wyraźnie zaznaczone kości policzkowe, a także usta, wilgotne i obrzmiałe. Pod ściśle dopasowanym gorsetem sukni z ho-lenderskiej tkaniny wznosiły się kształtne piersi. Patrząc na nią, spoczywającą na otomanie, mógł zrozumieć niepohamowany apetyt księcia il Moro. Nic dziwnego, że on sam nie zwracał

uwagi na jej paplaninę o Inkwizycji.

- Hrabino - powiedział - przypominam wam, że wyrazili państwo zgodę, by mistrz Leonardo sam wyznaczył temat, a także przysłał wybranego przez siebie ucznia.

- Tak. Szkoda, że mistrz jest tak zajęty tym nieszczęsnym Cenacolo.

- Cóż mogę na to odpowiedzieć? Messer poprosił mnie, żebym namalował Magdaleny, i to właśnie czynię. Co więcej, fakt, iż on sam wybrał taki temat, powinien stanowić dla waszej czcigodnej rodziny powód do dumy.

- Do dumy? Czyż Maria Magdalena nie była ladacznicą? - wykrzyknęła hrabina. -

Dlaczego nie zlecił zwykłego portretu, takiego jak ten, który namalował dla mnie? Dlaczego uparł się, by rzucić na naszą rodzinę cień, który od wieków nas prześladowuje?

Bernardino Luini milczał. Wywodząca się z Wenecji rodzina Crivellich darzyła zaufaniem pracownię Leonarda i wierzyła, że podkreślający zalety ich córki portret pomoże znaleźć dla niej dobrą partię. A z taką Magdaleną jak ta nie powinni mieć z tym trudności. Jeśli dali mistrzowi wolną rękę przy wyborze tematu płótna, to stało się tak wyłącznie dlatego, że tak wychodziło taniej, a nie dlatego, że tak go sobie cenili. Zaś Leonardo nie zmarnował tej szansy. Bernardino przypomniał sobie, jaką przebiegłością wykazał się w tej sprawie Toskań-

czyk. Donna Lukrecja już od lat pozowała w jego bottega przy corso Magenta, ożywiając wiele spośród jego najznakomitszych obrazów. Skoro teraz przystał na to, by namalować jej córkę jako ulubienicę Jezusa, to stało się tak dlatego, że wkrótce zamierzał wtajemniczyć ją w swoje sekrety.

I nie bez powodu. Lukrecja była bowiem ostatnią przedstawicielką długiej linii kobiet, które wywodziły się, zdaniem niektórych, od prawdziwej Marii z Magdali. Były to kobiety o delikatnych, łagodnych rysach, które od pokoleń inspirowały poetów i malarzy, choć same nie zawsze były świadome dziedzictwa, które w sobie nosiły i przekazywały następnym pokole-niom.

Luini zrobił jeszcze dwa pociągnięcia pędzlem, starając się uniknąć niebezpiecznego uśmiechu

Eleny. Potem, z namysłem, podjął rozmowę:

- Sądzę, że wasz osąd, pani, jest nieco pochopny. Maria Magdalena... Święta Maria Magdalena - poprawił się natychmiast - była niewiastą tak dzielną, że niewiele kobiet mogło-by się z nią równać. Nazywano ją *casta meretrix*\* i w odróżnieniu od pozostałych uczniów, którzy, z wyjątkiem Jana, uciekli z Jerozolimy, kiedy ukrzyżowano Naszego Pana, towarzyszyła mu aż do podnóża Golgoty. I to tłumaczy, dlaczego w rękach waszej córki spoczywa czaszka. Ponadto Magdalena była pierwszą osobą, której ukazał się zmartwychwstały Jezus Chrystus, czym dał świadectwo ogromnego uczucia, jakim ją darzył.

- A jak sądzicie, czemu tak uczynił?

Luini uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Oczywiście po to, by nagrodzić jej odwagę. Podobnie jak wielu innych wierzę, że zmartwychwstały Jezus powierzył jej wówczas wielką tajemnicę. Maria udowodniła mu wtedy, że zasługuje na to wyróżnienie. My zaś, za każdym razem kiedy ją malujemy, staramy się przybliżyć do tej tajemnicy.

- Teraz, kiedy o tym wspominacie, przypomniałam sobie, że mistrz Leonardo mówił o tej tajemnicy. Był jednak dość powściągliwy.

\* *Casta meretrix* (łac.) - czysta nierządnicą.

Nie ulega wątpliwości, że wasz mistrz jest bardzo zagadkowym człowiekiem.

- Wielu sądzi, że bystrość umysłu stanowi tajemnicę, pani. Być może któregoś dnia zdecyduje się wam o tym opowiedzieć. A może wybierze w tym celu waszą córkę...

- Z tym człowiekiem wszystko jest możliwe. Znam go, od kiedy przybył do Mediolanu w tysiąc czterysta osiemdziesiątym drugim roku, i nigdy nie przestały mnie zadziwiać jego intrygi. Jest tak nieprzewidywalny...

Lukrecja urwała nagle, jakby powracały do niej wspomnienia z przeszłości. Po chwili spytała z ożywieniem:

- A czy wy nie znacie przypadkiem tajemnicy Magdaleny? Luini ponownie przeniósł

wzrok na płótno.

- Zastanówcie się, pani, prawdziwe nauczanie Chrystusa było możliwe dopiero po tym, jak Pan przeszedł przez mękę Pasji i z pomocą Ojca Wiekuistego zmartwychwstał. Dopiero wówczas miał całkowitą pewność, że Królestwo Niebieskie istnieje. I kiedy powrócił

między żywych, kogo spotkał najpierw? Marię Magdalenę, jedyną, która łamiąc rozkazy San-hedrynu i Rzymian, miała odwagę, by na niego czekać.

- Kobiety zawsze były odważniejsze od mężczyzn, mistrzu Luini.

- Albo mniej ostrożne...

Elena milczała, z rozbawieniem przysłuchując się rozmowie. Gdyby nie to, że tuż za sobą miała dobrze nagrzaną kominek, już dawno by się przeziębila.

- Podobnie jak wy, podziwiam wytrwałość kobiet, hrabino - powiedział Beraardino, znów biorąc pędzel do ręki. - Dlatego powinnyście wiedzieć, że Maria Magdalena cieszyła się, począwszy od tego objawienia, niezwykłymi darami.

- Ach tak?

- Jeśli któregoś dnia zostaną wam ujawnione, przekonacie się, jak wiernie zostały oddane na portrecie waszej Eleny. Wówczas, pani, płótno z pewnością was ukontentuje.

- Mistrz Leonardo nigdy nie mówił mi o tych darach.

- Mistrz Leonardo jest bardzo ostrożny, pani. Łaska, której dostąpiła Magdalena, to bardzo delikatna sprawa. W swoim czasie przeraziła innych uczniów Naszego Pana. Nawet ewangeliści nie chcieli nam zbyt wiele o niej opowiedzieć!

Oczy hrabiny rozbliły, a na twarzy pojawił się złośliwy grymas.

- Nic dziwnego! Przecież była ladaczną!

- Maria nigdy nie napisała ani jednej linijki. Żadna ówczesna kobieta tego nie uczyniła

- ciągnął mistrz Luini, ignorując jej prowokację. - Dlatego jeśli ktoś chce się czegoś o niej dowiedzieć, powinien iść tropem świętego Jana. Jak już wam powiedziałem, ten ukochany uczeń był jedynym, który nie zawiódł, gdy ukrzyżowano Chrystusa. Ten, kto podziwia Magdalenę, podziwia również Jana, zaś jego Ewangelię uważa za najwspanialszą spośród czterech.

- Wybaczcie, jeśli moje pytanie wyda wam się natrętne. Jak bardzo Magdalena była dla Jezusa kimś wyjątkowym, mistrzu Luini?

- Tak bardzo, że pocałował ją w usta na oczach pozostałych uczniów.

Donna Lukrecja zerwała się z miejsca. Wzięła głęboki oddech, a jej gorset zaszeleścił.

- Jakże to?!

- Spytajcie Leonarda. On zna księgi, w których mowa o takich tajemnicach. Tylko on jeden wie, jakie naprawdę oblicze miał Jan, Piotr czy Mateusz... a nawet Magdalena. Nie widzieliście jeszcze jego wspaniałej pracy w klasztorze Santa Maria?

- Oczywiście, że widziałam - odparła Lukrecja niechętnie, przypominając sobie raz jeszcze, że to z powodu Cenacolo Leonardo nie znalazł czasu, by namalować portret jej córki.



- Byłam tam kilka miesięcy temu. Książę chciał mi pokazać, jak postępuje praca jego ulubionego malarza. Byłam zachwycona tym, co ujrzałam na ścianie. Pamiętam, że twarze niektó-

rych apostołów nie były jeszcze ukończone i nikt w klasztorze nie potrafił powiedzieć, kiedy będą gotowe.

- Nikt tego nie wie, to prawda - przyznał Luini. - Messer Leonardo nie może znaleźć odpowiednich modeli do namalowania kilku apostołów. Skoro na dworze nie brak nikczemnych twarzy, a pomimo to namalowanie przewrotnego oblicza Judasza nastęczyło trudności, to wyobraźcie sobie, jak trudno jest znaleźć czyste i charyzmatyczne rysy Jana. Nie macie pojęcia, ile twarzy musiał obejrzeć mistrz, nim znalazł odpowiednią do przedstawienia ukochanego ucznia. Leonardo za każdym razem, gdy napotyka takie trudności, przeżywa prawdziwe udręki. To wszystko powoduje opóźnienia w pracy.

- Wobec tego zaprowadźcie do niego moją córkę! - zaśmiała się hrabina. - Niech zasiądzie jako Magdalena za stołem zamiast Jana!

Rozbawiona hrabina Crivelli znów podniosła się z otomany, rozsiewając wokół, jak zwykle, intensywny zapach perfum. Stała, majestatyczna, za plecami malarza i położyła delikatną dłoń na jego ramieniu.

- Wystarczy na dziś tych pogawędek, mistrzu. Ukończcie jak najszybciej portret, a otrzymacie resztę zapłaty. Zostały wam jeszcze przynajmniej dwie godziny światła, nim zajdzie słońce. Wykorzystajcie je jak najlepiej.

- Tak, pani.

Trzewiki donny Lukrecji stuknęły coraz ciszej po posadzce z kamiennych płyt. Elena nawet nie mrugnęła. Siedziała przed nim, wspaniała, miała czystą, zaróżowioną skórę, świeżo wyszorowaną przez pałacowe służebnice. Kiedy była już całkowicie pewna, że jej matka znikła w swoich komnatach, podskoczyła na kanapie.

- Tak, tak, mistrzu! - przyklasnęła mu, wypuszczając z dłoni „Golgotę”, która potoczyła się aż pod sam kominek. - Właśnie! Przedstawcie mnie mistrzowi Leonardowi! Przedstawcie mnie!

Luini przyglądał się jej, bezpiecznie schowany za płótnem.

- Naprawdę chcecie go poznać? - szepnął po kilku pociągnięciach pędzlem, gdy nie był już w stanie dłużej udawać obojętności.

- Oczywiście, że chcę! Sami wcześniej powiedzieliście, że być może wyjawi mi swój sekret...

- Zatem muszę was o czymś uprzedzić. Możliwe, że wcale nie spodoba wam się to, co odkryjecie, Eleno. To człowiek o silnym charakterze. Sprawia wrażenie roztargnionego, lecz naprawdę potrafi przyglądać się światu z precyzją jubilera. Wystarczy mu jeden rzut oka na kwiat, by policzyć jego płatki, wnika w każdy drobiazg, doprowadzając swych towarzyszy do rozpacz.

Nie zniechęciło to hrabianki.

- To lubię, mistrzu. Mężczyzna, który przykłada wagę do drobiazgów. Nareszcie!

- Tak, tak, Eleno. Lecz on, prawdę powiedziawszy, nie przepada zbyt za kobieta-mi...

- Och! - W jej okrzyku pobrzmiewało rozczarowanie. - Zdaje się, że to normalne wśród malarzy, nieprawdaż, mistrzu?

Artysta schował się za obraz, kiedy modelka wstała, w pełni demonstrując swoją urodę. Ogarnęła go fala gorąca, na twarzy pojawił się rumieniec, a w gardle zaschło.

- Dlaczego... dlaczego tak mówicie, Eleno?

Dziewczyna stanęła na kanapie, by móc dojrzeć mistrza.

Zadrżała z zadowolenia.

- Ponieważ od dziesięciu dni malujecie mnie naga, siedzimy oboje zamknięci w tej samej komnacie, a wy nie uczyniliście nic, by się do mnie zbliżyć. Moje dworki twierdzą, że to nie jest normalne, a nawet te złośliwe bestie pytają, czy aby nie jesteście castratus.

Luini nie wiedział, co odpowiedzieć. Gdy podniósł wzrok, by spojrzeć w oczy swojej rozmówczyni, stała zaledwie o dwie piędzi od niego, jej ciało pulsowało, a wokół unosiła się woń olejku nardowego. Nie potrafił wytłumaczyć, co stało się potem. Pokój zaczął wirować i jakaś potężna, dziwna siła, która wydobywała się z jego ciała, przejęła nad nim całkowitą kontrolę. Odrzucił pędzel oraz paletę i przyciągnął do siebie hrabiankę. Dotyk tego młodziutkiego ciała obudził jego przyrodzenie.

- Jesteś... dziewicą? - spytał z wahaniem. Roześmiała się.

- Nie. Już nie.

I opadając na niego, pocałowała go z namiętnością, jakiej nigdy dotąd nie zaznał.

Zgodnie z przewidywaniami ojca Bandella, Ostatnia Wieczerza wkrótce stała się moją obsesją. Jeszcze tego sobotniego popołudnia, dysponując już własnym kluczem, zdążyłem, nim zapadł zmierzch, odwiedzić ją cztery razy. Za każdym razem upewniałem się, czy nikogo tam poza mną nie ma. To chyba od tamtego dnia we wspólnocie zaczęto nazywać mnie ojcem Trottolą, czyli frygą. Mieli ku temu powody. Zawsze gdy któryś z braci napotykał mnie na swojej drodze, byłem jakby nieobecny duchem, krążyłem w pobliżu refektarza i wszystkim zadawałem w kółko to samo pytanie: „Czy ktoś widział ostatnio mistrza Leonarda?”.

Nie był to najlepszy moment na spotkanie z mistrzem. Przygotowania do pogrzebu odmieniły obyczaje całego miasta, a tym bardziej klasztoru Santa Maria delie Grazie. Podczas gdy brat Alessandro i ja łamaliśmy sobie głowy nad rozwiązaniem zagadki, pozostali bracia byli całkowicie pochłonięci przygotowaniem do pogrzebu, który miał się odbyć następnego dnia. Księżna umarła trzynaście dni temu, a jej zabalsamowane zwłoki spoczywały teraz w skrzyni z drewna akacjowego w rodowej kaplicy na zamku. Przybyli na pogrzeb posłowie obcych państw przechadzali się niecierpliwie po fortecy il Moro, a także po klasztorze, próbując dowiedzieć się czegoś na temat uroczystości.

W gruncie rzeczy całe to zamieszanie było mi zupełnie obojętne, aż do niedzielnego poranka 15 stycznia, dnia świętego Maura. Dziękowałem niebiosom za to, że bicie dzwonów obudziło mnie tak wcześnie. Spałem źle, bardzo niespokojnie, śniłem o dwunastu mężach z Cenacolo, którzy gestykulowali i gadali wokół Mesjasza. Byłem już bliski odgadnięcia niejasných zamiarów każdego z nich, lecz czułem zarazem, że czas, który pozostał na wydarcie im tajemnicy, upływa nieubłaganie. Tej niedzieli donna Beatrice miała zostać pochowana w nowym panteonie Sforzów, pod głównym ołtarzem kościoła Santa Maria. Było całkiem prawdopodobne, że tajemniczy Wróżbita, który tyle razy nas przed nią ostrzegał, będzie przy tym obecny.

Po porannej modlitwie skierowałem się do refektarza. Byłem pewny, że jest to najodpowiedniejsza chwila i zapewne jedyna w ciągu tego dnia, kiedy będę mógł, korzystając z do-brodziejstwa samotności, pograć się w rozmyślaniach. Znów miałem zatopić wzrok w żywych kolorach, które wyszły spod pędzla Leonarda, wyobrażając sobie, że tajemnicza praca Toskańczyka nie polegała na malowaniu tej ściany, lecz na tym, by krok po kroku, z precyzją chirurga, wydobyć z niej magiczną scenę, wrytą pod tynkiem przez same anioły.

Gdy wśród tych rojeń okrążyłem Dziedziniec Umarłych od zachodu i skierowałem kroki ku chroniącym dostęp do refektarza drzwiom, zastałem je otwarte na oścież. Dwaj mężczyźni, których nigdy wcześniej nie widziałem, rozmawiali z ożywieniem, stojąc pod nadprożem:

- Już wiecie o bibliotekarzu? - usłyszałem, jak mówi ten, który stał bliżej mnie. Ubrany był w czerwone pludry i zapinany na guziki kaftan w żółto-białe pasy, zaś jego otoczona złotymi lokami twarz przypominała oblicze cherubina. Kiedy usłyszałem, że rozmawiają o bracie Alessandrze, nasunąłem na głowę kaptur i przybrawszy roztargniony wyraz twarzy, zwolniłem kroku, by z bezpiecznej odległości posłuchać, o czym mówią.

- Mistrz coś o nim wspominał - odparł ten drugi, smukły młodzieniec, smagły, o wygładzie urodziwego atlety. - Powiadają, że jest bardzo niespokojny. Wszyscy boją się, że po-pełni jakieś głupstwo.

- Nie ma się co dziwić. Zbyt długo pości. Uważam, że odchodzi od zmysłów.

- Od zmysłów?

- Głód musi powodować halucynacje. Opętała go myśl, że zostanie zdemaskowany i odsunięty od ksiąg. Gdybyście widzieli, jak wczorajszej nocy drżał ze strachu. Niczym trzcina targana wiatrem.

Młody atleta spojrzał wówczas w moją stronę. Musiałem ruszyć przed siebie, by nie wzbudzić podejrzeń. Udało mi się usłyszeć coś jeszcze:

- Odsunięty od ksiąg? Ależ to niemożliwe - oświadczył. - Nie wierzę, że odważą się zrobić coś takiego. Zbyt dobrze wykonywał swoją pracę, by zasłużyć na taką karę...

- A zatem zgadzacie się ze mną?

- Oczywiście. Post go wykańcza.

To wzbudziło moje podejrzenia. Fakt, że coś tak intymnego, jak dobrowolny post ojca Alessandra, znalazł się na ustach kogoś świeckiego, niezwiązanego ze wspólnotą, nie był normalny. Dowiedziałem się później, że mężczyzna w czerwonych pludrach to Salaino, ulubiony uczeń Leonarda, zaś smagły młodzieniec pochodzi z dobrej rodziny, terminuje u malarza i nazywa się Marco d'Oggiono. Obydwaj, jak uprzedził mnie Bandello, często dysponowali kluczem do refektarza. Zwykle wchodzili tam po to, by wymieszać farby dla mistrza lub przygotować mu narzędzia. Co zatem robili tu w niedzielę, w odświętnych strojach, tuż przed po-grzebem donny Beatrice? Dlaczego rozmawiali o bracie Alessandrze z taką poufałością, a przede wszystkim jak to możliwe, że tak dobrze znali jego zwyczaje? I skąd wiedzieli, że ostatnimi czasy jest niespokojny? Minąłem ich, zaintrygowany, starając się nie zwracać na siebie uwagi, i ruszyłem ku schodom prowadzącym do biblioteki.

W moim umyśle wciąż rodziły się nowe pytania. Gdzie, u licha, był poprzedniej nocy bibliotekarz? Czyżby naprawdę spotkał się z mistrzem Leonardem? Lecz po co? Czyż sam otwarcie nie krytykował malarza w trakcie naszych rozmów? Czyżby teraz stał się jego przyjacielem?

Po plecach przebiegł mi dreszcz. Po raz ostatni rozmawiałem z bratem Alessandrem poprzedniego dnia, w godzinie niesporów. Starał się pokazać mi wszystkie manuskrypty, które wcześniej w bibliotece klasztornej studiował Leonardo. Ja zaś usiłowałem odnaleźć wśród nich tę zamkniętą księgę, którą przeor widział na karcie donny Beatrice. Muszę powiedzieć, że przez cały ten czas ani przez chwilę nie zauważyłem żadnej zmiany w jego zachowaniu. W jakiś sposób było mi go żal. Brat, który przyjął mnie najserdeczniej spośród wszystkich i niemal od chwili, gdy po raz pierwszy przekroczyłem bramy Santa Maria, zajmował się mną bezustannie, był jednym z niewielu, którzy nie wiedzieli, co się tu święci.

Tamtego popołudnia ogarnęły mnie wyrzuty sumienia i w końcu wyznałem mu to, co wiedziałem o mistrzu Leonardzie i o rzuconym przez niego wyzwaniu. Byłem mu to winien.

- To, co zamierzam wam opowiedzieć - uprzedziłem go - powinniście na zawsze zachować dla siebie.

Bibliotekarz spojrział na mnie zdziwiony.

- Przysięgacie?

- Na Chrystusa.

Skinałem głową, zadowolony.

- Dobrze. Przeor sądzi, że messer Leonardo ukrył na ścianie refektarza tajemny przekaz.

- Tajemny przekaz? W Ostatniej Wieczerzy!

- Przeor podejrzewa, że to coś, co jest niezgodne z oficjalną doktryną Kościoła. Idea, którą messer Leonardo mógł zaczerpnąć z jednej z tych ksiąg, które mu dostarczyliście.

- Z której? - zaniepokoił się.

- Sądziłem, że wy możecie to wiedzieć.

- Ja? Mistrz prosił mnie o wiele pozycji z naszej biblioteki.

- Jakich?

- Było ich tak wiele... - zawahał się. - Nie wiem. Może zainteresowało go *De secretis artis et naturae operibus*\*.

\* Księga ta pozostawała w rękopisie, dopóki w roku 1542 pewien Paryżanin, Claudio Celestino, postanowił wydać ją drukiem. Znacznie wcześniej krążyła w zamkniętych kręgach jako manuskrypt. Jeden z takich egzemplarzy był przechowywany w bibliotece klasztoru Santa Maria delie Grazie (przyp. aut.).

- *De secretis artis*??

- To rzadki manuskrypt franciszkański. Jeśli się nie mylę, mistrz Leonardo dowiedział

się o nim od brata Amadeusza z Portugalii. Przypominacie go sobie?

- To autor *Apocalipsis Nova*?

- Ten sam. W tej księdze pewien angielski mnich, brat Roger Bacon, znamienity wynalazca i pisarz oskarżony o herezję i wtrącony do więzienia przez Święte Oficjum, opisuje dwanaście różnych

sposobów na ukrycie informacji w dowolnym dziele sztuki.

- Czy to tekst religijny?

- Nie, raczej techniczny.

- A jaka jeszcze księga mogła mu służyć jako źródło inspiracji? - dopytywałem się.

Brat Alessandro w zamyśleniu pogładził się po podbródku. Nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego czy zaniepokojonego moimi pytaniami. Był tak samo uczynny jak zwykle, zupełnie jakby moje zwierzenia na temat Leonarda nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia.

- Niech pomyślę - szepnął. - Być może posłużył się żywotami świętych brata Jakuba de Voragine... Tak. Tam mógł znaleźć to, czego szukacie.

- W dziele słynnego arcybiskupa z Genui? - spytałem zdziwiony.

- W istocie był arcybiskupem, ponad trzysta lat temu.

- A cóż ma wspólnego de Voragine z przekazem ukrytym w Cenacolo?

- Jeśli ten przekaz istnieje, ta księga może zawierać klucz do jego odczytania. - Mizerny brat Alessandro przymknął oczy, jakby w poszukiwaniu skupienia. - Brat Jakub de Voragine, dominikanin jak i my, zebrał na Wschodzie tyle informacji na temat życia pierwszych świętych, a także uczniów Pana Naszego, ile tylko zdołał. Jego odkrycia zachwyciły mistrza Leonarda. Uniosłem brwi z niedowierzaniem.

- Na Wschodzie?

- To nie powinno wywoływać waszego zdumienia, ojciec Leyre - ciągnął bibliotekarz.

- Nie wszystkie zawarte w tej księdze informacje są ściśle kanoniczne.

- Ach nie?

- Nie. Kościół nigdy by nie uznał więzów pokrewieństwa, które, jak zapewnia brat Voragine, łączyły Dwunastu. Wiedzieliście na przykład, że apostołowie Szymon i Andrzej byli braćmi? Być może to tłumaczy, dlaczego na malowidle Leonarda są do siebie bliźniaczo podobni.

- Doprawdy?

- A czy wiecie, że de Voragine twierdził, iż Jakub był za życia często mylony z Chrystusem? Nie zauważyliście w Cenacolo jego ogromnego podobieństwa do Jezusa?

- A zatem - powiedziałem z wahaniem - Leonardo zna tę księgę.

- Nie tylko ją zna, on ją gruntownie przestudiował. A z tego, co sugerujecie, wynika, że poświęcił jej

dużo więcej uwagi niż książeczce Rogera Bacona. Możecie mi wierzyć.

Tymi słowami brat Alessandro zakończył naszą ostatnią rozmowę.

Dlatego, gdy słuchałem, jak uczniowie Toskańczyka mówili, że tej samej nocy bibliotekarz widział się z Leonardem, przejął mnie dreszcz. Dzięki przypadkowo zasłyszanej rozmowie uczniów dowiedziałem się, że bibliotekarz zataił przede mną niezwykle ważną informację o łączącej go z Leonardem przyjaźni. Wskazywało to również na to, że ktoś, kogo uwa-

żałem za jedynego przyjaciela w klasztorze, wydał mnie.

Dlaczego?

Szukałem bibliotekarza dosłownie wszędzie. Na jego pulpicie nadal leżały dwa tomy księgi biskupa de Voragine, które pokazał mi poprzedniego wieczoru. Widać było na nich wybite ogromnymi literami imię autora, a także tytuł: *Legendi di Sancti Vulgari Storiado*. Natomiast po drugiej księdze, tej o ukrywaniu informacji, autorstwa ojca Bacona, nie było ani śladu. Jeśli w ogóle nadal się tu znajdowała, to brat Alessandro najwyraźniej musiał ją dobrze schować.

Czy były to moje urojenia, czy też bibliotekarz w istocie starał się odciągnąć moją uwagę od tego traktatu? Dlaczego?

Pytań nagromadziło się już wiele i wciąż przybywały nowe. Miałem nadzieję, że brat Alessandro wyjaśni mi kilka spraw. Jednak, choć rozpytywałem o niego i w kościele, i w kuchni, a także w budynku, w którym znajdowały się cele, to nikt nie potrafił wskazać miejsca jego pobytu. Moje możliwości były zresztą ograniczone. Wśród ciżby, która zalewała klasztor, by z bliska przyjrzeć się orszakowi pogrzebowemu, nietrudno było stracić z oczu bibliotekarza. Wiedziałem, że wcześniej czy później spotkam się z nim twarzą w twarz, a wówczas wyjaśni mi, co tu się, u diabła, dzieje.

Koło dziesiątej rano plac przed kościołem, a także całą drogę wiodącą z zamku do klasztoru, zapełnił milczący tłum. Wszyscy ubrani byli w odświętne stroje i zaopatrzeni w świece oraz suche palemki, którymi mieli potrząsać w miarę posuwania się konduktu pogrzebowego księżnej. Nigdzie nie dałoby się wcisnąć szpilki. Natomiast do kościoła, na wyraźne życzenie księcia, wstęp miały jedynie zaproszone osoby i poselstwa. Pod trybuną ustawiono podium obleczone aksamitem i ozdobione złotymi sznurami zakończonymi frędzlami. Na nim to książę il Moro i osoby z jego najbliższego otoczenia mieli intonować modły. Cały teren chroniony był przez osobistą gwardię księcia i jedynie my, mnisi z Santa Maria delie Grazie, cieszyliśmy się pewną swobodą ruchów.

Udałem się do kościoła nie tyle z nadzieją, że spotkam tam brata Alessandra, co raczej po to, by zobaczyć wreszcie mistrza Leonarda. Jeśli jego pomocnicy otworzyli dziś rano refektarz, to niewykluczone, że gdzieś w pobliżu znajdował się ich mentor.

Instynkt mnie nie zawiódł.

Gdy wybiła jedenasta, spokój świątyni Santa Maria zakłócił nagły zamęt. Główne drzwi, które znajdowały się pod największym okulusem, rozwarły się z wielkim łoskotem. Na zewnątrz rozbrzmiały trąby, obwieszczając przybycie księcia i jego świty. Wywołało to poruszenie wśród tych, którym pozwolono wejść do środka. Kilkunastu mężczyzn o surowych obliczach i zimnych oczach, w długich płaszczach z aplikacjami z czarnej skóry, wkroczyło wojskowym krokiem do kościoła. Za nimi podążał właściwy orszak. Wtedy go ujrzałem.

Mistrz Leonardo, choć szedł na końcu grupy, wyróżniał się niczym Goliat wśród Filistynów.

Lecz jego wzrost nie był jedyną rzeczą, która przykuwała uwagę. Toskańczyk, w odróżnieniu od pozostałych uczestników głównego orszaku, wystrojonych w złotogłów naszywany szlachetnymi kamieniami i jedwabne peleryny, był od stóp do głów ubrany na biało. Wyróżniała go również doskonale przycięta, długa, jasna broda, opadająca aż na piersi. Idąc, rozglądał się na prawo i lewo,



jakby szukał wśród zgromadzonych znajomych twarzy. Z daleka Leonardo robił wrażenie ducha, który przybył tu z innej epoki. A w porównaniu z nim książę, o ciemnej karnacji i przyciętych równo wokół czaszki smolistych włosach, który szedł o trzy kroki przed swoim nadwornym malarzem, zdawał się przeciwieństwem słonecznych cech olbrzyma. Wszyscy zwracali uwagę na Leonarda. Gonfalonierzy, chorążowie licznych domów panujących, którzy przybyli na pogrzeb, odprowadzali go wzrokiem, jednak Toskańczyk sprawiał wrażenie, jakby tego wszystkiego nie dostrzegał.

- Witajcie w domu Pana - powitał ich z ołtarza przeor Bandello, otoczony wystrojonymi w komże mnichami. Tuż obok niego stał arcybiskup Mediolanu, przełożony franciszkanów, a także tuzin dworskich duchownych.

Il Moro i członkowie jego świty przeżegnali się, po czym weszli na przygotowane dla nich podium. Niemal równocześnie wkroczyła do świątyni grupa muzykantów odzianych w kapy z herbem Sforzów, zapowiadając wniesienie mar.

Mistrz Leonardo, który stał na podium w trzecim rzędzie, rozglądał się niespokojnie na wszystkie strony i pośpiesznie notował, Bóg jeden wie co, w jednym z tych swoich taccuini, z którymi nigdy się nie rozstawał. Miałem wrażenie, że z równą uwagą studiuje twarze w tłumie, co muzykę organów i falowanie sztandarów. Ktoś powiedział mi, że poprzedniego po-południa z zachwytem podziwiał lot czterystu gołębi, które zostały wypuszczone na wolność na placu Katedralnym. Zapewniano mnie również, że z radością zanotował coś na temat salw armatnich, które oddano na cześć zmarłej na rozkaz nuncjusza Jego Świątobliwości z dział

stojących u podnóża murów miejskich. Najwyraźniej, zdaniem mistrza Leonarda, wszystko było godne odnotowania. We wszystkim kryły się okruchy tajemnicy istnienia.

Oczywiście podczas ceremonii nie tylko ja mu się przyglądałem. Wokół mnie ludzie szeptem wymieniali uwagi na temat Toskańczyka. Im bardziej wpatrywałem się w jego błę-

kitne oczy i majestatyczną postać, tym większą czułem potrzebę, by go poznać. Najpierw Wróżbita, potem zaś ojciec Bandello obudzili we mnie to pragnienie, które teraz stało się pa-łace.

Zaś tłum wokół mnie podsycił je jeszcze bardziej. Szeptano o sprawie, która ostatnio całkowicie pochłonęła Toskańczyka. Chodziło o traktat o malarstwie, w którym mistrz zamierzał obrazić poetów i rzeźbiarzy, dowodząc wyższości pędzla nad piórem i dłutem. Ten człowiek o szerokich horyzontach znajdował czas na wszystko: podobno poświęcił wiele godzin, by ukończyć w bólu księcia il Moro, lecz mimo to miał jeszcze czas na projekty niezwykłych zwodzonych mostów, wież szturmowych czy dźwigów do wyładunku wełny ze statków wpływających do navigli\*.

\* Navigli - sztuczne kanały w Mediolanie, które w czasach księcia il Moro służyły do transportu towarów.

Pogrążony w myślach da Vinci ignorował wzbudzane przez siebie emocje. Teraz, jak mi się zdawało, szkicował w swoim zeszytiku dziwny strój, który na tę uroczystość przywdział książę: przepiękną pelerynę z czarnego jedwabiu, niedbale rozciętą w wielu miejscach, co być może miało wskazywać na to, że porozrywał ją własnymi rękami.

Nie wyobrażałem sobie, że już wkrótce będę rozmawiać z mistrzem.

Doszło do tego za sprawą brata Giberta, zakrystiana, w okolicznościach równie dramatycznych, co niespodziewanych.

Gdy brat Bandello wygłaszał formułę konsekracji, ten chłopak z północy, o pucułowatych, zaróżowionych policzkach i włosach w kolorze dyni, podszedł do mnie od tyłu i gwałtownie pociągnął za mój habit.

- Ojcie Augustynie! Wysłuchajcie mnie! - błagał rozpaczliwie brat Giberto. Jego wy-

łupiaście, teraz przekrwione oczy niemal wyskakiwały z orbit. - W mieście stało się coś strasznego! Powinniście natychmiast się o tym dowiedzieć!

- Coś strasznego?

Niemcowi trzęsły się ręce.

- To kara Boska - syknął. - Kara dla tych, którzy rzucają wyzwanie Najwyższemu!

Zakrystian nie zdążył dokończyć zdania. Benedetto, jednooki raptus, a zarazem spowiednik przeora, oraz zasępiony brat Andrea de Inveruno, zbliżyli się do nas, gestem dając do zrozumienia, że musimy się pośpieszyć.

- Musimy iść! I to szybko!

- Pójdziecie z nami, ojcie Augustynie? - spytał zadyszany zakrystian. - Sądzę, że będzie nam potrzebna pomoc!

Taki pośpiech i presja sprawiły, że przestałem się opierać. Nie wiedziałem, dokąd mam się z nimi udać ani też po co. Lecz gdy zobaczyłem, że paź księcia zbliża się do Leonarda i szepcze mu coś do ucha, równocześnie ciągnąc go za szaty z zaniepokojoną miną, przystałem na ich prośby. Musiało wydarzyć się coś dziwnego. Poważnego. A ja chciałem wiedzieć, co to było.

Dwaj strażnicy miejscy nie wierzyli własnym oczom. Wisiało przed nimi martwe ciało mnicha. Z grubym powrozem owiniętym wokół szyi, trup zwisał z belki sterczącej z jednej z kamienic przy placu dei Mercanti.

Andrea Rho, szef straży, nie jadł jeszcze śniadania. Nie zdążył też pozapinać wszystkich guzików kurtki, gdy wiadomość o tym wydarzeniu przerwała jego nudny niedzielny po-ranek. Rho, o zmierzwionych posiwiałych włosach i pustym brzuchu, rozsiewając wokół siebie charakterystyczny zapach niedawno zbudzonego niedźwiedzia, niechętnie zbliżył się, by zobaczyć, co się stało. Niewiele mógł zrobić. Nieszczęśnik miał posiniałą i zimną skórę, nabrzmiałe żyły na twarzy i szeroko otwarte suche oczy. Zastygłe w źrenicach przerażenie sugerowało okrutną śmierć. Nieboszczyk musiał cierpieć w agonii przez dłuższy czas, nim się udusił. Jego ręce opadały bezwładnie wzdłuż białego habitu dominikanina, zaś spod długich rękawów wystawały zadbane, kościste i zeszywniałe już teraz dłonie. Do nozdrzy kapitana doleciał słaby fetor martwego ciała.

- I co? - Andrea przebiegł wzrokiem po spragnionej widowiska ciżbie. Wielu wracało do domów zawiedzionych, bo nie było im dane obejrzeć okazałego pojazdu, na którym spoczywały mary księżnej, a to uliczne zbiegowisko mogło im zrekompensować rozczarowanie.

Rho do nikogo z nich nie miał zaufania. Rozglądał się za współnikiem zbrodni, za kimś, kto przypatrywałby się tej scenie z dumą. - Co my tu mamy?

- To zakonnik, panie. Mnich - odparł z marsową miną jego towarzysz. Równocześnie halabardą i rozpostartymi ramionami starał się powstrzymać napierający tłum.

- To już wiem, Adriano. Obudzono mnie tą wiadomością.

- Widzicie, panie... - trabant się zawahał - tego powieszzonego znaleziono tu z samego rana. Dziś w tej okolicy wszystkie warsztaty i składy są pozamykane, dlatego nikt nic nie wie...

- Czy już go zrewidowałaś?

- Jeszcze nie.

- Nie? Jeszcze nie wiesz, czy przed powieszeniem został okradziony?

Adriano niechętnie przytaknął. Zapewne nigdy w życiu nie dotknął trupa. Rho spojrział

na niego z dezaprobatą, po czym zwrócił się do zgromadzonych:

- Nikt nic nie wie! Tak? Jesteście bandą tchórzy. Szczury!

Nikt się tym nie przejął. Wszyscy wpatrywali się z zachwytem w łagodne wahadłowe kołysanie się ciała mnicha, snując ściszonymi głosami domysły na temat tego, co się tu wydarzyło. Bóg wie najlepiej, że zakonnicy zwykle nie noszą przy sobie wyładowanych sakw ani cennych przedmiotów i

rozbójnikom zazwyczaj nie opłaca się na nich napadać. Lecz skoro to nie złodzieje, to kto położył kres życiu tego mnicha? Dlaczego wykonano na nim wyrok i zostawiono go na środku publicznej drogi?

Andrea Rho okrążył kilkakrotnie trupa, po czym zadał swojemu towarzyszowi kolejne złośliwe pytanie:

- No dobrze, Adriano, wykażmy się bystrością. Co tu się, twoim zdaniem, wydarzyło?

Zabili go, czy też sam się powiesił?

Chłopak, na którego nagle spadło ciężkie brzemie, wbił wzrok przed siebie i zaczął zastanawiać się nad odpowiedzią, jakby od tego miał zależeć jego awans. Starannie przeżuł odpowiedź i, gdy wreszcie otworzył usta... nie zdołał nic z siebie wydusić. Z tłumu dobiegł do-nośny władczy głos:

- Odebrał sobie życie! Sam sobie odebrał! Co do tego nie ma wątpliwości, kapitanie!

Był to głos męski, tak dźwięczny, że pod jego wpływem niemal zdrząły kolumnady placu dei Mercanti. Wywarł też spore wrażenie na tłumie.

- A co więcej - ciągnął - znam też jego imię. To brat Alessandro Trivulzio, bibliotekarz klasztoru Santa Maria delie Grazie! Niech Bóg przyjmie do siebie jego duszę!

Nieznajomy zbliżył się, torując sobie drogę wśród gapiów. Adriano przypatrywał mu się z otwartymi ustami. Była to niezwykła postać: mężczyzna wysoki, mocno zbudowany, nienagannie ubrany w ozdobną, sięgającą do stóp bawełnianą szatę, z bujną grzywą włosów zebranych pod wełnianą czapką. Towarzyszył mu płochliwy młokos. Miał nie więcej niż dwanaście lub trzynaście lat. Wyglądało na to, że bliski kontakt ze śmiercią robi na nim ogromne wrażenie.

- No proszę! Nareszcie znalazł się ktoś odważny! Kim jesteście, jeśli wolno wiedzieć?

- spytał Rho. - I co sprawia, że jesteście tak pewni tego, co mówicie?

Kolos, nim odpowiedział, poszukał wzrokiem oczu Andrei Rho.

- To proste, kapitanie. Jeśli zwrócicie uwagę na wygląd ciała, zauważycie, że oprócz pręgi na szyi nie ma śladów przemocy. Gdyby stawiał opór lub został zaatakowany, jego habit byłby zabrudzony, może poszarpany czy zakrwawiony. A tak nie jest. Ten mnich przyjął swój koniec ze spokojem. A jeśli przyjrzyście się jeszcze lepiej, zauważycie beczkę, która posłużyła mu za szafot. Wspiął się na nią, by sięgnąć do belki i zawiązać sobie stryczek na szyi.

- Sporo wiecie o zmarłych, panie - odpowiedział z ironią Rho.

- Widziałem ich więcej, niż możecie sobie wyobrazić. I to z bliska! Ich badanie jest jedną z moich pasji. Rozcinałem ich nawet z góry na dół, by z ich wnętrzości wydobyć wiedzę. - Olbrzym z naciskiem wymówił ostatnie zdanie, świadom, że zaraz po całym placu ro-zejdzie się pomruk przerażenia. - Gdybyście mieli okazję obejrzeć tylu wisielców co ja, zdali-byście sobie sprawę z

jednej jeszcze rzeczy.

- Jeszcze jednej?

- To ciało wisi tu już od kilku godzin.

- Naprawdę?

- Bez wątplenia. Wystarczy spojrzeć na muszki, które krążą wokół niego. Te małe ru-chliwe muszki pojawiają się przy zmarłym w dwie, trzy godziny po śmierci. I spójrzcie, jak wirują w poszukiwaniu pożywienia! Czyż to nie jest niezwykle?

- Nie powiedzieliście jeszcze, kim jesteście!

- Nazywam się Leonardo, kapitanie. I podobnie jak wy służę księciu.

- Nigdy dotąd was nie widziałem.

- Posiadłości księcia są rozległe - powiedział nieznajomy, zanosząc się niestosownym w tych okolicznościach śmiechem. - Jestem artystą. Pracuję nad różnymi projektami dla księ-

cia. Między innymi w klasztorze Santa Maria delie Grazie. Stąd znałem tego nieszczęśnika.

Powiem więcej! Był moim dobrym przyjacielem.

Kapitan pośpiesznie się przeżegnał. Maniery tego cudzoziemca go zastanowiły. W

końcu uznał, że ma do czynienia z kimś wybitnym. Jak wszyscy w Mediolanie, słyszał o uczonym mężu imieniem Leonardo i o jego niezwykłych umiejętnościach. Starał się przypomnieć sobie, co o nim mówiono. Ponoć nie tylko potrafił uwięzić na płótnie ludzką duszę czy odlać ku czci nieżyjącego Francesca Sforzy największy pomnik konny, jaki kiedykolwiek powstał, lecz posiadał także niezwykłą wiedzę medyczną. Stojący przed nim człowiek wyglądał

dokładnie tak, jak go sobie wyobrażał.

- Powiedzcie mi zatem, mistrzu Leonardzie, jak sądzicie, dlaczego mnich z klasztoru Santa Maria postanowił powiesić się właśnie tutaj?

- Tego nie wiem, kapitanie - odparł mistrz nieco bardziej uprzejmie. - Choć bez trudu potrafię interpretować znaki zewnętrzne, to ludzka wola zazwyczaj pozostaje nieodgadniona.

Pomimo to odpowiedź może być bardzo prosta. Tak jak ja przychodzę tu często kupować płótna i farby, tak i on mógł tu przybyć w poszukiwaniu jakiegoś towaru. Następnie naszły go jakieś ponure, zgubne myśli i uznał, że to właściwy moment, by umrzeć... Nie sądzicie?

- W niedzielę? - spytał kapitan Rho z powątpiewaniem. - W dniu pogrzebu donny Beatrice, który odbywa się w jego klasztorze. Nie... Nie sądzę.

Olbrzym wzruszył ramionami.

- Tylko Bóg wie, jakie myśli przychodzą do głowy jego sługom...

- Tak...

- Być może, jeśli ostrożnie zdejmiecie ciało i je przeszukacie, traficie na jakiś ślad, który pomoże odpowiedzieć na pytanie, co robił na placu dei Mercanti. Jeśli uznacie to za stosowne, oddaję moją wiedzę medyczną do waszej dyspozycji, by ustalić przyczynę i czas jego zgonu. Wystarczy wysłać ciało do mojej pracowni...

Mistrz nie dokończył zdania. Giberto, Andrea, Benedetto i ja w tym właśnie momencie dołączyliśmy do tłumu ciekawskich. Cyklop w milczeniu kroczył na przodzie, a jego spojrzenie przywodziło na myśl szykującą się do ataku bestię. Kiedy swym jedynym okiem dostrzegł obok ciała brata Alessandra białą szatę Leonarda, zbladł.

- Nie będziecie profanować ciała dominikanina, messer Leonardo! - wykrzyknął z daleka.

Toskańczyk odwrócił głowę w naszą stronę. Pozdrowił nas z szacunkiem i zaczął się tłumaczyć:

- Przykro mi, ojciec Benedetto, ubolewam nad tą śmiercią, podobnie jak i wy.

Jednooki spojrzał na nieruchome oblicze brata Alessandra. Od razu go rozpoznał. Był

chyba pod wrażeniem, choć z pewnością mniejszym niż ja. Dotknąłem oszołomiony jego zimnych, skostniałych dłoni. Nie mogłem uwierzyć, że nie żyje. I co powinienem sądzić o Leonardzie? Dlaczego tak przejmował się tym, co przydarzyło się bibliotekarzowi? Czy nie świadczyło to o tym, że brat Alessandro i on utrzymywali bliskie stosunki? Przeżegnałem się, przysięgając sobie, że wyjaśnię tę sprawę. W tej samej chwili Toskańczyk przekazał nam szeptem kondolencje.

- Niech Pan przyjmie go do swojej chwały - powiedział.

- A co wam po tym? - warknął rozwścieczony brat Benedetto. - W końcu dla was był

tylko użytecznym głupcem, mistrzu! Przyznajcie to teraz, kiedy jeszcze jest tu przed wami jego ciało.

- Nigdy go nie docenialiście.

- Ale nie aż tak, jak wy.

Olbrzymim ciałem mistrza wstrząsnął dreszcz.

- Ponadto - ciągnął Benedetto - dziwi mnie, że wydajecie tak pochopny sąd na temat jego śmierci. To kłóci się z waszą sławą. Nasz bibliotekarz kochał życie, więc dlaczego miał-

by je sobie odbierać?

Oczekiwałem na odpowiedź Toskańczyka, lecz on nie otworzył już ust. Być może wyczuł grę jednookiego. Zakonnicy z Santa Maria będą starali się przekonać strażników, że ich brat wpadł w zasadzkę. Przyjęcie hipotezy o samobójstwie okryłoby go hańbą, a także uniemożliwiłoby jego pochówek w poświęconej ziemi.

Ostrożnie zdjęliśmy zwłoki z prowizorycznej szubienicy. Na twarzy bibliotekarza nadal malował się ten dziwny wyraz. Kpiący grymas, niemal rozbawienie, kontrastował z przerażeniem zastygłym w wybałuszonych oczach. Toskańczyk zbliżył się do niego i w geście mi-

łosierdzia, którego nikt się po nim nie spodziewał, zamknął mu powieki i wyszeptał coś do ucha.

- Rozmawiacie również ze zmarłymi, messer Leonardo?

Andrea Rho, znajdujący się w odległości piędzi od malarza, rozdziawił gębę w uśmiechu.

- Tak, kapitanie. Jak już mówiłem, byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

Mówiąc to, złapał za rękę towarzyszące mu złotowłose pacholę o niewinnym spojrzeniu i skierował kroki ku uliczce Koguciej.

Do tej pory nie rozumiem, dlaczego tak postąpiłem.

Gdy zobaczyłem oddalającą się w tłumie sylwetkę mistrza Leonarda, przypomniałem sobie radę brata Alessandra: „Ten, po którym najmniej byście się tego spodziewali, znajdzie rozwiązanie”. A jeśli odpowiedź na pytanie, kim jest Wróżbita, zna człowiek, którego tenże Wróżbita uznał za największego wroga? Co mi szkodzi z nim o tym pomówić? Czy moje dochodzenie ucierpi, jeśli zamienię kilka zdań z tym błękitnookim olbrzymem w białej szacie?

Postanowiłem spróbować.

Zostawiłem braci Benedetta, Giberta i Andree, gdy z podwiniętymi rękawami podnosiłem doczesne szczątki brata Alessandra. Przeprosiłem ich jak najuprzejmiej i pośpieszyłem w kierunku uliczki, którą odszedł mistrz. Kiedy skręciłem za róg, nie było po nim śladu. Ruszy-

łem pędem pod górę.

- Podejmujecie wielki trud, by złapać biednego artystę. - Tubalny głos mistrza rozbrzmiał za moimi plecami. Leonardo stał przy straganie z warzywami. Nie wiem, jak to się stało, że go nie zauważyłem.

Leonardo i towarzyszący mu efeb jednocześnie rozchyłili wargi w niemal identycznym uśmiechu i zmrużyli takie same jasne oczy.

- Niech zgadnę - ciągnął olbrzym, obracając w dłoniach kilka główek czosnku - przysłała was sługus przeora, ten jednooki Benedetto, byście mnie spytali, czy wiem coś jeszcze o śmierci waszego brata. Czyż nie tak?

- Mylicie się, mistrzu - odrzekłem, odwracając się w ich stronę. - To nie brat Benedetto mnie tu przysłał. Przywiodła mnie tu ciekawość.

- Ciekawość?

Poczułem w brzuchu dziwne łaskotanie. Z bliska Leonardo wyglądał jeszcze wspanialej, niż mi się zdawało, gdy widziałem go na podium dla dostojników. Miał wielkie, silne dłonie, zdolne, jeśli zaszłaby taka potrzeba, wyrwać ząb trzonowy wraz z korzeniami... lub ożywić ścianę magicznymi malowidłami. Kiedy przeszył mnie wzrokiem, miałem dziwne wrażenie, że nie potrafiłbym go okłamać.

- Pozwólcie, że się przedstawię - wysapałem. - W istocie nie należę do wspólnoty Santa Maria. Jestem tylko jej gościem. Nazywam się Augustyn Leyre. Ojciec Leyre.

- Ach tak?

- Jestem w Mediolanie przejazdem. Nie chciałem stracić sposobności, by wyrazić mój najwyższy



podziw dla pracy, którą wykonujecie w refektarzu. Wolałbym spotkać was w bardziej sprzyjających okolicznościach, ale Bóg zrzędził inaczej.

- Refektarz. - Olbrzym spuścił wzrok ku ziemi. - Szkoda, że nie wszyscy bracia z Santa Maria myślą tak jak wy.

- Brat Alessandro również was podziwiał.

- Wiem, ojcze. Wiem. Brat bibliotekarz bardzo mi pomógł przy tym dziele.

- To miał na myśli ojciec Benedetto, gdy powiedział, że Alessandro był dla was użytecznym głupcem?

Leonardo patrzył na mnie przenikliwym wzrokiem, jakby rozważał, jakich słów powinien użyć w rozmowie z człowiekiem, który przed nim stoi. Być może nie był świadom tego, że to ja jestem tym inkwizytorem, o którym zapewne opowiadali mu jego uczniowie.

A jeśli tak, to starał się, bym tego nie zauważył.

- Być może jeszcze o tym nie wiecie, ojcze, lecz to dzięki bratu Alessandrowi powsta-

ła jedna z najważniejszych postaci Cenacolo. Był wobec mnie tak wspaniałomyślny, tak wielkoduszny, że zgodził się mi pozować, nie prosząc w zamian o nic i godząc się ponieść konsekwencje tej decyzji.

- Konsekwencje? - Musiałem z żalem uznać, że nic nie rozumiem. - Jakie konsekwencje?

Leonardo na widok mojej zdziwionej miny uniósł brwi. Zapewne nie pojmował, jak mogło mi umknąć coś równie doniosłego. Był jednak łaskaw mnie oświecić.

- Praca malarza jest dużo cięższa, niż wielu ludziom się wydaje - zaczął poważnie swoim głębokim, łagodnym głosem. - Miesiącami snujemy się w poszukiwaniu gestu, profilu, oblicza, które byłyby zgodne z naszą wizją i mogłyby posłużyć jako model. Mnie brakowało Judasza. Człowieka, który miałby zło wypisane na twarzy, lecz nie byle jakie zło. Potrzebowałem inteligentnej brzydoty, bystrej, która odzwierciedlałaby wewnętrzną walkę, którą Judasz musiał stoczyć, by wypełnić powierzona mu przez samego Boga misję. Musicie przyznać, że bez jego zdrady nigdy nie wypełniłoby się przeznaczenie Chrystusa.

- I znaleźliście go?

- Jak to? - Olbrzym aż podskoczył. - Jeszcze nie rozumiecie? To brat Alessandro był

moim modelem Judasza! Jego twarz posiadała wszystkie cechy, których tak poszukiwałem.

Był człowiekiem inteligentnym, lecz strapionym, o wyrazistych, niemal irytujących rysach.

- I pozwolił się sportretować jako Judasz? - spytałem zdumiony.

- Przysłał na to ochoczo, ojczu. I nie on jeden. Inni ojcowie z tej wspólnoty również pozwali do tego dzieła. Wybrałem tylko tych o najszlachetniejszych twarzach.

- Lecz Judasz...

- Rozumiem wasze zdumienie, ojczu. Powinniście jednak wiedzieć, że brat Alessandro przez cały czas wiedział, na co się naraża. Był świadom tego, że nikt z jego współbraci nie spojrzy już na niego tak jak wcześniej.

- Trudno się temu dziwić, nie sądzicie?

Leonardo zamilkł, jakby się wahał, czy powinien kontynuować tę rozmowę, po czym, ujmując ponownie dłoń towarzyszącego mu chłopca, dodał coś, co jak mi się zdawało, wynikało z jego głębokich przemyśleń:

- To, czego nie byłem w stanie przewidzieć, ani z pewnością mu tego nie życzyłem -

powiedział cicho - to, że dokona żywota tak samo jak Judasz, na stryczku, w samotności, z dala od towarzyszy i niemal przez wszystkich wzgardzony. A może ten dziwny zbieg okoliczności również uszedł waszej uwagi, ojczu?

- Prawdę mówiąc, aż do tej chwili o tym nie pomyślałem.

- Wkrótce dowiecie się, ojczu Leyre, że w tym mieście nic nie dzieje się przypadkowo.

Że wszystkie pozory mylą. I że prawda jest tam, gdzie najmniej można się jej spodziewać.

Powiedziawszy te słowa, mistrz skierował się w głąb uliczki. Ja zaś nie odważyłem się spytać, o czym rozmawiał z bratem Alessandrem w noc przed jego śmiercią, ani czy kiedykolwiek słyszał o swoim groźnym nieprzyjacielu, znanym niektórym jako Wróżbita.

Luini ze wszystkich sił pragnął uciec, lecz znów zabrakło mu silnej woli. Choć jego sumienie głośno domagało się, by uciekł od tej dziewczyny, to ciało już rozkoszowało się rytmicznymi porywami donny Eleny. A co mi tam sumienie? - pomyślał, by już chwilę potem tego pożałować.

Nigdy dotąd nie znalazł się w takiej sytuacji. Nie zdążył nawet otworzyć ust, a jedna z najbardziej pożądanых kobiet w księstwie poprowadziła go ścieżkami namiętności. Córka Crivellich była piękna, z pewnością nigdy nie widział Magdaleny o tak anielskim obliczu.

Jednak nic nie mógł poradzić na to, że czuł się jak Adam, wiedziony przez rozpustną Ewę na zatracenie. Czuł niemal smak zatrutego jabłka, którego soki pozbawiały go zazdrośnie strze-

zonej niewinności. Jakkolwiek może się to wydać dziwne, mistrz Bernardino był jednym z niewielu, którzy nadal wierzyli, iż Bóg ukrył prawdziwe drzewo wiadomości dobrego i złego pomiędzy nogami kobiety. Zaś spożywanie jego owoców, nawet jeśli ma miejsce tylko raz, jest równoznaczne z wiecznym potępieniem.

- Miserere domine... - szepnął, pozbawiony nadziei.

Gdyby donna Elena dała mu wówczas chwilę wytchnienia, malarz zalałby się łzami.

Lecz nie, purpurowy niczym kardynalski kapelusz, spełniał każde życzenie hrabianki, wpadając w przerażenie, gdy ta, podskakując na jego męskości, zadawała raz po raz pytania na temat szczególnych przymiotów Marii Magdaleny.

- Opowiedz mi o tym, opowiedz mi wszystko! - dyszała i śmiała się, patrząc na niego błagalnym wzrokiem. - Wytłumacz mi, dlaczego tak bardzo interesuje cię Magdalena! Powiedz coś więcej o sekrecie Leonarda!

Luini, zarumieniony, z trudem łapał powietrze. Siedział z nogawicami opuszczonymi aż do kostek na tej samej otomanie, którą zajmowała wcześniej donna Lukrecja Crivelli, i czynił wysiłki, by się nie jękać.

- Ależ Eleno - szeptał z trwogą - tak nie można.

- Obiecuj, że mi o tym opowiesz! Luini milczał.

- Obiecuj!

I wówczas grzeszny mistrz, wycieńczony, poprzysiągł dwukrotnie w imię Chrystusa.

Tylko Bóg jeden wie dlaczego.

Kiedy wszystko się zakończyło i malarz wreszcie złapał oddech, podniósł się powoli, po czym wdział ubranie. Był zmieszany. Wystraszony. Ten tytan, Leonardo, uprzedził go, jak niebezpieczne

potrafią być córy węża i że oddać się im - znaczy nie dopełnić najważniejszego zobowiązania każdego malarza: pogwałcić święte przykazanie mówiące o tym, że tworzyć należy w samotności. Jedynie jeśli trzymasz się z dala od żony lub kochanki, możesz poświę-

cić ciało i duszę najwyższej sztuce tworzenia - napisał kiedyś Leonardo. Jeśli natomiast posiadasz kobietę, podzielisz swoje talenty na dwa. Na trzy - jeśli masz syna; stracisz je zaś całkowicie, jeśli spłodzisz dwie lub więcej istot. Te przestrogi wyływały z głębin jego umysłu.

Czuł się słaby i niegodny. Zgrzeszył. Jeszcze chwilę wcześniej mógł uchodzić za człowieka bez skazy. Teraz wszystko legło w gruzach, on zaś stał się kiepską parodią samego siebie.

Zło, które się wydarzyło, było nieodwracalne.

Donna Elena nadal leżała obnażona na otomanie i patrzyła na swojego malarza, nie pojmując, czemu tak nagle posmutniał.

- Dobrze się czujesz? - spytała ze słodyczą w głosie.

Mistrz milczał.

- Czyż cię nie zadowoliłam?

Luini, z wilgotnymi oczami i powściągliwym wyrazem twarzy, starał się zdusić w sobie dręczące go wyrzuty sumienia. Cóż miał powiedzieć temu stworzeniu? Czy zrozumiałaby to poczucie klęski, słabości wobec pokusy? A co gorsza, czyż nie obiecał jej, biorąc Jezusa na świadka, że odkryje przed nią sekret, który tak żarliwie pragnęła poznać? I jak miał to zrobić?

Czy nie pragnął poznać go równie gorąco, jak sama Elena? Odwracając się plecami do swej kochanki, przeklął w duchu swoją słabość. Co miał teraz zrobić? W ciągu jednego popołudnia miał zatem zgrzeszyć dwukrotnie: najpierw, przez niedochowanie cnoty, a następnie przez niedotrzymanie słowa?

- Jesteś smutny, miły mój - wyszeptła, gładząc go po plecach.

Malarz przymknął oczy, nadal niezdolny, by coś powiedzieć.

- Mnie natomiast napełniłeś radością. Czyżby spełnienie tego, czego tak stanowczo się domagałam, przyniosło ci poczucie winy? Czy sprawienie przyjemności damie może być powodem udręki?

Hrabianka, czytając w ponurych myślach upadłego na duchu mężczyzny, próbowała uspokoić jego sumienie:

- Bernardino, nie powinieneś ganić się za to, co się stało. Inni, jak na przykład fra Filippo Lippi, pracując w klasztorze, wykorzystywali okazję, by uwieść młodzieńki nowicjuszeki. A przecież on był duchownym!

- Co takiego?

- Och! - zaśmiała się, widząc, że jej kochanek zerwał się przerażony. - Powinniście znać tę historię, mistrzu. Ojciec Lippi zmarł niecałe trzydzieści lat temu. Z pewnością wasz Leonardo poznał go we Florencji. On był bardzo sławny.

- I powiadacie, że fra Filippo...?

- Oczywiście - wskoczyła mu na kolana. - W klasztorze Świętej Małgorzaty, kiedy kończył jedno ze swoich malowideł, uwiódł niejaką Lukrecję Buti i nawet miał z nią syna.

Nie wiedziałeś o tym? Niemożliwe! Wielu sądzi, że to właśnie hańba rodziny Buti stała się przyczyną wysłania go na tamten świat za pomocą solidnej dawki arszeniku. Widzisz? Nie zrobiłeś niczego złego! Nie złamałeś żadnych świętych ślubów! Ofiarowałeś miłość tej, która o to prosiła!

Mistrz się zawahał. Pomimo załamania rozumiał, że piękna Elena stara się mu pomóc.

Wzruszony, zdołał wreszcie wydusić zrozumiałe zdanie:

- Eleno... jeśli nadal takie jest twoje życzenie i chcesz dostąpić tajemnicy, która tak cię intryguje i stanowi zarazem inspirację twojego portretu, opowiem ci to, co wiem o sekrecie Marii Magdaleny.

Hrabanek przyglądała mu się z zaciekawieniem. Zdawało jej się, że każde wypowiedziane słowo wiele go kosztuje.

- Jesteście człowiekiem honoru. Spełnicie daną mi obietnicę. Wiem o tym.

- Tak. Lecz teraz ty mi obiecaj, że już nigdy więcej mnie nie dotkniesz. Ani też z nikim nie będziesz rozmawiać o tym, co ci powiem.

- A czy ten sekret, mistrzu, pozwoli mi zrozumieć przyczyny waszego smutku?

Malarz popatrzył jej w oczy, choć z trudem był w stanie wytrzymać to jasne spojrzenie. Ta ciągła troska Eleny Crivelli o jego dobre samopoczucie zupełnie go rozbroiła. Przypomniawszy sobie wówczas to, co usłyszał kiedyś na temat kobiet pochodzących z rodu Magdaleny: spojrzenie każdej z nich, za sprawą potężnego czaru miłosnego, potrafi zmiękczyć serce każ-

dego mężczyzny. Trubadurzy nie kłamali. Ta istota zasługiwała na to, by poznać prawdę o swym pochodzeniu. Czy miał być tak bezduszny, by nie wskazać jej drogi prowadzącej do poznania?

I tak Bernardino Luini, siląc się na uśmiech, spełnił w końcu jej życzenie.

## Sekret Marii Magdaleny według mistrza Luiniego

- Słuchaj zatem uważnie - zaczął. - Kiedy ukończyłem trzynaście lat, mistrz Leonardo przyjął mnie do swojej bottega we Florencji. Mój ojciec, żołnierz, któremu sprzyjał los i który dzięki mediolańskim Viscontim zdołał zbierać pewną kwotę pieniędzy, uznał, że powinienem wprawić się w sztuce malarskiej, nim poświęcę się życiu klasztornemu lub, jeśli to się nie uda, prowadzić będę żywot świecki zgodny z Bożymi przykazaniami. Widział to wówczas dużo jaśniej niż ja, chciał odsunąć mnie od zgiełku wojny i umieścić pod opiekuńczymi skrzydłami Kościoła. Jednak w Mediolanie nie było wówczas dobrego warsztatu sztuk pięknych. Wyznaczył mi zatem roczną pensję i wysłał do Florencji, rządzonej wtedy jeszcze przez Wawrzyńca Wspaniałego.

To tam wszystko się zaczęło.

Messer Leonardo da Vinci umieścił mnie w wielkim, zaniedbanym domostwie. Z zewnątrz dom był czarny. Przerazał. Wewnątrz natomiast było jasno i przestronnie. Ściany dzia-

łowe zostały usunięte, podział na pokoje zniesiony, i tak powstały wielkie przestrzenie, które wypełniono najdziwniejszymi urządzeniami. Na parterze, obok sieni, wyznaczono miejsce na rozsadniki, doniczki i klatki ze skowronkami, bażantami, a nawet sokołami. Tuż obok piętrzy-

ły się stosy form do odlewania w brązie głów, końskich nóg i ciał trytonów. Wszędzie były lustra. A także świece. Do kuchni prowadził korytarz strzeżony przez drewniane szkielety i śmigła maszyn latających, które każdego by przestraszyły. Już sama myśl o tym, co mistrz mógł trzymać na poddaszu, napełniała mnie lękiem.

W domu mieszkali również inni uczniowie mistrza. Wszyscy byli starsi ode mnie, tak więc, po pierwszych dniach figli i żartów, zdobyłem wśród nich dość wygodną pozycję i mogłem zacząć przyzwyczajając się do nowego życia. Zdaje się, że Leonardo upodobał mnie sobie. Nauczył mnie klasycznej łaciny i greki, tłumacząc, że bez takiego przygotowania nie mógłby nauczyć mnie innej formy pisma, którą nazwał „nauką o obrazach”.

Możesz to sobie wyobrazić, Eleno? Moje zajęcia mnożyły się bezustannie. Obejmowały tak szczególne dziedziny jak botanika czy astrologia. W tamtych latach dewiza mistrza brzmiała: *Lege, lege, relega, ora, labora et invenies\**, zaś jego ulubioną lekturą (a zatem i naszą) były żywoty świętych Jakuba de Voragine.

\* *Lege ...* (łac.) - Czytaj, czytaj, przeczytaj ponownie, módl się, pracuj, a znajdziesz (przyp. aut.).

Tomasso, Andrea i pozostali uczniowie nie cierpieli tej książki, lecz dla mnie stanowiła ona prawdziwe odkrycie. Dowiedziałem się z niej niezwykłych rzeczy. Jej stronic radowały mnie dziesiątkami ciekawych wiadomości, cudów, przygodami świętych, uczniów i aposto-

łów, o których istnieniu nie miałem wcześniej pojęcia. Dowiedziałem się z niej na przykład, że Jakuba Młodszego nazywano „bratem Pańskim”, bo obaj byli podobni do siebie jak dwa płatki śniegu. Dlatego Judasz umówił się z Sanhedrynem, że w Gaju Oliwnym pocałuje Pana Naszego, ponieważ obawiał się, że zabójcy pomylą prawdziwego Jezusa z niemal bliźniaczo do niego podobnym Jakubem.

Oczywiście w ewangeliach nie ma o tym ani słowa.

Zachwyciałem się również przygodami apostoła Bartłomieja.

Ten uczeń o wyglądzie gladiatora przerażał Dwunastu swoją niewiarygodną zdolno-

ścią przewidywania przyszłości. Jednak ten dar nie na wiele mu się zdał, nie przewidział bowiem, że w Indiach zostanie obdarty ze skóry.

Stopniowo wchłaniałem tę wiedzę, która umożliwia mi wyobrazenie sobie twarzy i charakterów ludzi tak ważnych dla naszej wiary. O to właśnie chodziło mistrzowi Leonardowi: chciał, by żywoty świętych rozbudziły naszą wyobraźnię i ułatwiły nam przenoszenie tych postaci na płótno. W tym czasie wręczył mi listę cech charakteryzujących każdego z aposto-

łów, zgodną z informacjami Jakuba de Voragine. Nadal ją mam. Spójrzcie: Bartłomiej został

nazwany Mirabilis, cudowny, ze względu na jego zdolność przewidywania przyszłości. Bliź-

niaczy brat Jezusa to Venustus, pełen łaski...

Elena, rozbawiona przejęciem, z jakim Luini rozkładał kawałek papieru, wydobyty z kieszonki koszuli, wyrwała mu go z rąk i przeczytała na głos, nie rozumiejąc za dobrze treści: Bartło-Mi-

Cudowny

Jakub

Ve-

Pełen łaski

MłodszyAn-

nustus Tem

Ten, który zapobiega

drzej

perator

Iska-

Ne-

Odrażający

riota

Piotr

fandus Exo-

Ten, który nienawidzi

Jan

sus

My-

Ten, który zna tajemnicę

To-

sticus Lita- Ten, który uspokaja bogów

masz Jakub tor

Obo-

Ten, który jest posłuszny

StarszyFilip

ediens Sa-

Ten, który wielbi rzeczy

Mate- piens Na- wzniosłePilny

Tade-

Oc-

Ten, który ukrywa

usz JudaSzy-



cultatorCon-

Ten, który doprowadza

mon - I prze fe

c tor

howałeś to do końc

przez tyl ae lat? - spytała, bawiac się tym mocno przybrudzonym skrawkiem papieru.

- Tak. Wspominam to jako jedną z najważniejszych lekcji mistrza Leonarda.

- Więc więcej już tego nie zobaczysz - oznajmiła dziewczyna ze śmiechem.

Luini nie dał się sprowokować. Elena wyzywająco uniosła jego listę nad głową, oczekując, że malarz rzuci się, by ją odebrać. Nie wpadł w pułapkę. Widział tę listę tyle razy, studiował ją z takim oddaniem, starając się na jej podstawie ustalić cechy Dwunastu, że nie była mu już potrzebna. Znał ją na pamięć.

- A Magdalena? - spytała wreszcie lekko rozczarowana hrabianka. - Nie ma jej wśród tych imion. Kiedy mi o niej opowiesz?

Luini, ze wzrokiem utkwionym w trzaskające w kominku polana, podjął opowieść:

- Jak już ci mówiłem, studiowanie dzieła Jakuba de Voragine miało na mnie duży wpływ. Teraz, kiedy upłynęło już tyle czasu, przyznaję, że spośród wszystkich opowieści najbardziej zwróciła moją uwagę ta o Marii Magdalenie. Z jakiegoś powodu messer Leonardo chciał, bym poświęcił jej szczególną uwagę. Tak też uczyniłem.

W tamtym czasie wiadomości, jakimi mistrz uzupełniał nauki biskupa z Genui, w ogó-

le mnie nie przerażały. W wieku trzynastu lat nie wiedziałem, jaka jest różnica pomiędzy ortodoksją a herezją, między tym, co akceptowane przez Kościół, a tym, co jest nie do przyję-

cia. Być może dlatego pierwszą rzeczą, która wbiła mi się w pamięć, było znaczenie jej imienia. Maria Magdalena oznacza „gorzkie morze”, „oświecająca”, a także „oświecona”. Pierwsze z tych określeń, zdaniem biskupa, miało związek z tym, że za życia ta niewiasta wylała morze łez. Całym sercem kochała Syna Bożego, lecz On przybył na ziemię, by spełnić misję o dużo większej wadze niż założenie rodziny. Tak więc Maria Magdalena musiała nauczyć się kochać go w inny sposób. Leonardo wskazał mi, że najlepszym symbolem upamiętniają-

cym wyjątkowe dary, którymi została obdarzona, jest węzeł. Już za czasów Egipcjan węzeł

łączony był z magią bogini Izis. Wyjaśnił mi, że mity na temat Izis opowiadają, jak bogini udało się wskrzesić Ozyrysa, a osiągnęła to dzięki swej umiejętności rozsupływania węzłów.

Magdalena jako jedyna towarzyszyła Chrystusowi, gdy ten powrócił między żywych, i mamy podstawy, by sądzić, że ona również była biegła w tej sztuce. Sztuce, jak powiedział mistrz, nie pozbawionej goryczy, bo komu nie żal rozsupłać pięknie zawiązany węzeł?

„Gdy zobaczysz na jakimś płótnie wyraźnie namalowany węzeł, pamiętaj, że to dzieło zostało poświęcone Magdalenie” - tak mnie pouczył.

Jeśli chodzi o dwa pozostałe znaczenia jej imienia, są one dużo głębsze i bardziej tajemnicze. I mają związek z bardzo drogim mistrzowi pojęciem światła. Stale nam o tym mów-

wił. Jego zdaniem, światłość jest jedynym miejscem, w którym zamieszkuje Bóg. Ojciec jest światłem. Niebo jest światłem. Wszystko w swej istocie nim jest. Dlatego tyle razy powtarzał, że gdyby ludzie nauczyli się panować nad światłem, mogliby wzywać Ojca i rozmawiać z nim zawsze, kiedy tylko by tego potrzebowali.

Nie wiedziałem wówczas o tym, że ta idea światła jako przekaźnika naszego dialogu z Bogiem przybyła do Europy właśnie dzięki Magdalenie.

O tym też ci opowiem.

Po śmierci Jezusa na Golgocie Maria Magdalena, Józef z Arymatei, ukochany uczeń Jan i niewielka liczba wyznawców Mesjasza uciekli do Aleksandrii, by uchronić się przed groźącymi im prześladowaniami. Niektórzy pozostali w Egipcie i założyli tam pierwsze i najbardziej uczone wspólnoty chrześcijańskie, o jakich nam wiadomo. Lecz Magdalena, depozytariuszka wielkich tajemnic swojego umiłowanego, nie czuła się bezpiecznie w tak bliskim są-

siedztwie Jerozolimy. Dlatego dotarła aż do wybrzeży Francji, gdzie znalazła bezpieczniejsze schronienie.

- A cóż to były za tajemnice?

Pytanie hrabianki wyrwało mistrza z zamyślenia.

- Wielkie tajemnice, Eleno. Tak wielkie, że aż dotąd jedynie nieliczni i wybrani śmiertelnicy mają do nich dostęp.

Dziewczyna otworzyła szerzej oczy.

- To tajemnice, które Jezus wyjawiał jej, gdy powstał z martwych?

Luini przytaknął.

- Te właśnie. Lecz mnie nie zostały jeszcze wyjawione. Maria Magdalena, znana również jako Maria z Betanii, postawiła stopę na południowym wybrzeżu Francji, w osadzie, któ-

ra później nazwano Les Saintes-Maries de la Mer, ponieważ razem z nią przybyło tam jeszcze kilka innych Marii. Tam głosiła dobrą nowinę Jezusa i wtajemniczała swoich uczniów w „sekret światła”,

który od razu został przyjęty przez heretyków takich jak katarzy czy, jak wolisz, albigensi, a nawet stała się patronką Francji, Notre-Dame de la Lumiere.

Lecz ten czas głoszenia dobrej nowiny w atmosferze pokoju dobiegł kresu. Ludzie Kościoła zorientowali się, że te idee zagrażały hegemonii Rzymu i postanowili położyć kres ich rozpowszechnianiu. Z ich punktu widzenia było to logiczne: Jak papież mógłby pogodzić się z istnieniem wspólnot chrześcijańskich, które nie musiały zwracać się do Boga za pośrednictwem kurii? Czy przedstawiciel Chrystusa na ziemi mógł zająć miejsce podrzędne lub równe Magdalenie? A co mieli powiedzieć o wyznawcach? Czy oddawanie czci światłu nie było bałwochwalstwem? Dlatego Kościół zdegradował tę niewiastę, która kochała Jezusa i jak żaden inny śmiertelnik poznała jego ludzką naturę.

Pozwól” Eleno, że wyjaśnię ci coś jeszcze.

Któregoś dnia, na początku 1479 roku, kiedy Florencja dochodziła do siebie po szaleńczym zamachu na naszego umiłowanego Wawrzyńca Wspaniałego \*, mistrz Leonardo przyjął w swojej bottega osobliwego gościa. Mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna

\* Luini ma na myśli słynny „spisek Pazzich”, który miał doprowadzić do śmierci Wawrzyńca Wspaniałego w katedrze we Florencji. Wawrzyniec zdołał uciec, w przeciwień-

stwie do swojego brata Giuliana, któremu zadano dwadzieścia siedem ciosów. Represje, do jakich doszło po tym zabójstwie, należały do najostrzejszych w XV wieku.

172 przybył do naszej pracowni w samo południe. Miał długie, kręcone jasne włosy i z dumą obnosił się ze swoją urodą, jakże przypominającą urodą cherubinów, których malowaliśmy wówczas nieudolnie na naszych płótnach. Ten dziwny człowiek o miłej powierzchowności był nienagannie ubrany, cały na czarno. Zjawił się bez zapowiedzi i rozejrzał po domostwie mistrza zupełnie tak, jakby było jego własne. Obejrzał nawet bez pytania wszystkie rzeczy, nad którymi wtedy pracowaliśmy. Ja oczywiście malowałem portret Magdaleny, trzymającej w dłoniach naczynie z alabastru. Gość był tym niezwykle uradowany.

„Widzę, że messer Leonardo dobrze was naucza! - pochwalił mnie. - W waszym szkicu kryją się wielkie możliwości... Oby tak dalej”.

To mi bardzo schlebiło.

„Oczywiście - dodał później - wiecie, co oznacza ten flakon w dłoniach waszej Magdaleny?”.

Pokręciłem głową.

„To jest opisane w czternastym rozdziale Ewangelii Świętego Marka. Ta kobieta na-maściła Jezusa, wylewając na jego głowę olejek, tak jak uczyniłaby to prawdziwa kapłanka wobec króla... Króla śmiertelnego, z krwi i kości”.

W tym momencie zjawił się mistrz. Ku zdziwieniu wszystkich, nie tylko nie rozgniewał się na widok intruza w swojej bottega, lecz wręcz uradował. Ledwo się zobaczyli, padli sobie w ramiona,

uściskali, ucałowali w policzki i natychmiast zaczęli rozmawiać o tym, co boskie i co ludzkie. Wtedy to po raz pierwszy usłyszałem na temat Marii Magdaleny coś, co nigdy nie przysłoby mi do głowy.

„Prace posuwają się w niezłym tempie, drogi Leonardo - oznajmił z dumą Cherubin. -

Choć od czasu śmierci Cosima Starszego mam wrażenie, że nasze wysiłki mogą pójść na marne. Republika Florencji, jestem tego pewien, wkrótce zostanie wystawiona na straszne próby”.

Mistrz ścisnął delikatne ręce gościa w swoich, potężnych niczym u kowala, dłoniach.

„Na marne, mówicie? - zadudnił jego donośny głos. - Przecież twoja Akademia to świątynia wiedzy, równie potężna, jak egipskie piramidy! Czyż w ostatnich latach nie stała się ulubionym miejscem pielgrzymek młodzieży, która pragnie dowiedzieć się czegoś więcej o naszych niezwykłych przodkach? Przetłumaczyłeś z dużym sukcesem dzieła Plotyna, Dionizego, Proklosa, a nawet samego Hermesa Trismegistosa i przełożyłeś na łacinę tajemnice starożytnych faraonów. Przecież całe to dziedzictwo nie może się nagle rozplątać. Mój drogi przyjacielu, jesteś największym myślicielem Florencji!”.

Mężczyzna w czarnej tunice zarumienił się.

„Twoje słowa bardzo mi schlebiają, przyjacielu. Jednakże nasza walka o odzyskanie wiedzy, którą ludzkość posiadała w mitycznych czasach Złotego Wieku, znalazła się w punkcie krytycznym. Dlatego chciałem się z tobą zobaczyć”.

„Mówisz o klęsce? Ty?”.

„Wiesz już, co jest moją obsesją od czasu, gdy przetłumaczyłem dzieła Platona dla Cosima Starszego, prawda?”.

„Oczywiście. Twoja idea nieśmiertelności duszy! Cały świat będzie sławić twoje imię za to odkrycie! Już widzę napis wyryty złotymi literami na wielkich łukach triumfalnych:

»Marsilio Ficino, bohater, który przywrócił nam godność«. Nawet papież obsypie cię błogosławieństwami!”.

Cherubin się roześmiał.

„Leonardo, jak zawsze popadasz w przesadę”.

„Tak sądzisz?”.

„W istocie jest to zasługą Pitagorasa, Sokratesa, Platona, a nawet Arystotelesa, a nie moją. Ja jedynie przełożyłem ich na łacinę, by wszyscy mieli dostęp do tej wiedzy”.

„A zatem, Marsilio, co cię gnębi?”.

„Martwi mnie papież, mistrzu. Wiele wskazuje na to, że to on rozkazał zamordować Wawrzyńca

Medyceusza w katedrze. I pewien jestem, że nie kierowały nim jedynie motywy polityczne, lecz również religijne”.

Leonardo uniósł ze zdziwieniem grube brwi, lecz nie odważył się mu przerwać.

„Już od wielu miesięcy całe miasto męczy się przez ten przeklęty interdikt. Od czasu zamachu na Medyceuszy sytuacja zrobiła się nieznośna. W kościołach zakazano udzielania sakramentów i odprawiania nabożeństw. Najgorsze jest to, że będą nadal wywierać nacisk, dopóki się nie poddam...”.

„Ty? - Tytan wzdrygnął się. - A co ty masz z tym wspólnego?”.

„Papież chce, by Akademia zrzekła się praw do przechowywania szeregu starożytnych tekstów i dokumentów, których treści są sprzeczne z doktryną Rzymu. Spisek przeciwko Wawrzyńcowi miał między innymi na celu przejęcie ich siłą. Rzym jest szczególnie zainteresowany odebraniem nam apokryficznych pism apostoła Jana, które, jak wiesz, od jakiegoś czasu znajdują się w naszych rękach”.

„Rozumiem...”.

Mój mistrz pogładził się po brodzie, jak zawsze gdy nad czymś rozmyślał.

„Lękasz się o jakieś konkretne teksty, Marsilio?”, spytał.

„W tych pismach, kopiach kopii nigdy nie wydanych pism ukochanego ucznia, mowa jest o tym, co stało się z apostołami po śmierci Jezusa. Otóż według tych tekstów, ster pierwszego Kościoła, tego autentycznego, nigdy nie znajdował się w rękach Piotra, lecz Jakuba.

Wyobrażasz sobie? Legitymizacja papieżstwa rozsypałaby się w proch!”.

„I sądzisz, że w Rzymie wiedzą o istnieniu tych dokumentów i za wszelką cenę starają się je przejąć...”.

Cherubin skinął głową, dodając coś jeszcze:

„Teksty Jana idą o wiele dalej”.

„Ach tak?”.

„Mowa w nich o tym, że oprócz Kościoła Jakuba, wśród uczniów powstał jeszcze inny nurt, na którego czele stanęła Maria Magdalena, wspierana przez samego Jana”.

Mistrz zmarszczył czoło, a mężczyzna w czarnej tunice mówił dalej:

„Według Jana Magdalena zawsze była blisko Chrystusa. Tak blisko, że niektórzy wierzyli, iż to ona miała kontynuować jego nauczanie, a nie gromada tchórzliwych uczniów, któ-

rzy zaparli się Go w chwilach grozy...”.

„A dlaczego teraz mi o tym opowiadasz?”.

„Ponieważ, Leonardo, zostałeś wybrany na depozytariusza tej wiedzy”.

Cherubin o szlachetnym spojrzeniu wziął głęboki oddech, po czym kontynuował:

„Wiem, jak niebezpieczne jest przechowywanie tych tekstów. Każdego mogą za to spalić na stosie. Jednak, zanim je zniszczysz, błagam, byś je dogłębnie przestudiował. Naucz się, ile tylko zdołasz o tym Kościele Magdaleny i Jana, o którym ci mówiłem. A kiedy tylko będziesz mieć ku temu okazję, wprowadzaj treści tych nowych ewangelii do swoich dzieł. W

ten sposób wypełni się stare przykazanie biblijne: Kto ma oczy, by widzieć...”.

„...niech zobaczy”.

Leonardo roześmiał się. Długo się nie namyślał. Tego samego popołudnia obiecał

Cherubinowi, że zaopiekuje się tą spuścizną. Wiem nawet, że widzieli się raz jeszcze. A wtedy mężczyzna w czarnej szacie wręczył mistrzowi książki i papiery, które Leonardo studiował

później z uwagą. Potem, na skutek rozwoju wypadków, po dojściu do władzy ojca Savonaroli i upadku domu Medyceuszy, przenieśliśmy się do Mediolanu pod opiekę księcia il Moro i zaczęliśmy zajmować się przeróżnymi sprawami. Od malarstwa, któremu poświęcaliśmy się wcześniej niemal wyłącznie, przeszliśmy do projektowania i konstruowania machin oblężniczych i wynalazków służących do latania. Lecz ta tajemnica, to niezwykle odkrycie, które sta-

ło się moim udziałem w bottega mistrza Leonarda, na zawsze pozostało w mej pamięci.

- Chcesz, abym jeszcze czymś cię zaskoczył, Eleno? Choć mistrz nigdy nie rozmawiał

o tym z żadnym ze swoich uczniów, sądzę, że messer Leonardo właśnie teraz spełnia obietnicę, którą dał we Florencji temu Marsiliowi Ficino. Mówię ci to z ręką na sercu: nie ma dnia, abym odwiedzając refektarz dominikanów, nie wspominał ostatnich słów, jakimi mistrz pożegnał Cherubina w tamto odległe zimowe popołudnie.

„Kiedy ujrzysz na malowidle oblicze Jana i twoje własne, przyjacielu Marsilio, wówczas możesz być pewny, że to na nim właśnie zdecydowałem się ukryć powierzoną mi przez ciebie tajemnicę”.

I wiesz co, Eleno? Już znalazłem w Ostatniej Wieczerzy oblicze Cherubina!

Brata bibliotekarza pochowaliśmy na Dziedzińcu Umarłych tuż przed godziną niesporów we wtorek 17 stycznia. Bracia obawiali się, że jego ciało, leżąc zbyt długo w kaplicy, zacznie ulegać rozkładowi. Zdecydowano, że należy jak najszybciej go pogrzebać. Dwaj nowicjusze owinęli ciało w białe płótno i na pasach opuścili do dołu. Ciało rychło pokryła ziemia, a następnie śnieg. Była to bardzo krótka ceremonia, bez zachowania protokołu. Ten po-

ściech formalnie był usprawiedliwiony obowiązującą nas regułą jądania wieczerzy przed zmierzchem. Gdy bracia, poszeptując coś między sobą, pochylili się nad czekającym już na nich ryżem z jarzynami i ciasteczkami z miodem, które zostały jeszcze ze świąt Bożego Narodzenia, ogarnął mnie dziwny niepokój. Dlaczego przeor i jego świta - skarbnik, kucharz, jednooki Benedetto odpowiedzialny za scriptorium - nie przejmowali się tym, że to już drugi w przeciągu niecałego tygodnia pogrzeb w klasztorze Santa Maria delie Grazie? Dlaczego sprawiali wrażenie, jakby brat Alessandro niewiele ich obchodził? Czy nikt nie zamierzał uronić nad nim ani jednej łzy?

Podczas pogrzebu jedynie ojciec Bandello wykonał jakiś ludzki gest wobec leżącego u naszych stóp nieszczęśnika.

W krótkim kazaniu zasugerował, że posiada dowody na to, iż brat Alessandro stał się ofiarą knoń szaleńca, który ostatnio pojawił się w Mediolanie. „Dlatego nikt nie zasługuje bardziej niż on na chrześcijański pochówek w tym uświęconym miejscu - pouczył nas z powagą. - Nie wiercie kłamstwom, które krążą po mieście - powiedział, nie podnosząc głowy znad owiniętych w płótno zwłok, które opuszczano powoli w dół. - Brat Trivulzio, niech Bóg przyjmie go do swojej chwały, zmarł jako męczennik z rąk niegodziwego przestępcy, który prędzej czy później otrzyma należną karę. Ja sam dopilnuję, by tak się stało”.

Przestępstwo czy samobójstwo - choć bardzo starałem się uciszyć moje podejrzenia, niełatwo było uznać, że dwa następujące po sobie pogrzeby to w klasztorze Santa Maria delie Grazie rzecz normalna. Ostatnie słowa, które mistrz Leonardo wypowiedział, zanim odszedł

do swojej pracowni, nadal dudniły mi w uszach: „W tym mieście - powiedział, zanim pożegnał się ze mną na uliczce Koguciej - nic się nie dzieje przypadkowo. Nigdy o tym nie zapominajcie”.

Tego dnia nie jadłem wieczerzy.

Nie mógłbym niczego przełknąć.

Pozostali bracia, mający mniejsze skrupuły niż piszący te słowa ubogi sługa Chrystusa, pędem pobiegli do pobliskiej jadalni, by napełnić brzuchy. Dali tym samym świadectwo niedostatkom uczy, jaką wydał książę po pogrzebie swej małżonki. Ponieważ wypełniony rusztowaniami i zapachem farb refektarz już od lat nie nadawał się do użytku, bracia przyzwyczaili się do zmian i uznali niemal za normalne to, że wspólne posiłki są jądane na pierwszym piętrze.

Wkrótce doszedłem do wniosku, że ta atmosfera tymczasowości ma pewne zalety: do czasu zakończenia prac mogłem być pewny, że sala z Ostatnią Wieczerzą jest najlepszą kryjówką, miejscem

odosobnienia, w którym mogę oddać się rozmyślaniom w porze wydawania posiłków. Żaden z braci nie będzie mnie tu niepokoił i nikt spoza klasztoru nie będzie myszkował w miejscu, w którym trwają prace, zwłaszcza tak zimnym i zakurzonym jak to.

Tam też, rozmyślając o dniach spędzonych z bratem Alessandrem i o nagle przerwanym wspólnym głowieniu się nad rozwiązaniem zagadki, skierowałem moje kroki, by pomodlić się za spokój jego duszy.

Sala była pusta. Ostatnie promienie popołudniowego słońca ledwo rozświetlały dolną część malowidła Toskańczyka, wydobywając z mroku stopy Chrystusa. Były skrzyżowane.

Czy to zapowiedź tego, co Jezus miał wkrótce przeżyć na Kalwarii? A może mistrz namalował jego stopy w ten sposób z jakiegoś innego powodu? Przeżegnałem się. Delikatne światło sączące się poprzez nieregularną kolumnadę sąsiedniego dziedzińca przydawało całej scenie wrażenia nierealności.

Dopiero wówczas, kiedy przyglądałem się biesiadnikom, zasiadającym do Świętej Wieczerzy, dostrzegłem to, o czym mówił Leonardo.

To była prawda. Judasz miał twarz brata Alessandra.

Jak to możliwe, że wcześniej tego nie zauważyłem?

Niegodny apostoł siedział tam, po prawicy Galilejczyka, podziwiając w milczeniu jego promieniującą spokojem urodę. W istocie, nie licząc zdziwionej miny Jakuba Starszego i ożywionej dyskusji, jaką najwyraźniej toczyli Mateusz, Tadeusz Juda i Szymon przy drugim końcu stołu, pozostali apostołowie zachowywali milczenie. Przez głowę przemknęła mi myśl, że być może w tym właśnie momencie dusza brata Alessandra kontempluje oblicze Ojca Wiekuistego. Była w tym jakaś ironia.

Lecz jeśli bibliotekarz postanowił, podobnie jak Judasz, odebrać sobie życie, zaś ojciec Bandello oszukiwał się, zakładając jego niewinność, to teraz udziałem brata Alessandra nie była chwała, lecz wieczne burze Szeołu.

Kiedy tak błądziłem wzrokiem po malowidle, moją uwagę przykuł jeszcze jeden szczegół. Zdawało się mianowicie, że Judasz i Chrystus rywalizują o kawałek chleba, a może o jakiś owoc, którego żaden z nich nie może dosięgnąć. Zdrajca, dierzący w prawej dłoni ha-niebny trzos z monetami, wyciąga lewą dłoń, jakby usiłując czegoś dosięgnąć. Chrystus, choć nie patrzy w tamtą stronę, wyciąga prawą rękę w tym samym kierunku. Cóż mogło tam się znajdować, co byłoby równie interesujące dla jednego jak i dla drugiego? Co mógłby skraść Judasz Nazarejczykowi w tej akurat chwili, kiedy Syn Boży wiedział już, że został zdradzony, a jego los przypieczętowany? Moje rozmyślania przerwała niespodziewana wizyta.

- Stawiam dziesięć do jednego, że nic z tego nie rozumiecie, nieprawdaż?

Drgnąłem. Z mroku wyłoniła się odziana w szkarłatny płaszcz postać, której nie mogłem rozpoznać.



Zatrzymała się kilka kroków przede mną.

- Czy to może wy jesteście ojcem Leyre?

Moje źrenice zapewne musiały rozszerzyć się ze zdziwienia. Pod ozdobionym piórami fiołkowym beretem ujrzałem bowiem słodką i pulchną kobiecą twarz. To dziewczę przebrane za mężczyznę - co było nie tylko nielegalne, ale i wielce ryzykowne - wpatrywało się we mnie z nieskrywanym zaciekawieniem. Dorównywała mi mniej więcej wzrostem, zaś jej kobiece kształty były dobrze ukryte pod obszerną szatą. W oczekiwaniu na moją odpowiedź gładziła lśniąca rękojeść szpady dłonią odzianą w skórzaną rękawicę.

Chyba zająknąłem się przy odpowiedzi.

- Nie przejmujcie się, ojcze. - Roześmiała się. - Szpada jest po to, by was chronić. Nie uczyni wam krzywdy. Przybyłam tu, bo wszystkie wasze wątpliwości zasługują na wyjaśnienie. Dlatego, zdaniem mojego pana, powinniście pozostać przy życiu.

Odebrało mi mowę.

- Musicie udać się ze mną w bardziej dyskretne miejsce - dodała. - Pewna niecierpiąca zwłoki sprawa wymaga waszej obecności w innej części miasta.

Nie brzmiało to jak pogrożka, lecz raczej jak uprzejma prośba. Ta kobieta o wytwornych manierach promieniowała rzadko spotykaną siłą. Miała żywe, kocie spojrzenie i stanowczą postawę. Widać było, że nie przyjmie odpowiedzi odmownej. Choć zapadały już ciemno-

ści, bez trudu odnalazła drogę i poprowadziła mnie łączącym refektarz z kościołem korytarzem, używanym wyłącznie przez braci. Skąd tak dobrze знаła te pomieszczenia? Gdy już, nie spotkawszy po drodze ani cienia dominikanina, wyszliśmy na ulicę, kobieta w męskim stroju zmusiła mnie do przyśpieszenia kroku.

W ciągu dziesięciu minut znaleźliśmy się cztery lub pięć przecznic dalej, przy kościele Świętego Stefana. Było już prawie ciemno. Obeszliśmy świątynię z prawej strony i weszliśmy w sieć krętych uliczek, którymi trudno byłoby się poruszać bez dobrego przewodnika. Cegła-na fasada okazałego dwupiętrowego pałacu, na którego narożach jaśniały dwie niedawno za-palone pochodnie, wyłaniała się z głębi wąskiego przejścia. Moja przewodniczka, która od czasu gdy opuściliśmy mury Santa Maria, nie odezwała się ani słowem, wskazała mi drogę.

- Czy to tutaj? - spytałem.

Wyszedł nam na spotkanie majordomus w wełnianym dopasowanym kaftanie z kaptu-rem nasuniętym na głowę.

- Jeśli wasza wielbność nie ma nic przeciwko temu - powiedział uroczyście - zaprowadzę was do mojego pana. Z niecierpliwością was oczekuje.

- Wasz pan?

- O tak. - Rozpłynął się w przesadnych ukłonach.

Kobieta roześmiała się.

Siedzibę zdobiły przedmioty niezwyklej wartości. Stare marmurowe rzymskie posągi, nie tak dawno wydobyte z ziemi, obrazy i kobierce piętrzyły się na podestach i pod ścianami.

Sercem tego wystawnego domostwa był rozległy dziedziniec, obsadzony labiryntem z żywo-płotu. Tam się skierowaliśmy. Zdziwiła mnie cisza. Tym bardziej że gdy wyszliśmy na otwartą przestrzeń, okazało się, że alejki labiryntu wypełnione są ludźmi o posepnych obliczach, którzy zebrali się jakby w oczekiwaniu jakiegoś nieszczęścia.

W istocie, kiedy przeszedłem na drugą stronę dziedzińca, zauważyłem dwóch męż-

czyn otoczonych kręgiem sług. Wpatrywali się w siebie z wściekłością, zaś zebrani nie spuszczali z nich wzroku. Byli w samych koszulach, a każdy z nich dzierżył w dłoni broń o ostrym ostrzu. Pomimo zimna, byli spoceni. Moja przewodniczka zdjęła nakrycie głowy i przyglądała się z zachwytem tej scenie.

- Już się zaczęło - powiedziała zawiedziona. - Mój pan chciał, abyście to zobaczyli.

- To? - spytałem zaniepokojony. - Pojedynek?

Nim zdążyła odpowiedzieć, starszy z mężczyzn, tęgi i postawny, wyraźnie łysiejący, rzucił się na tego młodszego, nacierając na niego z impetem.

- Domine Jesu Christe! - wykrzyknął zaatakowany. Równocześnie starał się powstrzymać gwałtowne natarcie, parując ciosy trzymaną tuż przy piersi bronią. Jego oczy były okrą-

głe z przerażenia.

- Rex Gloriam! - odkrzyknął napastnik.

To nie był pokaz szermierki. Wściekłość łysego rosła z każdą chwilą. Metal raz po raz uderzał o metal. Jego pchnięcia były szybkie, twarde. Każde zderzenie broni rozbrzmiewało niczym nuta frenetycznej śmiertelnej melodii.

- Mario Forzetta - wyszeptała uzbrojona kobieta, wskazując młodzieńca, który teraz wycofywał się, by złapać oddech - pochodzi z Ferrary i był uczniem mistrza Leonarda. Próbo-wał oszukać mojego pana. Pojedynek jest do pierwszej krwi, jak w Hiszpanii.

- Jak w Hiszpanii?

- Ten, który pierwszy zrani przeciwnika, wygrywa.

Starcie było coraz bardziej zacięte. Jeden, dwa, trzy, cztery - odgłosy walki grzmiały w zamkniętej przestrzeni dziedzińca niczym kanonada. Ostrza miały metaliczne błyski.

- Wasz młody wiek nie uratuje wam życia! - wrzasnął łysy. - Proście o łaskę!

- Wsadźcie ją sobie tam, gdzie jest jej miejsce, Jacaranda!

Pycha Forzetty nie trwała długo. Trzy gwałtownie zadane oburącz ciosy przełamały stawiany przez niego opór. Runął na kolana i, by nie upaść, podparł się obiema rękami. Jego przeciwnik uśmiechnął się triumfalnie, a na dziedzińcu rozległy się brawa. Wróg pana domu został pokonany. Teraz należało jedynie dopełnić rytuału: i tak szpada zwycięzcy przecięła powietrze, po czym z precyzją chirurga drasnęła samym czubkiem policzek młodzieńca, z którego natychmiast wypłynęła ciecz w kolorze nasyconego cynobru.

Pierwsza krew.

- Widzisz?! - ryknął zadowolony zwycięzca. - Bóg wymierzył karę za twoje kłamstwa.

Nigdy więcej nie ośmielisz się mnie oszukać. Wciskać mi fałszywe antyki! Nigdy!

Powiedziawszy te słowa, odwrócił się w moją stronę. Na widok białego habitu i czarnego kaptura jego twarz się rozpromieniła. Skłonił się i powiedział tak, aby wszyscy usłyszeli:

- Jeśli chodzi o tego łotrzyka, sprawiedliwości stało się zadość. Lecz nadal nie otrzymał zadośćuczynienia ktoś tak szlachetny jak wy, nieprawdaż, ojciec Leyre?

Zaniemówiłem. Diabelski błysk w jego oczach sprawił, że się przeląknęłam. Kim jest ten człowiek, że zna moje imię? Jakie zadośćuczynienie miał na myśli?

- Kaznodzieje zawsze są w tym domu mile widziani - powiedział. - Postanowiłem was tu zaprosić, ponieważ pragnę, abyśmy wspólnie zatroszczyli się o dobre imię naszego przyjaciela.

- A jest ktoś taki? - wykrztusiłem.

- Był - sprecyzował. - A może nie zaliczacie się do tych, którzy uważają, że za nagłą śmiercią naszego drogiego brata Alessandra Trivulzia kryje się coś dziwnego?

Zwycięzca, który, jak wkrótce się dowiedziałem, nazywał się Oliverio Jacaranda, opu-

ścił plac boju i zbliżył się do mnie. Poklepał mnie przyjaźnie po ramieniu, a następnie przepadł gdzieś w czeluściach pałacu. Moja przewodniczka poprosiła, abyśmy na niego poczekali.

Dzięki temu zobaczyłem, jak nieliczna armia sług Jacarandy wkracza do akcji: w niewiele ponad dziesięć minut rozebrali podest, na którym rozegrał się pojedynek, i odprowadzili Forzettę, ranego i zakutego już teraz w kajdany, gdzieś do podziemi pałacu. Kiedy mnie mijał, dostrzegłem, że nieszczęśnik jest prawie dzieckiem. Był to młodzieniec o owalnej twarzy i szmaragdowych oczach, którymi spojrzał na mnie wymownie, błagając o ratunek.

- Hiszpanie są ludźmi honoru. - Kobieta, która rozpuściła teraz jasne włosy i odpięła pas ze szpadą, zwróciła się do mnie niezwykle uprzejmie. - Oliverio pochodzi z Walencji, podobnie jak papież. I, co więcej, jest jego ulubionym dostawcą.

- Jego dostawcą?

- Jest antykwariuszem, ojczu. To nowy zawód, bardzo dochodowy, polega na ratowaniu skarbów przeszłości, które zostały pogrzebane przez naszych przodków. Nie wyobrażacie sobie, co można znaleźć w Rzymie! Wystarczy tylko lekko poskrobać powierzchnię Siedmiu Wzgórz!

- A wy, moja panno, kim jesteście?

- Jego córką. Maria Jacaranda, do usług.

- Dlaczego wasz ojciec chciał, abym był świadkiem jego pojedynku? Co to ma wspólnego z pamięcią o zmarłym ojcu Trivulziu?

- Zaraz wam to wytłumaczy - odparła. - To wszystko z powodu handlu starymi księgami. Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, że w tym kraju krążą woluminy cenniejsze od złota i nie brak złodziejasków jak ten Forzetta, którzy nimi handlują lub, co gorsza, usiłują sprzedać nowe księgi jako starożytne, żądając za nie nieproporcjonalnie wysokich cen.

- I doprawdy sądzicie, że ta sprawa leży w zakresie moich powinności?

- Wkrótce będzie leżała - odparła dziewczyna tajemniczo.

W rzeczy samej, pan domu wkrótce wrócił na dziedziniec. Jego słudzy usunęli już prawie wszystkie ślady pojedynku i dom powoli odzyskiwał wygodny, niedbały wygląd.

Ojciec Marii nie krył zadowolenia. Wrócił odświeżony i wy-perfumowany, w sięgają-

cej do ziemi wytwornej sukiennej todze. Uprzejmie podziękował córce i zaprosił mnie do swojego gabinetu. Chciał rozmawiać ze mną w cztery oczy.

- Przemyśliwam sobie, że ludziom wiary, takim jak wy, ojcze, nie przypasowuje moja profesja.

Pierwsze wypowiedziane przez niego zdanie zbiło mnie z tropu. Ten mężczyzna po-sługiwał się specyficzną mieszanką hiszpańskiego z dialektem lombardzkim, co sprawiało, że jego wypowiedź brzmiała bardzo szczególnie. Sam był zresztą równie dziwny jak jego gabinet; jedyny w swoim rodzaju, zawalony instrumentami muzycznymi, płótnami i fragmentami starożytnych kapiteli.

- Was podziwia, co widzicie? - przerwał pytaniem moje oględziny. - Pozwólcie, że wam to wytłumaczę, ojcze. Moja praca polega na wydobywaniu z zapomnienia rzeczy, które nasi przodkowie pozostawili pod ziemią. Czasem są to monety, czasem zwykłe kości, często wizerunki pogańskich bogów, które, zdaniem takich ludzi jak wy, nigdy nie powinny ujrzeć światła dziennego. Podziwiam te rzeźby cesarskiego Rzymu. Są piękne, proporcjonalne... doskonałe. I drogie. Bardzo drogie. Prawdę powiedziawszy, moje interesy idą coraz lepiej.

Jacaranda nalał wina do srebrnych kielichów i podając mi jeden z nich, powiedział

chełpliwie:

- Przypuszczam, że Maria powiedziała wam, że Ojciec Święty błogosławi to, co robię.

Zresztą już wiele lat temu zarezerwował sobie prawo pierwokupu moich zdobyczy. Zbiera je, od kiedy został kardynałem. I szczerze za nie płaci.

- Mówiła mi o tym, oczywiście, lecz - rozłożyłem ręce - wątpię, abyście mnie tu sprowadzili po to, by informować o tym, jak się mają wasze interesy. Czyż nie tak?

Na ustach pana domu wykwitł ledwo widoczny ironiczny uśmiezek.

- Doskonale wiem, kim jesteście, ojcze Leyre. Inkwizytorem, który kilka dni temu zjawił się na dworze księcia pod pretekstem złożenia kondolencji z powodu śmierci donny Beatrice. Przybywacie z Rzymu. Zatrzymaliście się, ojcze, w klasztorze Santa Maria delie Grazie, gdzie większą część czasu spędzacie na rozwiązywaniu łacińskich zagadek.

Antykwariusz upił łyk czerwonego mocnego wina i po namyśle zaczął ostrożnie:

- Ledwie...

- Nie rozumiem was.

- Pozwólcie, że od razu przejdę do sedna. Sprawiacie wrażenie człowieka inteligentnego i niewykluczone, że możecie pomóc mi w rozwiązaniu pewnego problemu, który i was dotyczy. Chodzi o brata Alessandra Trivulzia, ojciec.

Wreszcie poruszył kwestię śmierci bibliotekarza.

- Na długo przed waszym przybyciem do Mediolanu on i ja byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Można nawet powiedzieć, współnikami. Trivulzio działał jako pośrednik pomiędzy mną a pewnymi wpływowymi mediolańskimi rodzinami. To za jego pośrednictwem przedstawiałem im ofertę mojego antykwariatu bez wzbudzania podejrzeń kurii. Brat Alessandro otrzymywał za to wynagrodzenie. Cofnąłem się.

- Dziwi was to, ojciec Leyre? Inni bracia, z Bolonii, Ferrary czy Sieny, też pomagają mi w tego typu transakcjach. Nikogo nie zabijamy, drwimy jedynie z zakazów i absurdalnych skrupułów, z których, o czym jestem głęboko przekonany, będziemy się kiedyś jeszcze wszyscy wyśmiewać i wspominać jako relikwii właściwy zacofanym umysłom. Cóż złego tkwi w odzyskiwaniu fragmentów naszej przeszłości i przekazywaniu ich bogaczom, którzy czerpią z tego przyjemność? Czyż na placu Świętego Piotra w Rzymie nie jaśnieje egipski obelisk?

- Rzucacie się w paszczę lwa, panie - odparłem surowo. - Przypominam wam, że stanowią część tej kurii, której musicie unikać.

- Tak, tak, lecz pozwólcie mi dokończyć. Niestety, nie tylko wasza kuria utrudnia nam pracę. Jak zapewne się domyślacie, sprzedaję dzieła sztuki i antyczne przedmioty bogatym damom dworu, często za plecami ich mężów, którzy również nie akceptują takich interesów.

Brat Alessandro odegrał kluczową rolę w kilku najważniejszych transakcjach. Był w wyjątkowo uprzywilejowanej sytuacji: mógł być zaproszony do każdego mediolańskiego domu pod pretekstem udzielenia pociechy duchowej czy spowiedzi i przy okazji zawrzeć umowę ze szlachetnymi Lombardczykami.

- A co otrzymywał w zamian? Pieniądze?... Wybaczcie, ale nie chce mi się w to wierzyć.

- Książki, ojciec Leyre. Otrzymywał książki pisane ręcznie lub drukowane, stosownie do wysokości kontraktu, w którym pośredniczył. Dzieła starannie kopiowane lub wytworzone przy użyciu nowych technik we Francji lub w Cesarstwie. Otrzymywał zapłatę w naturze, je-

śli tak wolicie to nazwać. Obsesyjnie dążył do zgromadzenia jak największej liczby woluminów w bibliotece Santa Maria. Przypuszczam, że o tym już wam wiadomo.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego mi to opowiadacie. Jeśli brat Alessandro był waszym przyjacielem, to dlaczego plamicie jego pamięć takimi zwierzeniami?

- Nie takie są moje intencje - zaśmiał się Jacaranda nerwowo. - Pozwólcie, że wytłumaczę wam coś jeszcze. Wasz bibliotekarz, tuż przed śmiercią, uczestniczył w bardzo szczególnej transakcji. Miał

kontakt z jedną z moich najlepszych klientek, więc bez chwili zastanowienia powierzyłem mu tę sprawę. Naprawdę po raz pierwszy ktoś z tak dostojnego rodu nie prosił mnie o posąg fauna do dekoracji willi. Jej zamówienie było tak osobliwe, że obaj zapa-

łaliśmy entuzjazmem.

Spojrzałem zaintrygowany na Jacarandę.

- Moja klientka życzyła sobie jedynie, abym rozwikłał drobną, niemal domową zagadkę. Pomyślała, że jako ekspert od starożytności zdołam zidentyfikować pewien drogocenny przedmiot, którego opis był dość precyzyjny.

- Chodziło zapewne o jakiś klejnot?

- Nie. Nic z tych rzeczy. To była książka.

- Książka? Taka jak te, którymi płaciliście za...

- Ta nigdy nie została wydrukowana - przerwał mi gospodarz. - Na pierwszy rzut oka był to starożytny manuskrypt, niezwykle rzadki, o wyjątkowej wartości. Jedyne egzemplarz.

O jego istnieniu moja klientka dowiedziała się z różnych źródeł i pragnęła posiadać go bardziej niż jakiegokolwiek skarby świata.

- I co to była za książka?

- Nigdy się nie dowiedziałem! Klientka dostarczyła mi tylko kilka szczegółów dotyczących jej wyglądu zewnętrznego: tom w błękitnej oprawie, o niewielu stronicach, z okładką nitowaną czterema złotymi gwoździami i brzegami kart zdobionymi tym samym cennym me-talem. Niewielki klejnot o wyglądzie brewiarza, z pewnością przywieziony ze Wschodu.

- I zajęliście się tym zleceniem z pomocą brata Alessandra - wtrąciłem.

- Dysponowaliśmy dwiema cennymi wskazówkami. Raz, że wiedzieliśmy, od kogo moja klientka po raz pierwszy usłyszała coś na temat tej książki: od mistrza Leonarda da Vinci. Na szczęście bibliotekarz dobrze go znał, miał do niego łatwy dostęp i mógł się dowiedzieć, czy malarz posiada ją w swoich zbiorach.

- A druga wskazówka?

- Wręczyła mi rysunek, na którym dokładnie było widać interesującą ją książkę.

- Wasza klientka posiadała rysunek książki?

- Nie inaczej. Znajdował się w jej ulubionej talii kart. Na jednej z kart, przedstawiają-

cej majestatyczną kobietę. Oczywiście były to wątle wskazówki, ale często rozpoczynałem

transakcje, posiadając znacznie mniej informacji. Na karcie do gry widniała mniszka, która trzymała tę książkę w ręku. Zamkniętą księgę, bez tytułu na okładce ani żadnego innego zna-ku, który pozwalałby ją zidentyfikować.

Książka z talii kart? Byłem tym poważnie zaniepokojony. Czy to nie ojciec Bandello opowiadał mi o czymś podobnym?

- Pozwolicie, że spytam, kim jest wasza klientka?

- Oczywiście. Właśnie dlatego wezwałem was na to spotkanie. To księżna Beatrice d'Este.

Otworzyłem szeroko oczy ze zdziwienia.

- Beatrice d'Este? Małżonka księcia il Moro? Chcecie powiedzieć, że brat Alessandro i donna Beatrice się znali?

- Ależ tak! A teraz, jak wiecie, oboje nie żyją.

- Do czego zmierzacie?

Jacaranda zasiadł za biurkiem, zadowolony, że wreszcie przykuł moją uwagę.

- Widzę, że zaczynacie rozumieć mój niepokój, ojczy Leyre. Powiedzcie mi, jak dobrze znacie messer Leonarda?

- Rozmawiałem z nim tylko raz. W dniu pogrzebu księżnej.

- Powinniście wiedzieć, że to bardzo dziwny człowiek, najbardziej ekstrawagancki i tajemniczy spośród wszystkich, którzy tu osiedli. Każdą minutę poświęca pracy, czytaniu, ry-sowaniu i rozmyślaniom nad najbardziej absurdalnymi sprawami, jakie tylko można sobie wyobrazić. Z równym zapałem opracowuje przepisy kuchenne, którymi zabawia księcia, jak i modeluje z marcepanu, na potrzeby wydawanych przez niego bankietów, maszyny wojenne o cudacznym wyglądzie. Do nikogo nie ma zaufania. Jest zazdrosny o swoją własność, swoje rzeczy. Nikomu nie pozwala myszkować w notatkach ani tym bardziej węszyć po bibliotece, w której ma prawdziwe skarby. On nawet pisze od prawej do lewej, jak Żydzi!

- Naprawdę?

- Nie kłamałbym w takiej sprawie. Gdybyście chcieli przeczytać, co zapisał w tych swoich zeszytach, musielibyście posłużyć się lustrem. Dopiero lustrzane odbicie pozwala odczytać jego zapiski. Czy to nie jest diabelski chwyt? Znaicie kogoś, kto jakby nigdy nic potrafi pisać na opak? Wierzcie mi, ten człowiek skrywa jakieś straszne tajemnice.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego mi o tym opowiadacie.

- Ponieważ... - Jacaranda zrobił teatralną pauzę - jestem pewny, że Leonardo da Vinci polecił zabić naszego wspólnego przyjaciela ojca Alessandra. I sądzę, że winę za to wszystko ponosi ta przeklęta



książka, ta sama, której pragnęła księżna, i która ją również kosztowała życie.

Pobladłem.

- To bardzo poważne oskarżenie! - wykrzyknąłem.

- Powinniście to wyjaśnić! Tylko wy możecie to uczynić. Mieszkacie w klasztorze Santa Maria delie Grazie, lecz nie jesteście zaprzędani księciu, jak pozostali. Przeor chce, aby prace w klasztorze zostały ukończone za pieniądze księcia il Moro, i wątpię, by odważył się zaatakować jego ulubionego malarza, a tym samym postawić pod znakiem zapytania dalsze subwencje. Proponuję, byśmy wspólnie rozwiązali tę zagadkę. Zdobądźcie książkę, a wtedy nie tylko rzucicie światło na śmierć księżnej i brata Alessandra, lecz również zdobędziecie dowody, które pozwolą wam oskarżyć Leonarda o morderstwo.

- Nie podobają mi się wasze metody, mości Jacarando.

- Moje metody - zaśmiał się. - Zwróciliście uwagę na człowieka, którego pokonałem w pojedynku?

- Forzette?

- Tego samego. A więc powiem wam coś więcej na temat moich metod. Niedawno za-czął u mnie pracować. Zleciłem mu zdobycie „błękitnej książki” z bottega Leonarda. Forzetta był dawniej uczniem Toskańczyka i dobrze zna miejsca, w których może być ukryta.

- Kazaliście mu okraść mistrza Leonarda da Vinci?

- Chciałem rozwiązać tę sprawę, ojcze. Lecz muszę przyznać się do klęski. Ten dar-mozjad wyniósł z pracowni inne dzieło, Divini Platonis Opera Omnia. Książkę o niskiej wartości wydrukowaną parę lat temu w Wenecji. I usiłował wcisnąć mi ją, sprzedając za taką cenę, jakby była poszukiwanym przeze mnie inkunabułem.

- Divini Platonis... - wyszeptałem. - Znam to dzieło.

- Doprawdy?

- To słynny przekład dzieł zebranych Platona, wykonany przez Marsilia Ficina dla Cosima Starszego z Florencji.

- No więc ten hultaj zapewnia, że Leonardo bardzo sobie ceni tę księgę. Że całymi dniami korzystał z niej, by właściwie przedstawić apostołów z Cenacolo. Ale co mnie to, do diabła, obchodzi! Przez niego straciłem przyjaciela i chcę wiedzieć, dlaczego tak się stało. Po-możecie mi?

Porta Romana prowadziła do eleganckiej dzielnicy miasta. Tak za dnia, jak i po zmierzchu, przejeżdżały przez nią najbardziej okazałe pojazdy Lombardii. Cieszyła się sławą jedynej prawdziwie monumentalnej bramy wjazdowej do Mediolanu. W jej podcieniach przechadzali się mężczyźni o nienagannej prezencji i damy, które bywały tam, by zorientować się w najnowszych wydarzeniach. Wysłannicy papiescy, zagraniczne poselstwa czy szlachta, wszyscy starali się, by ich zauważono i podziwiano. Bliskość najważniejszego z przecinają-

cych miasta kanałów navigli czyniła z Porta Romana nie mającą sobie równych galerię próżności.

Dokładnie w połowie ulicy wznosił się Palazzo Vecchio. Był to uwielbiany przez mediolańczyków gmach publiczny, zwyczajowe forum bractw, różnych gremiów, a nawet miejsce rozpraw sądowych. Miał trzy piętra, sześć ogromnych salonów i labirynt gabinetów, które łatwo zmieniały użytkowników.

Otóż tamtej nocy, którą spędziłem w domu Oliveria Jacarandy, w każdym pomieszczeniu pałacu wrzało. Wszystkich ogarnął podniecający nastrój oczekiwania. Ponad trzysta osób stało w kolejce na ulicy, by móc obejrzeć prezentowane właśnie dzieło mistrza Leonarda. Wielu czciwych obywateli miasta stawiało się tam pod pretekstem konieczności omó-

wienia ostatnich nowinek z życia dworu.

Nie było takiego mieszczanina ani mieszczki, którzy nie chcieliby uczestniczyć w tym wydarzeniu.

Toskańczyk w pośpiechu przygotował pokaz, być może na prośbę samego księcia, który już po czterdziestu ośmiu godzinach od pogrzebu małżonki zaczął myśleć o reaktywacji życia publicznego w Mediolanie.

Mistrz Luini zjawił się w towarzystwie olśniewającej Eleny Crivelli. Nalegała tak długo, aż wreszcie malarz zgodził się zabrać ją ze sobą. Nadal czerwienił się na myśl o tym, co się między nimi wydarzyło zaledwie dwa dni temu, a wszystko w nim kipiało niczym morze podczas burzy. Co gorsza, córka donny Lukrecji wybrała na tę okazję wspaniałą strój: błękitną suknię obszytą futrem, na którą nałożyła haftowany złotą nicią gorset z kwadratowym de-koltem. Zebrane pod siateczką przetykaną szlachetnymi kamieniami włosy i karminowa barwa jej ust upodabniały ją do bogini. Luini z najwyższym wysiłkiem zachowywał dystans, by nawet przypadkiem jej nie dotknąć.

- Mistrzu Bernardino! - donośny głos Leonarda zatrzymał ich u stóp schodów, prowadzących na drugie piętro Palazzo Vecchio. - Co za szczęście was widzieć! I w tak niezwykłym towarzystwie! Powiedzcie, kogo przyprowadziliście?

Luini pochylił z szacunkiem głowę, zdziwiony nieskrywanym zainteresowaniem mistrza.

- To Elena Crivelli, messere - odparł. - Młoda dama, która darzy was ogromnym podziwem.

Nalegała, by przybyć na prezentację.

- Crivelli? A to niespodzianka! Czy nie jesteście przypadkiem krewną malarza Carla Crivelli?

- Jestem jego bratanicą, panie.

Jasne oczy Eleny coś Leonardowi przypominały. Wyglądał na zauroczonego.

- A zatem, jesteście córką...

- Doskonale wam znanej Lukrecji Crivelli.

- Donna Lukrecja! Oczywiście! - powiedział, znów spoglądając na Luiniego. - I przy-bywacie tu z mistrzem Bernardinem, który zapewne poznał was podczas sesji. To wy jesteście jego nową Magdaleną!

- W rzeczy samej.

- Wspaniale! Nie można było zjawić się w lepszym momencie.

Leonardo znów bacznie przyjrzał się dziewczynie w poszukiwaniu cech, które tak zachwyciły go u jej matki. Szybki rzut oka wystarczył, by dostrzec podobną budowę twarzy, identyczny nos, a nawet kości policzkowe i brodę. Cud szczególnej urody donny Lukrecji znalazł szlachetną kontynuację w obliczu jej córki.

- Jeśli dysponujecie czasem, chciałbym, abyście udali się ze mną do miejsca, w któ-

rym wystawiam portret. Wkrótce napełni się gośćmi i nie będziemy już mieć sposobności, by w skupieniu obejrzeć obraz.

Mistrz wskazał im niewielki pokój, przylegający do gigantycznego podestu na rozwi-dleniu schodów. Pomieszczenie zostało przystosowane minimalnym nakładem środków.

Wszystkie ściany pokryto czarną tkaniną. Jedyne, co było widoczne na tym tle, to małe malowidło na desce z drzewa orzechowego o wymiarach 63 x 45 centymetrów, oprawione w li-stwy z jasnego gładkiego drewna sosnowego.

- Wiecie co? - ciągnął Leonardo. - Pomyślałem sobie, że to najlepsza okazja, aby to pokazać. Śmierć donny Beatrice zasmuciła nas tak bardzo, że potrzebujemy piękna, by odzyskać siłę ducha. Być może mistrz Luini już wam o tym mówił: wierzę, że ludziom potrzebna jest radość. Ja sam jej potrzebuję. A skoro moje obrazy cieszą się takim uznaniem...

- Pomyśleliście, że jeśli pokażecie jedną ze swoich prac, miasto od razu wróci do życia - powiedział z pochwałą w głosie Bernardino.

- Tak. I zdaje się, że pomimo mrozu udało mi się to osiągnąć. I jak? - Toskańczyk zmienił ton, wskazując swoje dzieło. - Jak wam się podoba?

Wszyscy troje skierowali wzrok na ścianę. Obraz robił niezwykle wrażenie. Młoda kobieta, ubrana w czerwoną suknię, której Leonardo nie tylko nadał fakturę aksamitu, lecz również wiernie odwzorował złote obszycie okalające dekolt, patrzyła prosto w ich oczy. Jej włosy były zebrane w długi warkocz, a delikatny diadem z wielką czułością opasywał skronie. To był niezwykle portret. Kolejne wspaniałe dzieło mistrza. Gdyby, zamiast ramy, oprawę stanowiła okienna framuga, każdy pomyślałby, że dama naprawdę tam jest i ich obserwuje\*.

Elena i Bernardino spojrzeli po sobie ze zdumieniem, nie wiedząc, co powiedzieć:

- Sądziliśmy... - wyjąkał Luini - sądziliśmy, że zamierzacie pokazać portret donny Beatrice, mistrzu.
- A dlaczegoż miałbym tak uczynić? - Roześmiał się. - Księżna d'Este nigdy nie znalazła czasu, aby mi pozować.

Oczy Eleny wypełniły się łzami.

- Lecz ta kobieta to... to...

- Wasza matka, donna Lukrecja. Tak - powiedział Toskańczyk, marszcząc ogromny nos. - Bez wątpienia jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem. A pięk-no, harmonia to dokładnie to, czego potrzebujemy w czasie żałoby, nie sądzicie?

Młodziutka Elena nie mogła oderwać oczu od portretu.

- Nigdy nie pokazałbym tej pracy publicznie, gdyby nie zaistniała taka konieczność.

Musicie mi uwierzyć.

- Czy to... - zawahała się. - Czy to ma przypadkiem związek z waszą teorią światła?

Bernardino opowiedział mi, jak duże ma to dla was znaczenie.

- Doprawdy?

W oczach Toskańczyka pojawił się złośliwy błysk.

- Światło jest dla was istotą boskości. Na obrazie jego obecność

\* Chodzi o malowidło na desce zwane przez krytyków La belle Ferro-niere, obecnie w Luwrze (przyp. aut.) (w Polsce znane również jako Portret nieznanym lub Portret kobiety).

lub brak mówią nam o prawdziwym zamiarze artysty. Nieprawdaż?

- No proszę... Zdumiewacie mnie, Eleno. A powiedzcie mi, jakie to ukryte zamiary dostrzegacie w tym obrazie?

Hrabianka raz jeszcze spojrzała uważnie na portret. Oblicze jej matki promieniowało taką mocą, że

zdawało się, iż lada chwila przemówi.

- To jest niczym znak, mistrzu.

- Znak?

- O, tak. Wysyłacie znaki pośród ciemności. Niczym latarnia morska nocą. Wysyłacie znaki ludziom wiary. Tym, którzy wolą światło od ciemności.

Mistrz był zdumiony.

Nagle jego zaskoczenie zamieniło się w niepokój. Nie uszło to uwagi Eleny. Zauwa-

żyła, że mistrz rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt nie przysłuchuje się ich rozmowie. Następnie poprosił Elenę, by zostawiła go na chwilę sam na sam z Luinim. Hrabianka oddaliła się i stanęła przy jednym z wychodzących na Porta Romana okien.

- Można wiedzieć, cóżś takiego uczynił, mistrzu Luini? Szept Leonarda wbił się jak sztylet w uszy ucznia.

- Mistrzu, ja...

- Opowiedziałś jej o świetle! Dziecku!

- Ale...

- Nie ma żadnego ale. Czy wie również o tym, że światło to jeden z atrybutów jej rodziny? Co jeszcze jej wyjawiałś, szaleńcze?

Luini był sparaliżowany ze strachu. Nagle zrozumiał, jakim strasznym błędem było zabranie Eleny na ten pokaz. Miał wrażenie, że się dusi. Zmieszany, zwiesił głowę.

- Już rozumiem - powiedział Leonardo. - Teraz już wszystko rozumiem.

- Co rozumiecie, mistrzu?

W gardle czuł jakby zaciśnięty węzeł, który coraz bardziej go dusił.

- Obcowaliście z nią, nieprawdaż?

- Obcowałem?

- Odpowiedzcie!

- Ja... Tak bardzo żałuję, mistrzu!

- Żałujesz? Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co uczyniłeś?

Leonardo starał się mówić ściszym głosem, żeby nie zwracać uwagi hrabianki.

- Cudzołożyłeś z Magdaleną! I to ty! Człowiek oddany sprawie Jana!

Mistrz przełknął ślinę. Musiał mieć czas, żeby to przemyśleć. Jego umysł pracował

podobnie jak wtedy, gdy budował maszynę, starając się połączyć poszczególne elementy w jedną całość. Cóż innego mógł zrobić? W końcu będzie musiał uznać to za kolejny znak Opatrzności. Kolejny dowód na to, że czas biegnie teraz tak szybko, że wkrótce jego sekret wymknie mu się z rąk.

Jak mógł być tak naiwny? Dlaczego nie przewidział, iż jego młody uczeń miał strzec córki donny Lukrecji, wylądować w jej ramionach? Leonardo, który nienawidził miłości cielesnej, musiał się pośpieszyć. Przypuszczam, że to wtedy zdecydował się na inicjację Eleny w misteria jej apostołatu. Chciał to uczynić, zanim kolejni kochankowie nie zawrócą jej na zawsze z tej drogi.

Tak. To wtedy wezwał hrabiankę i zrobił coś, czego robić nigdy nie miał w zwyczaju: podzielił się z nią swoimi zmartwieniami.

- Wybaczcie nam tę rozmowę na stronie - przeprosił. - Pragnę wam powiedzieć, że zjawiliście się tu w samą porę. Muszę porozmawiać z kimś godnym zaufania. Przypuszczam, że jestem szpiegowany. Że każdy krok mój i moich pomocników jest pilnie śledzony.

- Jakże to, mistrzu? - Luini się przeraził.

- Przekonacie się - ciągnął. - Już od lat to podejrzewałem. Wy wiecie najlepiej, Bernardino, że nigdy nie dowierzałem ludziom. Od lat szyfruję swoją korespondencję, notuję moje myśli tak, by tylko niewielu mogło je odczytać, i nie wierzę tym, którzy starają się do mnie zbliżyć i węszyć wśród moich rzeczy. Jednak w niedzielę, w dniu, w którym pochowali-

śmy księżnę, te od dawna towarzyszące mi lęki zostały dramatycznie potwierdzone. Tego dnia, niedaleko stąd, w dziwnych okolicznościach straciło życie dwóch ludzi oddanych Bogu.

Beraardino i Elena pochylili głowy w niedowierzaniu. Nic o tym nie słyszeli.

- Jeden z nich został powieszony na placu dei Mercanti. Do zwłok przyczepiono kartę, którą wy, mistrzu Luini, znacie równie dobrze jak ja. Pochodzi z talii zaprojektowanej dla Viscontich w połowie wieku. Przedstawia mniszkę w habitie świętego Franciszka, z krzyżem Chrzciciela w jednej dłoni i Księżą Jana w drugiej.

- Magdalena...!

- W istocie, to jeden z jej licznych wizerunków - ciągnął Leonardo. - Świadczą o tym węzły na sznurze opasującym jej nabrzmiały brzuch. Lecz niewielu, bardzo niewielu wie, co ten symbol oznacza.

- Mówcie dalej, proszę - nalegał Beraardino.

- Jak się zapewne domyślacie, messer Luini, potraktowałem pojawienie się tej karty jako znak. Ostrzeżenie, że ktoś zastawia wokół mnie pułapki. Próbowałem przekonać strażników miejskich, że ten zakonnik popełnił samobójstwo. Chciałem zyskać na czasie, aby przeprowadzić własne dochodzenie, ale druga śmierć potwierdziła moje obawy.

- Jakie obawy? - Elena wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Wiedźcie, Eleno, że ten drugi również był moim dobrym przyjacielem.

Hrabianka wzdrygnęła się.

- Znaliście... ich obu?

- Tak. Obydwu. Giulio, druga ofiara, wykrwawił się na śmierć przed Maestà. Ktoś przebił jego serce szpadą. Nie ukradł mu pieniędzy ani niczego innego poza...

- Poza czym?

- ...poza kartą z „franciszkaną”, którą potem znaleziono przy bracie Alessandrze. Odnoszę nieprzyjemne wrażenie, że morderca chciał, abym wiedział o jego zbrodniach. W końcu Maestà jest moim dziełem, a powieszony brat należał do wspólnoty Santa Maria.

Elena, choć obawiała się, że jej zachowanie zostanie poczytane za niestosowne, znów się odezwała:

- Mistrzu, czy to ma jakiś związek z waszą decyzją pokazania teraz portretu mojej matki? Czy to ma coś wspólnego z tymi strasznymi wydarzeniami?

- Zaraz to zrozumiecie, Eleno - odparł mistrz. - Wasza matka nie pozowała mi jedynie do tego portretu. Kiedy była młodsza, posłużyła jako model do namalowania Madonny z Maestà. A także kilka miesięcy temu, gdy malowałem drugą wersję tego obrazu. Kiedy wręczy-

łem ją franciszkanom jakieś dziesięć dni temu, od razu umieścili ją na miejscu poprzedniej wersji. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie miałem czasu, by zawiadomić Braci o zamianie.

Jakich „Braci”? Tym razem Elena nie odważyła się przerwać.

- Widzę, że mistrz Luini jeszcze wam o wszystkim nie opowiedział - wyszeptał Leonardo. - To malowidło było dla nich niczym ewangelia. Niosło im ukojenie duchowe, zwłaszcza od kiedy Inkwizycja zabrała im ich święte księgi. Dziesiątkami przybywali tu, aby oddać mu cześć. Jednakże gdy franciszkanie zorientowali się, co się dzieje, i zaczęli się ze mną procesować, zostałem zmuszony do wykonania dla nich nowej wersji, pozbawionej symboli, które czyniły z malowidła coś tak wyjątkowego. Zwlekałem z wykonaniem nowej wersji dziesięć lat. Dłużej już nie mogłem. Na nieszczęście nie zawiadomiłem Braci, aby przestali pielgrzymować do kościoła Świętego Franciszka w poszukiwaniu oświecenia. I ostatni spo-

śród nich, mój kochany Giulio, przyplacił ten błąd życiem. Ktoś tam na niego czekał.

- Wiecie, kto to mógł być?

- Nie, Bernardino. Ale kierowały nim te same pobudki co zawsze, te same, które doprowadziły świętego Dominika do powołania Inkwizycji: skończyć z ostatnimi czystymi chrześcijanami. Teraz znów usiłują zdusić siłą to, czego nie udało im się pokonać w Montsegur, podczas pogromu katarów.

- W takim razie, messere, dokąd udadzą się teraz Bracia, aby nasycić swą wiarę?

- Do Cenacolo, oczywiście. Lecz będzie to możliwe dopiero, gdy obraz zostanie ukoń-

czony. Jak sądzicie, dlaczego namalowałem go na ścianie, a nie na desce? Myślicie, że ze względu na jego rozmiar? Nic z tych rzeczy. - Pomachał palcem wskazującym na znak prze-czenia. - To po to, by nikt nie mógł go zdjąć ani zmusić mnie do dokonania przeróbek. Tylko w ten sposób Bracia będą mogli odnaleźć miejsce ostatecznego pocieszenia. Nikomu nie przyjdzie do głowy szukać czegoś takiego pod nosem inkwizytorów.

- To genialne, mistrzu... ale bardzo ryzykowne.

Leonardo znów się roześmiał.

- Pomiędzy chrześcijanami z Rzymu a nami istnieje ogromna różnica, Bernardino. Oni potrzebują namacalnych sakramentów, by poczuć Boże błogosławieństwo. Spożywają chleb, namaszczają się olejami lub zanurzają się w święconej wodzie. Zaś nasze sakramenty są niewidzialne. Ich siła polega na tym, że są całkowicie abstrakcyjne. Ten, kto poczuje je we-wnątrz siebie, doświadczy uderzenia w piersiach i wszechogarniającej radości. Kiedy poczuje w sobie ten przepływ, może być pewny, że został zbawiony. Moja Ostatnia Wieczerza udzieli im tego właśnie przywileju. Jak sądzicie, dlaczego Chrystus nie trzyma w dłoniach hostii sług Rzymu? Ponieważ udziela innego sakramentu...

- Mistrzu - wtrącił Luini - rozmawiacie w obecności Eleny, jakby już znała waszą wiarę, ona zaś nie poznała jeszcze wszystkich aspektów tego, o czym mówicie.

- I cóż?

- Mam nadzieję, że udzielicie mi łaski, że zezwolicie, abym pokazał jej Cenacolo i tam dokonał jej inicjacji w wasz język. Waszą symbolikę. Być może w ten sposób... - Bernardino zawahał się, ważąc słowa - być może uda się nam obojgu dostąpić oczyszczenia i zasłużyć ponownie na miejsce u waszego boku. Takie jest jej życzenie. Toskańczyk nie wydawał się zaskoczony.

- Czy to prawda, Eleno?

Dziewczyna przytaknęła.

- Wobec tego powinnaś wiedzieć, że jedynym sposobem poznania mojego dzieła jest uczestnictwo. A ty, Bernardino, wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny-powiedział karcącym tonem. - Ja jestem jedyną Omegą, w której stronę powinniście się odtąd kierować.

- Jeśli, mistrzu, waszym zamiarem jest poprowadzenie jej w waszym kierunku, to dlaczego nie



weźmiecie jej jako modelki? Jej matka posłużyła wam przy malowaniu waszej Maestà, waszej ewangelii. Dlaczego jej córka nie miałaby służyć jako model do malowidła ściennego, które teraz wykańczacie?

Leonardo zawahał się.

- Do Cenacolo?

- Dlaczegoż by nie? - odparł Luini. - Czy niepotrzebny wam jest model ukochanego ucznia? Sądzicie, że znajdziecie bardziej anielskie oblicze niż to?

Elena spuściła wzrok, zadowolona, że jej życzeniom stało się zadość. Olbrzym w bia-

łej szacie pogrążył się w zadumie. Gładził się po gęstej brodzie i ponownie z uwagą przyglą-

dał się młodziutkiej Crivelli. Wreszcie wybuchnął donośnym śmiechem, który przetoczył się po sali.

- Tak! - zagrzmiął. - Dlaczego nie? Koniec końców, nie wyobrażam sobie nikogo, kto lepiej by się do tego nadawał niż ona.

- Oliverio Jacaranda?

Na samo brzmienie tego nazwiska na twarzy przeora pojawił się wyraz lekceważenia.

Ojciec Vincenzo wezwał mnie do siebie, gdy tylko dowiedział się, że wróciłem do klasztoru.

Zdaje się, że z powodu mojej nieoczekiwanej nieobecności wspólnota spędziła wiele godzin w stanie pogotowia. Niektórzy z braci, uzbrojeni w kije i pochodnie, wkrótce po zapadnięciu zmroku wyszli, by mnie szukać. Dlatego gdy Maria Jacaranda odprowadziła mnie do bram klasztoru, całego i zdrowego, choć z nieco zmałym umysłem, przeor zażyczył sobie mnie widzieć.

- I mówicie, ojcze Leyre, że spędziliście noc w towarzystwie Oliveria Jacarandy, w jego domu?

W jego głosie pobrzmiwało szczere zaniepokojenie.

- Widzę, że go znacie, ojcze przeorze.

- Oczywiście. Cały Mediolan wie, kim jest ten gad. Handluje przedmiotami liturgicznymi, kupuje i sprzedaje zarówno obrazy świętych, jak i nagiej Wenus, i ma więcej pieniędzy niż niejeden szlachetnie urodzony. Zupełnie natomiast nie rozumiem - dodał, przymykając chytrze oczy - czego mógł chcieć od was.

- Chciał porozmawiać ze mną o bracie Alessandrze, ojcze przeorze.

- O ojcu Trivulziu?

Przytaknąłem. Bandello sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Zdaje się, że łączyły ich swego rodzaju relacje handlowe. Byli, jak by to powiedzieć, wspólnikami.

- To wierutne bzdury! Co ojciec Trivulzio, niech spoczywa w chwale, mógł mieć wspólnego z tak niemoralnym i zdeprawowanym człowiekiem jak Jacaranda?

- O ile prawdą jest to, co twierdzi pan Jacaranda, brat Alessandro prowadził podwójne życie. W waszych oczach był człowiekiem żyjącym w bojaźni Bożej, miłośnikiem wiedzy i nauki, lecz gdy tylko nie znajdował się w zasięgu waszych opiekuńczych oczu, stawał się handlarzem starożytności.

W głowie przeora Bandella wrzało niczym w garnku zupy.

- Z trudem mogę w to uwierzyć - wymamrotał. - Choć, jeśli dobrze się temu przyjrzeć, może to tłumaczyć pewne rzeczy...

- Pewne rzeczy? Co macie na myśli, ojcze przeorze?

- Rozmawiałem ze strażnikami miejskimi na temat okoliczności towarzyszących śmierci brata

Alessandra. Jest w tym coś niejasnego, czego nie potrafię zinterpretować. Jakaś sprzeczność, która nie daje mi spokoju.

- Błagam was, wytłumaczcie to jaśniej.

- Widzicie, strażnicy nie znaleźli na ciele ojca Trivulzia śladów przemocy ani stawiania oporu. Jednak wszystko wskazuje na to, że nie powiesił się sam. Ktoś musiał z nim być.

Ktoś, kto zostawił dziwną kartę wizytową, zawieszoną na jednej z bosych stóp bibliotekarza.

Przeor przeszukał kieszenie, po czym wręczył mi karteczkę zapisaną ledwo czytelny-mi bazgrołami. Był to podłużny, dość zabrudzony kartonik o wytartych brzegach.

- Popatrzcie na to - powiedział.

Musiałem mieć zdziwioną minę, bowiem przeor spojrział na mnie z zadowoleniem, wyraźnie dumny z osiągniętego efektu. Jednak moja reakcja była w pełni usprawiedliwiona, bowiem na kartoniku, pośród niewyraźnych zapisków, widniały jak najbardziej czytelne wersety zagadki, która mnie tu przywiodła. Oculous ejus dinumera, dziwny podpis Wróżbity, zajmował środkową część karty. Widać było, że te siedem linijek zapisano w pośpiechu drżącą dłonią. Najwyraźniej zostały poddane dociekliwym badaniom, bowiem towarzyszące im zapiski wyglądały tak, jakby ich autorem był jakiś erudyta, starający się odnaleźć sens łacińskich wersetów.

- To moja zagadka! - przyznałem.

- „Policz oczy, lecz nie spoglądaj w oblicze. Z boku znajdziesz liczbę mojego imienia...”. Tak. Wiem. Powierzyliście mi tę zagadkę, zanim zginął brat Alessandro. Pamiętacie?

Lecz te zapiski - zatoczył palcem koło wokół siedmiu wersetów - nie są moje, ojciec Leyre.

W jego oczach pojawiły się złośliwe błyski.

- To jeszcze nie wszystko. Spójrzcie.

Ojciec Bandello odwrócił kartę. Nie dający się z niczym innym pomylić wizerunek

„franciszkanki” trzymającej w prawej dłoni krzyż, a w lewej książkę, dosłownie mnie sparaliżował.

- Chryste Panie! - wykrzyknąłem. - Karta do gry... Wasza karta do gry!

- Nie. Karta Leonarda - poprawił mnie przeor. - Nikt nie wie, kto ją przyczepił do zwłok brata Alessandra. Ale na pewno coś to oznacza. Przypominam wam, że właśnie w



związku z tym wizerunkiem Toskańczyk rzucił nam wyzwanie. A teraz ten obrazek pojawia się wraz z waszą zagadką, przyczepiony do stopy bibliotekarza. I co wy na to, ojcze?

Wzięłem głęboki oddech.

- Jest coś, o czym wam jeszcze nie opowiedziałem, ojcze przeorze.

Bandello zmarszczył czoło.

- Nie wiem, jak mam to interpretować w świetle tego, o czym się przed chwilą od was dowiedziałem. Otóż pan Jacaranda i ja rozmawialiśmy o tej właśnie karcie. A raczej, żeby być bardziej precyzyjnym, o książce, którą trzyma ta kobieta.

- O książce?

- To nie jest zwyczajna książka. Jacaranda chciał ją zdobyć, aby wykonać bardzo waż-

ne zlecenie. Powierzył to zadanie bratu Alessandrowi. Zdaje się, że ten niezwykle cenny wolumin znajduje się w rękach mistrza Leonarda. Jacaranda pomyślał, że naszemu bibliotekarzowi będzie dużo łatwiej dostać się do mistrza niż komukolwiek innemu i przedstawić mu propozycję odkupienia książki.

Zwykła transakcja handlowa, która kosztowała już życie dwóch osób.

- Jak to dwóch?

- Jeszcze wam nie powiedziałem, przeorze, że klientką, która chciała wejść w posiadanie tej księgi, była Beatrice d'Este, niech spoczywa w pokoju.

- Wielki Boże...

Przeor zachęcił mnie gestem, bym mówił dalej.

- Jacaranda nie wie, dlaczego księżna postanowiła skorzystać z jego usług, aby pozyskać książkę, zamiast poprosić o nią mistrza Leonarda. Jest jednak przekonany, że w jakiś sposób Leonardo jest uwikłany w śmierć obojga.

- A wy co o tym myślicie, ojciec Leyre?

- Nie bardzo mogę w to uwierzyć. Leonardo jest artystą, a nie wojakiem.

Brat Vincenzo, zatroskany, opuścił głowę.

- Ja również jestem tego zdania. Lecz, jak widać, śmierć cały czas krąży wokół mistrza.

- Co chcecie przez to powiedzieć?

- Wczoraj wydarzyło się coś dziwnego, nie tak daleko stąd. Kościół Świętego Franciszka został sprofanowany zabójstwem pielgrzyma.

- Zbrodnia? - Nie potrafiłem ukryć poruszenia. - W poświęconym miejscu?

- W rzeczy samej. Nieszczęśnikowi przebito serce tuż przed głównym ołtarzem, pod nowym malowidłem Leonarda. To musiało się wydarzyć na kilka godzin przed śmiercią brata Alessandra. Chcecie wiedzieć coś jeszcze?

Przeor wziął głęboki oddech, zanim zaczął mówić dalej.

- Strażnicy miejscy znaleźli wśród jego rzeczy talię, z której pochodzi ta karta. Ten, kto zabił tego człowieka, skradł mu kartę, zanotował na rewersie waszą zagadkę, a następnie zostawił ją przy ciele

naszego bibliotekarza. Musicie mi pomóc znaleźć sprawcę. Albo jestem w wielkim błędzie, albo nasz zabójca, kimkolwiek jest, również szuka tej przeklętej książki Leonarda.

- Musicie wydać mi waszego więźnia.

Maria Jacaranda spojrzała na mnie zaskoczona. Nie miała już na sobie, jak poprzedniej nocy, męskiego stroju, lecz lekko dopasowaną suknię o białobłękitnych rękawach z pa-siastym gorsetem. Jej blond włosy schowane były pod wdzięczną siateczką. Wyglądała kwit-nąco.

Bez wątpienia panna Jacaranda nie spodziewała się ujrzeć mnie tak szybko, ani tym bardziej nie spodziewała się, że powrócę do pałacu z tak szczególnym żądaniem. Nie wiedzia-

ła, że stojący przed nią inkwizytor w istocie nie miał innego wyboru. Mario Forzetta, szermierz, którego jej ojciec pokonał w pojedynku, był, jak miałem prawo sądzić, ostatnią osobą, która usiłowała wejść w posiadanie „błękitnej księgi” z karty Leonarda. I jedyną, która nadal pozostawała przy życiu. Jakże mógłbym z nim nie porozmawiać?

- Prawdę powiedziawszy, nie sądzę, aby mojemu ojcu spodobał się ten pomysł - powiedziała, usłyszawszy moje grubymi nićmi szyte uzasadnienie.

- W tym się mylicie, Mario. Byliście przy tym, gdy don Oliverio poprosił mnie o pomoc w zdobyciu książki Leonarda. Dlatego tu jestem.

- I co zamierzacie uczynić z Mariem?

- Po pierwsze, znajdzie się pod moim nadzorem, czyli pod nadzorem Świętego Oficjum. Po drugie, zamierzam go przesłuchać.

Wzmianka o Inkwizycji natychmiast przełamała słaby opór dziewczyny. Piękna Maria, pod wrażeniem moich pełnych powagi słów, okazała się skłonna do posłuszeństwa. Ochoczo poprowadziła mnie do lochów pałacu, żeby tylko uniknąć wszelkich zatargów z domini-kanami pod nieobecność ojca. Wyjaśniła, że tuż po naszym spotkaniu udał się on w podróż i należy spodziewać się jego powrotu do Mediolanu mniej więcej za tydzień. Pod jego nieobecność to ona była odpowiedzialna za cały dom i to, co się w nim znajdowało. W tym, oczywi-

ście, za młodego Forzette.

- Czy jest gwałtowny?

- Och, nie, skądże. Sądzę, że nie skrzywdziłby nawet muchy. Ale jest przebiegły.

Uważajcie na niego.

- Przebiegły?

- Nauczył się tego od Leonarda. Tacy są wszyscy jego uczniowie.

Chłopca trzymano w tej części pałacu, która dawniej służyła jako więzienie. Grube mury i strome

schody prowadziły do dziwnego podziemnego świata, który trudno było sobie wyobrazić komuś, kto widział tylko ogrody na powierzchni. Łaskawość Jacarandy sprawiła, że młody człowiek został wrzucony do więzienia murus strictus, czyli do celi, której wymiary pozwalały na to, by się położyć, wstać i zrobić kilka kroków od jednej ściany do drugiej.

Choć panowały tam całkowite ciemności, Mario Forzetta mógł uważać się za szczęściarza.

Maria pokazała mi bowiem znajdujące się kilka metrów dalej cele murus strictissimus, w których nie sposób było ani stać, ani też się położyć i w których pobyt kończył się śmiercią lub szaleństwem.

Kiedy zostawiła mnie u drzwi jego celi, dopadły mnie duszności. Nie chciałem, by córka Jacarandy zobaczyła mnie w takim stanie. Nienawidziłem odwiedzać więzień, w tego rodzaju miejscach czułem się fatalnie. Dlatego jako inkwizytor mogłem wykonywać tylko prace administracyjne. Wolałem przytłaczający ciężar papierzysk niż zapach wilgoci i odgłos spadających na kamienie kropel wody. Taka atmosfera odbierała mi oddech. Kiedy zostałem sam, z kagankiem i pękiem ciężkich żelaznych kluczy w dłoniach, przez dłuższy czas nie mogłem wydusić ani słowa.

- Mario Forzetta?

Nikt nie odpowiedział.

Wydawało się, że po drugiej stronie przezartych rdzą drzwi czai się jedynie śmierć.

Wsunąłem jeden z kluczy w zamek i otworzyłem drzwi na oścież. Rzeczywiście, w środku znajdował się Forzetta. Stał z błędnym wzrokiem, oparty o mur. Biedaczysko zakrył oczy, gdy dostrzegł światło mojej lampy. Nadal miał na sobie tę samą poplamioną krwią koszulę.

Rana na policzku przybrała niepokojący błękitny odcień. Jego włosy pokrywał kurz i cały jego wygląd, pomimo krótkiego czasu, jaki spędził w zamknięciu, był godny pożałowania.

- A zatem pochodzisz z Ferrary, jak donna Beatrice... - powiedziałem, siadając na jego pryczy. Chciałem dać mu czas, by przyzwyczaił się do światła. Przytaknął zmieszany. Nigdy nie słyszał mojego głosu. Nie wiedział też, kim jestem.

- Ile masz lat, synu?

- Siedemnaście.

Siedemnaście lat! Nawet nie był jeszcze mężczyzną! Mario był zdumiony zarówno moim czarnobiałym habitem, jak i samą wizytą. Jeśli mam być szczerzy, natychmiast nawiąza-

ła się między nami nić sympatii. Postanowiłem dać mu szansę.

- No dobrze, Mario Forzetta, powiem ci, po co przybyłem. Mam pozwolenie na to, aby cię stąd wyciągnąć i uwolnić, o ile dojdziemy do porozumienia - skłamałem. - Musisz tylko odpowiedzieć na



kilka pytań. Jeśli powiesz prawdę, pozwolę ci odejść.

- Ja zawsze mówię prawdę, ojcze.

Młodzieniec odsunął się od ściany, o którą był oparty, i usiadł obok mnie. Rzeczywiście, z bliska nie wyglądał groźnie. Szczupły, o wąskich ramionach, z pewnością nie nadawał się do pracy fizycznej. Nic dziwnego, że Jacaranda tak łatwo go pokonał.

- Wiem, że byłeś uczniem mistrza Leonarda, prawda? - spytałem.

- Tak. Tak było.

- Co się stało? Dlaczego porzuciłeś jego pracownię?

- Nie byłem godzien. Mistrz jest bardzo wymagający wobec uczniów.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie przeszedłem pomyślnie prób, którym mnie poddał. Tylko tyle.

- Próby? Jakiego rodzaju?

Mario, wpatrując się w swoje skute kajdanami ręce, wziął głęboki oddech. W świetle mojej lampy odkrył, że ma zsiniałe nadgarstki.

- To były próby na inteligencję. Mistrz nie zadowolona się tym, że jego uczniowie potrafią mieszać kolory czy naszkicować na kartonie czyjś profil. Wymaga bystrych umysłów...

- A próby? - ponowiłem pytanie.

- Któregoś dnia zabrał mnie ze sobą, żeby pokazać mi kilka swoich prac, i poprosił, abym je zinterpretował. Byliśmy w klasztorze, gdzie oglądałem Cenacolo, a także w zamku księcia, gdzie podziwiałem kilka portretów pędzla mistrza. Chyba źle wypadłem, bo wkrótce mistrz poprosił, abym opuścił jego pracownię.

- Rozumiem. I dlatego postanowiłeś się zemścić i go okraść, tak?

- Nie! Ależ skąd! - Był wzburzony. - Nigdy nie okradłbym mistrza. Był dla mnie jak ojciec. Wszędzie nas ze sobą zabierał, żeby nauczyć nas pracy, a nawet nas karmił. Pamiętam, że kiedy nie starczało mu pieniędzy, gromadził nas w waszym refektarzu, tym u dominikanów w klasztorze Santa Maria, sadzał nas niczym apostołów przy ogromnym stole i z pewnej odległości przyglądał się, jak zajadamy...

- Wobec tego byłeś świadkiem tworzenia Cenacolo.

- Oczywiście. To wielkie dzieło mistrza. Od lat ciężko nad nim pracuje.

- Studiując takie książki, jak ta, którą mu ukradłeś, nieprawdaz?

Mario znów zaprotestował.

- Ja niczego mu nie ukradłem, ojcze! To don Oliverio poprosił mnie, żebym udał się do bottega mistrza i wydobył z jego biblioteki starą książkę w błękitnej oprawie.

- To właśnie jest kradzież.

- Nie, nie jest. Kiedy ostatnim razem byłem w pracowni mistrza, poprosiłem go o nią.

Kiedy mu wytłumaczyłem, o co chodzi, i powiedziałem, że księga jest mi potrzebna, żeby zadowolić mojego nowego pana, wręczył mi tom, który później oddałem do rak don Oliveria.

To był jakby prezent. Dał mi to na pamiątkę. Powiedział, że nie jest mu już potrzebna.

- A ty usiłowałeś sprzedać ją panu Jacarandzie?

- To messer Leonardo nauczył mnie, że tych, którzy siedzą na pieniądzech, o pienią-

dze trzeba prosić. Dlatego podałem cenę. Nic więcej. Lecz don Oliverio nie słuchał moich wyjaśnień. Wściekły, wręczył mi szpadę i zmusił, abym bronił swego honoru w pojedynku. A potem mnie tu zamknął.

Odniosłem wrażenie, że chłopak mówi prawdę. Z pewnością był bardziej wiarygodny niż Jacaranda, małoduszny osobnik, gotów wciągać w swoje interesy zakonników i młodzież tylko po to, by zdobyć jakiś starożytny przedmiot i odsprzedać go za garść dukatów. A gdybym tak zatrudnił Maria? I wykorzystał wiedzę tego byłego ucznia Leonarda, mistrza zagadek? Może powinien zmierzyć się z moimi problemami?

Postanowiłem spróbować szczęścia.

- Co wiesz o talii kart, z której jedna przedstawia kobietę w habicie franciszkanina, z książką w ręku?

Mario spojrzał na mnie zdziwiony.

- Wiesz, o czym mówię? - nalegałem.

- Don Oliverio pokazał mi taką kartę, nim posłał mnie do mistrza.

- Mów dalej.

- Kiedy poprosiłem messer Leonarda o książkę, pokazałem mu tę kartę, a on zaczął się śmiać. Powiedział, że zawiera wielką tajemnicę, o której nie zamierza ze mną rozmawiać, chyba że sam

zdołam ją rozszyfrować. Zawsze tak się zachowuje. Nigdy niczego nie wyjaśni, jeśli ktoś wcześniej sam się nie domyśli, o co chodzi.

- A powiedział ci, jak mógłbyś to uczynić?

- Mistrz szkoli wszystkich uczniów w sztuce odczytywania tego co ukryte. To on nauczył nas greckiej Ars Memoriae, żydowskich kodów liczbowych, tajemnej matematyki Pitagorasa... Choć ja, jak już wam mówiłem, byłem tępym uczniem, który nie miał zbyt wielkiego pożytku z tych lekcji.

- Gdybym cię o to poprosił, rozwiązałaśbyś dla mnie pewną zagadkę?

Mario wahał się przez chwilę, po czym skinął głową.

- To zagadka godna twojego mistrza - mówiłem, szukając równocześnie kawałka papieru, który mógłby posłużyć mi do zapisania wersetów. - Kryje w sobie imię osoby, której szukam. Przeczytaj uważnie tekst i zastanów się nad nim. - Podałem mu skrawek papieru. -

Zrób to dla mnie. Z wdzięczności za to, co dziś ci ofiaruję.

Chłopiec zbliżył się do światła, by lepiej widzieć tekst.

- Oculos ejus dinumera... To po łacinie.

- Tak jest.

- A zatem uwolnicie mnie?

- Wcześniej zadam ci jeszcze jedno pytanie, Mario. Jak rozumiem, powiedziałeś panu Jacarandzie, że Leonardo wykorzystał książkę, którą ci podarował, by namalować jednego z uczniów zasiadających w Cenacolo?

- To prawda.

- O którego ucznia chodziło, Mario?

- Apostoła Mateusza.

- A wiesz, dlaczego posłużył się tą książką przy malowaniu Mateusza?

- Chyba tak... Mateusz był autorem najbardziej przystępnej ewangelii. Mistrz Leonardo chciał, aby człowiek, który użyczy mu swojego oblicza do przedstawienia tego apostoła, był równie szlachetny jak Mateusz.

- A kim jest ten człowiek? To Platon?

- Nie. To nie Platon. - Roześmiał się. - To ktoś, kto nadal żyje. Być może o nim słyszeliście, przełożył Divini Platonis Opera Omnia, nazywa się Marsilio Ficino. Kiedyś usłysza-

łem, jak mistrz mówił, że jeśli namaluje go na jednym ze swoich obrazów, to będzie to znak.

- Znak? Jaki znak?

Forzetta zawahał się, nim odpowiedział.

- Od dawna nie rozmawiałem z mistrzem, ojczy. Lecz jeśli dotrzymacie obietnicy i mnie uwolnicie, na pewno się tego dowiem. Daję wam na to moje słowo. To samo dotyczy zagadki, którą mi powierzyliście. Nie zawiodę was.

- Powinieneś wiedzieć, że dajesz słowo inkwizytorowi.

- I ponawiam raz dane słowo. Uwolnijcie mnie, a na pewno go dotrzymam.

Co miałem do stracenia? Tego samego popołudnia, przed godziną trzecią po południu, Mario i ja opuściliśmy pałac Jacarandy, odprowadzani nieufnym spojrzeniem Marii. Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, czarnowłosego chłopaka ze szramą na policzku ucałował moją dłoń, rozmasował skute jeszcze niedawno nadgarstki i puścił się pędem w kierunku centrum miasta.

Co dziwne, nigdy nie zadałem sobie pytania, czy znów go zobaczę. W głębi serca niewiele mnie to obchodziło. I tak wiedziałem już o Cenacolo więcej niż niejeden z braci, którzy od dawna przebywali z nim pod jednym dachem.

Z samego rana we czwartek Matteo Bandello, młody bratanek przeora, wpadł do refektarza Santa Maria delie Grazie. W jego pełnych łez oczach czaił się obłęd. Ciężko dyszał i był przerażony. Musiał porozmawiać ze stryjem. Kiedy zastał go przed tajemniczym malowidłem Leonarda, odetchnął z ulgą, lecz zaraz potem zadrżał ze strachu. Jeśli to, co usłyszał na placu dei Mercanti, było prawdą, pozostawanie zbyt długo w tym miejscu i przyglądanie się postępom w pracy nad tym diabelskim dziełem każdego mogło doprowadzić do grobu.

Matteo zbliżył się ostrożnie, starając się nie przerywać rozmowy, którą przeor prowadził ze swoim nieodłącznym towarzyszem, ojcem Benedettem.

- Powiedźcie mi jedno, ojcie przeorze - usłyszał Matteo. - Kiedy messer Leonardo malował świętego Szymona i świętego Tadeusza Jude, zauważyliście w jego zachowaniu coś dziwnego?

- Dziwnego? Co przez to rozumiecie, ojcie?

- Och, ojcie przeorze! Wiecie doskonale, co chcę powiedzieć! Widzieliście, czy zaglą-

dał do jakichś notatek lub rysunków, żeby nadać tym uczniom charakterystyczne rysy? A może odwiedzał go wtedy ktoś, kto dawał mu jakieś wskazówki na temat tego, jak ostatecznie powinni wyglądać apostołowie?

- To dziwaczne pytanie, ojcie Benedetto. Nie mam pojęcia, do czego zmierzacie.

- No dobrze... - wychrypiął jednooki. - Prosiliście mnie, abym dowiedział się jak najwięcej na temat zagadki, którą zajmowali się brat Alessandro i ojciec Leyre. I, prawdę mów-

wiąc, z braku informacji, zająłem się ustalaniem tego, co każdy z nich robił w dniach poprzedzających śmierć bibliotekarza.

Matteo zadrżał ze strachu. Przeor i jego sekretarz rozmawiali o tej samej sprawie, która go tu przywiodła.

- I cóż dalej? - spytał jego stryj opanowanym głosem.

- Ojciec Leyre, dysponując kluczem, który sami mu wręczyliście, spędzał tu całe godziny. Nic niezwykłego.

- A brat Alessandro?

- To właśnie jest zastanawiające, ojcie przeorze. Zakrystian kilka razy przyłapał go na rozmowie z Markiem d'Oggiono i Andreą Salaino, ulubionymi uczniami Leonarda. Spotykali się na kruzgankach Dziedzińca Umarłych i ucinali sobie długie pogawędki. Ci, którzy się na nich natknęli, zgodnie twierdzą, że rozmawiali o wielkim zmartwieniu Leonarda, związanym z wyglądem świętego

Szymona.

- I coś takiego zwróciło waszą uwagę? - Matteo spostrzegł, że jego stryj wypowiedział

te słowa karcącym tonem, marszcząc przy tym nos i czoło, jak to miał w zwyczaju. - Mistrz jest bardzo przeczulony na punkcie szczegółów, różnych informacji, drobiazgów... Powinni-

ście zdawać sobie z tego sprawę. Nie znam żadnego innego artysty, który by tak starannie przygotowywał się do pracy.

- Jest tak, jak mówicie, ojciec przeorze. Jednak w tamtych dniach brat Alessandro speł-

niał wszelkie kaprysy Leonarda ponad zwykłą miarę. Szukał dla niego książek i rycin. Pracował po godzinach. A nawet udał się do zamku księcia, aby dopilnować transportu jakiegoś bardzo ciężkiego popiersia, o którym niczego się nie dowiedziałem.

Przeor wzruszył ramionami.

- Może nie ma w tym niczego tak dziwnego, jak wam się zdaje.

Czyż brat Alessandro mu nie pozował? Czy mistrz Leonardo nie wybrał go spośród wielu, aby użyczyć twarzy Judaszowi? To oczywiste, że mogła zawiązać się między nimi przyjaźń. Nie ma nic dziwnego w tym, że Leonardo poprosił go o pomoc.

- Wierzycie, że to był przypadek? Przypuszczam, że ojciec Leyre już wam mówił o swoich podejrzeniach, prawda?

- Ojciec Leyre, ojciec Leyre - wymruczał Benedetto. - Ten człowiek coś przed nami ukrywa. Odnoszę takie wrażenie za każdym razem, kiedy rozmawiamy.

Matteo nie był pewny, czy może wtrącić się do rozmowy. Im dłużej przysłuchiwał się ich rozważaniom na temat Cenacolo i jego sekretów, tym bardziej się niecierpliwił. Przecież wiedział o tym malowidle coś niezwykle ważnego!

- Ale przecież on uważa, że Leonardo mógł uczestniczyć w zabójstwie brata Alessandra, czyż nie?

- Mylicie się. Tak mu powiedział Oliverio Jacaranda, stary wróg mistrza. To, że Leonardo jest człowiekiem nietuzinkowym, o niezwykłych upodobaniach, że nie widzimy go zbyt często na mszy i że domyślamy się, iż ukrył w tym malowidle jakąś tajemnicę, nie czyni z niego mordercy.

- Hmm... - jednooki zawahał się. - Z pewnością. To czyni z niego heretyka. No bo komu, jak nie osobie tak próżnej jak on, przyszłoby do głowy namalować samego siebie w scenie Ostatniej Wieczerzy! I to jako Tadeusza Judę?

- Tak, to interesująca dwuznaczność. Siebie maluje jako „dobrego” Judasza, zaś brata Alessandra używa do przedstawienia „złego” Judasza.

- Z całym szacunkiem, ojcze przeorze, czy zwróciliście uwagę na to, jaką pozę przyjmuje Leonardo w Ostatniej Wieczerzy”}

- Oczywiście - odparł przeor, odszukując wzrokiem Tadeusza Judę. - Odwraca się plecami do Naszego Pana.

- Właśnie! Leonardo, czy też Tadeusz, jak wolicie, rozmawia ze świętym Szymonem, zamiast skupić się na zapowiedzianej przed chwilą przez Chrystusa zdradzie. Dlaczego?

Czyżby dla mistrza ważniejszy był święty Szymon niż Nasz Pan? A posuwając się jeszcze dalej, skoro wiemy, że każdy z uczniów przedstawia jakąś ważną dla mistrza osobę, to kim w rzeczywistości jest ten apostoł Szymon?

- Nie rozumiem, dokąd to prowadzi?

- To proste - odparł Benedetto. - Jeśli postaci z Ostatniej Wieczerzy nie są tymi, na które wyglądają, zaś sam mistrz Leonardo skłania się ku świętemu Szymonowi, a nie ku Me-sjaszowi, to ten święty Szymon musi, siłą rzeczy, być dla niego kimś o fundamentalnym znaczeniu. I o tym doskonale wiedział brat Alessandro.

- Święty Szymon... święty Szymon Kananejczyk...

Przeor potarł skronie, jakby starał się dopasować do tego, co już wiedział o malowidle, podrzucony mu przez brata Benedetta nowy fragment łamigłównki. Matteo milczał, lecz jego zniecierpliwienie narastało. Miał do przekazania bardzo pilną wiadomość!

- Przez ten wasz upór, bracie, przypomniałem sobie teraz coś dziwnego. To wydarzyło się, kiedy Leonardo kończył malować tę część Ostatniej Wieczerzy - powiedział wreszcie jego stryj, nadal nieświadom obecności bratanka w refektarzu.

- Doprawdy?

Jedyne oko Benedetta rozbłysło.

- To było dość osobliwe. Leonardo już od trzech lat wybierał modeli na swoich apostołów. Wszystkim nam kazał pozować, pamiętacie? Potem przywołał strażników księcia, ogrodników, złotników, paziów... Każdy stanowił dla niego inspirację. Od jednego wziął jakiś gest, od innego profil, kształt dłoni, ramię. Ale kiedy przyszło do malowania prawego rogu, Leonardo przerwał sesję i przestał wzorować się na żywych modelach.

Jednooki wzruszył ramionami.

- Staram się wam wytłumaczyć, ojcze Benedetto, że przy malowaniu świętego Szymona, messer Leonardo nie posłużył się żadną spośród wybranych wcześniej osób.

- Wobec tego sam go wymyślił?

- Nie. Użył popiersia. Rzeźby, którą kazał sprowadzić z zamku księcia il Moro.

- Otóż to! Skrzynia brata Alessandra!

- Doskonale pamiętam dzień, w którym przywieziono do klasztoru to marmurowe arcydzieło - ciągnął spokojnie przeor. - Słońce przypiekało niemiłosiernie i dwukonny zaprzęg z ogromnym trudem zdołał wciągnąć do klasztoru skrzynię, w której znajdowało się popiersie. Prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego donna Beatrice tak się zaangażowała w tę operację, w każdym razie zjawiała się we własnej osobie, gdy ściągali skrzynię z wozu.

- Donna Beatrice?

- O tak! Promieniała. Miała na sobie jedną z tych sztywnych sukni w pasy, które tak lubiła, i zarumienione od upału policzki. Przybyła, jak zwykle pod eskortą, ale uchybiła wymogom etykiety i podeszła do robotników, którzy zdejmowali z wozu popiersie. I wiecie co?

Nakrzyczała na nich.

- Nakrzyczała? Księżna wydała rozkaz woźnicom?

- To nie wszystko, bracie. Straciła swoją zwykłą, iście królewską powściągliwość. Obraziła ich. Poniżyła niewybrednymi słowami i zagroziła, że ich powiesi, jeśli zrobią jakąkolwiek krzywdę jej filozofowi.

- Jej... filozofowi? Więc to nie było popiersie świętego Szymona?

- Spytałyście mnie, czy coś sobie przypominam, prawda? To jest właśnie najbardziej osobliwa rzecz, jaką pamiętam.

- Wybaczcie, ojcze przeorze. Mówcie dalej, błagam.

- Leonardo umieścił popiersie w pobliżu wejścia do refektarza, na stosie worków z ziemią. To było stare popiersie, antyczna rzeźba. Przesuwał ją od czasu do czasu, żeby zobaczyć, jak wygląda w różnym oświetleniu, i kiedy znał ją już na pamięć, pośpiesznie zaczął

szkicować tę twarz na ścianie. Jego technika była wspaniała.

- A skąd wziął to popiersie?

- To właśnie jest najdziwniejsze. Jak się później dowiedziałem, donna Beatrice rozkazała sprowadzić je z Florencji tylko po to, by zadowolić mistrza.

Matteo nie mógł już dłużej wytrzymać. Musiał im przerwać, ale nadal nie miał odwagi.

- Czy donna Beatrice zawsze spełniała wszelkie życzenia mistrza? - spytał jednooki.

- Oczywiście. Leonardo był jej ulubionym artystą.



- A możecie mi wyjaśnić, skąd takie zainteresowanie Leonarda jakimś świętym Szymonem z Florencji?

- Mnie też to zdziwiło. Gdyby jeszcze sprowadzili z Florencji Jana Chrzciciela, który w końcu jest patronem tego miasta, to może miałoby to jakiś sens. Ale Szymona...

- To nie jest Szymon, stryju! To nie on!

Matteo, czerwony ze wzburzenia, zaskoczył obu zakonników. Wiedział, że nie należy przerywać, kiedy starsi rozmawiają, ale dłużej nie mógł już zagryzać języka.

- Matteo! - Przeor był zdumiony. Jego dwunastoletni bratanek stanął przed nim, chwiejąc się, z twarzą zalaną łzami i obłędem w oczach. - Co ci się stało?

- Wiem, kim jest ten apostoł, stryju - wymamrotał, starając się zapanować nad wstrząsającymi nim dreszczami, po czym zemdlął.

Upłynęło sporo czasu, nim brat Benedetto i przeor Bandello zdołali ocucić Mattea.

Kiedy wreszcie otworzył oczy, nadal nie czuł się dobrze. Mówienie przychodziło mu z trudem, a jego ciałem wstrząsały dreszcze wywołane zimnem i przerażeniem. W kółko powtarzał, że muszą jak najszybciej opuścić refektarz. „To dzieło diabła”, mamrotał ku zdziwieniu jednookiego i wuja, zanosząc się równocześnie szlochem. Ponieważ nie mogli go uspokoić, przystali na jego prośby i poszukali schronienia w bibliotece. Tam, w ogrzewanym pomieszczeniu, chłopiec zaczął powoli dochodzić do siebie.

Długo nie chciał nic mówić. Wczepił się ze wszystkich sił w ramię przeora i na każde pytanie odpowiadał przeczącym ruchem głowy. Chłopiec nie miał żadnych widocznych ran ani siniaków. Był co prawda umorusany, a jego habit cały w błocie, ale nic nie wskazywało na to, że został napadnięty. Co się wobec tego stało? Benedetto zszedł do kuchni po ciepłe mleko i kawałek sieneńskiego marcepanu, który trzymano na specjalne okazje. Dopiero gdy Matteo rozgrzał się i posilił, rozwiązał mu się język.

To, co im opowiedział, było tak zaskakujące, że obaj zaniemówili.

Tego dnia, jak zazwyczaj, nowicjusz udał się na plac dei Mercanti, kupić wiktuały do klasztornej spiżarni. Czwartki były najlepszymi dniami na zaopatrzenie się w kaszę i jarzyny.

Tak więc Matteo wziął z kieszeni brata Guglielma kilka monet i pobiegł, by jak najszybciej wypełnić swoje zadanie. Kiedy mijał pałac delia Ragione, majestatyczną trzypiętrową budowlę z kamienia i cegły, górującą nad placem dei Mercanti, zobaczył zbiegowisko. Ludzie byli niemal w ekstazie. Słuchali jak zaczarowani przemówienia kaznodziei, który stał na zaimprovizowanej kazalnicy tuż pod portykiem pałacu. Na początku ten widok nie zaprzął zbytnio uwagi chłopaka, jednak kiedy już miał się odwrócić i ruszyć w swoją stronę, coś sprawiło, że zmienił zamiar. Matteo znał tego kaznodzieję.

- To tutaj, pod tymi arkadami, oddał życie za naszego Pana Boga jego prawdziwy wyznawca - Matteo usłyszał krzyk kaznodziei. - To był bonhomme, który oddał życie za swoją wiarę i za was! Jak Chrystus! I po co? Po nic! Widzę, że nie ogarnia was nawet bojaźń, kiedy wam o tym mówię! Nie widzicie, że stajemy się coraz bardziej podobni do zwierząt? Nie widzicie, że przez swoją bierną postawę odwracacie się od Boga?

Przeor i jednooki ze wszystkich sił starali się nie okazać zdumienia. Pod portykiem, który opisywał im teraz Matteo, znaleziono powieszzonego brata Alessandra. Między jednym a drugim łykiem mleka nowicjusz ciągnął swoją opowieść. Kiedy wyjawiał im, kim był ten kaznodzieja, zdumieli się jeszcze bardziej. Matteo jąkał się z przejęcia. Mężczyzną, który oskar-

żał przechodniów o to, że utracili swoje dusze, bo nie są w stanie rozpoznać wysłanników Najwyższego, był brat Giberto. Zakrystian z Niemiec o włosach w kolorze dyni, który pilnował klasztornych bram, porzucił tego ranka swoje obowiązki, aby wygłosić kazanie akurat w miejscu, w którym bibliotekarz dokonał żywota. Dlaczego?

Lecz najosobliwsza część relacji Mattea dopiero ich czekała.

- Wszyscy wydadcie się na potępienie, jeśli nie odrzucicie Kościoła Szatana i nie po-wrócicie do prawdziwej religii! - krzyczał zakrystian. - Nie spożywajcie niczego, co pochodzi ze spółkowania! Odrzućcie mięso! Z odrazą patrzcie na jaja i mleko! Powstrzymajcie się od fałszywych sakramentów! Nie przyjmujcie komunii ani chrztu, które są fałszywe! Odrzućcie posłuszeństwo Rzymowi i przemyślcie waszą wiarę, jeśli chcecie być zbawieni!

Jednooki pochylił głowę. Brat Giberto wygadywał takie rzeczy? Przeor zachęcił bratanka, by mówił dalej. Matteo, trochę już spokojniejszy, opowiedział im, że gdy zakrystian zauważył go w tłumie, zbiegł jak szalony z zaimprovizowanej kazalnicy, złapał go za kark i pokazał wszystkim.

- Dobrze go widzicie? - wykrzyknął, potrząsając nim jak workiem. - To bratanek przeora z Santa Maria delie Grazie. Jeśli teraz, póki jest jeszcze dzieckiem, nikt nie nauczy go prawdziwej wiary, to co się z nim stanie? Powiem wam - prychnął. - Stanie się sługą Szatana, jak jego stryj! Przeklętym odszczepieńcem! I pociągnie setki podobnych wam baranów na wieczne potępienie!

Poważne oblicze przeora zasępiło się jeszcze bardziej.

- Tak powiedział? Jesteś tego pewny, synu?

Nowicjusz skinął głową.

- A potem mnie rozebrał.

- Rozebrał cię?

- I podniósł w górę, żeby wszyscy mogli mnie zobaczyć.

- Ale dlaczego, Matteo? Dlaczego?

Na wspomnienie tych przeżyć oczy chłopca wypełniły się łzami.

- Nie wiem, stryju. Ja... ja tylko słyszałem, jak krzyczał do ludzi, żeby nie wierzyli, że dziecko jest czyste, bo jeszcze nie straciło niewinności. Że wszyscy przybywamy na ten świat, aby oczyścić się z naszych grzechów, i że jeśli nie zrobimy tego w tym życiu, to po-wrócimy na ten padół łez do życia jeszcze gorszego niż poprzednie.

- Reinkarnacja nie jest doktryną chrześcijańską! - zaprotestował jednooki.

- Lecz katarską - przerwał mu przeor. - Dajcie mu mówić.

Matteo wytarł oczy i kontynuował relację.

- Potem... potem powiedział, że choć bracia z jego klasztoru są wyznawcami Kościoła Szatana i słuchają papieża, który czci pogańskich bogów, to on obiecuje, że wkrótce ten dom stanie się latarnią, która poprowadzi ludzkość ku zbawieniu.

- Tak powiedział? - Jednooki ściągnął brwi. - A wytłumaczył, dlaczego?

- Nie ponaglajcie go, bracie - syknął przeor.

Nowicjusz ponownie wtulił się w stryja.

- To nie jest prawda? - załkał. - To nieprawda, że jesteśmy Kościołem Szatana?

- Oczywiście, że nie, Matteo. - Bandello pogłaskał go po głowie. - Skąd to pytanie?

- Bo... bo brat Giberto bardzo się obraził, kiedy powiedziałem mu, że to nieprawda.

Spoliczkował mnie i zaczął krzyczeć, że dopiero gdy wyrzucą was z Cenacolo i Wieczernik stanie otworem dla wszystkich, którzy zechcą go oglądać, prawdziwy Kościół znów zabłyśnie.

Przeora ogarnęła furia.

- Uderzył cię! - krzyknął z oburzeniem.

Matteo najwyraźniej nie był tym przejęty.

- Brat Giberto mówił, że im dłużej wpatrujemy się w Cenacolo, tym jesteśmy bliżsi prawdziwego Kościoła. Że ściana mistrza Leonarda skrywa tajemnicę wiecznego zbawienia. I że dlatego zarówno on, jak i brat Alessandro zgodzili się, by ich sportretował obok Chrystusa.

- Tak powiedział?

- Tak... - Matteo stłumił szloch. - Ci, którzy zostali tam namalowani, już teraz zasłużyli na wieczną chwałę.

Chłopiec spojrział pytająco na starszych. Jednooki rozwiał jego wątpliwości: nie tylko bibliotekarz pozował do wizerunku Judasza. Inni, podobnie jak Giberto, też użyczyli swych twarzy do przedstawienia apostołów. Niemiec uosabiał Filipa, ale również Bartłomiej, oby-dwaj Jakubowie czy Andrzej mieli twarze zakonników. Nawet Benedetto dał się namalować jako Tomasz. „Jestem z profilu, żeby nie było widać, że brakuje mi oka”, wyjaśnił.

Jednooki pogłaskał zrozpaczonego Mattea.

- Jesteś dzielnym chłopcem - powiedział. - Dobrze zrobiłeś, że nas stamtąd wyciągnąłeś. Zło może odebrać nam rozum, niczym wąż Ewie.

Benedetto musiał się czegoś domyślić, bo ni stąd, ni zowąd zadał chłopcu pytanie, które nawet dla przeora było zaskoczeniem:

- Mówiłeś, że wiesz, kim jest naprawdę apostoł Szymon. Dowiedziałeś się tego od zakrystiana?

Nowicjusz zwrócił wzrok w stronę pustych pulpitów scriptorium i skinął głową.

- Kiedy tak trzymał mnie w powietrzu nagiego, aby wszyscy mogli mnie widzieć, opowiedział o człowieku, który żył w czasach przed Chrystusem i głosił nieśmiertelność duszy.

- Naprawdę?

- Powiedział, że ten człowiek uczył się u najstarszych mędrców świata. Głosił też różne rzeczy na temat postu, modlitwy i zimna.

- A co dokładnie powiedział? - nalegał Benedetto.

- Że te trzy rzeczy pomagają opuścić ciało, w którym zamieszkują wszelkie grzechy i nieprawości, i stać się czystą duszą... I powiedział też, że w Cenacolo ten człowiek nadal głosi swoje nauki w białej niepokalanej szacie.

- Na malowidle tylko jeden spośród trzynastu tam przedstawionych jest tak ubrany - zauważył Bandello. - Szymon.

- A podał imię tego wielkiego mędrca? - dopytywał się Benedetto.

- Tak. Nazwał go Platonem.

- Platon! - Benedetto aż podskoczył. - Oczywiście!

Filozof donny Beatrice! Popiersie, które kazała sprowadzić z Florencji przedstawia właśnie jego...!

\*  
\* W Galerii Uffizi we Florencji znajduje się popiersie Platona, przypisywane greckie-mu rzeźbiarzowi Silanionowi, który, o ile nam wiadomo, jako jedyny przedstawił filozofa za jego życia na rozkaz Mitrydatesa w 325 r. p.n.e. Być może mowa tu o tym właśnie popiersiu florenckim lub jakiejś jego kopii, bowiem w istocie rzeźba jest zadziwiająco podobna do apostoła Szymona z Ostatniej Wieczery (przyp. aut.).

Przeor pomasował sobie skronie. Był wyraźnie zaniepokojony.

- A dlaczego Leonardo miałby przedstawić siebie samego bardziej zainteresowanego Platonem niż Chrystusem?

- Jak to? Jeszcze tego nie dostrzegacie, ojcze? Przecież to oczywiste! Leonardo pokazuje na tym malowidle, komu zawdzięcza swoją wiedzę. Leonardo, ojcze przeorze, podobnie jak brat Giberto i brat Alessandro, jest katarzem. Sami to wcześniej powiedzieliście. I mieliście rację. Platon, tak jak później katarzy, bronił poglądu, że człowiek osiąga prawdziwe poznanie poprzez kontakt ze światem

duchowym, bez pośrednictwa Kościoła i mszy świętej. Nazywał

to gnosis, a to najgorsza z możliwych herezji.

- Skąd możecie być tego aż tak pewni? Na podstawie takich dowodów nie można jeszcze nikogo oskarżać o herezję.

- Ach nie? Nie widzicie, że Leonardo zawsze ubiera się na biało, jak Szymon z Cenacolo? Nie wiecie, że odmawia spożywania mięsa i żyje w celibacie? Widzieliście go choć raz w towarzystwie kobiety?

- My również ubieramy się na biało i pościmy, ojcie Benedetto. Ponadto mówi się, że Leonardo gustuje w mężczyznach i, wbrew waszym słowom, wcale nie żyje w celibacie - zauważył ojciec Vincenzo pod baczny spojrzeniem młodego Mattea, na którego twarzy malowało się zdumienie i niedowierzanie.

- Mówi się! Kto tak mówi, ojcie przeorze? To zwykłe plotki. Leonardo jest człowiekiem samotnym. Pomysł łączenia się w pary napawa go takim wstrętem, jakby to była dżuma.

Obstaję przy tym, że jest takim samym ascetą jak katarscy parfaits\*. Wszystko pasuje!

\* Parfaits (franc.) - doskonali.

Przeor nie krył zaniepokojenia.

- Załóżmy, że macie rację. Co powinniśmy wobec tego uczynić?

- Po pierwsze - podjął Benedetto - przekonać ojca Leyre, że Leonardo to heretyk. Ojciec Leyre jest inkwizytorem, to prawdziwe zrzędzenie niebios, że zjawił się tu akurat teraz, i z pewnością wie o katarach więcej niż my obaj.

- A następnie?

- Oczywiście zatrzymać brata Giberta i go przesłuchać.

- To nie będzie możliwe...

Matteo wypowiedział to zdanie szeptem, ponieważ wciąż nie był pewny, czy wypada przeszkadzać w rozmowie. Choć doszedł już do siebie, to przecież jeszcze nie skończył opowiadać o tym, co się wydarzyło na placu dei Mercanti.

- Co mówisz?

- Że już nie możecie go zatrzymać.

- A to dlaczego, Matteo?

- Ponieważ... - zawahał się chłopak - brat Giberto, kiedy skończył kazanie, podpalił się i spłonął na oczach wszystkich.

- Boże Świąty! - Jednooki zakrył usta dłonią. - Widzicie, przeorze? Nie ma już wątpliwości. To endura. Zakrystian wolał poddać się jej niż naszemu sądowi.

- Endura!

Pytanie młodego Mattea zawisło w przesycającej bibliotekę osobliwej atmosferze.

Chłopiec nie doczekał się odpowiedzi. Benedetto przeprosił ich, mówiąc, że musi przemyśleć to w samotności, i pośpiesznie opuścił bibliotekę. Jeszcze tego ranka, pod wrażeniem opowie-

ści Mattea, powiedział mi, że w klasztorze Santa Maria delie Grazie żyje co najmniej dwu bonhommes, jak niegdyś zwykli sami siebie nazywać katarzy.

Inkwizytor powinien zresztą wiedzieć takie rzeczy. Jednooki zwrócił jednak uwagę na drugie odkrycie, które jego zdaniem bardziej wiązało się z moimi zadaniami: wreszcie udało się określić, kto toczy rozmowę z mistrzem Leonardem przy paschalnym stole. Wiedział już, kim naprawdę jest mężczyzna w białej szacie, który wyciągał dłonie w wymownym geście, i odciągał uwagę przynajmniej dwóch uczniów od Chrystusa. Był to Platon. Zwierzenia Benedetto nareszcie rozwiąły mgławicę wątpliwości, z którymi nie mogłem się uporać od czasu rozmowy z Oliveriem Jacarandą. Obecność filozofa w refektarzu wyjaśniała, dlaczego mistrz da Vinci przechowywał w swojej bibliotece dzieła zebrane Ateńczyka. Księżę, która teraz zapewne poniewiera się w jakimś kącie pałacu Jacarandy i której nikt nie poświęca uwagi, na jaką zasługuje. Tak oto koło się zamykało.

Rzym, trzy dni później

Wartownik, sztywny niczym napięta cięciwa kuszy, wskazał generałowi dominikanów drogę. Środki bezpieczeństwa wydawały się przesadne, zwłaszcza w stosunku do ojca Torrianiego, którego ludzie papieża znali aż nadto dobrze. Rozkazy jednak były surowe. W ciągu sześciu miesięcy już trzeci kardynał zmarł z powodu niestrawności. I papież, którego wielu oskarżało o to, że stoi za owymi nagłymi zgonami, nakazał pozorowane śledztwo. Część tego śledztwa stanowiła rygorystyczna kontrola osób mających wstęp do papieskiego pałacu.

Atmosfera nie była sprzyjająca. Rzym miał dość powodów do obaw, gdy Aleksander VI mianował kardynałem któregoś z wybitnych obywateli miasta. Wszyscy wiedzieli, że jeśli Ojciec Święty pożąda czyichś dóbr, to aby je zdobyć, musi tylko ich właściciela mianować kardynałem, a następnie dyskretnie pozbawić go życia. Prawo było po jego stronie. Papież to jedyny prawny spadkobierca swoich kurialistów. A w przypadku Jego Eminencji kardynała Michielego, niezwykle zamożnego patriarchy weneckiego, to prawo zostało wyegzekwowane z największą precyzją.

Torriani poddał się bez szemrania nowym regułom wstępu do komnat Borgii. Tych, którzy go oczekiwali, dojrzał po kilku minutach, gdy tylko pozostawił za sobą złociste drzwi do kaplicy Najświętszego Sakramentu. Znajdowali się w trzeciej sali, z oczami utkwionymi w sufit i dziwnym wyrazem triumfu malującym się na ich obliczach. Tam, pod oknami wschodniego skrzydła, ukryci przed surową rzymską zimą, mistrz Armio da Viterbo i Jego Świątobliwość rozmawiali z ożywieniem o freskach, które sprawiały wrażenie dopiero co ukończonych. W istocie nadal jeszcze pachniały pokostem i żywicą.

Papież, gładko ogolony, z niegdyś kasztanowymi, a dziś mocno posiwiałymi włosami, tuszował swój wystający brzuch długą szatą w kolorze czerwonego wina. Annio zaś przypominał łasicę. Miał ostry nos, z którego sterczał gąszcz czarnych szczeciniastych włosów, i wą-

skie kościste dłonie, przywodzące na myśl stracha na wróble. Teraz zamasyście nimi gestykulował, wskazując malowidła.

Żarliwe słowa Nanniego, jak wszyscy zwykliśmy nazywać tego uczonego męża, dudniły niczym grzmoty letniej burzy:

- Sztuka to najcenniejsza broń, Ojciec Święty! Jeśli pozostanie w waszych rękach, za-władnicie chrześcijaństwem! Jeśli ją utracicie, waszą misję pasterską spotka klęska!

Torriani zauważył, że Aleksander VI skinął głową, nie mówiąc przy tym ani słowa.

Poczuł, że za chwilę rozboli go żołądek. Któryś raz z rzędu słyszał te wywody. Ta niezwykła idea wtargnęła do Rzymu, a razem z nią śmietanka artystów florenckich. Papież osobiście wydał Wawrzyńcowi Wspaniałemu całą armię artystów tylko po to, by spełnić podejrzone aspiracje Armia. Co więcej, Torriani cierpiał, ponieważ przywileje malarzy i rzeźbiarzy rosły ostatnio niepomiaralnie kosztem mnichów i kardynałów. Generał dominikanów, rozdrażniony i zazdrosny o



wpływ, jaki wywierał na Ojca Świętego ten niebezpieczny mnich Annio da Viterbo, udając, że ich nie dostrzegł, podszedł do dowódcy straży i poprosił o zaanonsowanie jego przybycia.

Najwyższy przełożony zakonu Świętego Dominika zjawił się osobiście, tak jak życzył sobie Aleksander VI.

Papież się uśmiechnął.

- Jakże się cieszę, że was widzę, drogi Gioacchino! - wykrzyknął. Wyciągnął w kierunku gościa dłoń, a Torriani z szacunkiem ucałował pierścień. - Przybywacie w stosownym momencie. Właśnie przed chwilą rozmawialiśmy z Nannim o sprawie, która tak was niepokoi...

Dominikanin podniósł wzrok znad papieskiego pierścienia.

- A co... wiecie na ten temat?

- Och, dajcie spokój, mistrzu Torriani! Nie musicie zachowywać się przy mnie aż tak ostrożnie. Wiem właściwie wszystko, nawet to, że wysłaliście w moim imieniu szpiega do Mediolanu, żeby sprawdził pewne plotki na temat herezji, która jakoby rozwija się na dworze księcia il Moro.

- Ja... - sędziwy kaznodzieja zawahał się - przyszedłem właśnie po to, by powiadomić was o tym, co odkrył nasz człowiek.

- Bardzo mnie to cieszy - zaśmiał się papież. - Zamieniam się w słuch.

Annio da Viterbo i Ojciec Święty oderwali się od podziwiania fresków i zasiedli w pokrytych skórą ogromnych fotelach, które kamerdynerzy dla nich ustawili. Zdenerwowany Torriani stał. Pod pachą ścisnął teczkę, w której znajdował się obszerny list. To ja go napisa-

łem, gdy tylko odkryłem odrośl katarów w samym sercu Mediolanu.

- Od kilku miesięcy - zaczął tłumaczyć Torriani, nadal głęboko przejęty moimi odkryciami - otrzymujemy pisma, które wskazują na to, że księżę Mediolanu wykorzystuje znakomitego mistrza florenckiego, Leonarda da Vinci, do szerzenia herezji za pośrednictwem szczególnego dzieła poświęconego Ostatniej Wieczery.

- Leonardo, mówicie?

Papież spojrzał na Nanniego w oczekiwaniu na jedną z jego uczonych uwag.

- Leonardo, Wasza Świątobliwość - powtórzył Nanni. - Nie pamiętacie?

- Słabo.

- To naturalne - pośpieszył Łasica z usprawiedliwieniem. - Jego imię nie figurowało na liście artystów, których dom Medyceuszy polecił, by upiększyli Rzym, w czasach gdy byliście jeszcze

kardynałem. Z tego, co wiemy, to mąż dumny, wybuchowy i z pewnością niezbyt przyjaźnie nastawiony do Matki Naszej Kościoła. Medyceusze wiedzieli o tym i dlatego, całkiem słusznie, woleli go nie polecać.

Papież westchnął.

- Kolejny człowiek przysparzający kłopotów, nieprawdaż?

- Bez wątplenia, Wasza Świątobliwość. Leonardo poczuł się zlekceważony, gdy nie otrzymał rekomendacji do prac w Rzymie i w tysiąc czterysta osiemdziesiątym drugim roku opuścił Florencję, odwrócił się plecami do Medyceuszy i osiadł w Mediolanie, by pracować tam jako wynalazca czy kucharz, a nie jako malarz.

- W Mediolanie? Jak to możliwe, że przyjęli tam takiego człowieka? - Papież zrobił

kpiącą minę, po czym ciągnął: - Aha, już rozumiem... Dlatego twierdzicie, że księżę nie jest mi posłuszny, nieprawdaż, Nanni?

- O to powinniście zapytać generała dominikanów, Wasza Świątobliwość - odparł sucho Viterbo. - Zdaje się, że posiada na to pewne dowody i chciałby je wam przedstawić.

Torriani, nadal stojąc, zaprotestował:

- To jeszcze nie są dowody, zaledwie poszlaki, Wasza Świątobliwość. Leonardo, pod kierunkiem i opieką księcia il Moro, podjął się wykonania dzieła olbrzymich rozmiarów i o chrześcijańskiej tematyce, w którym pełno jest jednak błędów. Niepokoją one przeora naszego klasztoru Santa Maria delie Grazie.

- Błędów?

- Tak, Wasza Świątobliwość. Chodzi o Ostatnią Wieczerzę.

- A cóż może być błędem w takim malowidle?

- Widzicie, Wasza Świątobliwość, wiadomo nam, że dwunastu zasiadających do niej apostołów wcale nimi nie jest. To wizerunki ludzi o wątpliwej wierze, pogan, a porządek, w jakim siedzą przy stole, ma, zdaje się, służyć przekazaniu treści zgoła niechrześcijańskich.

Papież i Nanni spojrzeli na siebie. Kiedy uczony mąż Viterbo poprosił o więcej szczegółów, dominikanin sięgnął do teczki.

- Otrzymaliśmy właśnie pierwszy raport od naszego człowieka, który jest teraz w Mediolanie - powiedział, rozkładając mój list. - To wybitny erudyta z Betanii, znawca szyfrów i tajnych kodów, który teraz równie sumiennie zajmuje się zarówno samym dziełem, jak i mistrzem Leonardem. Obejrzał dokładnie wszystkie wizerunki uczestników Ostatniej Wieczerzy, szukając między nimi jakichś związków. Nasz specjalista zbadał prawie wszystko, po-cząwszy od porównania każdego z apostołów ze znakiem zodiaku, aż po szukanie związku między ułożeniem ich rąk a zapisem

muzycznym. Wkrótce będziemy dysponowali wnioskami i to, co dziś jest poszlaką, jutro może stać się dowodem.

Nanni był rozdrażniony.

- Ale odkrył coś konkretnego czy nie?

- Oczywiście, ojcze Annio. Prawdziwa tożsamość trzech apostołów została całkowicie odkryta. Wiemy na przykład, że oblicze Judasza Iskarioty odpowiada rysom niejakiego brata Alessandra Trivulzia, dominikanina, który skonał na stryczku wkrótce po Trzech Królach w samym środku Mediolanu...

- A niech to! Jak prawdziwy Judasz - wyszeptał papież.

- Nie inaczej, Wasza Świątobliwość. Nadal nie potrafimy określić, czy popełnił samobójstwo, czy też został zamordowany, ale nasz informator uważa, że należał do wspólnoty katarów, która przeniknęła do naszego klasztoru.

- Katarów?!

Żrenice Ojca Świętego rozszerzyły się ze zdumienia.

- Katarów, Wasza Świątobliwość. Wierzą, że stanowią prawdziwy Kościół Boży. Jako modlitwę akceptują jedynie Ojciec Nasz, odrzucają kapłaństwo i osobę wikariusza Chrystusa jako jedyne przedstawiciela Boga na Ziemi...

- Wiem, kim są katarzy, mistrzu Torriani! - parsknął wzburzony papież. - Ale sądzi-

śmy, że ostatni spłonęli w Carcassonne i w Tuluzie w roku tysiąc trzysta dwudziestym piątym Czyżby biskup z Pamiers z nimi nie skończył?

Torriani dobrze znał tę historię. Nie wszyscy wtedy zginęli. Po zwycięskiej krucjacie przeciwko katarom na południu Francji i upadku Montsegur w 1244 roku heretyckie rodziny rozpierzchły się i znalazły schronienie w Aragonii, Lombardii i Niemczech. Ci, którzy przekroczyli Alpy, osiedli w okolicach Mediolanu, gdzie niezbyt restrykcyjne rządy Viscontich pozwalały im żyć w spokoju. Jednak ich skrajne wierzenia z czasem zostały zapomniane i wielu zmarło, nie przekazując następcom rytuałów ani heretyckich przesądów.

- Sytuacja może być bardzo groźna, Wasza Świątobliwość - ciągnął Torriani z poważ-

ną miną. - Brat Alessandro Trivulzio nie był jedynym w naszym mediolańskim klasztorze podejrzany o przynależność do sekty katarów. Trzy dni temu inny spośród braci otwarcie przyznał się do herezji, a potem odebrał sobie życie.

- Endura? - Oczy Łasicy rozblęły.

- Tak.

- Na wszystkich świętych! - zagrział. - Endura była jedną z najbardziej krańcowych praktyk katarów. Od dwustu lat nikt tego nie stosował.

Asystent papieski spojrział na Ojca Świętego, który najwyraźniej niezbyt dobrze rozumiał, czym była endura. Armio natychmiast pośpieszył z wyjaśnieniami:

- W biernym wydaniu polegała na uroczystej obietnicy powstrzymywania się od jedzenia, a także wszystkiego, co mogłoby zanieczyścić ciało katara, który dążył do doskonałości.

Taki nieszczęśnik wierzył, że jeśli umrze w stanie czystości, to ocali swą duszę i połączy się z Bogiem. Ale istniała również bardziej aktywna wersja tej praktyki. Polegała na samobójstwie poprzez spalenie. Doszło do tego tylko podczas oblężenia Montsegur. Mieszkańcy tej ostatniej twierdzy katarów woleli wstąpić na płonący stos, niż poddać się wojskom papieskim.

- Ten brat, o którym wam opowiadałem, ojczyźnie, dobrowolnie zginął w ogniu.

Nanni nie posiadał się ze zdumienia.

- Z trudem mogę uwierzyć, że ktoś przywrócił ten stary rytuał, mistrzu Torriani. Spodziewam się, że dysponujecie innymi informacjami, które uzasadniają wasz niepokój.

- Niestety tak. Mamy podstawy, by sądzić, że w Ostatniej Wieczerzy, którą Leonardo da Vinci właśnie kończy malować, ukryte są dowody istnienia aktywnej wspólnoty katarów w Mediolanie. Na malowidle przedstawił siebie, zajętego rozmową z apostołem, którym w istocie jest Platon. Wiecie, ten starożytny filozof, do którego odwoływali się ci przekłęci heretycy.

Łasica aż podskoczył z wrażenia.

- Platon? Jesteście tego pewni?

- Całkowicie. Najgorsze jest to, ojczyźnie Annio, że to wszystko nie jest pozbawione przewrotnej logiki. Jak wam wiadomo, Leonardo kształcił się we Florencji pod okiem Andrei Verocchia, wpływowego artysty, uznanego przez Medyceuszy i bliskiego Akademii, którą Cosimo Starszy powierzył opiece Marsilia Ficina. I jak wam również wiadomo, ta Akademia powstała na wzór ateńskiej Akademii Platńskiej.

- I cóż z tego wynika? - asystent Aleksandra VI skrzywił się, wyraźnie zazdrosząc przybyszowi tak wielkiej erudycji.

- Nasze wnioski są oczywiste, ojczyźnie. Skoro katarzy podzielali wiele spośród najbardziej podejrzanych opinii Platona, zaś w Akademii Marsilia Ficina praktykowano nawet takie obyczaje katarów, jak powstrzymywanie się od spożywania mięsa, to dlaczego nie możemy przypuszczać, że Leonardo wykorzystuje swoje dzieło do szerzenia doktryn, które są sprzeczne z nauką Rzymu?

- Zatem, o co nas prosicie? Żebyśmy obłożyli go ekskomuniką?

- Jeszcze nie teraz. Musimy bez cienia wątpliwości dowieść, że Leonardo przedstawił

swoje poglądy w tym malowidle. Nasz człowiek w Mediolanie pracuje nad zebraniem dowodów. Potem będziemy działać.

- Ależ mistrzu Torriani - Viterbo przerwał mu, przeczuwając, że za chwilę generał dominikanów posunie się za daleko - wielu artystów takich jak Botticelli czy Pinturicchio miało związki z Akademią, a pomimo to są gorliwymi chrześcijanami.

- Sprawiają jedynie takie wrażenie, mistrzu Armio. Nie powinniście im ufać.

- Dominikanie zawsze są tacy podejrzliwi! Rozejrzyjcie się wokół siebie. Pinturicchio namalował te cudowne freski dla Jego Świątobliwości. - Wskazał na sufit. - Czy widzicie w nich choćby cień herezji? No, śmiało! Widzicie?

Dominikanin dobrze znał tę dekorację. Betania w największej tajemnicy podjęła dochodzenie w tej sprawie, które umorzono.

- Mistrzu Armio, nie przystoi wam tak się unosić. Tym bardziej że mimo woli przy-znajecie mi rację. Przyjrzyjcie się dobrze dziełu tego Pinturicchia: pogańscy bogowie, nimfy, egzotyczne zwierzęta i sceny, których próżno szukać w Biblii. Jedynie zwolennik Platona, oczarowany starymi pogańskimi doktrynami, mógł wpaść na pomysł namalowania czegoś takiego.

- To historia Izydy i Ozyrysa! - zaprotestował Łasica, tracąc nad sobą panowanie. -

Ozyrys, jeśli nie wiecie, zmartwychwstał jak Nasz Pan. A pamięć o nim, choć pogańska w formie, odnawia naszą nadzieję na zbawienie ciała. Ozyrys jest tu przedstawiony jako byk, tak jak bykiem jest nasz Ojciec Święty. Chyba widzieliście kiedyś herb Borgiów? Czy zwią-

zek między tą mitologiczną postacią, symbolem siły i męstwa, a zwierzęciem, które błyszczy na jego tarczy, nie jest oczywisty? Żadne symbole nie są heretyckie, mistrzu!

Właśnie w chwili, gdy brat Gioacchino Torriani zamierzał odpowiedzieć, zabrzmiał aksamitny, a zarazem zmęczony głos papieża:

- Jednej rzeczy tu nie rozumiem - powiedział, cedząc słowa, jakby mówienie go nuży-

ło - gdzie w tym wszystkim widzicie grzech księcia il Moro?

- To dlatego, że nie przestudiowaliście dzieła Leonarda, Wasza Świątobliwość! - za-wołał Torriani. - Książę Mediolanu finansuje je w całości i broni artysty przed naszymi brać-

mi. Przeor Santa Maria od miesięcy stara się o wprowadzenie do malowidła pewnych poboż-

nych akcentów, lecz to niemożliwe. To książę dopuścił, by Leonardo namalował samego siebie, pochłoniętego rozmową z Platonem i odwróconego plecami do Chrystusa.

- Tak, tak... - papież ziewnął. - Wspomnieliście też o Ficinie, nieprawdaż?

Torriani skinął głową.

- Czy to nie ten człowiek, o którym mi tyle razy opowiadaliście, mój drogi Nanni?

- To on, Wasza Świątobliwość - przytaknął z fałszywym uśmiechem. - To niezwykły człowiek. Jedyne w swoim rodzaju. Nie wierzę, aby był heretykiem, tak jak próbuje nam to przedstawić mistrz Torriani. To jeden z kanoników katedry florenckiej. Teraz ma zapewne jakieś sześćdziesiąt cztery albo sześćdziesiąt pięć lat. Jego oświecony duch z pewnością by was podziwiał.

- Oświecony duch? - Papież zakasłał. - Ale to nie jest ktoś w rodzaju tego Savonaroli, prawda? Czy przypadkiem obaj nie są kanonikami tej samej katedry?

Papież puścił oko do Torrianiego, który zadrżał, słysząc imię tego egzaltowanego dominikanina, głoszącego rychły koniec „bogatego Kościoła”.

- To prawda, że służą tej samej świątyni, Wasza Świątobliwość - oznajmił Łasica po-kornym głosem - ale to mężowie o skrajnie różnych osobowościach. Ficino jest uczonym, który zasługuje na nasz najwyższy szacunek, mędrcom. Przełożył na łacinę niezliczoną ilość starożytnych tekstów, takich jak egipskie traktaty, które Pinturicchio wykorzystał przy dekoracji tych sufitów.

- Doprawdy?

- Pinturicchio, nim przystąpił do pracy nad waszymi freskami, przeczytał dzieła Hermesa, które Ficino właśnie przełożył z greki. To w nich opisano te piękne sceny miłosne Izydy i Ozyrysa...

- A Leonardo? - mruknął papież. - Czy on też czytywał Ficina?

- Nawet się z nim przyjaźnił. Pinturicchio o tym wie. Obaj byli uczniami w pracowni Verocchia i obaj słuchali tam objaśnień Ficina na temat Platona i jego wiary w nieśmiertelność duszy. Czyż jakaś idea może być bardziej chrześcijańska niż ta?

Nanni chciał tymi słowami sprowokować mistrza Torrianiego. Wiedział aż nadto dobrze, że większość dominikanów to tomiści, obrońcy teologii Tomasza z Akwinu, inspirowanej myślą Arystotelesa, wrogo nastawieni do wszystkiego, co oznaczało wydobycie Platona z zapomnienia. Mój generał zrozumiał, że może przegrać z takim adwersarzem, bowiem natychmiast spuścił wzrok i dał do zrozumienia, że pragnie się pożegnać.

- Wasza Świątobliwość. Czcigodny Anno - zwrócił się do nich dwornie. - Jest bezcelowe, byśmy dalej spekulowali na temat źródeł inspiracji tej mediolańskiej Ostatniej Wieczery, dopóki nie zakończymy dochodzenia. Jeżeli dacie wasze błogosławieństwo, śledztwo bę-

dzie toczyć się dalej, tak jak do tej pory, i określi rodzaj popełnianego przez Leonarda grzechu przeciw naszej doktrynie.

- Jeśli w ogóle jakiś popełnia - złagodził jego słowa Viterbo.

Papież pożegnał Torrianiego i czyniąc znak krzyża, dodał:

- Zanim odejdziecie, dam wam radę, ojciec Torriani: w przyszłości miejcie baczenie na grunt, po którym stąpacie.

Nigdy nie widziałem twarzy tak posępnych jak oblicza mnichów z Santa Maria delie Grazie tamtego niedzielnego poranka. Przed jutrznią przeor osobiście obszedł klasztor, cela po celi, i obudził każdego z nas. Donośnym głosem nakazał nam czym prędzej się ogarnąć i przygotować nasze sumienia na nadzwyczajną w życiu konwentu kapitułę.

Oczywiście wszyscy wykonali polecenie bez szemrania. Wiedzieli, że za śmierć zakrystiana prędzej czy później przyjdzie im zapłacić. Dlatego każdy z nich dosłownie z dnia na dzień zaczął patrzeć nieufnie na współbraci. Dla kogoś z zewnątrz, takiego jak ja, atmosfera stawała się nie do zniesienia. Bracia łączyli się w małe grupki stosownie do miejsca pochodzenia. Ci z południa Lombardii nie rozmawiali z tymi z północy, a ci z kolei unikali kontaktu z tymi znad jezior, jakby mieli oni coś wspólnego z fatalnym końcem brata Giberto. Klasztor Santa Maria był podzielony, ja zaś nie wiedziałem dlaczego.

Tego dnia, o świcie, gdy już się obmyłem i ubrałem po ciemku, zrozumiałem, jak głę-

boki był ten kryzys. Choć nie było brata, który by nie szemrał przeciw drugiemu, to wszyscy zdawali się zgadzać w jednej sprawie: uważali, że należy trzymać mnie z dala od swoich zmartwień. Najbardziej przerażało ich bowiem to, że jako inkwizytor jestem władny wszcząć proces przeciw ich wspólności. Oczywiście żaden nie odważył się powiedzieć tego otwarcie.

Plotki o tym, że brat Giberto umarł jako katar, dosłownie zwały ich z nóg. Spoglądali na mnie tak, jakbym to ja zmusił brata Alessandra do powieszenia się i sprawił, że zakrystian stracił rozum. Przypisywali mi najwyraźniej diabelską moc.

Jednak tym, co najbardziej zwróciło moją uwagę, był sposób, w jaki Vincenzo Bandello wykorzystał te lęki.

Przeor zgromadził nas przy wielkim stole, który sam przygotował w sali sąsiadującej ze stajnią. Było zimno i ciemno, bodaj jeszcze ciemniej niż w naszych celach. To tam Bandello przedstawił nam program, który dla nas przygotował. Czas od jutrzni do komplety, mówił, poświęcimy ćwiczeniom duchowym, rachunkowi sumienia, aktom skruchy i spowiedzi powszechnej, zaś pod koniec dnia wybrani przez niego samego bracia udadzą się na Dziedziniec Umarłych i ekshumują doczesne szczątki brata Alessandra Trivulzia. Nie tylko wydobędą spod ziemi jego biedne zwłoki, lecz wyniosą je poza mury miejskie w celu dokonania egzorcyzmów, po czym je spalą i pozwolą, by prochy rozwiał wiatr. To samo uczynią ze szczątkami brata Giberta.

Bandello chciał, aby przed nastaniem nocy jego klasztor został oczyszczony z herezji.

On, który wierzył w niewinność brata bibliotekarza i bronił tezy o spisku na jego życie, wiedział już teraz, że brat Alessandro odwrócił się od Chrystusa i tym samym podkopał jego wiarygodność jako przełożonego klasztoru.

Zauważyłem, że stojący przy krańcu stołu Mauro Sforza, grabarz, przeżegnał się nerwowo.



Ojciec Vincenzo był bardziej poważny i mało mówny niż zwykle. Nie spał dobrze tej nocy. Sine worki pod oczami opadały mu niemal na policzki, nadając jego obliczu godny po-

żałowania wygląd. I to ja ponosiłem w jakiejś części winę za jego rozpaczliwy stan. Poprzedniego popołudnia, gdy mistrz Torriani i papież Aleksander omawiali te sprawy w Rzymie, Bandello i ja, pokorny sługa Boży, staraliśmy się wspólnie dociec, jakie będą skutki tego, że katarzy przeniknęli do wspólnoty. Wy tłumaczyłem mu, że Mediolan został, jak nigdy w ciągu ostatniego stulecia, zaatakowany przez siły zła. Wszystkie moje źródła to potwierdzały. Z początku przeor patrzył na mnie z niedowierzaniem, jakby powątpiewał, że ktoś niedawno tu przybyły może zrozumieć problemy jego konwentu. Ale w miarę jak przedstawiałem mu kolejne argumenty, jego zaniepokojenie rosło.

Uzasadniłem moje przekonanie, że ten dziwny łańcuch zgonów, z którymi mieliśmy do czynienia, nie jest przypadkowy. Wy tłumaczyłem mu nawet, w jaki sposób mordy owe są powiązane z zabójstwami pielgrzymów, które miały miejsce w kościele Świętego Franciszka.

Nawet straż miejska była tego samego zdania. Funkcjonariusze księcia il Moro stwierdzili, że ci nieszczęśnicy zginęli bez stawiania oporu, podobnie jak brat Alessandro. Co więcej, te zbrodnie popełniono przed głównym ołtarzem, tuż pod malowidłem mistrza Leonarda zwanym Maestà. Ten szczegół, w połączeniu z faktem, że całym dobytkiem ostatniej ofiary były tylko kawałek chleba i talia kart, sprawił, iż nabrałem pewnych podejrzeń. Zresztą wszystkie ofiary miały przy sobie tak samo mizerny dobytek. Zupełnie jakby stanowiło to część jakiegoś tajemniczego rytuału. Być może ceremoniału katarów, który aż dotąd nie był nam znany.

Wszystko to było dziwne. Leonardo, jak zasugerowałem przeorowi, przysparzał niezwykle kłopotów. Brat Alessandro zmarł po tym, jak wcześniej pozował dla niego jako Judasz Iskariota, i wiadomo mi było, że zakrystian również sympatyzował z Toskańczykiem.

Nie wspominając już o donnie Beatrice. Straciła życie po tym, jak roztoczyła nad mistrzem opiekę. Jak można było nie dostrzec subtelnego wątku łączącego te wydarzenia? Czyż nie było oczywistym, że Leonarda da Vinci otaczali potężni wrogowie, być może równie jak my nienawidzący jego nieprawowierności, lecz przy tym zdolni do tego, by krwawo rozprawić się zarówno z nim, jak i z jego zwolennikami?

Te ofiary, a także realne zagrożenie, że ich liczba wzrośnie, zmusiły mnie do poruszenia w rozmowie z ojcem Bandellem tematu Wróżbity. I sądzę, że postąpiłem słusznie.

Z początku spoglądał na mnie z niedowierzaniem. Powiedziałem mu, iż Rzym od dawna był ostrzegany przed taką lawiną nieszczęść. Wysokie instancje papieskie od dłuższego czasu otrzymywały wiadomości od tajemniczego informatora zapowiadającego, że jeśli prace nad Cenacolo nie zostaną wstrzymane, wydarzą się rzeczy, które właśnie teraz się dzia-

ły. Wyjaśniłem, że scharakteryzowaliśmy tego informatora jako człowieka inteligentnego i przebiegłego, który najprawdopodobniej kształcił się u dominikanów i z obawy przed księ-

ciem ukrywa swoją tożsamość. Musi być to ktoś, kto bez wątplenia działa przeciw mistrzowi, a jego obsesją stało się doprowadzenie go do upadku i kompromitacji. Podsumowując: to człowiek, którego

należy natychmiast odnaleźć, jeśli chcemy zatrzymać ten niekończący się ciąg zgonów i uzyskać niezbite dowody winy Leonarda, które ten anonimowy informator -

jak twierdzi - posiada.

- Jeśli się nie mylę, ojcze, bierność Rzymu wobec przedstawianych przez niego zagro-

żeń sprowokowała go do własnoręcznego wymierzenia sprawiedliwości.

- Ale dlaczego, ojcze Leyre? Co może mieć ten człowiek przeciw naszemu malarzowi? - spytał zaskoczony przeor.

- Wiele o tym myślałem i wiercie mi, znajduję tylko jedno wytłumaczenie. - Bandello spojrział na mnie zaintrygowany i zachęcił gestem, bym mówił dalej. - Moja hipoteza jest następująca: w nieodległej przeszłości Wróżbita był współnikiem Leonarda da Vinci, a nawet przyjął jego heretyckie wierzenia. Z jakiegoś tajemniczego powodu, który będziemy musieli odkryć, mogło dojść do tego, że nasz człowiek poczuł się oszukany przez malarza i postanowił go wydać. Najpierw obsesyjnie pisał donosy do Rzymu, informując nas o przestępstwach przeciw wierze i nikczemnościach, jakie mistrz ukrył w Cenacolo. Lecz w obliczu naszego sceptycyzmu stracił nadzieję i postanowił działać.

- Działać? Nie rozumiem.

- Nic dziwnego, ojcze. Ja również nie znam wszystkich odpowiedzi. Jednak moja hipoteza nabiera sensu, jeśli uznamy, że Wróżbita jest katarzem jak Alessandro czy Giberto.

Przez pewien czas on również musiał uważać się za spadkobiercę prawdziwych apostołów Chrystusa i, podobnie jak oni, cierpliwie czekać na Drugie Przyjście Mesjasza. O tym marzy każdy bonhomme. Wierzą, że tego dnia „prawdziwa religia” znajdzie potwierdzenie w oczach chrześcijan. - Korzystając z tego, że ojciec Vincenzo z uwagą przysłuchiwał się moim wywo-dom, uroczystym tonem rozwinąłem moją hipotezę: - Sądzę, że po długim i daremnym oczekiwaniu, wzburzony jakimś poważnym przeciwieństwem losu, Wróżbita porzucił swoją do-tychczasową rolę, złamał śluby unikania przemocy i postanowił poprzez przelew krwi odzyskać czas stracony pośród Czystych.

- To straszne oskarżenie...

- Spójrzmy na fakty, ojcze przeorze - kontynuowałem. - Katarzy bardzo dobrze znają Nowy Testament. Tak więc, gdy Wróżbita zabił brata Alessandra, przygotował to tak, by wyglądało na samobójstwo. Leonardo z kolei od razu się w tym zorientował i choć próbował odwrócić uwagę strażników miejskich, to tego samego dnia, niechcący, dał mi bardzo ważną wskazówkę: Alessandro zmarł w ten sam sposób, jak Judasz Iskariota po wydaniu Jezusa.

- A jakie może to mieć znaczenie?

- Ogromne, ojcze przeorze. Świat katarów to świat symboli. Gdyby Wróżbita zdołał

spawić, by społeczność Doskonałych uwierzyła, że mają miejsce te same wydarzenia, które

poprzedziły śmierć Jezusa, nabraliby przekonania, że dzień Drugiego Przyjścia jest bliski. Nie rozumiecie? „Samobójstwo” bibliotekarza zapowiadało, że wkrótce wypełnią się proroctwa: Chrystus powróci na Ziemię, a Jego prawdziwa nauka triumfalnie zmartwychwstanie wśród ciemności.

- Paruzja...

- W istocie. Dlatego Giberto, poruszony tym wydarzeniem, wyszedł na ulicę, by jako katar wygłosić swoje kazanie. Oddał życie bez lęku, pewien, że dostąpi zmartwychwstania, gdy powróci Pan. Wróżbita dokonuje zemsty z istic diabelską inteligencją.

- Zdaje się, że jesteście pewni tej hipotezy.

- Tak, jestem - przyznałem. - Mówiłem wam już, że nasz informator ma złożoną osobowość: jest błyskotliwy i pod żadnym względem nie zdaje się na przypadek. Pieczołowicie wybrał nawet miejsce, w którym powiesił brata Alessandra.

- Ach tak?

- Sądziłem, że zdajecie sobie z tego sprawę. - Uśmiechnąłem się ironicznie. - Kiedy odwiedziłem arkady pałacu delia Ragione i obejrzałem belkę, na której powieszono naszego bibliotekarza, zauważyłem ciekawą płaskorzeźbę. Jest poświęcona Orlandowi da Tressano, który w dawnych czasach był prawdziwym młotem na heretyków. Napis głosi: Spada e Tuto-re delia fede per aver fatto bruciare come si doveva i Catari\*. Interesujący żart, nie sądzicie?

\* Spada ... (wł.) - Miecz i obrońca wiary, który spalił katarów, tak jak na to zasługiwali (przyp. aut.).

Vicenzo Bandello był szczerze zdumiony. Zaraza herezji szerzyła się w jego klasztorze bardziej, niż się tego spodziewał.

- Powiedzcie mi, ojcie Leyre, jak sądzicie, w jakim stopniu Wróżbita oszukuje tych swoich? - spytał.

- W wystarczającym, by zmusić pielgrzymów od Świętego Franciszka do porzucenia górskich kryjówek i wędrowania do miasta w poszukiwaniu zbawienia. Dobrowolnie oddawali życie w obliczu nadchodzącej Paruzji. W ten sposób Wróżbita doprowadza do tego, że wspólnota katarów sama się wydaje w jego ręce. I zapewne wierzy, że to tylko kwestia czasu, by mistrz Leonardo sam zrobił niewłaściwy krok.

- Wobec tego... - przeor się zawahał - sądzicie, że Wróżbita żyje wśród nas?

- Jestem o tym przekonany. I ukrywa się, bo wie, że jest już za późno, by liczyć na wasze przebaczenie. Nie tylko zgrzeszył przeciw nauce Kościoła, ale również złamał piąte przykazanie: nie zabijaj.

- W jaki sposób dowiemy się, kim jest?

- Na szczęście popełnił niewielki błąd.

- Błąd?

- W jednym z pierwszych listów, gdy miał jeszcze nadzieję na interwencję Rzymu, dostarczył nam wskazówki, dzięki której możemy go odnaleźć.

Na pomarszczonej twarzy przeora malowało się zdziwienie. Jego umysł, wyćwiczony w łączeniu ze sobą pozornie niepowiązanych informacji i rozwiązywaniu zagadek, błyskawicznie znalazł odpowiedź.

- Oczywiście! - wykrzyknął, łapiąc się za głowę. - To wasza zagadka! Podpis Wróźbi-ty! Dlatego była wypisana na karcie, którą znaleźliśmy przy bibliotekarzu!

- Brat Alessandro chciał sam rozwiązać tę tajemnicę. Byłem na tyle nieostrożny, że wręczyłem mu tekst, a jego ciekawość, być może, przyspieszyła jego śmierć.

- W takim razie, ojciec Leyre, już go mamy. Wystarczy tylko rozszyfrować tekst.

- Gdyby to było takie proste...

Tej nocy zacny przeor nie zmrużył oka. Gdy tylko go ujrzałem, stojącego samotnie przed zgromadzonymi mnichami, z zaczerwienionymi i podkrążonymi oczami, wiedziałem, że spędził całą noc, obracając na wszystkie strony to przekłete Oculos ejus dinumera. Zaczę-

łem nawet żałować, że obciążylem go kolejnym brzemieniem. Jego zadaniem było zdemaskowanie mnichów, którzy wyznawali herezję, a także odkrycie prowokacyjnego zapisu, powoli wsiąkającego w ścianę jego własnego refektarza. Ja zaś dodałem do tego odkrycie tożsamości mnicha, który przekonany, że działa w słusznej sprawie, spowodował śmierć wielu osób.

Bracia spoglądali na siebie z niepokojem. Rozpocząła się kapituła.

- Bracia - przemówił przeor uroczyście, mocnym głosem, stojąc z pięściami opartymi o blat stołu - żyjemy w tych murach już prawie trzydzieści lat i nigdy aż do tej pory nie musieliśmy stawić czoła takiej sytuacji. Pan Bóg wystawił na próbę naszą powściągliwość, pozwalając, abyśmy stali się świadkami śmierci dwóch naszych najukochańszych braci, i odkrywając przed nami, że ich dusze były zatrute fetorem herezji. Jak myślicie, co czuje Ojciec Wiekuisty, widząc nasze niedołęstwo? Jak będziemy się do Niego zwracać, skoro my sami nie potrafiliśmy dostrzec ich błędów i pozwoliliśmy, by umarli w grzechu? Czy to nie czyni z nas ich współników? Bandello wziął głęboki oddech.

- Lecz Bóg, drodzy bracia, nie opuścił nas w tej strasznej godzinie. W swoim nieskończonym miłosierdziu zechciał, aby znalazł się wśród nas jeden z jego najmądrzejszych uczonych.

Po sali przeszedł szmer. Przeor wycelował we mnie palec wskazujący.

- Dlatego jest on wśród nas - powiedział. - Poprosiłem naszego znamienitego ojca Leyre ze Świętego Oficjum w Rzymie, by pomógł nam zrozumieć zawile ścieżki, jakimi po-dążamy w tych bolesnych dniach.

Wstałem, aby wszyscy mogli mnie widzieć, i lekko się skłoniłem. Przeor kontynuował swoje wystąpienie, starając się przy tym nie wzburzyć swych braci.

- Wszyscy żyliście pod jednym dachem z bratem Gibertem i bratem Alessandrem - powiedział. - Dobrze ich znaliście. A jednak żaden z was nie doniósł o jakichś niestosowno-

ściach w ich zachowaniu. Żaden też nie dostrzegł, że dołączyli do katarów. Spaliśmy spokojnie, ufni, że ta doktryna wygasła ponad pięćdziesiąt lat temu. Zgrzeszyliśmy pychą, bowiem wierzyliśmy, że już nigdy nie przyjdzie nam stawić jej czoła. Lecz tak się nie stało. Zło, drodzy bracia, jest krnąbrne. Wykorzystuje naszą niewiedzę. Syci się naszą głupotą. Dlatego, aby uchronić nas przed kolejnymi atakami, poprosiłem ojca Leyre, aby objaśnił nam to najbardziej perfidne wynaturzenie chrześcijaństwa. Niewykluczone, że w jego słowach odnajdziecie opisy nawyków i zwyczajów, które być może praktykowaliście, nie znając ich pochodzenia.

Nie lękajcie się, wielu z was pochodzi z rodzin lombardzkich, których przodkowie mieli jakieś kontakty z heretykami. Chcę, abyście przed zachodem słońca, nim opuścicie tę salę, wyrzekli się pod przysięgą tego wszystkiego i pojednali się ze Świętym Kościołem Rzymskim.

Posłuchajcie naszego brata, rozważcie jego słowa, okażcie skruczę i proście o spowiedź. Zamierzam dowiedzieć się, czy nasi zmarli bracia byli jedynymi dotkniętymi zarazą katarów, a następnie podjąć odpowiednie środki.

Przeor oddał mi głos, gestem wskazując, abym zbliżył się do szczytu stołu. Panowała cisza jak makiem zasiał. Starsi bracia. Luca, Jerzy i Stefan, zbyt sędziwi, by wykonywać w klasztorze jakieś prace, wyciągnęli szyje, żeby mnie lepiej słyszeć. Pozostali, miałem tego pełną świadomość, śledzili moje ruchy z autentycznym przerażeniem. Wystarczyło spojrzeć im w oczy, by się o tym przekonać.

- Szacowni bracia, laudetur Jesus Christus.

- Amen - odpowiedzieli chórem.

- Nie wiem, bracia, na ile bliski jest wam żywot świętego Dominika Guzmána - po sali przeszedł szmer. - Nieważne. Dziś mamy świetną okazję, aby wspólnie przywołać wspomnienie o nim i jego dziele.

Wszyscy zebrani odetchnęli z ulgą.

- Pozwólcie, że wam coś opowiem. Na początku roku tysiąc dwusetnego pierwsi katarzy zaczęli rozprzestrzeniać się na zachodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego. Głosili ubó-

stwo, powrót do zwyczajów pierwszych chrześcijan, krzewili opartą na prostocie wiarę, której nie jest potrzebny Kościół, dziesięciny ani przywileje dla sług Pana. Jej wyznawcy, niczym barbarzyńcy lub, co gorsza, muzułmanie, odrzucali kult świętych i Madonny. Negowali chrzest. Ci szkodnicy nie wahali się twierdzić, że stwórcą świata nie był Bóg, lecz Szatan.

Cóż za przewrotna doktryna! Możecie to sobie wyobrazić? Dla nich Jahwe, Bóg Ojciec Starego Testamentu, był w istocie diabelskim duchem, któremu było wszystko jedno, czy wyrzuci Adama i Ewę z raju, czy niszczy armie ścigające Mojżesza. W jego rękach ludzie byli zaledwie marionetkami niezdolnymi odróżnić dobra od zła. Prosty lud z entuzjazmem przyjmował

te oszczerstwa. Znajdował w nich wiarę, która wybaczała im grzechy i sprawiała, że łatwiej mogli zrozumieć cierpienie rządzące światem stworzonym przez Złego. Cóż za bluźnierstwo!

Stawiali Boga i Szatana, dobro i zło na tym samym poziomie, przypisywali im takie same uprawnienia i moc!

- Kościół - ciągnąłem - starał się zawrócić tych bękartów ze złej drogi. Jednak słowa padające z ambon niczego nie zmieniały. Walka była nierówna. Większość chrześcijan współ-

czuła heretykom, którzy byli z reguły dobrymi sąsiadami. Twierdzono, że katarzy nauczają własnym przykładem, dając dowody pokory i ubóstwa, zaś kler stroi się w wytworne, zdobione haftami i

szychem szaty i karci lud, stojąc przy bogato udekorowanych ołtarzach. W ten oto sposób Kościół, miast wyplenić herezję, doprowadził do tego, że rozprzestrzeniała się coraz bardziej na podobieństwo zarazy. Święty Dominik jako jedyny dostrzegł popełniony błąd i postanowił wejść na teren Czystych, takie jest bowiem znaczenie greckiego słowa katharos, i nauczać, dając przykład apostołskiego ubóstwa, które tak podziwiali. Duch Święty uczynił go silnym, napełnił odwagą, by wkroczył do bastionów herezji we Francji. Odpierał jeden po drugim zarzuty katarów. Dowiódł absurdalności głoszonych przez nich tez i głosił, że Bóg jest jedynym panem stworzenia. Lecz nawet ten wysiłek był daremny. Zło się już rozprzestrzeniło.

Moje wywody przerwał Bandello. On również poznał te sprawy w trakcie studiów teo-logicznych. Przypomniał, że adepci nie wywodzili się wyłącznie spośród wieśniaków i rzemieślników, ale również spośród książąt i szlachty. Ci bowiem uważali, że jest to doskonały pretekst, by uniknąć płacenia podatków i nie dawać przywilejów duchowieństwu.

- To prawda - przyznałem. - Niedopełnianie obowiązku płacenia dziesięciny, którą ustanawia Biblia na rzecz kapłanów, oznaczało lekceważenie praw boskich\*. Rzym nie mógł

czekać z założonymi rękami. Naszego umiłowanego Dominika tak bardzo martwiły te odstępstwa, że postanowił się tym zająć. Dlatego zebrał grupę kaznodziejów, z którymi zamierzał

ponownie podjąć ewangelizację tak rozległych obszarów jak francuska Langwedocja. Dziś jesteśmy spadkobiercami tego zakonu i jego boskiej

\* Genesis 14, 20. Amos 4, 4. I Księga Machabejska 3, 49 (przyp. aut.).

misji. Jednak po śmierci Dominika, widząc, że samym słowem nie da się zwalczyć zła, papież i wierni Rzymowi władcy rozpoczęli działania wojenne na szeroką skalę, które miały zniszczyć przeklętych heretyków. Krew, śmierć, wyrzynanie w pień i palone miasta, prześladowania i ból były udziałem ludu Bożego przez całe lata. Kiedy siły papieskie wkraczały do miasta, w którym żywe były idee heretyków, zabijali wszystkich, nie czyniąc rozróż-

nienia pomiędzy katarami a prawowiernymi chrześcijanami. Zabijajcie wszystkich, mawiali, a Bóg rozpozna swoich.

Podniosłem wzrok i spojrzałem na twarze słuchaczy. Moje nagłe zamilknięcie musiało zrobić na nich duże wrażenie.

- Bracia - podjąłem po kilku chwilach - to była nasza pierwsza krucjata. Aż trudno uwierzyć, że działo się to mniej niż dwieście lat temu, i to niedaleko stąd. Wówczas nie mieli-

śmy wątpliwości, czy dobyć miecza przeciw własnym krewnym. Wojska przy użyciu broni wymierzyły sprawiedliwość, rozproszyły Czystych, zabiły wielu spośród ich przywódców i zmusiły setki heretyków do szukania schronienia z dala od ziem, nad którymi wcześniej panowali.

- I w ten oto sposób, uciekając przed wojskami Ojca Świętego, niedobitki katarów przybyły do Lombardii - uzupełnił Bandello.

- Kiedy się tu zjawili, byli bardzo osłabieni. I choć wszystko wskazywało na to, że wkrótce wymrą, mieli szczęście, ponieważ sytuacja polityczna sprzyjała reorganizacji heretyków. Przypominam wam, że były to czasy walk pomiędzy gwelfami a gibelinami. Ci pierwsi obstawali przy tym, że papież z mocy prawa posiada władzę większą niż którykolwiek z kró-

łów. Dla nich Ojciec Święty był przedstawicielem Boga na ziemi i tym samym miał prawo posiadać własne wojska i dobra materialne. Gibelini natomiast, z Capitano del Popolo \* Matteo Viscontim na czele, odrzucali ten pomysł

\* Capitano del Popolo - dowódca lokalnej milicji (pospolitego ruszenia) w średnio-wiecznych republikach miejskich Włoch.

i bronili rozdziału pomiędzy władzą świecką a duchowną. Rzym, twierdzili, powinien zająć się wyłącznie sprawami ducha. Reszta to zadanie władców. Dlatego nikogo nie dziwiło, że gibelini udzielili w Lombardii gościny niedobitkom katarów. Był to jeszcze jeden sposób na rzucenie wyzwania papieżowi. Ród Viscontich potajemnie wspierał katarów, później zaś tę samą politykę kontynuował ród Sforzów. Jest prawie pewne, że Lodovico il Moro nadal po-stępuje zgodnie z tymi zasadami, i dlatego ten dom, który znajduje się pod jego opieką, stał

się miejscem schronienia tych przeklętych heretyków. Nicola di Piacenza wstał, prosząc o głos.

- Wobec tego, ojczcie Leyre, oskarżacie naszego księcia o to, że jest gibelinem?

- Oficjalnie nie mogę tego uczynić, bracie - odparłem, robiąc unik przed jego podstępnyim pytaniem. - Musiałbym mieć dowody. Choć przyznaję, że podejrzewam, iż któryś z was je ukrywa. Aby je zdobyć, gotów jestem odwołać się do trybunału oficjum, a nawet uciec się do tortur. Jestem zdecydowany na wszystko.

- A jak zamierzacie dowieść, że wśród naszej wspólnoty żyją Czyści? - wyrzucił z siebie brat Jerzy, bezpiecznie ukryty w bastionie swoich godnych pozazdroszczenia osiemdziesięciu lat. - Będziecie osobiście ich torturować, ojczcie Leyre?

- Wytlumaczę wam, jak to uczynię.

Dałem znak, by Matteo, bratanek przeora, postawił na stole wiklinową klatkę, w której siedziała kura. Poprosiłem go o przygotowanie klatki jeszcze przed rozpoczęciem kapituły.

Oszołomiony ptak rozglądał się na wszystkie strony.

- Jak wam wiadomo, nie spożywają mięsa i odmawiają zabijania wszelkich żywych stworzeń. Gdybyście byli bonhomme, zaś ja dałbym wam taką kurę i poprosił, abyście ją na moich oczach zabili, z pewnością usłyszałbym odpowiedź odmowną.

Brat Jerzy zarumienił się, widząc, że biorę do ręki nóż i unoszę go nad ptakiem.

- Jeśli któryś z was odmówi uśmiercenia kury, powinien być świadom, że go zdemaskowałem. Katarzy wierzą, że w zwierzętach zamieszkują dusze ludzi, którzy umarli w grzechu. Ich zdaniem pod



taką postacią powracają do życia, by się oczyścić. Lękają się, że zabijając zwierzę, odbierają tym samym życie jednemu spośród swoich.

Przycisnąłem kurę z całych sił do stołu i odsłoniłem jej szyję tak, by wszyscy mogli dobrze ją zobaczyć. Potem podałem nóż bratu Giuseppe Boltraffio, który znajdował się najbliżej.

Na mój znak ostrze przecięło szyję ptaka, a nasze habity zbryzgała świeża krew.

- Widzicie? Brat Giuseppe - uśmiechnąłem się ironicznie - jest już wolny od podejrzeń.

- A nie znacie innego, bardziej delikatnego sposobu, by wykryć katarę, ojczy Leyre? -

dopytywał się brat Jerzy, przerażony tą sceną.

- Oczywiście znam, bracie. Istnieje wiele sposobów, ale żaden nie prowadzi do tak jednoznacznych wniosków. Na przykład jeśli pokaże im się krzyż, to go nie ucałują. Wierzą, że tylko tak szatański Kościół jak nasz może czcić narzędzie tortur, na którym zginął Nasz Pan. Nie oddają również czi relikwiom, nie kłamią ani nie boją się śmierci. Choć to, oczywi-

ście, dotyczy wyłącznie parfais.

- Parfaits! - Kilku braci powtórzyło ze zdziwieniem to francuskie słowo.

- Doskonali - wyjaśniłem. - To ci, którzy kierują życiem duchowym katarów. Wierzą, że żyją tak jak apostołowie, do czego, ich zdaniem, żaden z nas nie jest zdolny. Odrzucają posiadanie wszelkiej własności, ponieważ ani Chrystus, ani Jego uczniowie niczego nie posiadali. To oni przeprowadzają inicjację adeptów w melioramentum, pokłon, którym winni pozdrawiać wszelkich parfais, ilekroć ich spotkają. Tylko Doskonali prowadzą apparellamentum, spowiedź powszechną, podczas której grzechy każdego heretyka są przedstawiane, omawiane i publicznie odpuszczane. A jakby tego było mało, tylko oni mogą udzielać jedyne uznawanego przez katarów sakramentu: consolamentum, czyli pocieszenia.

- Consolamentum! - znów rozległy się szepty.

- To zarazem chrzest, komunia i ostatnie namaszczenie - wyjaśniłem. - Udzielano go poprzez nałożenie świętej księgi na głowę neofity. Nigdy nie było to Pismo Święte. Taki akt uznawany był za „chrzest duchowy”, zaś ten, który na niego zasłużył, stawał się, ich zdaniem,

„prawdziwym” chrześcijaninem. Tym, który dostąpił Pocieszenia.

- A co sprawiło, że nabraliście przekonania, iż zakrystian i bibliotekarz dostąpili Pocieszenia? - spytał brat Stefano Petri, uśmiechnięty skarbnik konwentu, zawsze zadowolony z pomyślnego stanu spraw materialnych Santa Maria delie Grazie. - Pozwolę sobie zauważyć, że nigdy nie widziałem, by któryś nich zaparł się krzyża. Nie sądzę też, że zostali ochrzczeni przez położenie księgi na głowie.

Niektórzy spośród jego sąsiadów przytaknęli.

- Ale widzieliście, bracie Stefano, że praktykowali ścisły post, nieprawdaż?

- Wszyscy to widzieliśmy. Post uwzniośla ducha.

- Nie w tym przypadku. Dla katarów ścisły post jest drogą, dzięki której ma zasłużyć na consolamentum. Jeśli chodzi o krzyż, to należy być ostrożnym. Katarom wystarczy, jeśli opi-

lują końce jakiegokolwiek krzyża łacińskiego. W ten sposób zostaje on niejako stępiony i mogą nosić go na szyi. Tolerują także krzyże greckie i krzyże zakonów rycerskich. Z pewno-

ścią, bracie Petri, byliście świadkiem, jak odmawiali wraz z wami Pater Noster. Otóż jest to jedyna uznawana przez nich modlitwa.

- Wasze argumenty dotyczą spraw drugorzędnych, ojciec Leyre - odparł Stefano, nim znów zajął swoje miejsce.

- To możliwe. Gotów jestem przyznać, że brat Alessandro i brat Giberto byli jedynie sympatykami, oczekującymi „chrztu”. Ale to nie uwalnia ich od grzechu. Nie zapominam też o tym, że brat Alessandro zgodził się współpracować z mistrzem Leonardem przy jego Ostatniej Wieczerzy. Chciał być sportretowany jako Judasz w samym środku wielce podejrzanego dzieła. Sądzę, że wiem dlaczego.

- Powiedzcie - rozległy się szepty.

- Według katarów Judasz Iskariota był sługą realizującym plan Boży. Uważają, że uczynił dobrze. Że wydał Jezusa, aby spełniły się Jego przepowiednie i by mógł oddać za nas swoje życie.

- Zatem sugerujecie, że Leonardo również jest heretykiem? Kolejne pytanie brata Nicola di Piadeny wywołało uśmiezek zadowolenia na twarzy ojca Benedetta, który wkrótce potem odszedł od stołu, by opróżnić pęcherz na dziedzińcu.

- Osądźcie sami, bracie: Leonardo ubiera się na biało, nie jada mięsa, z pewnością nigdy nie zadałby śmierci żadnemu zwierzęciu, nic nie wiadomo o tym, by utrzymywał jakieś stosunki cielesne, a jakby tego było mało, to na waszym Cenacolo pominął chleb Eucharystii, umieścił natomiast sztylet w dłoni świętego Piotra, wskazując kto, według niego, reprezentuje Kościół Szatana. Według katarów, tylko sługa Złego mógł przy stole paschalnym trzymać w garści broń.

- Pomimo to mistrz Leonardo okazał szacunek dla wina - zauważył przeor.

- Ponieważ katarzy piją wino! Ale zwróćcie uwagę, ojciec Bandello: w miejsce baranka paschalnego, który według Ewangelii był spożywany podczas tamtej wieczerzy, mistrz namalował rybę. A wiecie dlaczego?

Przeor pokręcił głową. Mówiłem teraz wprost do niego.

- Przypomnijcie sobie, co usłyszał wasz bratanek z ust zakrystiana tuż przed jego śmiercią: katarzy nie uznają żadnego pożywienia, które jest rezultatem zespolenia cielesnego.

Ich zdaniem ryby nie kopulują, więc można je spożywać.

W sali rozległ się szmer podziwu. Mnisi z rozdziawionymi ustami przysłuchiwali się moim wyjaśnieniom, zdumieni, że sami nie odkryli wcześniej tych herezji na ścianie refektarza.

- Teraz, bracia, każdy z was musi po kolei odpowiedzieć na moje pytanie - powiedział-

łem surowo. - Zróbcie rachunek sumienia i odpowiedzcie przed swoją wspólnotą, czy któryś z was, z własnej woli lub pod przymusem, postępował tak, jak to przedstawiłem?

Bracia wstrzymali oddech.

- Święta Matka Kościół okaże miłosierdzie temu, który wyrzeknie się tych praktyk przed końcem kapituły. W przeciwnym razie spadnie na niego brzemień kary.

Wróżbita działał z zadziwiającą precyzją.

Gdyby ktoś miał nieszczęście natknąć się na niego, musiałby przyznać, że poruszał się on tak, jakby znał wszystkie zakamarki klasztoru. Owinięty czarnym płaszczem, który zasłaniał go od stóp do głów, minął puste rzędy ław kościelnych, skręcił w lewo w stronę kaplicy Matki Boskiej Łaskawej i wślizgnął się do zakrystii. Nikt nie wyszedł mu na spotkanie.

Wszyscy bracia uczestniczyli w nadzwyczajnej kapitule, nieświadomi przybycia intruza.

Zadowolony, niczym cień opuścił oratorium przez zwieńczone łukiem wyjście prowadzące na mały krużganek przeora. Czając się pod ścianami, przemierzył go cichym krokiem, wkrótce znalazł się na krużganku Dziedzińca Umarłych, ominął refektarz i pokonał, przeska-kując po trzy stopnie, schody prowadzące do biblioteki.

Wróżbita - człowiek czy duch, anioł czy demon, nie miało to znaczenia - poruszał się pewnie. Rzucił okiem na salę scriptorium, po czym skierował się ku pulpitowi brata Alessandra. Nie było czasu do stracenia. Wiedział, że Marco d'Oggiono i malarz, który pracował z Toskańczykiem, Bernardino Luini, opuścili niedawno dom Leonarda, znajdujący się naprze-ciwko klasztoru Santa Maria delie Grazie, i wkrótce zjawią się w refektarzu. Nie wiedział natomiast, co ich tu sprowadza. Tym bardziej nie miał pojęcia o tym, że na wyraźne życzenie Toskańczyka towarzyszyć im będzie pewna panna.

Wróżbita ostrożnie położył płaszcz na pulpicie bibliotekarza i dbając o to, by nie narobić hałasu, ostukał wykładaną kamiennymi płytami posadzkę. Płyty były ciasno dopasowane, ale dwie z nich lekko drgnęły. Tego właśnie szukał. Pochylił się, żeby je zbadać. Nie były po-

łączone z pozostałymi paździerzem, miały natomiast wygładzone krawędzie i były czystsze od innych, co świadczyło o tym, że często je podnoszono. Kiedy je uniósł, ujrzał kanał ogrzewania parowego. Spojrzał z zadowoleniem. Wiedział, że ten kanał biegnie przez całe sklepienie refektarza i że z tego miejsca, w którym się znajdował, dobrze wyszkolone ucho złapie każde wypowiedziane w refektarzu słowo.

Ostrożnie położył się na posadzce, zbliżył ucho do kanału i przymknął powieki, starając się skupić.

Chwilę później usłyszał głośny zgrzyt. Ktoś odsunął rygiel drzwi refektarza. Goście Leonarda wchodzili do sali Ostatniej Wieczerzy.

- Co mistrz mógł mieć na myśli, mówiąc, że on sam jest Omegą?

Pytanie pięknej Eleny podążyło, czyste i wyraźne, w górę kanałem, aż do znajdującego-go się nad refektarzem piętra. Wróżbita zdziwił się na dźwięk kobiecego głosu.

- Po raz pierwszy słyszałem, jak o tym mówił w obecności siostry Veroniki, w dniu jej śmierci - odparł Marco d'Oggiono, którego głos Wróżbita natychmiast rozpoznał.

- Byliście z siostrą Veronicą da Binasco w dniu, w którym spełniła się jej przepowiednia?

Elena nie mogła wyjść z podziwu.

Ostatniej nocy nie zmrużyła oka. Była pod silnym wrażeniem opowieści Leonarda i żartów jego uczniów. Rozmyślała o czekającym ją wkrótce pozwaniu. Leonardo zgodził się sportretować ją jako Jana. Postawił jednak warunek: Elena musi wcześniej udowodnić, korzystając z pomocy uczniów mistrza, że potrafi zrozumieć znaczenie tego malowidła.

Mistrz, odkąd poznał ją w Palazzo Vecchio, nie mógł przestać o niej myśleć. Był

oczarowany urodą pierworodnej państwa Crivellich. Była doskonałym modelem do postaci

„Jana”. Nie chciał jednak się śpieszyć. Zaprosił ją kilka razy, zawsze w towarzystwie mistrza Luiniego, na swoje znakomite wieczory muzyki i poezji z występami trubadurów. Chciał z bliska czuć nad metamorfozami tego niespodziewanego związku młodego mistrza z Eleną.

Dziewczyna czuła się jak zaczarowana. Nagle znalazła się w kręgu znanym jej jedynie z opowieści matki. Było tak, jakby wkroczyła w świat ze snu. I za nic nie chciała się przebudzić.

Odkąd Lukrecja Crivelli rozświetlała jej dziecięce noce opowiadaniem o księżętach i kuglarzach, uroczystościach rycerskich i spotkaniach magów, Elena pragnęła znaleźć się wśród nich.

- Siostra Veronica? Oj! Ta mniszka łatwo się obrażała - przypomniał sobie Marco, chuchając w zmarznięte dłonie. W refektarzu było zimno. Nadszedł czas, by ruszyć głową.

- Doprawdy?

- O tak. Zawsze wyrzucała mistrzowi jego ekscentryczny gust i krytykowała go za to, że lepiej zna dzieła greckich filozofów niż Pismo Święte. Zwykle nie rozmawiali o sztuce, ani tym bardziej o pracach mistrza, jednak tuż przed śmiercią siostra Veronica zapytała go o refektarz.

- A co to ma wspólnego z Omegą? - zdziwiła się Elena.

- Pozwólcie, że wam to opowiem. Tamtego dnia Leonardo poczuł się urażony. Siostra Veronica oskarżyła go o to, że pomniejszył znaczenie Chrystusa w Cenacolo. Mistrz się obraził. Odparł, że Jezus jest jedyną Alfą tej kompozycji.

- Tak powiedział? Że Jezus jest alfą tego malowidła?

- Oświadczył, że Jezus jest początkiem. Centrum. Osią tej pracy.

- W rzeczy samej - wtrącił się Luini, wyteżając wzrok, by w mroku dostrzec sylwetkę Chrystusa. - Z pewnością Jezus zajmuje najważniejsze miejsce. Nawet więcej, wiadomo nam, że punkt zbiegu perspektywy znajduje się dokładnie pod jego lewym uchem, pod włosami. To tam pierwszego dnia pracy Leonardo wbił swój cyrkiel. Sam to widziałem. I wychodząc od tego świętego punktu, wykreślił resztę.

Wróżbita zadumał się, słysząc te słowa. Po raz pierwszy słyszał, jak Luini przemawia.

Wiedział, że podziela heretyckie poglądy Leonarda. Widać to było po tematyce jego dzieł. On również obsesyjnie malował sceny z życia Jana. Spotkanie Chrzciciela z dzieciątkiem, Jezus w drodze do Egiptu, chrzest w Jordanie lub głowa Jana podana Salome na srebrnej tacy wciąż pojawiały się na jego płótnach i deskach. Wszyscy pielgrzymi, którzy oddawali cześć Maestà Leonarda, dobrze go znali. Wilki, pomyślał, zaniepokojony obecnością Luiniego w sanktuarium Toskańczyka, zawsze chadzają stadami.

- To słuszna uwaga, messer Beraardino - powiedział Marco, nie spuszczać wzroku z pięknej towarzyszyki Luiniego, która zaczęła rozpoznawać rozświetlone brzaskiem sylwetki apostołów. - Jeśli spojrzycie na całą jego postać, to zauważycie, że tak jak został przedstawiony, z wyciągniętymi do przodu ramionami, ma kształt wielkiej litery „A”. Chodzi o ogromną Alfę, która rodzi się w samym centrum Dwunastu. Widzicie ją?

- Oczywiście. Ale co z Omega? - nalegała Elena.

- No cóż. Sądzę, że mistrz tak powiedział, ponieważ uważa się za ostatniego spośród uczniów.

- Kto? Leonardo?

- Tak, Eleno. Alfa i Omega. Początek i koniec. To ma sens, nieprawdaż?

Luini i hrabianka wzruszyli ramionami. Uprzywilejowany uczeń Leonarda przeczuwał, podobnie jak Marco, że na ścianie ukryty jest przekaz inicjacyjny, mający ogromną moc.

Skoro mistrz pozwolił im zejść tak daleko, nie podając przy tym wskazówek co do tego, jak ten przekaz odczytać, to z pewnością w jakiś sposób wystawiał ich na próbę. Stali oto sami przed największym dziełem, jakie Toskańczyk kiedykolwiek zaprojektował, i jedynie od ich umiejętności odczytania jego znaczenia zależało to, czy otrzymają dostęp do większych tajemnic. A przede wszystkim do zbawienia własnych dusz.

- Może Marco ma rację i Cenacolo naprawdę ukrywa jakiś rodzaj wizualnego alfabetu?

Wróżbita aż podskoczył.

- Alfabet wizualny?

- Wiem, że mistrz studiował u dominikanów we Florencji „sztukę pamięci”. Jego nauczyciel, Verocchio, również ją stosował. Wprowadził Leonarda w jej arkana, kiedy ten był

jeszcze dzieckiem.

- Nigdy nam o tym nie opowiadał - powiedział Marco, trochę rozcieszony.

- Może nie uważał tego za istotne dla waszej nauki? W końcu chodzi tylko o zręczność umysłu w zapamiętywaniu dużej ilości informacji albo zamykania jej w określonych częściach budowli lub

dział sztuki. Taka informacja jest widzialna dla wszystkich, ale tylko ktoś wtajemniczony może ją odczytać.

- A gdzie tutaj dostrzegacie taki alfabet? - drążył zaintrygowany d'Oggiono.

- Powiedzieliście, że sylwetka Jezusa ma kształt dużego „A” i że dla Leonarda jest to Alfa całej kompozycji. Skoro sam powiedział, że jest Omegą, to zgodzicie się, że nie byłoby od rzeczy poszukać w postaci Tadeusza Judy czegoś, co przypominałoby „O”.

Wszyscy troje popatrzyli na siebie i bez słowa zbliżyli się do paschalnego stołu. Postaci Tadeusza nie można było pomylić z żadną inną. Nie był zwrócony tam, gdzie rozgrywała się główna akcja, lecz spoglądał w przeciwną stronę. Był pochylony do przodu, jego ręce zastygły w szczególnym geście, zaś palce obu dłoni były skierowane ku niebu. Miał na sobie czerwonawą tunikę bez klamry, jednak w jego sylwetce nie było niczego, co przypominałoby znak Omegi.

- Alfa i Omega mogą mieć również związek ze świętym Janem i Magdaleną - wyszeptał Bernardino, starając się ukryć rozczarowanie.

- Co chcecie przez to powiedzieć?

- To proste, Marco. Obaj wiemy, że malowidło jest tak naprawdę poświęcone Marii Magdalenie!

- Węzeł! - przypomniał sobie młodzieniec. - To prawda! Węzeł na skraju obrusa!

- Sądzę, że Leonardo chciał nas zmylić. Mistrz już od dłuższego czasu rozpuszcza plotki, jakoby węzeł był jego specyficznym sposobem podpisywania dzieł. Romański wyraz vinci pochodzi od łacińskiego słowa vincoli, co oznacza więzy lub okowy. Jednak jego tajemne znaczenie nie może być tak trywialne. Siłą rzeczy ma związek z ulubienicą Jezusa.

Wróżbita poruszył się niespokojnie w swojej kryjówce.

- Chwileczkę - wtrąciła się Elena - ale co to ma wspólnego z Alfą i Omegą?

- Odpowiedź znajduje się w Piśmie Świętym. Jest tam napisane, że Jan Chrzciciel odegrał kluczową rolę na początku życia publicznego Jezusa. Jan ochrzcił Jezusa w rzece Jordan.

Dlatego w pewnym sensie był punktem wyjścia, Alfą, Jego misji na ziemi. Magdalena z kolei była kluczową postacią u kresu tej misji. Była obecna, gdy zmartwychwstał, i na swój sposób ona również go ochrzciła, poprzez namaszczenie w obecności uczniów na kilka dni przed Ostatnią Wieczerzą. Nie przypominacie sobie Marii z Betanii w tym epizodzie, w którym obmywa mu stopy\*? Zachowała się wtedy niczym Omega.

- Magdalena, Omega...

\* Marek XIV, 3-9. Aż do wieku XIX Kościół uznawał interpretację, według której utożsamiano Marię z Betanii (siostrę Marty i Łazarza) z Magdaleną - bohaterką epizodu zmartwychwstania opisanego przez Jana w jego ewangelii (przyp. aut.). Zainteresowanych odsyłamy do książki

Takie wytłumaczenie nie przekonało dziewczyny. Na pierwszy rzut oka Jana i Tadeusza nie łączyło nic, poza tym że żaden z nich nie patrzył na Chrystusa. Elena przez dłuższą chwilę rozmyślała nad jakąś inną interpretacją tego „O”, które zdawało się nigdzie nie pasować. Spoglądała to na jedną, to na drugą część malowidła, starając się odnaleźć sens tej zagadki. Wkrótce wstanie dzień. Powinni się pośpieszyć, jeśli zamierzają zakończyć próbę przed przybyciem mnichów. Jeśli w Cenacolo jest cokolwiek, co należy odczytać, należy zrobić to szybko.

- Wydaje mi się, że proponujecie bardzo wymyślne interpretacje - powiedziała wreszcie - zaś mistrz, na ile zdążyłam go poznać, jest wielbicielem prostoty.

Marco i Bernardino odwrócili się w stronę hrabianki.

- Jeśli w tak oczywisty sposób zawiązał supeł na jednym końcu obrusa, a nie zrobił

tego na drugim, to dlatego, że chciał zwrócić uwagę widza na ten róg stołu. Tam, gdzie namalował samego siebie, musi być również coś, co powinniśmy dostrzec.

Luini wyciągnął dłoń w stronę węzła. Dotknął go opuszkami palców. Węzeł został od-tworzony z wielkim kunsztem, oddane zostało każde załamanie tkaniny.

- Sądzę, że Elena ma rację - przyznał.

- Rację? W czym?

- Przyjrzyjcie się bacznie, Marco: ta część, gdzie namalowany jest węzeł, to przestrzeń, na której światło jest najbardziej intensywne. Przyjrzyjcie się cieniom na twarzach apostołów. Widzicie je? Tu są ostrzejsze. Mocniejsze niż gdzie indziej.

Grecki profil Marca zastygł, kiedy młody człowiek wpatrywał się w malowidło. Po-równywał szeroki wachlarz światłocieni na szatach i obliczach Dwunastu.

- Może ma to sens - ciągnął Luini, jakby myślał na głos. - Ta część jest bardziej oświetlona niż pozostałe, bo według Leonarda poznanie wywodzi się od Platona. On jest jak słońce oświecające rozum. A najjaśniejszym uczniem w tej grupie jest święty Szymon, który ma oblicze tego Greka i jako jedyny ubrany jest w białe szaty...

Ten szczegół przypomniał Luiniemu o czymś ważnym.

- Zaś Mateusz, który siedzi ramię w ramię z mistrzem, to Marsilio Ficino... Oczywi-

ście! - wykrzyknął nagle. - Zanim wyjechaliśmy z Florencji, Ficino powierzył mistrzowi teksty Jana. To jest klucz!

Elena spojrzała na niego zdumiona.



- Klucz? Jaki klucz?

- Teraz już rozumiem - ciągnął malarz. - Starożytni przeprowadzali rytuał inicjacji poprzez położenie na głowie adepta tajemnej Ewangelii Jana. Wierzyli, że w ten sposób, za sprawą bezpośredniego kontaktu, esencja duchowa dzieła przeniknie do umysłu i serca kandydata na prawdziwego chrześcijanina. Ta księga Jana zawierała wielkie objawienia na temat rzeczywistej misji Chrystusa na ziemi i ukazywała drogę, którą powinniśmy podążać, aby znaleźć się w niebie. Leonardo... - Luini zaczerpnął powietrza - zastąpił ten tekst księgą malowaną, która zawiera podstawową symbolikę księgi Jana. Dlatego wysłał nas, abyśmy tutaj do-prowadzili do twojej inicjacji, Eleno! Bo wierzy, że jego dzieło obdarzy cię mistyczną tajemnicą Jana!

- I możecie dokonać mojej inicjacji, nie wiedząc, co naprawdę mistrz tu zapisał?

W głosie dziewczyny brzmiało niedowierzenie.

- Z uwagi na brak większej ilości wskazówek, tak. Dawniej nowicjusze nawet nie otwierali zaginionej księgi Jana. Z pewnością wielu nie umiało czytać. Dlaczego to malowidło nie miaoby oddziaływać w ten sam sposób? Spójrzcie na Chrystusa. Znajduje się na odpowiedniej wysokości, by można było pod nim stanąć i doświadczyć mistycznego nałożenia jego dłoni. Jedna dłoń Chrystusa może spoczywać w ochronnym geście nad głową nowicjusza, druga zaś wzywa niebios.

Hrabianka raz jeszcze rzuciła okiem na Alfę. Bernardino miał rację. Scena uczy została namalowana na takiej wysokości, aby osoba przeciętnego wzrostu mogła zmieścić się pod stołem. Tak, można było tam stanąć i przyjąć ducha dzieła, ale praktyczny umysł Eleny poszukiwał bardziej racjonalnej interpretacji. Leonardo był człowiekiem praktycznym, nie skłaniającym się zbyt ku dawnym mistycznym zawilosciom.

- Wydaje mi się, że wiem, jak możemy odczytać przekaz zawarty w Cenacolo...

Elena się zawahała. Ledwo stanęła pod opiekuńczymi dłońmi Alfę, doznała nagłego przebłysku intuicji.

- Pamiętacie przydomki apostołów, które mistrz polecił wam zapamiętać, tak by zawsze były na podorędziu, kiedy przyjdzie wam malować któregoś z nich?

Bernardino przytaknął zdumiony. Wspomnienie tamtego dnia, kiedy to hrabianka wyrwała mu tę listę, nadal było niezwykle żywe w jego pamięci. Zarumienił się.

- A moglibyście przypomnieć mi, jaką właściwość przypisano Tadeuszowi Judzie?

- Tadeuszowi?

- Tak, Tadeuszowi - powtórzyła Elena błagalnym tonem, Luini zaś starał się odszukać w pamięci tę informację.

- On jest Occultator. Ten, który ukrywa.

- Otóż to - uśmiechnęła się. - Mamy „O”. Widzicie? Oto nasza Omega. To nie może być przypadek.

- Do wszystkich diabłów!

Okrzyk radości Bernardina Luiniego odbił się echem od ścian refektarza.

- To nie może być takie proste!

Bernardino, zachwycony odkryciem hrabianki, zaczął ponownie przyglądać się apostołom. Musiał cofnąć się o trzy kroki, żeby widzieć całość kompozycji. Jedyne z odległości kilku metrów od ściany północnej można było zobaczyć wszystkich apostołów, od Bartłomieja po Jana i od Tomasza po Szymona. Byli zgrupowani po trzech, wszyscy z twarzami zwró-

conymi w stronę Chrystusa, oprócz umiłowanego ucznia oraz Mateusza i Tadeusza, którzy mieli przymknięte oczy bądź też patrzyli w inną stronę.

Luini wyciągnął jeden z kartonów, które Leonardo porzucił na posadzce, i na jego od-wrocie zaczął szkicować węglem zarysy postaci. Marco i Elena z ciekawością śledzili jego ruchy, zaś Wróżbita, piętro wyżej, niecierpliwił się z powodu przeciągającej się ciszy.

- Już wiem, jak przeczytać przekaz ukryty w Cenacolo - oświadczył wreszcie. - Mieli-

śmy to przed oczami, a nie potrafiliśmy tego dostrzec.

Luini podszedł do malowidła. Stał pod wizerunkiem pochylonego i przejętego Bartłomieja i przypomniał towarzyszom, że ten apostoł to Mirabilis, czyli cudowny. Leonardo przedstawił go z kręconymi czerwonymi włosami, potwierdzając to, co napisał o nim Jakub de Voragine w Złotej Legendzie: że pochodził z Syrii i miał wybuchowy, typowy dla ru-dzielców charakter. Luini napisał na kartonie nad sylwetką Bartłomieja literę „M”. Podobnie uczynił z apostołem Jakubem Młodszym, pełnym łaski, czyli Venustus, tym, którego często mylono z Chrystusem, a który poprzez swe czyny zasłużył na taki przydomek. Na kartonie została dopisana litera „V”. Andrzej, Temperator, ten który zapobiega, przedstawiony, jak przystało na kogoś, kto reprezentuje taką właściwość, z rękami wyciągniętymi przed siebie, szybko został zredukowany do prostej litery „T”.

- Widzicie?

Marco, Elena i młody mistrz roześmiali się. Zaczynało to nabierać sensu. „M-V-T” wyglądało na początek jakiegoś słowa. Ogarnęła ich szalona radość, gdy okazało się, że kolejna grupa apostołów również sprowadza się do dającej się wymówić sylaby. Judasz Iskariota stał się literą „N” od Nefandus, odrażający zdrajca Chrystusa. Jego pozycja na malowidle mogła budzić wątpliwość: o ile jego głowa, licząc od lewej, była czwartą z kolei, to dziwna pozycja Piotra - z uzbrojoną ręką za plecami zdrajcy - mogła wprowadzać w błąd. Jakkolwiek by patrzeć, wyjaśnił Luini, „N” na pewno jest kolejną literą, ponieważ Szymon Piotr trzy razy zaparł się Chrystusa. Dlatego „N” od Negatio.

Elena zaprotestowała. Najbardziej logiczne, jej zdaniem, było kierowanie się kolejno-

ścią głów i cechami apostołów zgodnymi z listą Leonarda. Niczym innym.

Zgodnie z tą kolejnością, następny był Piotr. Pochylony ku środkowi sceny, zasługiwał na „E” zarówno jak Ecclesia jak i Exosus, którą to cechę przypisał mu Leonardo. Pierwsze ze skojarzeń przypadłoby do gustu Rzymowi, drugie zaś, oznaczające „ten, który nienawidzi”, oddawało charakter tego człowieka o siwych włosach i groźnym spojrzeniu, gotowego dokonać zemsty za pomocą sztyletu o szerokim ostrzu. Jan, jakby senny, z przechyloną głową i dłońmi splecionymi na wzór portretowanych przez Leonarda dam, godnie prezentował swoje „M” od Mysticus. „N-E-M” taki był zaskakujący efekt, jaki otrzymali po przeanalizowaniu kolejnej trójki.

- Jezus jest literą „A” - przypomniała Elena, gdy doszli do środka sceny. - Idźmy dalej.

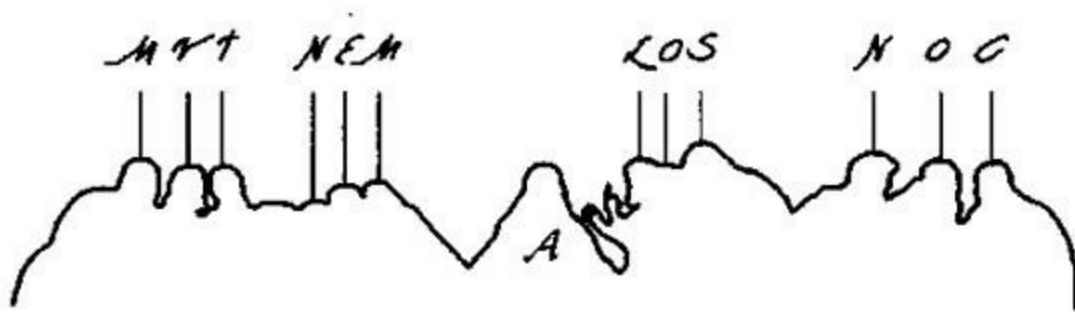
Tomasz, z palcem wzniesionym w górę, jakby wskazywał, który spośród obecnych jako pierwszy miał zasłużyć na przywilej życia wiecznego, został na szkicu Luiniego sprowadzony do litery „L” od Litator. ten, który uspokaja bogów. Ta cecha wywołała krótką dyskusję. Według Ewangelii Jana Tomasz był tym, który włożył palec w ranę Chrystusa. I również tym, który upadł na kolana, wołając: Pan mój i Bóg mój!\*

\* Jan XX, 28 (przyp. aut.).

- Ponadto - mówił z naciskiem Bernardino, rozwijając swoją teorię - jest to jedyny wizerunek, w którym możemy odnaleźć tę literę.

- Zapominasz o Alfie Jezusa - uściśliła Elena.

- Tak. Ale w tym wypadku litera nie ukrywa się w sylwetce Tomasza, lecz w uniesio-



nym ku niebu palcu. Widzicie? Palec wskazujący wraz z dłonią tworzą duże „L”.

Towarzysze Luiniego przytaknęli, zafascynowani. Z uwagą przyjrzeni się Jakubowi Starszemu, ale żadne z nich nie zdołało znaleźć niczego, co przypominałoby reprezentującą go literę „O”.

- A jednak - ciągnął Bernardino - ten, kto studiował żywot tego apostoła, zgodzi się, że „O” jak Oboediens pasuje do niego jak ulał.

Bernardino miał rację. Jakub de Voragine napisał, że Jakub Starszy, syn Zebedeusza, był rodzonym bratem Jana i że „obaj starali się zająć w królestwie niebieskim miejsca najbli-

żej Pana i zasiąść odpowiednio po jego prawej i lewej stronie”. Dlatego Leonardo odtworzył w Cenacolo Boży stół, przeniesiony ze świata idealnego, w którym zamieszkują dusze czyste.

A Jan i Jakub zajmowali przy nim obiecane im przez Chrystusa miejsca.

I tak, dodawszy Filipa, któremu pośród Dwunastu odpowiadało określenie Sapiens i który był jedynym wskazującym na samego siebie, tym samym dając nam do zrozumienia, gdzie powinniśmy szukać zbawienia, Luini ułożył trzecią zaskakującą sylabę: „L-O-S”.

Z ostatnią grupą apostołów uporali się równie szybko. Mateusz, uczeń, którego imię, zdaniem biskupa Voragine, oznaczało „dar bystrości”, zwiastował rychłe zakończenie ich zmagania. Luini uśmiechnął się, przypominając sobie, że Leonardo ochrzcił tego apostoła przydomkiem Navus, pilny. Jego tajemna litera w połączeniu z omegą Tadeusza tworzyła dającą się przeczytać sylabę „N-O”. Po dodaniu „C” Szymona, od Confector (ten, który doprowadza do końca), otrzymali coś, co zdawało im się znaczące: cztery grupy liter, z których każda mia-

ła w środku samogłoskę, i duże „A” dominujące nad całością dawały się razem przeczytać i w całości przypominały jakąś dziwną, zapomnianą formułę magiczną.

MUT NEM A LOS NOC

Bartł-

Mi-

Cudowny

Jakub

Ve-

Pełen łaski

An-

Tem

Ten, który zapobiega

drzej Iska-

perator Ne-

Odrażający

riota

Piotr

fundus Exo-

Ten, który nienawidzi

268

Jan

My-

Ten, który zna tajemni-

To-

Lita-

Ten, który uspokaja bo-

Jakub

Obo- Ten, który jest posłuszny

masz

tor

gów

Filip

Sa-

Ten, który wielbi rzeczy wznio-

Starszy

ediens

Mate-

Na-

Pilny

piens

słę

usz

Tade- vus Oc- Ten, który ukrywa

usz JudaSzy-

cultatorCon-

Ten, który doprowadza

mon - I co te fe

ra cztor

? - Elena do końc

wzruszył aa ramionami. - Czy to coś oznacza?

Obaj mężczyźni jeszcze raz spojrzeli na zdanie, nie znajdując w nim niczego poza da-jącym się wymówić ciągiem sylab, przypominającym jakąś dawną litanię. Lecz to ich nie zdziwiło. To było w stylu mistrza. Jedna zagadka prowadziła do kolejnej, jeszcze bardziej za-wiłej. Leonardo zabawiał się wymyślaniem takich gier.

- Mut, Nem, A, Los, Noc...

Kilka metrów ponad ich głowami te sylaby rozbrzmiały w gardle Wróżbity. Powtórzył

je szeptem kilka razy, zanim w euforii opuścił swoje potajemne obserwatorium. Co za przebiegły koncept, pomyślał.

I, zachwycony swym odkryciem, zaczął się zastanawiać, jak przekaże wiadomość o nim do Rzymu.

Rzym, trzy dni później

- Musimy się pośpieszyć. Już prawie dwunasta.

Giovanni Annio da Viterbo nigdy nie opuszczał swojego pałacyku na zachodnim brzegu Tybru inaczej niż w pojeździe i w towarzystwie swojego wiernego sekretarza Fabia Ponte.

Był to jeszcze jeden spośród przywilejów, na które Łasica zasłużył sobie u Jego Świątobliwo-

ści Aleksandra VI. Lecz bogactwo zmąciło mu rozum. Annio da Viterbo nie podejrzewał, że młody Fabio ma nie tylko wszechstronne wykształcenie i doskonałe maniery, ale również wyjątkowego wuja, którym jest sam ojciec Torriani. Tym bardziej nie podejrzewał, że to właśnie oczy jego sekretarza oświecają Betanię co do przejawów aktywności jednej z najbardziej dwuznacznych i podstępnych figur, jakie zna historia.

- Dwunasta! - powtórzył. - Słyszysz? Dwunasta!

- Nie powinniście się niepokoić - odparł uprzejmie Fabio. - Przyjedziemy na czas. Wasze konie są bardzo szybkie.

Nigdy nie widział Łasicy tak zdenerwowanego. Pośpiech był czymś zupełnie mu obcym. Odkąd Annio na wyraźne życzenie papieża zamieszkał w jego bliskim sąsiedztwie, pa-noszył się w Rzymie, jakby miasto należało do niego. Nikomu z niczego się nie tłumaczył.

Jego godziny wjazdu i wyjazdu nie były objęte żadnym protokołem. Wszystko, co robił, uznawano za słuszne. Złośliwi mawiali, że wszystkie te przywileje zdobył dzięki temu, że papież miał ambicję zilustrowania dziejów swego pradawnego, szlacheckiego i boskiego rodu opowieściami, które uzasadniłyby jego wielkość. Z pewnością Annio jak nikt inny potrafił mu je opowiadać. Zaczął rozgłaszać niezwykle rzeczy na temat papieża z Walencji. Wymyślił, że był on potomkiem boga Ozyrysa, który w zamierzchłych czasach odwiedził Italię, by nauczyć mieszkańców orania roli, warzenia piwa, a nawet przycinania drzew. Zawsze wspierał swoje kłamstwa klasycznymi tekstami i często przytaczał obszerne fragmenty Diodora Sycylijskiego, którymi podbudowywał swoją szalenczą fascynację mitologią kraju faraonów.

Ani Betania, ani Święte Oficjum nie mogły powstrzymać jego urojeń. Papież uwielbiał tego szarlatana. Podzielał nawet jego zacieklą nienawiść do wyrafinowanego splendoru dworów Florencji czy Mediolanu, których biblioteki stanowiły w oczach Łasicy zagrożenie dla jego absurdalnych pomysłów. Wiedział, że dokonane przez Marsilia Ficina przekłady tekstów, przypisywanych wielkiemu bogowi egipskiemu Hermesowi Trismegistosowi, znanemu również jako Toth, bóg Mądrości, niweczą większość jego fantazji. Nie zawierały nawet drobnej wzmianki na temat wizyty Ozyrysa w Italii, nie wiązały Apeninów z Apisem, ani nazwy miasta Osiricella z rzekomym pobylem tego boga w okolicach Treviso.

Fabio był aż do dzisiejszego dnia przekonany, że jedyną rzeczą, która wyprowadza z równowagi



mistrza Armia, jest myśl o Marsiliu Ficinie. Najwyraźniej się mylił.

- Widziałeś już dekorację apartamentów papieża?

Fabio pokręcił głową. Już od dłuższego czasu, zasłuchany w stukot końskich kopyt, zastanawiał się, dokąd Łasica tak się śpieszy.

- Pokażę ci je - powiedział z entuzjazmem. - Dziś, Fabio, poznasz wielkiego człowieka, który przyczynił się do ich powstania.

- Doprawdy?

- Czy ja cię kiedyś okłamałem? Gdybyś zobaczył sceny, o których mówię, od razu byś zrozumiał, jak bardzo są istotne. Ukazany tam jest bóg Apis, święty wół Egipcjan, jako proro-cze wyobrażenie naszych czasów. Chyba zauważyłeś, że w herbie naszego papieża również widnieje wół?

- Chcieliście chyba powiedzieć... byk.

- A co to za różnica? Najważniejszy jest symbol, Fabio! Obok boga Apisa ukazana jest bogini Izyda. Dostojna niczym katolicka królowa Hiszpanii, zasiada na niebiańskim tronie z otwartą księgą na kolanach i opowiada zarówno Hermesowi jak i Mojżeszowi o prawie oraz innych dziedzinach nauki. Możesz to sobie wyobrazić?

Fabio przymknął oczy, jakby rozważał w skupieniu słowa mistrza.

- Te freski mówią nam o tym, mój drogi, że Mojżesz otrzymał swoją wspaniałą wiedzę z Egiptu, a po nim odziedziczyli ją chrześcijanie. Pojmujesz genialność tego dzieła sztuki? Rozumiesz teraz wzniosłe nauki, które ci przekazuję? Nasza wiara, drogi Fabio, pochodzi właśnie stamtąd, z dawnego Egiptu. Podobnie jak rodzina naszego papieża. Nawet w Ewangeliach mowa jest o tym, że Jezus uciekł do tego kraju, by schronić się przed Herodem.

Nie rozumiesz? Wszystko przyszło znad Nilu!

- Również człowiek, z którym jesteście umówieni, mistrzu?

- Nie. On nie. Lecz ma ogromną wiedzę na temat Egiptu. Zdobył dla mnie wiele skarbów pochodzących z tego rajy mądrości.

Annio zamilkł. Rozmowa o egipskich źródłach chrześcijaństwa wywoływała w nim sprzeczne uczucia. Z jednej strony cieszył się, że każdego dnia coraz więcej ludzi uczonych, jak ten mediolański Leonardo, poznaje tajemnicę i nadaje jej widzialny kształt w dziełach podobnych do Maestà, która przedstawia prawdopodobne spotkanie Jana z Jezusem podczas jego ucieczki do kraju faraonów. Z drugiej strony pochopne rozpowszechnianie tych prawd mogło wystawić na niebezpieczeństwo moralną stabilność Kościoła, a także groziło mu utratą części przywilejów. Bo jak zareagowałyby lud gdyby, dowiedział się, że Chrystus nie był jedynym człowiekiem-bogiem, który zmartwychwstał? Czyż nie zadawano by niewygodnych py-tań wobec niezwyklej zbieżności Jego życia z żywotem Ozyrysa? Czy nie przesłuchiowano by papieża i nie dręczono oskarżeniami, dowodząc przy tym, że

Ojcowie Kościoła są zwykłymi naśladowcami pewnej uświęconej opowieści, która nigdy nie stanowiła ich własności?

Annio poruszył się niespokojnie.

- Wiesz, Fabio, cała wiedza ukryta w pałacowych freskach jest niczym w porównaniu z tą, którą dziś spodziewam się osiąść.

Asystent spuścił wzrok w obawie, że mistrz odkryje, jak wielką ciekawość budzą jego słowa.

- Jeśli wręczy mi to, czego się spodziewam, będę miał klucz do wszystkiego, o czym opowiadałem. Będę wiedział wszystko...

- Chyba już dojeżdżamy, ojcie Annio - oznajmił jego asystent.

- Wspaniale. Dostrzegasz kogoś, kto nas oczekuje?

Fabio wysunął głowę z karety, żeby się rozejrzeć. Przed nim roztaczał się widok na potężną fasadę Zielonego Giganta, podmiejskiej oberży, słynącej jako miejsce spotkań zarówno pielgrzymów, jak i ludzi wyjętych spod prawa. W rzeczy samej, jakiś samotny kawaler, otulony brązowym płaszczem, pozdrawiał ich, stojąc w drzwiach oberży.

- Widzę mężczyznę, który zdaje się na was czekać.

- To musi być on, Oliverio Jacaranda. Od naszego ostatniego spotkania upłynęło wiele czasu.

- Jacaranda? - Fabio zawahał się. - Znacie go, mistrzu?

- Och, tak. To stary przyjaciel. Nie ma powodów do niepokoju.

- Z całym szacunkiem, mistrzu, to miejsce nie jest szczególnie bezpieczne dla kogoś takiego jak wy. Jeśli ktoś was rozpozna, mogą na nas napaść i - kto wie - może nawet porwać.

Rozbawiony Armio roześmiał się. Fabio nie miał pojęcia, ile to już razy on ubijał interesy w tym miejscu. Na długo zanim zajął oficjalne stanowisko u boku Aleksandra VI, Zielony Gigant był jednym z jego ulubionych „lokalów”. Właściciele dobrze go znali i traktowali z szacunkiem. Niczego nie musiał się tu obawiać. To przy tych stołach rzeźby, malowidła, starożytne stele, pisma, szaty, perfumy, a nawet przedmioty pochodzące z wyposażenia grobów wymieniano na opasłe woreczki złota i skarby papieskie. Jacaranda był jednym z jego lepszych dostawców. Arcydziela, które Armio od niego kupował, pozwoliły mu przeskoczyć niejedną szczebel drabiny, prowadzącej na szczyty kariery. Dlatego był pewien, że skoro Hiszpan wrócił do Rzymu i poprosił go o pilne spotkanie, musi mieć dla niego coś wyjątkowego.

Annio zadrzał z przejęcia. Czyżby wreszcie zdobył pradawny skarb? Czy przywiózł

przedmiot, na którym tak mu zależało?

Puścił wodze fantazji. Gdy Fabio zamykał za nim drzwiczki karety, Łasica cieszył się na myśl o tym, jak bliska jest chwila, kiedy odniesie największy sukces swojego życia. Bo po cóż innego sprowadzałby go tutaj jego wierny dostawca?

Jacaranda zjawiał się w odpowiednim momencie. Poprzedniego popołudnia Nanni znów spotkał się z generałem dominikanów, tym nudnym Gioacchinem Torrianim, by wysłuchać z jego ust najnowszych doniesień na temat Ostatniej Wieczerzy. Podczas prywatnej au-diencji u Jego Świątobliwości Aleksandra VI wyznał, że wreszcie odkrył, jaki przekaz kryje w sobie to niezwykle malowidło ściennie. „Leonardo, oświadczył, ukrył pośród postaci apostołów pewne zdanie, jakąś inwokację zapisaną w dziwnym języku, którą staramy się teraz odszyfrować. Dowiedzieliśmy się o tym z listu, który przysłało do nas z Mediolanu”.

Torriani wymówił tę dziwną formułę w obecności papieża i Łasicy. Żaden z nich nic z tego nie rozumiał, jednak Nanniemu zdanie ukryte w Cenacolo kojarzyło się z Egiptem.

- Mut-nem-a-los-noc - wyszeptał.

Czyż pochodzenie takiego tekstu nie jest oczywiste? Czy przypadkiem nie ma w nim mowy o bogini Mut, małżonce Amona i królowej Teb? Czy nie było prawdziwym zrzędzeniem Opatrzności, że Oliverio Jacaranda, prawdziwy ekspert od hieroglifów, zjawiał się akurat w takiej chwili? Czy przypadkiem nie zesłał go sam Bóg, aby dopomógł Nanniemu rozwiązać zagadkę i zdobyć tym samym uznanie papieża?

Tak. Opatrzność, pomyślał, jest po mojej stronie.

Przed stajniami Zielonego Giganta Jacaranda pocałował pierścień Anniego i zaprosił go do środka oberży. Mieli porozmawiać o pradawnym skarbie i o tym hieroglificznym tekście.

Łasica wszedł i zasiadł w jednym z ustronnych pomieszczeń, zarezerwowanych dla specjalnych gości. Betanię spotkało niespodziewane szczęście, Fabio był świadkiem tej rozmowy.

- Drogi Armio - powiedział wygodnie rozparty Hiszpan, nalewając sobie z dzbana ob-fitą porcję piwa - mam nadzieję, że nie przestraszyłem was tymi nagłymi odwiedzinami?

- Przeciwnie. Wiecie, że zawsze z niecierpliwością oczekuję waszych wizyt. Szkoda, że nie spędzacie więcej czasu na tutejszym dworze, gdzie jesteście mile widziani.

- Tak jest lepiej.

- Lepiej?

Oliverio postanowił od razu przejść do sedna sprawy.

- Tym razem przywożę wiadomości, które nie będą wam miłe - powiedział.

- Ależ miłe mi są wasze odwiedziny! O cóż więcej mógłbym prosić?

- O pradawny skarb, oczywiście.

- I cóż z nim?

- Wymyka mi się z rąk.

Armio skrzywił się. Wiedział, że zdobycie tego przedmiotu nie będzie łatwe. W końcu skarb trafił do Italii przeszło dwieście lat temu i często przechodził z rąk do rąk, znikając w najmniej spodziewanych momentach. Nie był to klejnot ani cenna relikwia, ani też nic, co zaspokoiłoby królewskie zachcianki. Tym skarbem była książka. Stary orientalny traktat, oprawiony w safian i związany na skórzane taśmy. Spodziewał się w nim odkryć prawdę o zmartwychwstaniu Mesjasza i jego związku z potężną pradawną magią egipską\*. Ostatnio, o ile było im obu wiadomo, traktat znajdował się w posiadaniu Leonarda. Najlepszym tego dowodem było tajemnicze zdanie, które ojciec Torriani odkrył w Cenacolo. Ta egipska inkwizycja nie mogła pochodzić z innego źródła.

\* Javier Sierra od lat zajmuje się badaniem niezwykłych związków pomiędzy zmartwychwstaniem Jezusa i Ozyrysa. Część spośród jego odkryć została przedstawiona w jego poprzedniej powieści zatytułowanej *El secreto egipcio de Napoleon*).

- Rozczarowujecie mnie, Oliverio - wysyczał Łasica. - Jeśli go nie przywieźliście ze sobą, to po co chcieliście się ze mną widzieć?

- Zaraz wam wytłumaczę. Nie jesteście jedyną osobą, która pragnie wejść w posiadanie tej książki, mistrzu Annio. Nawet księżna Beatrice szukała jej na krótko przed śmiercią.

- To już przeszłość! Wiem, że w swej naiwności zwróciła się z tym do was, lecz teraz już nie żyje. Cóż więc was powstrzymuje?

- Jest ktoś jeszcze.

- Następny konkurent? - Łasica zaczął być wściekły. Handlarz wyglądał na wystraszonego. - Czego chcecie, Jacaranda? Więcej pieniędzy? O to chodzi? Zaproponował wam więcej i przyjeżdżacie tu, żeby podbić stawkę?

Hiszpan pochylił głowę. Na jego twarzy malowała się nie-zwiastująca niczego dobrego powaga.

- Nie. Nie chodzi o pieniądze.

- Wobec tego, o co?

- Muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia. Ten, kto szuka waszego skarbu, jest go-tów zabijać, by go zdobyć.

- Zabijać, mówicie?

- Prawie dziesięć dni temu zabił jednego z moich pośredników, bibliotekarza z klasztoru Santa Maria delie Grazie.

I wiecie co? Ten nikczemnik morduje wszystkich, którzy okazali jakieś zainteresowanie tą książką. Dlatego do was przyjechałem, żebyście wyjaśnili mi, z kim mam do czynienia.

- Morderca... - Łasica wzdrygnął się.

- To nie jest zwykły morderca. To człowiek podpisujący się pod swoimi zbrodniami.

On z nas szydzi. W kościele Świętego Franciszka zabił wielu pielgrzymów i przy każdym z nich zostawiał talię kart tarota Viscontich-Sforzów, w której brak było tylko jednej karty.

- Jednej karty?

- Kapłanki. Już rozumiecie?

Annio zaniemówił.

- Tak. To ta sama karta, którą zarówno wy, jak i donna Beatrice wręczyliście mi, abym odnalazł skarb.

Oliverio pociągnął kolejny łyk piwa, które spłynęło orzeźwiającym strumieniem do jego gardła. Potem mówił dalej:

- Wiecie, co myślę? Że morderca wie o tym, iż jesteśmy zainteresowani księgą kapłan-ki. Sądzę, że nieprzypadkowo jego wybór padł na tę akurat kartę. Zna nas i jeśli wejdziemy mu w drogę, to nas wykończy.

- No dobrze, dobrze - Łasica był najwyraźniej poruszony. - Powiedzcie mi, Oliverio, czy ci zamordowani u Świętego Franciszka pielgrzymi również szukali mojego skarbu?

- Poprzytałem trochę wśród strażników księcia il Moro i mogę was zapewnić, że to nie byli zwykli pielgrzymi.

- Ach, nie?

- Ostatni z nich został zidentyfikowany jako brat Giulio, stary katar, jeden z Doskona-

łych. Dowiedziałem się o tym tuż przed wyjazdem na spotkanie z wami. Straż miejska jest tym zaskoczona. Zdaje się, że ten Giulio został kilka lat temu oczyszczony z zarzutów przez Święte Oficjum, mimo iż zarządzał dość prężną wspólnotą Doskonałych w Concorezzo.

- W Concorezzo? Jesteście pewni?

Jacaranda przytaknęła.

Po plecach starego mistrza przebiegł dreszcz. Handlarz nie wiedział, że ta wioska znajdująca się nieopodal Mediolanu, na północny wschód od stolicy, była jedną z najważniejszych w Lombardii ostoji katarów i miejscem, gdzie, jak zgodnie podawały wszystkie źródła, przechowywano przez ponad dwieście lat księgę, którą Annio chciał zdobyć. Wszystko się zgadzało: podejrzenia Torrianiego co do związków Leonarda z katarami, morderstwa Doskonałych w Mediolanie, egipska formuła w Cenacolo. Jeśli się nie mylił, to odpowiedź znajdowała się w tym skarbie, w tekście o ogromnej wartości teologicznej i magicznej, zawierają-

cym tajemne odniesienia do nauk, które Chrystus przekazał Magdalenie po swoim zmartwychwstaniu. Ten traktat stanowił dziedzictwo potwierdzające niezwykle zbieżności pomię-

dzy Jezusem a Ozyrysem, który zmartwychwstał dzięki magii swojej małżonki Izydy, jedyne go świadka jego powrotu do życia.

Święte Oficjum od dziesięcioleci starało się przechwycić ten traktat. Skończyło się na ustaleniu, że jego kopia, być może jedyna istniejąca, opuściła Concorezzo i trafiła w roku 1439, w czasie Soboru Florenckiego, do rąk Cosima Starszego. I nigdy już nie wróciła do wioski. W istocie tylko dzięki szczęśliwej niedyskrecji Isabelli d'Este, siostry donny Beatrice, której dopuściła się podczas wystawnej koronacji papieża Aleksandra w 1492 roku, dowiedział się, że księga znalazła się we Florencji w rękach Marsilia Ficina, oficjalnego tłumacza Medyceuszy, który podarował ją Leonardowi da Vinci tuż przed wyjazdem malarza do Mediolanu. Nie można było zatem wykluczyć, że ludzie z Concorezzo również o tym wiedzieli i pragnęli ją odzyskać.

- Powiedzcie mi zatem, ojcie Annio - spytał Jacaranda, wrywając prałata z zamyślenia - dlaczego ta książka jest tak niebezpieczna?

Annio dostrzegł desperację na pełnej napięcia twarzy starego przyjaciela i zrozumiał, że nie ma wyjścia.

- To niezwykła księga - powiedział wreszcie. - Opowiada o tym, o czym rozmawiał

święty Jan z Chrystusem w niebie: o początku świata, upadku aniołów, stworzeniu człowieka i o drogach, jakie prowadzą nas, śmiertelników, do zbawienia duszy. Mówi się, że to na-tchniony tekst, niezwykle bogaty, który opisuje takie szczegóły dotyczące życia w zaświatach i porządku stworzenia, z którymi, poza Janem, nigdy nie zetknął się ani przedtem, ani potem żaden śmiertelnik.

- Więc dlaczego taka książka zainteresowała Leonarda? Temu człowiekowi teologia jest raczej obca...

Łasica uniósł palec wskazujący i uciszył Jacarandę.

- Prawdziwy tytuł „błękitnej księgi”, drogi Oliverio, wszystko wam wyjaśni. Musicie tylko mnie wysłuchać. Dwieście lat temu Anzelm z Aleksandrii ujawnił go w swoich pismach. Nazwał ją Interrogatio Johannis, a także Tajemną Wieczerzą\*. I zgodnie z posiadany-mi przeze mnie informacjami, Leonardo wykorzystał zawarte na jej stronach tajemnice do ozdobienia ściany refektarza dominikanów. Ni mniej, ni więcej.

- To ta sama księga, która jest przedstawiona na karcie kapłanki?

Annio przytaknął.

- Zaś jej tajemnica została sprowadzona przez Leonarda do jednego tylko zdania, które musicie mi przetłumaczyć.

- Zdania?

- To starożytny język Egipcjan. Mut-nem-a-los-noc. Znacie to?

Oliverio opuścił głowę.

- Nie. Ale przetłumaczę to dla was. Nie martwcie się o to.

\* Zwana jest także Księgą Jana Ewangelisty. W miarę pełny rękopis tej niewielkiej książeczki - jedynej ocalałej ewangelii manichejskiej - zachował się w archiwach Trybunału Inkwizycji w Carcassonne, gdzie go odnaleziono i opublikowano w XVII wieku. Stosunkowo niedawno odkryto także w Wiedniu drugi, bardzo uszkodzony egzemplarz tego dzieła.

Od świtu do zmierzchu.

Tyle trwały przesłuchania odbywające się w dwudziestym drugim dniu stycznia.

Pamiętam, że przeor Bandello, brat Benedetto i ja rozmawialiśmy po kolei z każdym spośród mnichów Santa Maria delie Grazie. Z ich słów staraliśmy się wyłuskać wskazówki, które pomogłyby nam rozwiązać trapiące nas zagadki. Przeżywaliśmy zaskakujące chwile.

Każdy chciał nam coś wyznać. Drżąc, błagali o przebaczenie i przysięgali, że nigdy już nie będą wątpić w boską naturę Chrystusa. Biedaczyska! Niemal wszelkie ich wyznania były owocem marnej wiedzy teologicznej. Mylili uczynki nieistotne z grzechami śmiertelnymi i na odwrót. A jednak w ten sposób, stopniowo, w wyniku cierpliwych przesłuchań, frates Alessandro i Giberto wyłonili się jako ci, na których opierała się zadziwiająca próba przejęcia kontroli nad miejscem, w którym miała być eksponowana Ostatnia Wieczerza. Każdy z czterech najbardziej podejrzanych mnichów podał nam ten sam niesamowity powód: olbrzymie dzieło Toskańczyka zawierało w sobie coś, co określali jako „wizerunek magiczny”, to znaczy subtelny wzór geometryczny, zaprojektowany z myślą o tym, by uwodził nieprzygotowane umysły i wyrył w nich pewną informację, której, niestety, żaden z nich nie potrafił jasno wyrazić. „To trzecie objawienie”, odważył się tylko powiedzieć jeden z nich.

To dało mi do myślenia.

Nasi czterej heretycy pochodzili z wioski na północy księstwa Mediolanu, znad jezior i z terenów wyżej położonych. Wstąpili do zakonu dominikanów tuż po założeniu nowego klasztoru, kiedy dowiedzieli się, że książę il Moro zamierza przekształcić go w mauzoleum rodziny Sforzów. A ponadto, w odróżnieniu od pozostałych, byli to ludzie wykształceni, wyznawcy sławnej maksymy świętego Bernarda, która powiada, że „Bóg jest długością, szerokością, wysokością i głębokością”. Słyszeli o Pitagorasie, czytali Platona i cenili go wyżej niż Arystotelesa, który wszak inspirował nasz system teologiczny. Wyróżniał się wśród nich brat Guglielmo Arno, kucharz. Nie tylko jako jedyny odmówił wyspowiadania się ze swoich grzechów przed naszym trybunałem, lecz wyraził również swoje oburzenie, wywołane tym, że służymy „fałszywemu Kościołowi”.

Do tej pory wiedziałem o nim jedynie tyle, że łączy go z Leonardem wielka przyjaźń.

Pierwszą osobą, od której się o tym dowiedziałem, był brat Alessandro. Mieli podobne zami-

owania: zgodnie, wśród wybuchów śmiechu, krytykowali obżarstwo na dworze księcia il Moro, przedkładając nad pieczone mięsiwa główki kapusty, śliwki, krążki surowej marchewki czy ciasto drożdżowe. Dowiedziałem się również, że Guglielmo i Leonardo mieli swój dzień chwały podczas Świąt Bożego Narodzenia w roku 1495, kiedy to wymyślili babkę drożdżową w kształcie kopuły Bramantego, wieńczącej kościół Santa Maria i zaprezentowali ten wypiek na wydanej przez księcia 25 grudnia uczcie \*. Ciasto zostało przyjęte z tak wielkim entuzjazmem, że sama donna Beatrice błagała, by wyjawili recepturę, dzięki której tak pięknie wyrosło. Brat Guglielmo zignorował tę prośbę. Księżna nalegała. I po dziś dzień wielu wspomina



\* Chodzi o znane dziś na całym świecie panettone, które zdaniem niektórych wtedy właśnie zostało wymyślone przez Leonarda da Vinci.

nieokrzesaną arogancję brata, która kosztowała go pięć tygodni aresztu pośród własnych garnków oraz poważne upomnienie ze strony dworu Sforzów. Od tamtej pory brat Guglielmo w ogóle się nie zmienił, zaś jego zaciętość wskazywała, że raczej wolałby umrzeć, niż żałować swoich uczynków. Banello nakazał go zamknąć, mamrocząc przy tym, co sądzi o swoim kucharzu:

- Nie panuje nad własnym talentem - powiedział. - Nie ma na to rady. Kiedy pozował

do Cenacolo jako Jakub Starszy, nawet Leonardo nie był w stanie go utemperować.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

- Och! - wykrzyknął. - Tego też nikt wam nie powiedział? Być może zmyliły was długie włosy apostoła, ojciec Leyre. Ale jeśli dobrze przyjrzyjecie się rysom kucharza, to go rozpoznacie. To się stało za moją namową. Leonardo prosił, bym wskazał mu mężczyznę z charakterem, który gestykuluje równie zamaszycie, jak siedzący przy stole Jakub. Od razu o nim pomyślałem.

- A dlaczego mistrz chciał wprowadzić między Dwunastu kogoś takiego?

- Zadałem mu to samo pytanie. I wiecie, co mi odpowiedział? „Geometria”, rzekł.

„Wszystko jest geometrią!”. Wyjaśnił mi, że urodę ciała można zmierzyć, porównując odstęp między sutkami z odległością dzielącą pierś od pępka, a następnie z tą, która dzieli pępek od nóg. Jeśli chodzi o gniew, to zapewnił mnie, że potrafi go wyrazić w rysunku samych tylko oczu. Kiedy wrócicie do Cenacolo, przyjrzyjcie się spojrzeniu Jakuba. Unika wzroku Chrystusa, opuszcza pełne przerażenia oczy, patrząc na stół, jakby odkrył tam coś strasznego.

- Że jeden z jego towarzyszy zamierza zdradzić Mesjasza - dodałem.

- Nie! - wykrzyknął jednooki, jakbym powiedział coś niestosownego. - Chciał, żeby-

śmy tak myśleli. Czyż jeden z naszych braci nie powiedział wam, że mamy do czynienia z magicznym wizerunkiem? W czymś takim symbole lub ich brak mają podstawowe znaczenie.

To od nich zależy jego działanie. A w tym przypadku Jakub z przerażeniem dostrzega, że Judasz i Chrystus wyciągają dłonie po ten sam kawałek chleba. Albo też dostrzega brak kielicha Chrystusa. Brak Graala. Jego uwaga była niezwykle przenikliwa.

- I pomyślcie jeszcze o jednym: ten rozwścieczony Jakub znajduje się po tej stronie stołu, gdzie światło jest bardziej intensywne. Znajduje się wśród sprawiedliwych.

Brat Benedetto wyjaśnił nam, że miał okazję przysłuchiwać się jednej z lekcji na temat przestrzeni i światła, jakich mistrz udzielał na Działyńcu Szpitalnym. Jego wykłady były zarazem dziwaczne i fascynujące. Uczył, jak nieruchoma materia może nabrać życia, jeśli zostanie rozmieszczona harmonijnie. Ten cud porównywał często do tego, co dzieje się z nutami partytury: zapisane na

papierze nie były niczym innym jak nieruchomymi znakami, posiadają-

cymi jedynie wartość ideograficzną, ale przepuszczone przez umysł muzyka, a następnie przeniesione przez jego palce lub płuca na instrument, te zapisy zaczynały rozbrzmiewać i, przepelniając eter nowymi doznaniem, były nawet władne wpływać na nastroje słuchaczy.

Czy może istnieć coś bardziej żywego niż muzyka? Dla Leonarda z pewnością nie.

Ten magister pictorum w podobny sposób postrzegał własne dzieła. Na pierwszy rzut oka przedstawiały nieożywioną materię, niewiele więcej niż tynk czy deski pokryte barwnikami i klejem. Lecz jeśli interpretował je wtajemniczony widz, nabierały nieskończonej mocy.

- A jak sądzicie, w jaki sposób Leonardo może dać życie czemuś, co go nie ma? - spytałem.

- Poprzez magię astralną. Wiecie już chyba, że ten heretyk Leonardo studiował teksty Ficina, prawda?

Przypuszczałem, że w pytaniu brata Benedetta kryje się pułapka. Jednooki musiał wiedzieć o moich podejrzeniach od ojca Bandella, zatem postanowiłem zachować ostrożność i skinąłem głową na znak potwierdzenia.

- Otóż Ficino - mówił dalej - przełożył ze starożytnej greki dzieło przypisywane Hermesowi Trismegistosowi, zatytułowane Asklepios, w którym opisano, w jaki sposób kapłani faraonów ożywiali stojące w ich świątyniach posągi.

- Doprawdy?

- Opanowali spiritus, mroczną naukę, zgodnie z którą rysowali na wizerunkach znaki kosmiczne, które łączyły je z gwiazdami. Znaki zodiaku, żebyśmy się lepiej zrozumieli. A mistrz zastosował tę samą technikę w Cenacolo\*.

Przeor i ja spojrzeliśmy na siebie zdumieni.

- Nie widzicie tego, ojcowie? Dwunastu apostołów, dwanaście znaków zodiaku. Każ-

dy uczeń odpowiada jednej konstelacji, zaś Jezus, w samym centrum, uosabia ideę słońca. To malowidło to talizman!

- Uspokójcie się, ojcze Benedetto. To tylko przypuszczenia...

- Ależ skąd! Przyjrzyjcie się dobrze Cenacolo, bo choć jest to ożywione malowidło, nie to jest jeszcze najgorsze. W świetle tego, co nam wiadomo na temat katarów, ten obraz zawiera najgłębszą tezę heretyków. To rodzaj „czarnej Biblii”. I to w naszym refektarzu!

- Ale jaką tezę macie na myśli, Benedetto? - spytałem.

- Dualizm, ojcze. Jeśli dzisiejszego ranka dobrze was zrozumiałem, cały system wierzeń bonhommes

opiera się na przeświadczeniu, że stale toczy się walka dobrego Boga ze złym Bogiem.

\* Najnowsza i najbardziej obszerna praca na temat związku pomiędzy znakami zodiaku a postaciami dwunastu apostołów to dzieło autorstwa Nicoli Sementovsky'ego-Kurilo. Autor twierdzi, że uczniowie w Cenacolo zostali rozmieszczeni w czterech trzyosobowych grupach, ponieważ reprezentują cztery żywioły. Ponadto przypisuje każdemu z nich inny znak zodiaku. I tak Szymonowi - który znajduje się na prawym krańcu stołu - odpowiada pierwszy znak zodiaku, Baran. Tadeuszowi - Byk. Mateuszowi - Bliźnięta. Znak Raka należy do Filipa, Lew do Jakuba Starszego, Panna do Tomasza, zaś Janowi odpowiada Waga, co zdaniem Sementovsky'ego ma ważne znaczenie symboliczne, ponieważ młody Jan ma być w przyszłym Kościele elementem równoważącym. Pozostałe znaki to: Skorpion Judasza, Strzelec Piotra, Koziorożec Andrzeja, Wodnik Jakuba Młodszeo i Ryby Bartłomieja (przyp. aut.).

- W istocie tak jest.

- Wobec tego, kiedy wrócicie do refektarza, zastanówcie się, czy ta walka między do-brem a złem nie została ukazana w Cenacolo. Chrystus znajduje się w środku, jakby był wierny równowadze pomiędzy światem duchowym a cielesnym. Po jego prawicy - czyli dla nas to lewa strona - znajduje się strefa cienia, zła. Idźcie i spójrzcie na tę lewą stronę ściany: jest za-cieniona, pozbawiona światła. To nie przypadek, że akurat tam siedzi Judasz Iskariota, ale również jest tam Piotr ze sztyletem. Z bronią, co, jak sami przyznaliście, nadaje mu iście szatański charakter.

Stary raptus zaczerpnął powietrza, po czym podjął przerwana przemowę:

- Dla odmiany po przeciwnej stronie znajdują się ci, którzy dla Leonarda oznaczają światłość. Ta część stołu jest rozświetlona, namalował tam nie tylko samego siebie, ale również Platona, starożytnego inspiratora wielu heretyckich doktryn katarów.

Nagle o czymś sobie przypomniałem:

- A także braci Guglielma i Giberta, którzy sami przyznali się do herezji. Czy to nie wy mi powiedzieliście, że Giberto pozował do postaci apostoła Filipa?

Jednooki skinął głową.

- Oczywiście! - wykrzyknąłem, przypominając sobie rozmieszczenie apostołów - wy również tam jesteście. Daliście życie świętemu Tomaszowi, nieprawdaż?

Benedetto mruknął coś ze złością, po czym odrzekł:

- Zostawmy już te dawne historie. To dobrze, że staramy się zinterpretować malowidło Leonarda, ale przede wszystkim powinniśmy zdecydować, co zamierzamy zrobić z tym dziełem. Powiem wam, ojcowie, i nie zamierzam tego więcej powtarzać: albo wyrwiemy zło z korzeniami i ukryjemy to malowidło, albo jego treść stanie się latarnią dla heretyków i ścia-

gnie na nas same nieszczęścia.

- Nie rozumiem. Zamierzacie czekać beczynnie, aż zostanie skazany?

Oburzenie Bernardina Luiniego nie wywarło na mistrzu żadnego wrażenia. Już od dłuższego czasu pracował w skupieniu we własnym ogrodzie nad nową machiną. Ledwie zauważył powrót uczniów. W głębi serca nie miał zbyt wielkich nadziei na to, że Elena, Marco i Luini wrócą z Cenacolo oświeceni wiedzą, którą tak starannie nasycił tamto miejsce. Mistrz był znużony oczekiwaniem. Stale zjawiali się nowi uczniowie, jedni przychodzili, inni zaś odchodzili, lecz żaden z nich nie był zdolny pojąć jego specyficznej metody wpisywania szczególnych treści w dzieła sztuki.

A teraz jego uczniowie przynosili z klasztoru niepomyślnie wieści. Ostatnio zdarzało się to coraz częściej. Powiedzieli, że Santa Maria jest niemal w stanie wojny. Że ojciec Bandello postanowił przesłuchać swoich mnichów w poszukiwaniu heretyków i nakazał zaniknąć w odosobnieniu jego ukochanego brata Guglielma, kucharza, za spiskowanie przeciw Kościo-

łowi.

Mistrz wysłuchał tych wiadomości ze ściśniętym sercem. Cóż mógł powiedzieć?

- Ja również was nie rozumiem, mistrzu - wtrącił d'Oggiono. - Czy te wydarzenia są po waszej myśli? Nie obawiacie się tego, co stanie się z waszym przyjacielem? Czyżbyście, messere, stawali się aż tak nieczuli?

Leonardo uniósł błękitne oczy znad skrzynki z narzędziami i wbił wzrok w swojego ukochanego Marca.

- Brat Guglielmo wytrzyma - powiedział wreszcie. - Nikt nie może złamać kręgu, który go otacza.

- Dajcie spokój z alegoriami! Nie widzicie zagrożenia! Nie zdajecie sobie sprawy, że wkrótce przyjdą po was?

- Jedyne, z czego zdaję sobie sprawę, Marco, to to, że mnie nie słuchacie... - odparł sucho Leonardo. - Nikt mnie nie słucha.

- Chwileczkę! - Elena, która do tej pory milczała, ukryta za plecami Luiniego i d'Oggiona, zrobiła krok naprzód i stanęła pomiędzy trzema mężczyznami. - Już wiem, czego chcecie nas nauczyć, mistrzu! Teraz to rozumiem! Wszystko jest w Cenacolo!

Leonardo, zaskoczony tak gwałtowną reakcją Eleny, uniósł gęste brwi. Hrabianka ciągnęła:

- Brat Guglielmo posłużył wam do namalowania Jakuba Starszego. Co do tego nie ma wątpliwości.

W Cenacolo jest on ucieleśnieniem litery „O”. Omegi. Tak jak wy.

Luini wzruszył ramionami, patrząc zawstydzony na mistrza. W końcu to on sam powiedział o tym pannie Crivelli.

- To może oznaczać tylko jedno - mówiła dziewczyna. - Że brat Guglielmo i wy, jako jedyni, znacie tajemnicę, którą mamy odkryć. I że jesteście równie pewni jego dyskrecji, jak swojej własnej. W końcu realizujecie ten sam cel.

- Godne podziwu - pochwalił Leonardo. - Widzę, że wykazujecie taką samą przenikliwość jak wasza matka. A wiecie, dlaczego wybrałem literę „O”?

- Tak... Tak sądzę...

Toskańczyk spojrzał na nią zaintrygowany. Jej towarzysze byli tym bardziej zdumieni.

- Ponieważ omega jest końcem, przeciwieństwem alfy, która jest początkiem - powiedziała. - Tak oto sytuujecie się na końcu planu, którego realizację rozpoczął Chrystus, jedyne widniejące na malowidle „A”.

- Godne podziwu - powtórzył mistrz. - Godne podziwu.

- Oczywiście! Brat Guglielmo i wy macie nam przynieść Kościół Jana! - wykrzyknął

Luini. - To jest ta tajemnica!

Mędrzec znów pochylił się nad dziwną maszyną, którą właśnie wynalazł na potrzeby swojego gospodarstwa, i pokręcił głową.

- To nie wszystko, Bernardino. To nie wszystko.

Machina, która znajdowała się przed Leonardem, była przerażającym wynalazkiem.

Zaczął ją obmyślać po tym, jak jego próby unowocześnienia kuchni Sforzów zakończyły się klęską. Automatyczne rożny jego pomysłu, szatkownica do wołowiny, olbrzymie miechy podsycające ogień pod ogromnym kotłem pełnym wrzącej wody i krajalnica do chleba wprawiana w ruch powietrzem wielu już poraniły i jak dotąd nie przyczyniły się do zaspokojenia barbarzyńskich upodobań kulinarnych księcia il Moro. Nowe urządzenie miało być zupełnie inne. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, książę nie będzie się już wyśmiewać z gigantycznej zbieraczki rzodkwi i sugerować, że wykorzysta ją w przyszłości jako broń przeciw Francuzom.

Choć pierwsze próby w posiadłościach Porta Vercellina przyniosły kolejne trzy ofiary, to po kilku odpowiednich przeróbkach machina przestanie zagrażać ludziom.

- Mistrzu... - zniecierpliwiony głos Luiniego wyrwał Leonarda z zamyślenia - poczyniliśmy ogromne postępy, jesteśmy dużo bliżej zrozumienia waszego Cenacolo, a wy sprawiacie wrażenie, jakby was to w ogóle nie obchodziło. Nie widzicie, że nadeszła godzina, w której powinniście przekazać komuś

wasz sekret? Inkwizycja was osacza. Niewykluczone, że jutro postanowią was zatrzymać i przesłuchać. Jeśli to uczynią, cały wasz plan zostanie za-przepaszczony.

- Wysłuchałem was, Bernardino. I to z uwagą - powiedział mistrz, nie odwracając oczu od swojego wynalazku. - I choć doceniam, że znaleźliście litery, które ukryłem w Cenacolo, to równocześnie zdaję sobie sprawę z tego, że nie potraficie ich pojąć. A skoro wy, któ-

rzy wiecie, gdzie szukać, sprawiacie wrażenie dzieci nie umiejących czytać, to o ile bardziej zdezorientowani będą ci bracia, którzy, jak mówicie, mnie prześladowają.

- Chodzi o książkę. To w niej są wszystkie klucze, nieprawdaż, mistrzu? W książce, z której wszystkiego się nauczyliście.

Zaskakujące pytanie Luiniego zabrzmiało jak wyzwanie.

- Co chcieliście przez to powiedzieć?

- Och, mistrzu, czasy zagadek minęły. I wy o tym wiecie. Widziałem w Cenacolo twarz waszego dobrego znajomego, Marsilia Ficina, tłumacza. Czy to nie jemu obiecaliście, że jego oblicze na waszym obrazie zwiastować będzie nadejście Kościoła Jana? Czy nie wrę-

czył wam księgi, która miała być nową biblią tego Kościoła?

Leonardo wypuścił z rąk narzędzia. Upadły z hałasem tuż obok zbieraczki rzepy.

- A co ty możesz o tym wiedzieć! - wykrzyknął.

- To, czego mnie nauczyliście: że od czasów Jezusa oba Kościoły toczą walkę o nasze dusze. Jeden, ten Piotrowy, miał być Kościołem tymczasowym, odpowiednim do szerzenia nauk o drodze prowadzącej do obudzenia sumień. Ale ten Kościół jest zaledwie prekursorem innej, bardziej chwalebnej budowli, która dostarczy stawy dla naszego ducha, kiedy będziemy gotowi na jej przyjęcie. Piotr to Kościół przeszłości, który przygotował podwaliny pod Kościół Jana. Wasz Kościół.

Toskańczyk chciał mu przerwać, ale jego były uczeń miał do powiedzenia coś jeszcze:

- Ten człowiek o nazwisku Ficino, którego w Cenacolo namalowaliście jako Mateusza, powierzył wam księgę z tekstami Jana, abyście ją przestudiowali. Dobrze to pamiętam, choć wówczas byłem jeszcze dzieckiem. Widziałem, jak wam ją wręczał. Jeśli teraz postanowiliście go namalować, a nawet ułatwić innym, na przykład nam, dostęp do waszego dzieła, to dlatego, że wierzycie, iż nadszedł czas ujawnienia prawdy. To oznacza wasz Cenacolo.

Przyznajcie mi rację! To zapowiedź nowego Kościoła.

Marco i Elena nie odważyli się nawet mrugnąć. Leonardo uciszył Bernardina typowym dla siebie gestem: często, gdy chciał coś powiedzieć, wznosił palec ku niebu, jakby prosił Boga o pozwolenie.

- Mój drogi Bernardino - powiedział, starając się opanować emocje - to prawda, że na krótko przed podjęciem decyzji o przeniesieniu się do Mediolanu Ficino uczynił mnie depozytariuszem bezcennych tekstów. Prawdziwe jest również to, co mówisz o dwóch Kościołach.

Nie będę temu przeczył. Od lat, w oczekiwaniu na nadejście takiej chwili, przedstawiam na moich obrazach Jana Chrzciciela. I w istocie, wierzę, że ta chwila już nadeszła.

- Dlaczego tak sądzicie?

- Dlaczego? - odwrócił się do Eleny dużo spokojniejszy. - Czyż cały świat tego nie dostrzega? Papież doprowadził tymczasowy Kościół do takiej deprawacji, że naprawa tego stanu rzeczy byłaby niezwykle trudna. Nawet jego duchowni, tacy jak ten Savonarola we Florencji, obrócili się przeciwko niemu. Nadszedł odpowiedni moment, by Kościół Ducha, czyli Ko-

ściół Chrzciciela, zastąpił Kościół Piotrowy i poprowadził nas ku prawdziwemu zbawieniu.

- Ale w Cenacolo nie ma Chrzciciela, mistrzu.

- Tak. Nie ma go. - Leonardo uśmiechnął się do Marca d'Oggiono, ucznia, który zawsze zwracał uwagę na szczegóły. - Ale jest Jan.

- Nie rozumiem...

- Prawie wszystko jest w Piśmie. Jeśli jeszcze raz przeczytacie uważnie ewangelie, przekonacie się, że Jezus rozpoczął życie publiczne dopiero po tym, jak Chrzciciel zanurzył

go w wodach Jordanu. Czterej ewangeliści musieli jakoś uzasadnić misję Chrystusa i traktowali Chrzciciela jako element przygotowania przyszłego Mesjasza. Dlatego zawsze przedstawiam go z palcem uniesionym w górę: w ten sposób wskazuję, że on, Chrzciciel, był pierwszym.

- Wobec tego dlaczego czcimy Jezusa, a nie Chrzciciela?

- Wszystko stanowi część starannie przygotowanego planu. Jan nie był w stanie przekazać swoich nauk duchowych tej garstce nieokrzesanych i niewykształconych ludzi. Jak wyjaśnić rybakom, że Bóg jest w nas, a nie w świątyni? Jezus miał mu pomóc w nauczaniu tych dzikusów. Zaplanowali powołanie Kościoła tymczasowego na wzór żydowski i drugiego - duchowego, tajemnego, jakiego Ziemia jeszcze nie widziała. Te nauki zostały powierzone pewnej inteligentnej niewieście, Marii Magdalenie, oraz młodzieńcowi o żywym umyśle, który również miał na imię Jan. I ten Jan, drogi Marco, właśnie znajduje się w Cenacolo.

- Magdalena również!

Toskańczyk nie mógł ukryć podziwu dla tej porywczej dziewczyny. Luini, z rumień-

cami na policzkach, poczuł się w obowiązku, by wyjaśnić jej reakcję: to on nauczył ją, żeby zawsze gdy zauważy na obrazie duży i wyraźnie widoczny węzeł, pamiętała, że stoi przed dziełem, które ma jakiś związek z Marią Magdaleną. Na Ostatniej Wieczerzy jest taki węzeł.

- Pozwólcie, że wytłumaczę wam coś jeszcze - dodał mistrz, nieco już zmęczony. - Jan to dużo więcej niż imię. Swego czasu nazywał się tak Chrzyciel, a także ewangelista. Lecz Jan to tytuł. Chodzi o nomen mysticum, tytuł, który przysługuje wszystkim depozytariuszom tego Kościoła Ducha. Podobnie jak papieżycy Joanna, ta z kart Viscontich.

- Papieżycy Joanna? A więc to nie mit? Historyjka dla łatwowiernych?

- A któryż mit nie skrywa w sobie prawdy, Bernardino?

- Wobec tego...

- Powinniście wiedzieć, że człowiekiem, który zaprojektował te karty, był Bonifacio Bembo z Cremony. Doskonały. Wiedział, że los naszych braci jest zagrożony, dlatego postanowił ukryć w tej talii dla Viscontich pewne symbole o fundamentalnym znaczeniu dla naszej wiary. Na przykład przekonanie o tym, że jesteśmy mistycznymi potomkami Jezusa Chrystusa. Który symbol byłby dla tego celu lepszy niż wizerunek brzemiennej papieżycy, trzymają-

cej w ręku krzyż Chrzyciela i wskazującej temu, kto potrafi czytać, że ze starego Kościoła wkrótce narodzi się nowy? Ta karta - dodał mistrz z namaszczeniem - zapowiada to, co już nadchodzi.



Nie wiem, co skłoniło ojca Bandella do wysłania mnie w tę misję. Gdyby posiadał proroczy dar i przewidział, co mi się przydarzy, z pewnością zatrzymałby mnie przy sobie.

Lecz niezbadane są wyroki Opatrzności, Bóg zaś tamtego styczniowego dnia rzucił kości mojego losu zgodnie ze swoją niezgłębioną wolą.

Przyznaję, że na początku czułem odrazę.

Odgrzebanie, z pomocą jednookiego Benedetta, grabarza Maura i brata Jerzego, zwłok ojca Trivulzia, sprawiło, że mój żołądek zaczął się buntować. Święte Oficjum już od ponad pięćdziesięciu lat nie ekshumowało żadnego zbrodniarza w celu spalenia jego szczątków, lecz, choć prosiłem przeora, aby pozostawił zmarłych w spokoju, nie mogłem zapobiec wydo-byciu ojca Alessandra na światło dzienne. Z jego jakby pokrytych mydłem, posiniałych zwłok rozchodził się fetor nie do zniesienia. Choć zrobiliśmy co w naszej mocy, owijając go w nowy całun i obwiązując ciasno sznurem, odór jego ciała towarzyszył nam przez całą drogę. Na szczęście nie wszystko było równie potworne. Zwróciłem uwagę na to, że o ile w pobliżu zwłok brata Alessandra nie sposób było oddychać, to przynajmniej zakrystian nie sprawiał takich kłopotów. Brat Giberto w ogóle nie miał żadnego zapachu. Absolutnie niczym nie pachniał. Grabarz tłumaczył ten fenomen tym, że ogień na placu dei Mercanti strawił wszystkie podatne na zepsucie tkanki brata Giberta i tym samym obdarzył go tym niezwykłym darem.

Ale jednooki zaciekle bronił innej teorii. Jego zdaniem, pozostawienie szczątków zakrystiana na przyszpitalnym dziedzińcu, pod gołym niebem, gdzie były wystawione na działanie ni-skich temperatur, sprawiło, że najgorszy odór się ulotnił. Nigdy nie ustaliłem, który z nich miał rację.

- Pomyślcie tylko, przecież ze zwierzętami dzieje się tak samo - próbował mnie przekonać jednooki.
- Czy ciało konia porzucone na zaśnieżonej drodze ma jakiś zapach?

Dotarliśmy na błonia Santo Stefano, nie dokończywszy naszej dyskusji, na jakieś pół-

torej godziny przed nieszporami. Minęliśmy wartownię przy Porta delia Corte all'Arcivesco-vado i siedzibę Capitano di Giustizia zbytnio nieindagowani przez strażnika. Straż księcia il Moro wiedziała o naszych zmartwieniach i aprobowała decyzję o wyniesieniu heretyków daleko poza mury miejskie. Nasz dwukołowy wóz z budą, wyładowany drewnem i powrozami, przeszedł bez problemów przez wszystkie kontrole. Tak więc znaleźliśmy się na Santo Stefano, otwartej przestrzeni położonej wśród lasów, opustoszałej i cichej. Podłoże było tu skaliste, dzięki czemu ułożenie drew, które ze sobą przywieźliśmy, i spalenie naszych nieboszczyków nie powinno nastęczać trudności.

Brat Jerzy przejął dowództwo.

To on pokierował nami przy układaniu sterty polan, których ogień miał obrócić w proch szczątki naszych braci, a także pokazał nam najlepszy sposób na wzniesienie solidnego, dobrze palącego się stosu. Dla kogoś takiego jak ja, kto był obecny przy tyłu autodafe i ani razu nie musiał przy tym

dotknąć żadnego kawałka drewna, stanowiło to zupełnie nowe do-

świadczenie. Jerzy nauczył nas, że należy układać drwa w kolejności odwrotnej do ich rozmiaru. Wiele razy widział, jak to się robi. Tłumaczył, że najcieńsze drwa układa się na dole, żeby od nich zajęły się grubsze pnie. Kiedy wreszcie skończyliśmy, kazał nam opasać stos bardzo długim powrozem, umocować go, a za pomocą drugiego, wolnego końca podnieść cia-

ła naszych nieboszczyków na sam szczyt. Wkrótce mieliśmy wykonać rozkazy przeora i powrócić do klasztoru, nim zapadnie ciemna noc, zaś trabanci księcia il Moro zamkną bramy prowadzące do miasta.

- Wiecie, co jest najlepsze w tej pracy? - wysapał Benedetto, gdy ułożył ciało Giberta na szczycie stosu. Jednooki wdrapał się wraz z grabarzem na sam wierzchołek, by przyspieszyć wciąganie brata Alessandra i umieścić go w odpowiednim miejscu.

- A jest w niej w ogóle coś dobrego?

- Najlepsze jest to, bracie Mauro - usłyszałem donośny głos Benedetta - że przy odrobinie szczęścia prochy tych nieszczęśników opadną na ukrywających się tu w górach katarów.

- Katarzy tutaj? - zdziwił się Mauro. - Bracie, wy wszędzie ich widzicie.

- I na dodatek przypisujecie im niezwykłą bystrość - wtrąciłem z dołu, obwiązując równocześnie liną brata Alessandra. - Naprawdę wierzycie, że będą w stanie rozróżnić te prochy od popiołu z własnych ognisk? Wybaczcie, to niemożliwe.

Jednooki milczał. Poczekałem chwilę, aż powróz się napnie i zacznie podnosić bibliotekarza, lecz nic takiego się nie stało. Mauro Sforza nie wykorzystał okazji, by odparować jak zawsze zgorzkniały komentarz asystenta przeora, i na polanie zapanowała przejmująca, długa cisza.

Zdziwiony, cofnąłem się o krok, by zobaczyć, co też się dzieje w górze. Brat Benedetto stał nieruchomo niczym słup soli, z odwróconą głową i wzrokiem wbitym w skraj lasu. Po-wróż wypadł mu z rąk. Mauro pozostawał poza zasięgiem mojego wzroku. W końcu, gdy go zobaczyłem, zauważyłem, że jego siwa bródka drży. Z trudem łapał powietrze, niczym jakiś mistyk w obliczu ekstatycznej wizji niebios. Nie zamrugał ani razu i wydawało się, że jest zupełnie niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Po chwili zrozumiałem dlaczego. Jednooki, sparaliżowany jakimś widokiem, najwyraźniej wskazywał na coś ruchem brody unoszącej się w nieregularnych spazmach i podskakującym w powietrzu czubkiem nosa. Gdy odwróciłem się i wychyliłem w stronę, którą wskazywał, z wrażenia omal nie ścięło mnie z nóg.

Nie ma w tym żadnej przesady.

Tuż pod lasem, jakieś dwadzieścia metrów od miejsca, w którym się znajdowaliśmy, grupa piętnastu zakapturzonych postaci, milcząc, obserwowała nasze poczynania. Żaden z nas wcześniej ich nie zauważył. Od stóp do głów spowici w czerń, z dłońmi ukrytymi w rękawach, zdawali się stać tam już od dawna, obserwując polanę Santo Stefano. Nie sprawiali wrażenia wrogo nastawionych - zresztą

nie mieli przy sobie broni ani też niczego, czym mogliby zrobić nam krzywdę - ale muszę przyznać, że ich obecność była wielce niepokojąca.

Przyglądali nam się spod kapturów, milcząc i nie czyniąc nic, by zbliżyć się do nas lub nawią-

zać z nami jakiś kontakt. Skąd się tu wzięli? W pobliżu nie było żadnego klasztoru ani pustelni, nie był to również dzień liturgiczny, co mogłoby tłumaczyć obecność mnichów na otwartej przestrzeni.

A zatem o co chodziło? Czego chcieli? Czyżby przybyli, aby uczestniczyć w po-

śmiertnej egzekucji naszych heretyków?

Mauro Sforza pierwszy zszedł ze stosu drewna i z rozłożonymi ramionami skierował

się ku zakapturzonym postaciom, lecz jego gest został przyjęty z obojętnością. Żaden spośród przybyłych nawet nie drgnął.

- Boże Świąty! - wykrzyknął w końcu jednooki. - Przecież to odstępcy!

- Odstępcy?

- Nie widzicie, ojcie Leyre? - wymamrotał Benedetto niepewnym, ale zarazem lekko urażonym głosem. - Mówiłem wam. Chodzą w czarnych habitach bez ozdób, zupełnie jak ci katarzy, którzy mają nadzieję stać się Doskonałymi.

- Katarzy?

- Nie są uzbrojeni - dodał. - Ich wiara na to nie pozwala. Mauro, słysząc te słowa, po-stąpił jeszcze krok w stronę nieznanomych.

- Naprzód, bracie - zachęcił go jednooki. - Nic ci się nie stanie, jeśli ich dotkniesz.

Skoro nie są w stanie zabić kury, to jak mogliby zrobić wam krzywdę?

- Laudetur Jesus Christus. Przybyli tu po swoich zmarłych! - wykrzyknął Jerzy, który gdy tylko zorientował się, co się dzieje, dygocząc ze strachu, wczepił się w mój habit. - Chcą, abyśmy im ich zwrócili!

- I to was tak bardzo przeraża? Nie słyszeliście, co powiedział brat Benedetto? - szepnąłem, prosząc go, by się uspokoił. - Ci ludzie nie użyją przeciwko nam przemocy.

Nigdy nie dowiedziałem się, co brat Jerzy zamierzał mi odpowiedzieć, ponieważ w tej właśnie chwili intruzi zaintonowali przejmujące Pater Noster, które rozniosło się po całej polanie. Ich męskie głosy wypełniły Santo Stefano, odbierając nam mowę. A zatem Jerzy był w błędzie. Bonhommes nie przybyli, aby odebrać ciała współwyznawców. Nigdy nie zrobiliby czegoś takiego. Oni gardzili cielesnością. Uważali ciało za więzienie duszy, diabelską przeszkodę, oddalającą ich od czystości ducha. Jeśli tu przyszli, ryzykując aresztowanie i wtrącenie do więzienia, to dlatego, że postanowili

pomodlić się za dusze zmarłych współwyznawców.

- Bądźcie wszyscy przeklęci! - złorzeczył brat Benedetto, wymachując pięściami ze szczytu stosu. - Przeklęci po tysiąc razy!

Zachowanie jednookiego zaskoczyło wszystkich. Brat Jerzy i brat Mauro nie posiadali się ze zdumienia, gdy Benedetto jednym susem znalazł się na ziemi i w dzikim szale pognał w stronę heretyków. Poczerwieniał ze złości tak bardzo, a żyły na szyi miał tak obrzmiałe, iż zdawało się, że za chwilę dosłownie wybuchnie. Z furią rzucił się na pierwszego zakapturzonego, który znalazł się na jego drodze. Mężczyzna padł na twarz, a oszalały jednooki rzucił

się przy nim na kolana i zaczął dźgać go raz po raz sztyletem, który, Bóg jeden wie skąd, nagle dobył.

- Nie macie prawa żyć! Wszyscy! Nie wolno wam tutaj być! - krzyczał.

Nasz brat, nim go powstrzymaliśmy, zanurzył swą bron aż po rękojeść w plecach odstępca. Rozległ się przeraźliwy krzyk bólu.

- Idźcie do piekła! - krzyknął Benedetto.

To, co się później wydarzyło, nadal jest dla mnie niejasne.

Zakapturzeni spojrzeli po sobie, po czym rzucili się na Benedetta. Odciągnęli go od swego ранego brata, z którego pleców krew lała się strumieniami, i przycisnęli go do pnia jednej z sosen. Jednooki nadal złorzeczył napastnikom. Jego oko płonęło wściekłością.

To, co się stało z pozostałymi, pamiętam jeszcze słabiej. Osiemdziesięcioletni brat Jerzy puścił się biegiem w kierunku miasta. Nigdy nie podejrzewałem go o taką zwinność. Natomiast brata Maura straciłem z pola widzenia, gdy jeden z mężczyzn zarzucił mi na głowę worek i obwiązał go sznurem wokół mojej szyi. W tym worze musiało być coś dziwnego, ponieważ wkrótce zdałem sobie sprawę, że tracę przytomność. W ciągu kilku sekund przestałem słyszeć krzyki ранego, zaś moje członki zaczęło ogarniać niezwykle uczucie lekkości.

Nim zemdlałem, zdążyłem jeszcze usłyszeć głos, który wyszeptał coś, czego sensu nie zdołałem pojąć:

- Teraz, ojcze, wreszcie będę mógł odpowiedzieć na wasze pytania.

Odurzony i oszołomiony, straciłem przytomność.

Kiedy się obudziłem, czułem mdłości i silny ból głowy. Nie wiedziałem, ile czasu by-

łem nieprzytomny. Wszystko wokół wirowało, ja zaś - jak nigdy dotąd - nie mogłem zebrać myśli. Wszystko przez ten nieznośny ucisk w skroniach. Ból był cykliczny, w równych odstę-

pach czasu przeszywał moją czaszkę, mącąc mi zmysły. Ataki bólu były tak silne, że przez dobrą chwilę nie próbowałem nawet otworzyć oczu. Pamiętam również, że pomacałem się po głowie w poszukiwaniu rany, ale niczego nie znalazłem. Ból dobywał się z wnętrza.

- Nie martwcie się, ojcie. Jesteście cali. Odpocznijcie. Wkrótce dojdziecie do siebie.

Miły głos, ten sam, który usłyszałem tuż przed tym, jak zapadłem się w ciemność, rozległ się zniechęcająco, nim zdołałem dojechać do siebie. Ten ktoś znów zwrócił się do mnie łagodnym, poufałym tonem, zupełnie jakby znał mnie od dawna.

- Skutki działania naszego olejku utrzymają się jeszcze przez kilka godzin. Potem poczujecie się dobrze.

- Waszego... olejku?

Zdezorientowany i osłabiony, leżąc na jakimś nierównym podłożu z zeszywniałymi ramionami i nogami, zdołałem zebrać dość sił, by się odezwać. Doszedłem do wniosku, że zabrali mnie w jakieś osłonięte dachem miejsce, ponieważ miałem na sobie suche ubranie, a zimno nie było już tak dotkliwie, jak na polanie Santo Stefano.

- Worek, który zarzuciliśmy wam na głowę, był nasączony olejkiem nasennym, ojcie.

To stara receptura. Sekret tutejszych czarowników.

- Trucizna... - wymamrotałem.

- Niezupełnie - odparł głos. - To wyciąg z kąkolu, blekotu, cykuty i maku. Nigdy nie zawodzi. Wystarczy wchłonąć niewielką dawkę przez skórę, a natychmiast zapada się w le-targ. Ale wkrótce wam przejdzie. Nie martwcie się.

- Gdzie jestem?

- W bezpiecznym miejscu.

- Błagam, dajcie mi pić.

- Oczywiście, ojcie.

Poczułem, że nieznajomy wsuwa mi dzban do rąk. Wino było ciepłe. Jego cierpkość ożywiła moje zmaltretowane ciało. Piłem łapczywie, czyniąc nadludzki wysiłek, by otworzyć oczy i się rozejrzeć.

Instynkt mnie nie zawiódł. Nie znajdowałem się już na Santo Stefano, a moi porywacze, kimkolwiek byli, oddzielili mnie od Jerzego, Maura i Benedetta i osadzili samego w zamkniętym pomieszczeniu, pozbawionym okien, które zapewne znajdowało się w jakimś zapomnianym wiejskim domu i tymczasowo miało służyć jako więzienie. Musiałem spędzić całą wieczność na tym sienniku. Urosła mi broda, a ktoś odważył się zdjąć ze mnie habit dominikanina i odziać mnie w szorstką wełnianą kapotę. Od jak dawna tu jestem? Nie mogłem tego obliczyć. A jaki los spotkał moich braci? Kto podjął decyzję o zabraniu mnie tutaj? I po co?

Rozpacz ścisnęła mi gardło.

- Gdzie... jestem? - powtórzyłem.

- W bezpiecznym miejscu. Nazywa się Concorezzo, ojciec Leyre. Cieszy mnie, że dochodzicie już do siebie. Mamy sobie wiele do powiedzenia. Pamiętacie mnie?

- Jak... jak to? - wyjąkałem.

Spróbowałem się odwrócić, by zobaczyć mojego rozmówcę, ale powstrzymał mnie kolejny atak bólu.

- Ależ ojciec! Nasz olejek was uspił, lecz z pewnością nie wymazał wam niczego z pamięci. Jestem tym, który zawsze mówi prawdę. Nie przypominacie sobie? Tym, który przysiągł, że rozwiąże pewną nie dającą wam spokoju zagadkę.

Nagle doznałem olśnienia. Ależ tak. Na Boga! Oczywiście już kiedyś słyszałem ten głos. Ale gdzie? Musiałem dokonać ogromnego wysiłku, by lekko obrócić głowę i spojrzeć w twarz osoby, która do mnie przemawiała. I, Chryste Panie, wreszcie go zobaczyłem. Znajdował się tuż za moimi plecami. Jego owalna twarzyczka była zarumieniona. I te oczy, szmaragdowe, czyste i inteligentne. To był Mario Forzetta. Nie miałem co do tego wątpliwości.

- Pamiętacie mnie?

- Boleję, że użyto takich środków, aby was tu sprowadzić, ojciec. Lecz wiercie mi, nie mieliśmy innego wyjścia. Po dobroci byście z nami nie poszli. - Zaśmiał się.

Zaniepokoiła mnie ta liczba mnoga.

- Jak to nie mieliście? Kto taki, Marco?

Forzetta rozpromienił się na dźwięk swojego imienia.

- Czyści z Concorezzo, ojciec. Nasza wiara zabrania nam stosowania przemocy, lecz nie sprytu.

- Bonhommes... Ty też?

- Jesteście wstrząśnięci, rozumiem. Uwolniliście heretyka z więzienia, na które zasługiwał. Lecz zanim mnie osądzicie, błagam, wysłuchajcie, co mam wam do powiedzenia.

- A moi bracia?

- Zostawiliśmy ich uspiionych na Santo Stefano. Są już zapewne w Mediolanie i doku-  
cza im podobny ból głowy jak wam. O ile, oczywiście, nie zamarзли.

Mario wyglądał bardzo dobrze. Co prawda blizna po ranie, która parę dni temu przecięła jego policzek, nadal była widoczna, ale nie razila na ogorzałym od słońca, porastającym młodocianym zarostem obliczu. Mario w niczym nie przypominał zjawy, z którą rozmawia-

łem w więzieniu pałacu Jacarandy. Nabrał ciała, a jego twarz promieniowała radością. Świadomość, że znajduje się poza zasięgiem don Oliveria, z pewnością mu służyła. Nie mogłem natomiast pojąć, dlaczego postanowił mnie uwięzić. Dlaczego akurat mnie, człowieka, który zwrócił mu wolność?

- Moi bracia i ja długo się zastanawialiśmy, nim podjęliśmy tę decyzję - wyjaśnił Mario, siadając przy mnie na ziemi. - Wiem, ojcze, że jesteście inkwizytorem i że wasz zakon od ponad dwustu lat prześladowuje ludzi, którzy podobnie jak my, w inny sposób szukają bliskości z Bogiem.

- Ale...

- Ale gdy zobaczyłem was wczoraj na Santo Stefano, zrozumiałem, że to znak z nieba.

Zjawiliście się właśnie wtedy, kiedy miałem już obiecaną wam odpowiedź. Pamiętacie? Czyż to nie cud? Przekonałem naszego Doskonałego, że powinniśmy was tu przywieźć, abym mógł spłacić mój dług.

- Nie jesteście mi nic dłużni.

- Ależ jestem, ojcze. Bóg skrzyżował nasze drogi z jakiegoś, Jemu tylko znanego powodu. Być może nie po to, abym dopomógł wam w rozwiązaniu waszych zagadek, lecz po to, abyśmy razem stawili czoło wspólnemu wrogowi.

To stwierdzenie zbiło mnie z tropu.

- Co takiego?

- Pamiętacie zagadkę, którą mi powierzyliście, wypuszczając mnie na wolność?

Skinąłem głową. Oculos ejus dinumera nadal stanowiło wyzwanie dla mojej inteligencji. Już prawie zapominałem, że Forzetta również miał się zająć tą zagadką.

- Gdy się z wami pożegnałem, ukryłem się w pracowni Leonarda. Wiedziałem, że jest to jedyny dom w Mediolanie, w którym znajdę schronienie. Tak też się stało. I, oczywiście, rozmawiałem z mistrzem. Opowiedziałem mu o naszym spotkaniu, o waszej nieskończonej wielkoduszności i poprosiłem, aby mi pomógł. Nie chodziło mi tylko o to, aby ochronił mnie przed wściekłością

Jacarandy. Chciałem też okazać wam wdzięczność za wyciągnięcie mnie z jego lo-  
chów.

- Ale przecież nie jesteś już uczniem mistrza... prawda?

- Tak. Lecz w gruncie rzeczy na zawsze pozostaje się jego uczniem. Leonardo traktuje nas jak synów i jeśli nawet któryś z nas nie stanie na wysokości zadania i nie może nadal uczyć się malarstwa, to mistrz i tak zawsze traktuje go z miłością. W końcu jego nauki to coś więcej niż zwykły warsztat artysty.

- Rozumiem. A więc uciekłeś pod opiekuńcze skrzydła messer Leonarda. I cóż ci powiedział?

- Przekazałem mu waszą zagadkę. Powiedziałem, że zawiera imię pewnej poszukiwanej przez was osoby, a mistrz ją dla mnie rozwiązał.

Cóż za ironia losu! Leonardo odszyfrował imię tego, który pisał do Betanii, aby doprowadzić do jego upadku? Zaciekawiony, spróbowałem przewyciężyć zawroty głowy i ują-

łem dłoń Maria w swoje, aby podkreślić wagę mego pytania.

- I powiedz, udało mu się?

- Tak, ojczec. Mogę wam nawet powiedzieć, jakie to imię. Mario położył na podłodze, u naszych stóp, kartę z kapłanką.

- Messere bardzo się zdziwił, gdy pokazałem mu waszą zagadkę - ciągnął. - Powiedział, że jest mu dobrze znana. Że pewien brat z klasztoru Santa Maria przyniósł mu ją wczę-

śniej i że już wtedy rozwiązał ją dla niego.

- Brat Alessandro!

Wspomnienie Oculos ejus dinumera wypisanej na rewersie karty, którą znaleziono przy zwłokach bibliotekarza, sprawiło, że wstrząsnął mną dreszcz. Nagle wszystko zaczynało mieć sens: Wróżbita musiał zabić brata Alessandra, gdy tylko dowiedział się, że został przez niego zdemaskowany, i uknuć intrygę wokół Leonarda, żeby podważyć jego wiarygodność.

Zamordowanie nikomu nieznanego mnicha mogło być dla niego łatwe, w przeciwieństwie do zabójstwa ulubionego nadwornego malarza. Wolał raczej oskarżyć go o herezję. Stąd jego listy do Betanii. Musiałem jednak powściągnąć moją wyobraźnię, bowiem Mario zaczął mówić dalej:

- Tak, ojczec. Brat Alessandro. Bardzo dobrze pamiętam to, co mistrz mi wówczas powiedział: obie zagadki, karta i wersety, są ściśle ze sobą powiązane. Wasz wiersz bez karty kapłanki jest niezrozumiały, lecz sam jest z kolei niezbędny do odkrycia imienia. Są jak awers i rewers tej samej monety.

Poprosiłem Maria, aby jaśniej mi to wytłumaczył. Młodzieniec wziął do ręki kawałek





papieru, z wypisanymi łacińskimi wersetami. Była to ta sama kartka, którą wręczyłem mu w Mediolanie. Położył ją obok tej jedynej karty, wybranej spośród arkanów Viscontich-Sforzów. Znów miałem przed oczami te przeklęte siedem wersów: Oculos ejus dinumera sed noli voltum adspicere.

In latere nominis mei notam rinvenies.

Contemplari et contemplata aliis iradere.

Veritas

- W istocie to prosta zagadka na trzech poziomach - wyjaśnił Mario. - Po pierwsze należy zidentyfikować kartę, która pomoże w rozwiązaniu łamigłówki. „Policz oczy, lecz nie spoglądaj w oblicze”. Znaczenie tego zdania jest bardzo proste. Jeśli się dobrze przyjrzeć, wi-dać, że na tej karcie oprócz oczu kobiety mamy tylko jedno oko.

- Oko? Ale gdzie?

Mario najwyraźniej dobrze się bawił.

- Na pasie, ojcze. Nie widzicie? To oczko węzła, przez który przechodzi sznur, jakim przepasana jest kobieta. To taka metafora zręcznie wprowadzona przez waszego człowieka.

- Ale to nie wszystko - ciągnął - bowiem nadal nie wiadomo, na którym boku należy szukać liczby imienia. Zdanie:

„Z boku znajdziesz liczbę mojego imienia” pozostaje wielką niewiadomą. Chodzi o prawą czy lewą stronę? Otóż powiem wam, że trzeba szukać po prawej.

- Skąd ta pewność?

- Mistrza naprowadził na to pewien stenograficzny szczegół.

- Stenograficzny?

- Mistrzami w sztuce ukrywania tajemnych wiadomości przed oczami osób niepowo-

łanych w pismach bądź dziełach sztuki byli, ojczco, Grecy. W ich języku steganos oznacza

„ukryte pismo”. Tu widać jak na dłoni, że w istocie coś takiego istnieje. Wskazuje na to pewien błąd pisowni: w słowie rinvenies „r” jest zbyt częste. Ktoś tak drobniawczy jak ten, kto zaszyfrował tę wiadomość, nie mógł uczynić tego niechcący. Dlatego przyjrzałem się raz jeszcze wersełom i zauważyłem, że oprócz „r” jest tam jeszcze pięć innych liter, które zostały zaznaczone. Tym razem za pomocą kropki. Mogliście tego nie zauważyć, kropki znajdują się w słowach: ejus, dinumera, sed, adspicere i tradere. Dziwne, że nikt wcześniej nie zwrócił na to uwagi.

Z niedowierzaniem pochyliłem się nad podpisem Wróźbity, żeby spojrzeć na to, co Mario usiłował mi pokazać. W istocie odkryłem, że litery „e”, „d”, „s”, „a” i „t” są oznakowa-ne kropką, która nie miała uzasadnienia w tekście.

- Już widzicie? - niecierpliwił się Mario. - Te litery oraz dodane do invenies „r” tworzą słowo destra. Prawica czy też prawa strona. Oto mamy brakującą informację.

Było to zaprawdę godne podziwu. Leonardo zrobił coś, co nikomu z nas nie przyszło do głowy: połączył kartę kapłanki z zagadką pochodzącą z wysyłanych do Rzymu listów. Nie wiem, czy stało się tak za sprawą jego intuicji, czy też geniuszu. W każdym razie świadomość, że za chwilę poznam rozwiązanie, przyprawiała mnie o zawrót głowy.

- Reszta jest bardzo prosta, ojczco. Zgodnie z naukami Ars Memoriae, to dłonie zawsze wskazują liczby. To ma zastosowanie w każdej kompozycji. A na tej karcie, jak widać, mamy dwie dłonie. U każdej dłoni widać inną liczbę palców. Skoro wasz człowiek mówi, że należy wybrać prawą dłoń, to oznacza, że liczba jego imienia wynosi pięć.

- Ars Memoriae?

- To jedna z ulubionych dyscyplin Leonarda.

- Wobec tego powinienem odszukać brata, którego litery imienia dają liczbę pięć, czyż nie tak?

- To zbędne - powiedział Mario, wyraźnie z siebie dumny. - Messer Leonardo już go odnalazł. Nazywa się Benedetto \*.

\* Liczbę tego imienia otrzymujemy, sumując wartość numeryczną poszczególnych liter alfabetu łacińskiego, z których to imię się składa. Należy przy tym wziąć pod uwagę, że alfabet łaciński nie posiadał niektórych liter, np. J, U, W czy Z, zatem tabela, którą należy się przy tym posłużyć, wygląda następująco:

A B C D E F G H I K L M N O P Q R S T V H

1 2 3 4 5 6 7 8 9 1 1 1 1 1 1 1 1 1 1 2 2

I tak, Benedetto 0

daje 1w 2s 3

umie4 li 5

cz 6

bę 7

86. 8D 9

oda 0

jąc 1

składające się na nią cyfry 8 i 6,

otrzymujemy 14. A z kolei  $1 + 4 = 5$ . Co więcej, na karcie Papieżycy również pojawia się liczba 14 (którą można odczytać jako liczbę 5). Znajduje się w splotach sznura, które razem dają cztery węzły widniejące na jej pasie. Jest to liczba nietypowa, bowiem w tym przypadku dużo bardziej uzasadniona byłaby liczba 13, odpowiadająca trzynastu ranom, które wedle tradycji zostały zadane ukrzyżowanemu Chrystusowi (przyp. aut.).

Spośród wszystkich braci z klasztoru Santa Maria tylko on nosi imię, które ma tę wartość.

Benedetto! Pod wpływem tego odkrycia musiałem bardzo zmienić się na twarzy, bowiem Mario spojrzał na mnie zdumiony. Benedetto? Człowiek z jednym okiem, jak okulus na sznurze kapłanki?

Ironia tej sytuacji zupełnie mnie rozbroiła.

Jak mogłem się tego nie domyślać? Jak mogłem nie zdawać sobie sprawy z tego, że jednooki, jako zaufany człowiek przeora, miał dostęp do wszystkich tajemnic klasztoru i jako jedyny odznaczał się wystarczającą gwałtownością, by zaatakować Leonarda? Czyż nie pasował doskonale do charakterystyki Wróżbity, który zgodnie z moimi podejrzeniami musiał być niegdyś uczniem Toskańczyka, a teraz został renegatem? Czyż jego oblicze nie zostało przed-stawione w Cenacolo jako twarz apostoła Tomasza, stanowiąc tym samym niepodważalny do-wód jego niegdysiejszej przynależności do kręgu mistrza?

Uścisnąłem Maria, nie będąc pewnym, kim w pierwszej kolejności powinienem się za-jąć: mordercą, czy też tą ostatnią grupką zbłąkanych chrześcijan.

Brat Benedetto znów kichnął i wypluł do miseczki skrzep krwi.

Wyglądał źle. Nawet bardzo źle.

Jednooki miał poważne kłopoty z oddychaniem od czasu, gdy spędził sześć godzin w śniegu na polanie Santo Stefano, nieprzytomny i mając na bosych nogach sandały. Kaszłał.

Jego płuca zamieniły się w sadzawkę i coraz trudniej było mu się poruszyć.

Przeor zarządził, że należy przenieść go do szpitala. Tam położono go do łóżka, od-izolowano od pozostałych chorych i przepisano aromatyczne inhalacje, codzienne puszczenie krwi i żarliwe modły o jego wyzdrowienie. Lecz brat Benedetto źle sypiał. Gorączka wciąż się utrzymywała, co wszystkich napawało niepokojem o jego życie.

Ostatniego dnia stycznia najbardziej tajemniczy spośród braci z Santa Maria, bardzo wyczerpany, poprosił o ostatnie namaszczenie. Przez całe popołudnie majaczył, mamrotał

niezrozumiałe zdania w dziwnych językach i zalecał braciom podłożyć ogień pod refektarz, jeśli chcą kiedyś dostąpić zbawienia.

Brat Nicola Zessatti, dziekan, służący wspólnocie od pięćdziesięciu lat i dobry przyjaciel Benedetta, namaścił go świętymi olejami. Przedtem poprosił go, by się wyświadczył, lecz jednooki odmówił. Nie chciał powiedzieć ani słowa na temat tego, co wydarzyło się na Santo Stefano. Wszelkie próby okazały się daremne. Ani brat Nicola, ani przeor nie mogli wydobyć z niego nawet słowa na temat miejsca mojego pobytu, a tym bardziej na temat ludzi, którzy na nas napadli.

Wiem, że w tych dniach panował zamęt. Choć trudno w to uwierzyć, również brat Jerzy nie okazał się zbyt pomocny. Kwestarz ledwo pamiętał tych przedziwnych, ubranych w czerń mnichów, którzy wyszli nam naprzeciw. Miał słaby wzrok, a w jego wieku zmysły zaczynają zawodzić. Dlatego gdy opowiedział, że jednooki zadźgał jednego z tych ludzi, wzięto go za szaleńca. Jerzy został umieszczony w klasztornej szpitalu, w tym samym skrzydle co Benedetto. Miał odmrożone dłonie i męczyło go ostre przeziębienie, z którego jakimś cudem w końcu wyszedł.

Natomiast trzeci z nas, brat Mauro, na wiele dni zaniemówił z wrażenia. Jego młode ciało dobrze zniosło atak mrozu, lecz od kiedy powrócił do Santa Maria, nie opuszczał swojej celi. Tych, którzy go odwiedzali, przerażało jego błędne spojrzenie. Jadał niewiele, a gdy się do niego mówiło, nie był w stanie skupić uwagi. Postradał rozum.

To brat Jerzy powiadomił przeora o pogorszeniu stanu zdrowia Benedetta. Stało się to 31 stycznia, we wtorek. Kwestarz zastał ojca Bandella w refektarzu. W towarzystwie Leonarda oceniał postępy prac przy Cenacolo.

Po pogrzebie donny Betarice i moim zniknięciu Toskańczyk podjął pracę z niezwykłą dla siebie energią. Niespodziewanie zaczął sprawiać wrażenie, jakby bardzo mu się śpieszyło.

Dość powiedzieć, że tego popołudnia wykonał ostatnie pociągnięcia pędzla na twarzy świętego Jana, teraz zaś z dumą pokazywał ją przeorowi, który spoglądał na to wszystko z niedowierzaniem.

Apostoł udał się znakomicie. Długie złociste włosy opadały mu na ramiona, jego ogromne oczy były pełne melancholii, ociężała głowa przechylała się w prawo, jakby w do-wód całkowitego poddania. Z jego oblicza promieniowało światło, niezwykle magiczny blask, który zapraszał do kontemplacji tego misterium.

- Doszły mnie słuchy, że waszym modelem tej postaci była pewna dziewczyna.

Te słowa były pierwszymi, które usłyszał brat Jerzy, gdy wszedł do refektarza. Z miejsca gdzie się znajdował, nie widział jednak uśmiechu mistrza.

- Plotki zawsze krążą - mruknął z przekąsem Leonardo.

- I docierają dalej niż wasze drewniane ptaki.

- Niech będzie. Nie będę zaprzeczał. Lecz nim się na mnie pogniewacie, powinniście wiedzieć, że ta dziewczyna posłużyła mi tylko do wykończenia rysów umiłowanego ucznia.

Jerzy w lot się zorientował, że mistrzowi nie dopisuje humor.

- A zatem to prawda...

- Jan był istotą pełną słodyczy, ojciec Bandello - ciągnął. - Wiecie przecież, że był najmłodszy z uczniów, a Jezus kochał go jak brata. A nawet bardziej, jak syna. I zapewne wiadomo wam również, że nie mogłem znaleźć wśród waszych mnichów żadnego, który stanowiłby dla mnie inspirację i pomógł oddać tę niewinność, która według Ewangelii charakteryzowała Jana. Cóż z tego, że dokończyłem jego portret, wzorując się na rysach niewinnej dziewczyny?

Czy wobec takich rezultatów widzicie w tym coś złego?

- A kimże jest ta panna, jeśli wolno wiedzieć?

- Ależ oczywiście. - Leonardo nachylił się dwornie do swego gospodarza. - Lecz wąż-pię, abyście ją znali. Nazywa się Elena Crivelli. Pochodzi ze szlacheckiej lombardzkiej rodziny. Nie tak dawno odwiedziła moją bottega w towarzystwie mistrza Luiniego. Ledwie ją ujrzałem, wiedziałem, że Bóg ją zesłał, aby dopomóc mi w ukończeniu Cenacolo.

Przeor spojrział na niego z ukosa.

- Och, gdybyście ją widzieli! - ciągnął Leonardo. - Jej uroda jest ujmująca, czysta, doskonale pasuje do oblicza Jana. To ona natchnęła mnie tą aurą świętości, którą teraz rozacza wokół siebie święty Jan.

- Lecz na wieczerzy paschalnej nie było żadnych kobiet, mistrzu.

- A któż może być tego pewien, ojcze? Zresztą od Eleny wziąłem tylko dłonie, spojrzenie, pełne oddania usta i kości policzkowe. Jej najbardziej niewinne cechy.

- Wielebny ojcze...

Pojawienie się brata Jerzego, który niecierpliwie oczekiwał na odpowiedni moment, by przerwać rozmowę, uniemożliwiło ojcu Bandellowi udzielenie odpowiedzi. Jerzy przyklęknął, po czym wstał i szepcząc do ucha przeora, przekazał mu złe wieści na temat stanu zdrowia jednookiego.

- Powinniście pójść ze mną - powiedział. - Lekarze mówią, że nie zostało mu już wiele czasu.

- Co się z nim dzieje?

- Ledwo oddycha, a jego skóra staje się chwilami zupełnie przezroczysta, ojcze przeorze.

Leonardo z zaciekawieniem przyglądał się odmrożonym dłoniom Jerzego. Doszedł do wniosku, że musi to być jeden z braci, którzy kilka dni temu zostali napadnięci poza murami Mediolanu.

- Jeśli ciekawi jesteście mojego zdania - wtrącił dyskretnie - przypuszczam, że wasz brat cierpi na gruźlicę. Śmiertelną chorobę, na którą nie ma lekarstwa.

- Jakże to?

- Objawy, jakie opisujecie, przemawiają za tym, że to gruźlica. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, bracia, służę wam moją wiedzą medyczną, aby ulżyć mu w cierpieniu. Znam ciało ludzkie na tyle dobrze, by zaproponować skuteczną terapię.

- Wy? - wtrącił Bandello. - Sądziłem, że go nienawidzicie.

- Ależ przeorze! Jak mógłbym źle życzyć człowiekowi, któremu tyle zawdzięczam?

Pamiętajcie, że brat Benedetto pozował do świętego Tomasza w Cenacolo. Czy mógłbym nienawidzić Eleny, która natchnęła mnie do namalowania Jana? Bibliotekarza, który użyczył oblicza Judaszowi? Nie. Waszemu bratu zawdzięczam twarz jednego z najważniejszych aposto-

łów w Cenacolo.

Przeor skinieniem głowy podziękował mu za uprzejmość, nie dostrzegając ironii za-wartej w słowach malarza. Wiedział, że święty Tomasz posiada wszystkie cechy odmłodzonego brata Benedetta. Toskańczyk podjął nawet trud namalowania go z profilu, aby ukryć jego przykre kalectwo. Lecz przeor wiedział również, że od dłuższego czasu stosunki między bratem Benedetto a mistrzem nie układały się najlepiej.

Leonardo zebrał w pośpiechu swoje pędzle, pozakręcał buteleczki z najnowszymi kombinacjami kolorów i z błogosławieństwem ojca Bandella udał się lekkim krokiem do znajdującego się obok szpitala. Po drodze wstąpili po brata Nicole, który miał już przygotowane zawiniątko z naczyniem z wodą święconą, flakonem ze świętym olejem i srebrnym kro-pidłem.

Brata Benedetta zastali na drugim piętrze w jednym z niewielu pomieszczeń, które były oddzielone od głównej sali. Był sam, zaś jego łóżko osłaniało podwieszane u sufitu płótno. Gdy stanęli w drzwiach, Leonardo poprosił braci, by poczekali na niego w ogrodzie. Wyjaśnił, że pierwszy etap kuracji wymaga pewnej intymności. Dodał, że niewielu jest tak od-pornych na śmiertelne wyziewy gruźlicy jak on.

Kiedy bracia odeszli, Leonardo odsunął dzielącą go od jednookiego zasłonę i przyjrzał

się raptusowi. Dlaczego nie wymyśliłem jeszcze maszyny, która uwolniłaby mnie od wrogów? - pomyślał. Przewyciężając niechęć, olbrzymi da Vinci potrząsnął chorym, aby go zbudzić.

- Wy tutaj?

Brat Benedetto aż usiadł z wrażenia.

- Co, u diabła, tu robicie?

Malarz z zainteresowaniem patrzył na konającego. Benedetto wyglądał gorzej, niż Leonardo się spodziewał. Sine cienie, które na dobre zagościły na jego policzkach, nie zapowiadały niczego dobrego.

- Powiedziano mi, że zostaliście zaatakowani w górach, bracie. Naprawdę nad tym bo-leję.

- Nie bądźcie faryzeuszem, messer Leonardo! - Zakonnik zakasłał, wypluwając strzęp flegmy. - Wiecie równie dobrze jak ja, co się tam stało.

- Skoro tak sądzicie...

- To byli wasi bracia z Concorezzo, może nie? Ci zwyrodnialcy, którzy wyrzekają się Boga i odrzucają boską naturę Syna Człowieczego... Idźcie stąd! Dajcie mi umrzeć w spokoju!

- Przyszedłem, gdy tylko się dowiedziałem o waszej chorobie, Benedetto. Myślę, że osądzacie sprawę zbyt pochopnie. Zawsze tacy byliście. Ludzie, o których mówicie, nie wyrzekają się Boga. To czysti chrześcijanie, którzy czczą Zbawiciela tak, jak czynili to pierwsi apostołowie.

- Dość! Nie chcę was słuchać! Nie mówcie mi o tym! Idźcie precz!

Jednooki poczerwieniał ze złości.

- Ojcie, jeśli chwilę się zastanowicie, to zrozumiecie, że ci, jak ich nazywacie, zwyrodnialcy, darując wam życie, okazali wobec was niezmierne miłosierdzie. Tym bardziej że wiedzieli, iż z zimną krwią zabiliście wielu spośród nich.

W mgnieniu oka wściekłość brata Benedetta ustąpiła miejsca niepomiernemu zdumieniu.

- Jak śmiecie, Leonardo?

- Bo wiem, kim się staliście. I wiem również, że zrobiliście wszystko co w waszej mocy, aby się mnie stąd pozbyć i wystawić wiarę tych ludzi na próbę ciemności. Najpierw zabiliście brata Alessandra. Potem przebiliście serce brata Giulia. Omamiliście swoimi wymysłami braci, którzy znajdowali się już na drodze ku czystości...

- Raczej ku herezji. - Benedetto łypnął jedynym, szeroko otwartym, przypominającym księżyc w pełni okiem.

- I wysyłaliście apokaliptyczne wiadomości do Rzymu, anonimy podpisane Augur dixit, jedynie po to, aby spowodować wszczęcie śledztwa przeciwko mnie. Wy zaś mieliście bezpiecznie pozostawać w cieniu. Czyż nie tak?

- Bądź przeklęty, Leonardo! - Z jego płuc znów wydobyło się rżenie. - Przeklęty na zawsze.

Malarz, niewzruszony, odczepił od pasa małą sakwę z białego płótna, z którą nigdy się nie rozstawał, i położył ją na łóżku. Wydawała się bardziej pękata niż zwykle. Mistrz uroczy-

ście ją rozwiązał i wyjął z niej niewielką książkę w błękitnych okładkach, którą położył na sienniku.

- Poznajecie? - uśmiechnął się przebiegle. - Choć teraz mnie przeklinacie, jestem tu, aby wam przebaczyć. I przynieść wam zbawienie. Wszyscy na nie zasługujemy, bowiem nasze dusze należą do Boga.

Żrenica jednookiego rozszerzyła się na widok tego woluminu, leżącego niemal w za-sięgu jego ręki.

- To tego szukaliście, prawda?

- Inter... rogatio Johan... nis - Benedetto odczytał wytłoczony na grzbiecie tytuł. -

Ostateczny testament Jana! Książka z odpowiedziami, jakich Pan udzielił umiłowanemu uczniowi podczas tajemnej wieczerzy, już w Królestwie Niebieskim!

- Tak, to Tajemna Wieczerza. Książka, którą postanowiłem przekazać światu.

Benedetto wyciągnął drżącą dłoń, aby dotknąć okładki.

- Jeśli to zrobicie, będzie to koniec chrześcijaństwa - powiedział, po czym przerwał, by zaczerpnąć tchu. - Ta książka jest przeklęta. Nikt na tym świecie nie jest godzien jej przeczytać... Zaś na tamtym świecie, u boku Ojca Wiekuistego, nikomu nie jest potrzebna. Spalcie ją!

- A jednak kiedyś chcieliście ją poznać.

- Tak było - wydusił chory z wściekłością. - Ale zrozumiałem, że pociąga to za sobą grzech pychy. Dlatego porzuciłem wasze przedsięwzięcie. Dlatego przestałem dla was pracować. Wypełniliście mi głowę bredniami, tak jak braciom Alessandrowi i Gibertowi, ale ja w porę przejrzałem chytry plan... - mówił już w agonii - ...i zdołałem się od was uwolnić.



Poblądły jednooki położył dłoń na piersiach, po czym ciągnął ochryplym głosem:

- Wiem, czego chcecie, Leonardo. Przywieźliście do katolickiego Mediolanu te wasze cudaczne idee... Wasi przyjaciele, Botticelli, Rafael, Ficino, nabili wam głowę dziwacznymi koncepcjami Boga, a teraz chcecie dać światu sposób na nawiązanie stosunków z Panem, bez konieczności korzystania z pośredników Kościoła.

- Tak jak uczynił Jan.

- Gdyby lud uwierzył w tę książkę, gdyby wiedział, że Jan rozmawiał z Bogiem w Królestwie Niebieskim i powrócił, aby to spisać, na co komu byliby potrzebni służebnicy Piotra?

- Widzę, że zrozumieliście.

- I rozumiem również, że il Moro wspierał was przez cały czas, bowiem... - zakaszłał -

bowiem osłabienie Rzymu wzmocni jego samego. Chcecie, aby wasze malowidło odmieniło wiarę dobrych chrześcijan. Jesteście diabłem. Synem Lucyfera!

Mistrz się uśmiechnął. Ten konający mnich miał nikłe pojęcie o tym, że Leonardo dopracował swój plan w najmniejszych szczegółach. Od wielu miesięcy pozwalał, by artyści z Francji i Italii oglądali Cenacolo, by potem powrócić do siebie i malować jego kopie. Tacy mistrzowie jak Andrea Solari, Giampetrino, Bonsignori, Buganza i wielu, wielu innych, w po-dziwie dla techniki i niespotykanej dotąd kompozycji, powielili już jego obraz i zaczęli rozpowszechniać go w całej Europie. Co więcej, zastosowanie ryzykownej techniki malowania a secco, bardzo nietrwałej, powodowało, że dzieło należało kopiować jak najszybciej. Cudowny Cenacolo miał, zgodnie z życzeniem mistrza, zniknąć, zaś istotę jego planu mógł uratować jedynie ciągły, drobiazgowy i zaplanowany wysiłek, polegający na powielaniu i rozpowszechnianiu malowidła gdzie tylko się da.

Leonardo nic nie odpowiedział. Po cóż miałby to robić?

Jego dłonie nadal pachniały olejem i rozcieńczalnikiem, tym samym, w którym zanurzył pędzle, by dokonać ostatnich poprawek oblicza Jana. Teraz książka, którą niegdyś spisał

Jan, spoczywała otwarta na łożu konającego. Była to ta sama książka, którą Visconti i Sforza, książęta Mediolanu, postanowili umieścić w dłoni kapłanki z talii kart. A także ta sama, która spoczywa na łonie Matki Boskiej Kwietnej, tuż nad wejściem do florenckiej katedry. Była to, krótko mówiąc, tajemna księga, którą Leonardo zamierzał objawić światu.

Bez słowa wziął książkę w dłonie i otworzył ją na pierwszej stronie. Poprosił Benedetta, aby przypomniawszy sobie scenę wymalowaną w refektarzu i przygotował się na zrozumienie jego zamysłu. Potem uroczyście zaczął czytać:

Ja, Jan, który jestem waszym bratem i mam udział w cierpieniu, by dostąpić Królestwa Niebieskiego, gdy spoczywałem na piersi Naszego Pana Jezusa Chrystusa, zapytałem:

„Panie, kim jest ten, który Cię zdradzi? „. On zaś odparł: „To ten, który ze mną rękę zanurza w misie.

Właśnie wszedł w niego Szatan i zaczął obmyślać, jak mnie wydać „

Benedetto był bardzo poruszony.

- A więc to namalowaliście w Cenacolo... Boże Świąty! Leonardo przytaknął.

- Przeklęta zmijo! - Benedetto znów się rozkaszał.

- Nie oszukujcie się, ojcze. Moje dzieło to dużo więcej niż jedna scena z tej oto Ewangelii. Jan zadał Panu dziewięć pytań. Dwa dotyczyły Szatana, trzy stworzenia materii i ducha, kolejne trzy chrztu Jana, zaś ostatnie - znaków, które mają poprzedzać ponowne przyjście Chrystusa. Pytania o światłość i mrok, dobro i zło, przeciwstawne bieguny, które sprawiają, że świat się porusza...

- A wszystko to zawiera w sobie czary. Wiem o tym.

- Wiecie?

Zaskoczenie rozjaśniło na moment twarz mistrza. Ten opierający się śmierci starzec nadal zachowywał bystrość umysłu.

- Tak... - wydyszał - Mut-nem-a-los-noc... W Rzymie też już o tym wiedzą. Sam się o to postarałem. Wkrótce, Leonardo, dopadną was i zniszczą to, co tak cierpliwie stworzyliście.

Tego dnia, mistrzu, umrę szczęśliwy.

Dwanaście dni później Mediolan.

22 lutego 1497

- Mut-nem-a-los-noc...

Po raz pierwszy usłyszałem to niezwykle zdanie w dniu Katedry Świętego Piotra. Mi-nęły już prawie dwa tygodnie od czasu, gdy brat Benedetto, w trakcie jednego ze swych po-twornych napadów kaszlu, oddał duszę Bogu w szpitalu klasztoru Santa Maria. Bóg pokarał

go za pychę. Wróżbita nie doczekał się tego, jak Rzym kieruje swą wściekłość przeciw mistrzowi Leonardowi, niszcząc jego zamysły. Koniec Benedetta był szybki. Medycy, którzy opiekowali się nim za dnia i nocą, poddali się, gdy starzec stracił głos, a jego ciało pokryły wrzody.

Benedetto wyzionął ducha o zmierzchu, w środę popielcową, w samotności, nękany gorączką, nieustannie szepcząc moje imię w rozpaczliwej próbie przywołania mnie przed swoje oblicze i nastawienia mnie przeciwko Toskańczykowi. Na jego nieszczęście, miało jeszcze upłynąć wiele dni do mojego powrotu z odosobnienia pośród Czystych.

Teraz uważam, że Mario Forzetta specjalnie czekał na ten moment, by pozwolić mi odejść do Mediolanu. Nigdy w ciągu tygodni, które spędziłem w Concorezzo, nie wspomniał

o chorobie jednookiego, nie nastawiał mnie przeciwko niemu ani nie namawiał, abym powiadomił Święte Oficjum, że Benedetto złamał piąte przykazanie. Był jak najbardziej daleki od podsycania ognia nienawiści.

Jego znajomość tajników ukrytego pisma przyczyniła się do odszyfrowania podpisu Wróżbity i zdemaskowania ojca Benedetta, lecz niezwykle zasady moralne zabraniały zemsty na zabójcy jego współwyznawców. Cóż to była za przedziwna wiara.

Zacząłem się obawiać, że mieszkańcy Concorezzo nigdy mnie nie wypuszczą. Rozumiałem, że przez ogromny szacunek dla życia nie mogą mnie po prostu zabić. Równocześnie jednak zdawałem sobie sprawę, że wszyscy w tej osadzie wiedzą, iż jeśli mnie uwolnią, ich życie będzie wystawione na niebezpieczeństwo.

Dyskusje na ten temat trwały całymi dniami. Wykorzystałem ten czas, by zbliżyć się do nich i poznać ich obyczaje. Zdziwiło mnie, że nie odwiedzają kościołów, aby się pomodlić. Bardziej cenili groty lub otwartą przestrzeń. Uzyskałem potwierdzenie wielu rzeczy, któ-

re wiedziałem już o nich wcześniej, na przykład to, że nie uznają krzyża czy pogardzają reli-kwiami, które ich zdaniem były nieczystymi pamiątkami po materialnych, a zatem szatań-

skich ciałach, w których niegdyś zamieszkiwały dusze wielkich świętych. Równocześnie odkryłem rzeczy, które mnie zachwyciły. Na przykład ich radość w obliczu śmierci. Każdy mijający dzień był

powodem do świętowania, bowiem przybliżał ich do chwili, gdy uwolnią się z cielesnej powłoki i ulecą do świetlistego ducha Boga. Ci, którzy sami nazywali się „prawdziwymi chrześcijanami”, patrzyli na mnie ze współczuciem i ze wszystkich sił starali się włączyć mnie do swoich rytuałów.

Pewnego dnia przyszedł po mnie Mario, obudził mnie niezwykle podniecony i poprosił, abym szybko się ubrał. Następnie sprowadził mnie z gór, aż do ubitego traktu, który prowadził do Porta Vercellina. Byłem zdumiony. Ten młody Doskonały podjął decyzję narażają-

cą całą społeczność: zamierzał zwrócić światu inkwizytora, który poznał od wewnątrz spo-

łeczność katarów, był obecny przy ich modlitwach i doskonale znał słabe punkty ostatnich spośród Czystych chrześcijan. Pomimo to podjął ryzyko i mnie uwolnił. Dlaczego?

I to właśnie tego dnia, w takim pośpiechu?

Wkrótce miałem się dowiedzieć.

Gdy zbliżyliśmy się już do drogi prowadzącej ku posiadłościom księcia, Mario po raz pierwszy i ostatni przemówił do mnie innym tonem. Ubrany był w nieskazitelnie białą tunikę, która sięgała mu aż do stóp, głowę zaś przewiązał przepaską, podtrzymującą jego nastroszone włosy. Wyglądał, jakby miał doprowadzić mnie na miejsce jakiegoś ostatniego przedziwnego rytuału.

- Ojciec Leyre - rzekł uroczyście - poznaliście już prawdziwych uczniów Chrystusa.

Na własne oczy widzieliście, że nie chwytny za broń ani nie obrażamy natury. Z tego powodu, a także dlatego, że prawdziwi naśladowcy Chrystusa nigdy nie zgodziliby się na odebranie wam wolności, nie możemy dłużej was zatrzymywać. Należycie do innego świata. Miejsca, gdzie rządzi złoto i żelazo, gdzie ludzie odwrócili się od Boga...

Chciałem odpowiedzieć, ale Mario mi nie pozwolił. Spoglądał na mnie ze smutkiem, jakby żegnał przyjaciela.

- Odtąd - ciągnął - nasz los jest w waszych rękach. Wasi krzyżowcy lepiej by tego nie wyrazili: Deus lo volt!, Bóg tak chce. Albo okażecie nam łaskę, przystąpicie do nas i staniecie się jednym zparfait, albo wydacie nas i doprowadzicie do śmierci naszej i naszych dzieci.

Lecz to wy sami, wolni, wybiercie drogę. My, niestety, przywykliśmy do prześladowań.

Taki już nasz los.

- Uwalniasz mnie?

- W gruncie rzeczy, ojciec, nigdy nie byliście więźniem.

Spojrzałem na niego oniemiały.

- Proszę jedynie, abyście przemyśleli jedno, zanim wydacie nas w ręce Świętego Oficjum:

pamiętajcie, że Jezus był również ścigany przez prawo.

Mówiąc te słowa, Mario objął mnie i mocno uściskał. Potem, w zwiastującym dzień bladym brzasku, wręczył mi sakwę z chlebem i owocami, po czym zostawił samego na drodze do Mediolanu.

- Idźcie do refektarza - nakazał, nim znikł pośród drzew. - Do waszego refektarza.

Podczas waszej nieobecności wydarzyło się wiele, i na pewno chcielibyście o tym wiedzieć.

Przemyślcie to, a potem zdecydujcie, jaką drogę obierzecie. Obyśmy mogli się kiedyś spotkać i spojrzeć sobie w oczy jak bracia w tej samej wierze.

Po czterech godzinach marszu na horyzoncie zaczęły wyłaniać się zarysy fortyfikacji Mediolanu. Boska Opatrzność poddawała mnie zaiste niezwyklej próbie. Czy Mario zwracał

mnie Mediolanowi, abym usunął jego wroga, brata Benedetta, czy też przyświecał mu jakiś inny, ukryty cel?

Dopiero gdy zbliżyłem się do wartowni, zdałem sobie sprawę, jak bardzo odmienił

mnie pobyt w Concorezzo. Książęcy strażnik nawet mnie nie pozdrowił. W jego oczach nie byłem już czcigodnym dominikaninem, którego prawie miesiąc temu pochłonęły lasy Santo Stefano. Nie mogłem mieć mu tego za złe. Wszyscy byli pewni, że tamten człowiek zginął w zasadzce. Nikt się mnie nie spodziewał. Wyglądałem pospolicie, byłem brudny i odziany jak wieśniak. Miałem czarne portki i gruby płaszcz z owczej wełny, który upodabniał mnie do pa-sterza. Moją twarz porastała gęsta czarna broda. Nawet moja tonsura zarosła, ostatecznie za-cierając wszelkie ślady mej przynależności do stanu kapłańskiego.

Nie rozglądając się, minąłem wartownię i podążyłem uliczkami, które miały doprowadzić mnie wprost do klasztoru Santa Maria. Choć był to niezbyt słoneczny dzień, a na dodatek sobota, wyczuwało się świąteczną atmosferę. Teren wokół klasztoru został udekorowany chorągiewkami, kwiatami i wstęgami, a ulice pełne były rozprawiających z ożywieniem mieszkańców. Najwyraźniej niedawno przejeżdżał tędy książę w drodze na jakąś ważną uroczystość.

Przypadkiem, z ust przechodzącej kobiety, usłyszałem, jaki był powód tego zamieszania: Leonardo ukończył Cenacolo i Jego

Wysokość Lodovico il Moro udał się, by podziwiać dzieło w całym jego blasku.

- Cenacolo?

Kobieta spojrzała na mnie z rozbawieniem.

- W jakim świecie żyjecie? - zaśmiała się. - Całe miasto przyszło, żeby to zobaczyć!

Całe! Mówią, że to istny cud. Że Ostatnia Wieczerza wygląda jak prawdziwa. Bracia na cały miesiąc otworzą klasztorne bramy, aby wszyscy mogli ją podziwiać.

Ogarnął mnie dziwny niepokój. Toskańczyk ukończył przedsięwzięcie, nad którym pracował już przeszło trzy lata, lecz czy zrealizował również swój straszliwy projekt ikono-graficzny, który Wróżbita usiłował za wszelką cenę powstrzymać? A przeor? Czy on również uległ magii tego obrazu? Czy nie powinienem natychmiast powiadomić go, kim w istocie jest jego osobisty sekretarz? Ale jak mam przed nim stanąć? Co mu powiem o moich porywach?

Gdy wreszcie wspiałem się na koniec corso Magenta i klucząc, wyminąłem gigantyczną kolejkę, wijącą się wokół klasztoru, stanąłem jak wryty. Dworzanie Sforzy rozstawili olbrzymi podest, na którym dostojny książę Mediolanu, wystrojony we wspaniały płaszcz z czarnego aksamitu i kapelusz z opuszczonym rondem ze złotą wstążką, rozmawiał z szacownymi obywatelami miasta. Dostrzegłem wśród nich Luce Paciolo, matematyka, który zachowywał się bardzo swobodnie. Ktoś z obecnych napomknął, że kilka dni temu Pacioli podarował księciu il Moro swoją książkę *De divina proportione*, w której odkrywał matematyczne tajemnice Stworzenia. Był tam również Antonio Billi, nadworny kronikarz, sprawiający wrażenie porażonego pięknem, które przed chwilą olśniło jego oczy.

Zobaczyłem również Leonarda. Usunął się w cień i komentował coś, otoczony grupką wielbicieli. Wszyscy byli odświętnie ubrani, ale zdawali się lekko podenerwowani. Rozglądali się na boki, jakby oczekiwali czyjś przybycia lub z góry wiedzieli, że podczas tej uroczystości wydarzy się coś nieprzewidzianego.

Byłem tak pochłonięty próbami wyczytania z ruchów ich ust przyczyn niepokoju, że nie zauważyłem, iż ktoś przedziera się przez tłum i idzie wprost ku mnie.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął, gdy wreszcie do mnie dotarł i złapał mnie za ramię. -

Przecież wszyscy myślą, że nie żyjecie, ojciec Leyre!

Tym tęgim mężczyzną, w ozdobionym piórem fioletowym berecie, ze szpadą u boku i w butach do konnej jazdy, był Oliverio Jacaranda. Jego dziwaczny akcent wyróżniał go spo-

śród tłumu rodowitych Lombardczyków.

- Nigdy nie zapomnę twarzą! A zwłaszcza waszej!

- Don Oliverio...

Hiszpan zlustrował mnie od stóp do głów. Nie pojmował, czemu nie jestem odziany w czarnobiałą habit dominikanina. Najwyraźniej przybył na plac Santa Maria, by ujrzeć dzieło Leonarda. Jako handlarz starożytnych dzieł sztuki miał zapewniony dostęp do refektarza poza kolejką, a tym samym mógł znaleźć się w samym środku największego wydarzenia towarzyskiego w mieście od czasu pogrzebu donny Beatrice.

- Ojciec...- zaczął zmieszany - możecie mi wytłumaczyć, co się stało? Bardzoście zmi-zernieli. Co tu robicie w takim stroju?

Usiłowałem wymyślić jakieś wiarygodne wyjaśnienie, które pozwoliłoby mi nie opowiadać o

niezwykłej sytuacji, w jakiej się znalazłem. Nie mogłem mu wyznać, że spędziłem ponad dwa tygodnie pod dachem jego niegdysiejszego więźnia. Uznałby to za brak lojalności i Bóg jeden wie, jaka byłaby reakcja Hiszpana na taką rewelację.

- Pamiętajcie moje zamiłowanie do rozwiązywania łacińskich zagadek?

Jacaranda skinął głową.

- Przybyłem do Mediolanu na polecenie przełożonego mojego zakonu, aby rozwiązać jedną z nich. I aby to osiągnąć, musiałem na jakiś czas zniknąć. Teraz powracam incognito, aby kontynuować moje dochodzenie. Dlatego proszę was o dyskrecję.

- Och, wy mnisi! Zawsze macie jakieś tajemnice! - zaśmiał się. - A więc zaaranżowaliście własne zniknięcie, aby kontynuować śledztwo w sprawie morderstw w kościele Świętego-go Franciszka, czyż nie?

- Na jakiej podstawie tak sądzicie? - spytałem zdumiony.

- Z powodu waszego wyglądu, oczywiście. Już wam kiedyś mówiłem, że w tym mie-

ście niewiele rzeczy uchodzi mojej uwagi. Ten wasz ubiór przypomina mi stroje nieszczęśników, którzy stracili życie u franciszkanów przed Maestà.

- Ale...

- Żadnych ale! - przerwał mi. - Podziwiam wasze metody, ojcze. Nigdy nie wpadłbym na to, żeby przebrać się za ofiarę i tym sposobem dotrzeć do mordercy...

Zamilkłem.

Byłem przekonany, że jeśli jeszcze raz się spotkamy, nasza rozmowa nie będzie przyjemna. Dlatego jego troskliwość ogromnie mnie zaskoczyła. W końcu opowiedział mi o swoich sprawach, ja zaś uwolniłem jego więźnia i nie poświęciłem należytej uwagi jego próbom oskarżenia Leonarda da Vinci o zabójstwo brata Alessandra. Ale najwyraźniej don Oliverio miał ważniejsze sprawy na głowie. Antykwariusz sprawiał wrażenie poważnie zaniepokojonego. Nie przywiązywał zbyt wiele do sprawy uwolnienia Forzetty. Zapewnił, że nie ma do mnie żalu, uznał bowiem, iż stanowiło to część mojej strategii śledztwa w sprawie śmierci brata Alessandra i pielgrzymów ze Świętego Franciszka. Wyglądało na to, że mój strój parfait interesował go dużo bardziej niż cokolwiek innego.

- Dawno wróciliście do Mediolanu? - Próbowałem zmienić temat.

- Będzie już dziesięć dni temu. I prawdę powiedziawszy, szukałem was. Powiedziano mi, że zginęliście w zasadzce...

- Cieszy mnie, że tak się nie stało...

- Mnie również, ojcze.

- Powiedzcie zatem, dlaczego mnie szukaliście?

- Potrzebuję waszej pomocy - wyrzucił z siebie błagalnym tonem. - Pamiętacie, co powiedziałem wam o mistrzu Leonardzie w dniu, w którym się poznaliśmy?

- O Leonardzie?

Rzuciłem okiem za siebie, tam, gdzie po raz ostatni widziałem twarz Toskańczyka.

Nie chciałem, żeby usłyszał niesłuszne oskarżenie o zabójstwo, które Jacaranda zamierzał zapewne powtórzyć, po czym skinąłem głową na znak, że słucham.

- Dobrze. Wiecie już, że byłem w Rzymie. Tam zaś pewien zaufany papieża przekazał mi tajemnicę, którą messer da Vinci ukrył w Cenacolo.

- Tajemnicę?

Hiszpan ściągnął brwi, widząc moje niedowierzanie.

- Tę samą, którą zabrał do grobu wasz bibliotekarz, ojciec Leyre. Tę, którą musiał znaleźć w „błękitnej księżce”. Tej samej, którą donna Beatrice d’Este poleciła mi zdobyć i której nigdy nie zdołałem oddać w jej ręce. Pamiętacie?

- Tak.

- Ta tajemnica, ojciec, spoczywa teraz w moich rękach. To kolejna przeklęta zagadka Toskańczyka. Ponieważ jesteście specjalistą od rozwiązywania zagadek, a z racji waszego stanowiska znajdujecie się poza wszelkimi podejrzeniami, pomyślałem, że możecie mi pomóc ją rozwiązać.

Oliverio, mówiąc to, starał się poskromić wzbierającą w nim złość. Nadal w jego głosie wyczuwałem żądzę zemsty za śmierć jego przyjaciela Alessandra. I choć mylił się co do mojej bezstronności, intrygowało mnie, jaką rewelację mógł mu powierzyć ten papieski szpieg. Nie miałem pojęcia, że Betania również weszła w posiadanie tej tajemnicy i że od wielu dni robiła wszystko, by mnie odnaleźć i mi ją przekazać.

- A zatem wyjawicie mi tę tajemnicę?

- Dopiero gdy staniemy przed Cenacolo.



Cóż za dziwne uczucie.

Przebrany w łaachmany, które dał mi Mario Forzetta, zanim odesłał mnie do Mediolanu, przekroczyłem próg kościoła Santa Maria, nierozpoznany przez żadnego z braci. Zapach kadzidła wydał mi się dziwny. Czułem się tak, jakbym po raz pierwszy przekroczył próg ko-

ścioła. Obfitość kwiatnych motywów, czerwono-niebieskich rombów i innych wzorów geometrycznych, które zdobiły sklepienie, wydała mi się przesadna i niestosowna w domu Bożym. Aż do tego dnia nie zwracałem na nie uwagi. I nagle zaczęły mi przeszkadzać.

Oliverio nie zauważył mojego niepokoju. Pociągnął mnie w stronę absydy, a potem zmusił do skręcenia w lewo i wejścia w tłum wiernych, modlących się i śpiewających w oczekiwaniu na pozwolenie wejścia do refektarza.

Brat Adriano de Treviglio, którego podczas pobytu w klasztorze spotkałem zaledwie dwa razy, powitał Hiszpana i z zadowoleniem schował monetę, którą ten wcisnął mu w garść.

Choć spojrział na mnie wyniośle, również mnie nie rozpoznał. Tym lepiej. W refektarzu, miejscu zwykle zimnym i pustym, wrzało niczym w ulu. Nadal nie było tam mebli, ale pomieszczenie zostało porządnie wysprzątane i przewietrzone. Zapach terpentyny nie drażnił już nozdrzy i świeżo ukończone malowidło jaśniało pełnym blaskiem.

- Tajemna Wieczera... - wyszeptałem.

Oliverio tego nie usłyszał. Skierował mnie ku środkowi sali, i gdy wreszcie wywalczył

wśród tłumu odrobinę wolnego miejsca, powiedział coś częściowo po hiszpańsku, a częściowo po lombardzku, czego wartości nie potrafiłem wówczas docenić.

- Tajemnica tego miejsca ma związek ze starożytnym Egiptem. Uczniowie są rozmieszczeni trójkami niczym triady bóstw znad Nilu. Widzicie? Ale w istocie tajemnica polega na tym, że każda z ukazanych w tej scenie postaci reprezentuje jedną literę.

- Literę? - To, co wiedziałem o dawnej Ars Memoriae, stanęło mi jak żywe w pamięci.

- Cóż to za litery?

- Tylko jedna z nich jest oczywista. Zwróćcie uwagę na duże „A”, które tworzy postać Pana Naszego. To pierwsza wskazówka. Wraz z pozostałymi literami, ukrytymi w cechach Dwunastu, które zebrał Jakub de Voragine, tworzy dziwny hymn, spisany w starożytnym ję-

zyku egipskim, który, mam nadzieję, będziecie potrafili odszyfrować...

- Hymn?

Oliverio skinął głową. Moje zdziwienie najwyraźniej sprawiało mu satysfakcję.

- Tak. Po połączeniu liter, które Leonardo przypisał każdemu uczniowi, o czym dowiedziałem się w Rzymie, powstaje następujące zdanie: Mut-nem-a-los-noc.

Mut.

Nem.

A.

Los.

Noc.

Powtórzyłem po kolei te sylaby, starając się je zapamiętać.

- I mówicie, że to egipski tekst?

- A jakież by inny? Mut to egipska bogini, żona Amona „Ukrytego”, wielkiego boga faraonów. Na pewno Marsilio Ficino opowiadał o niej Leonardowi. Chyba pamiętacie, że mistrz miał w swojej pracowni jego książki?

Jakże mógłbym o tym zapomnieć. Ficino, Platon, brat Alessandro, jednooki, wszyscy tam byli! Przed moimi oczami! Przyglądali się jeden drugiemu, jakby zmawiali się, by ukryć tajemnicę przed tymi, którzy nie byli jej godni. Wszyscy zostali przedstawieni jako prawdziwi uczniowie Chrystusa. Jednym słowem - jako bonhommes.

- A jeśli to nie po egipsku?

Moje słowa zirytowały Hiszpana. Nachylił się do mojego ucha i starając się, aby jego słowa były zrozumiałe pośród gwaru ciekawskich i dochodzących z kościoła modłów, przekazał mi wszystko, czego dowiedział się od Annia da Viterbo o tych sprowadzonych do liter po-staciach. Przyjrzałem się każdemu spośród uczniów z osobna. Byli pełni życia. Bartłomiej oparł dłonie na stole i przyglądał się niczym strażnik całej scenie. Jakub Młodszy starał się uspokoić wzburzonego Piotra. Andrzej, pod wrażeniem wiadomości, że wśród nich ukrywa się zdrajca, rozłożył ręce, ukazując wnętrze dłoni na znak niewinności. I Judasz. I Jan. Tomasz wskazywał na niebo. Starszy z dwóch Jakubów z rozkrzyżowanymi rękami zapowiadał

mękę Mesjasza. Filip. Mateusz. Tadeusz odwrócony plecami do Chrystusa. I Szymon, z za-praszająco wyciągniętymi dłońmi, jakby ze swojego miejsca przy stole wzywał widzów do ponownego pogrążenia się w zadumie nad tą sceną.

Raz jeszcze pogrążyć się w zadumie.

Chryste Panie!

To było jak błyskawica pośród nocy.

Tak jakby nagle spoczął na mnie jeden z ognistych języków, które napełniły Duchem Świętym uczniów w dniu Zielonych Świąt.

Boże Święty! W Cenacolo nie było żadnej zagadki. Leonardo niczego nie zaszyfrował. Absolutnie niczego.

Przeniknęło mnie dziwne uczucie, którego przez wszystkie lata spędzone w Betanii doznałem zaledwie kilka razy.

- Kiedyś wspomnieliście mi, że Leonardo w sposób szczególny posługuje się pismem, pamiętacie?

Oliverio popatrzył na mnie, nie dostrzegając związku między moim pytaniem a swoimi rewelacjami.

- Chodzi wam o tę jego manię pisania na opak? To kolejne z jego dziwactw. Jego uczniowie potrzebują lustra, żeby odczytać to, co mistrz do nich pisze. On tak robi ze wszystkim: notatkami, inwentarzami, rachunkami, prywatnymi listami, nawet ze spisami rzeczy do kupienia! To szalenie.

- Być może.

Naiwność Hiszpana mnie rozbawiła. Zarówno on, jak i Annio da Viterbo, niczego nie zrozumieli, choć odpowiedź była tak blisko.

- Powiedzcie mi, Oliverio, od której strony zaczęliście odczytywać tę waszą egipską litanię?

- Od lewej. „M” to Bartłomiej, „U” to Jakub Młodszy, „T” to...

Nagle zamilkł.

Wyciągnął szyję jak mógł najdalej, aż dostrzegł Szymona, który z rozłożonymi rękoma zdawał się zapraszać do środka sceny. Jakby tego było nie dość, poniżej znajdował się za-wiązany na końcu obrusa węzeł, wskazujący, od której strony stołu należy rozpocząć „czytanie”.

- Boże Święty! To się czyta wspak.

- I co wam się udało przeczytać, Oliverio?

Hiszpan, nie wierząc własnym oczom, nieświadom znaczenia tego, co odczytuje, był

pierwszym, który wypowiedział na głos tajemnicę Cenacolo. Wystarczyło przesylabizować litanię, to tajemnicze Mut-nem-a-los-noc, w taki sposób, w jaki od trzech lat czynił to mistrz da Vinci:

Con-sol-a-men-tum.

**Post Scriptum**

# Ostatni zapis ojca Leyre

To objawienie zmieniło całe moje życie.

Przemiana nie była gwałtowna. Odbywała się powoli i nieuchronnie na wzór przemian, jakich doświadcza las, gdy nadchodzi wiosna. Na początku nie zdawałem sobie z tego sprawy, gdy zaś chciałem zareagować, było już za późno. Przypuszczam, że długie, pełne wyrozumiałości rozmowy w Concorezzo i oszołomienie, jakie ogarnęło mnie podczas pierwszych dni po powrocie do Mediolanu, dokonały cudu.

Poczekaliśmy, aż w Santa Maria delie Grazie skończą się dni otwartych bram i dopiero wówczas wróciłem do Cenacolo, aby stanąć pod dłońmi Chrystusa. Pragnąłem otrzymać błogosławieństwo tego pulsującego życiem obrazu, który na moich oczach niezauważalnie doj-rzewał. Nawet teraz nie bardzo wiem, dlaczego to zrobiłem. Nie wiem również, dlaczego nie udałem się do przeora i nie opowiedziałem mu, gdzie byłem i jakich odkryć dokonałem w niewoli. Lecz, jak powiadam, zaszła we mnie głęboka przemiana. Coś, co w końcu na zawsze pogrzebie tamtego ojca Leyre, kaznodzieję i brata z Sekretariatu Szyfrów Państwa Papieskiego, urzędnika Świętego Oficjum i teologa.

Oświecenie? Boskie wezwanie? A może szaleństwo? Niewykluczone, że umrę w tej grocie w Jabal al-Tarif i nigdy nie dowiem się, jak należałoby nazwać moje postępowanie.

Teraz nie ma to już wielkiego znaczenia.

Sakrament katarów został wyeksponowany, aby można go było kontemplować i oddawać mu cześć w samym sercu domu dominikanów, patronów Inkwizycji i strażników ortodoksji. To odkrycie z pewnością oświeciło mą duszę. Odkryłem, że prawda Ewangelii utoro-wała sobie drogę wśród spowijającego nasz zakon mroku i zarzuciła kotwicę w naszym refektarzu, świecąc niczym potężna latarnia w ciemności nocy. Ta prawda różniła się od tego, w co wierzyłem przez czterdzieści pięć lat: Jezus nigdy, przenigdy, nie ustanowił Eucharystii jako jedynej drogi połączenia się z Nim. Wręcz przeciwnie, w naukach, których udzielił Janowi i Marii Magdalenie, chciał ukazać nam, jak odnaleźć Boga w sobie bez potrzeby uciekania się do całego arsenału zewnętrznych środków. Jezus był Żydem. Widział, że kapłani uzurpują sobie prawo do kontroli nad stosunkami między człowiekiem a Bogiem, zamykając Go w miejscu Świętym Świętych. I sprzeciwiał się temu. Piętnaście wieków później Leonardo stał się tajnym depozytariuszem tego objawienia i wreszcie sam powierzył je swemu Cenacolo.

Przyznaję, że być może wtedy postradałem zmysły. Lecz wszystko wydarzyło się tak, jak to opisałem.

Od tych wydarzeń mijają już trzy dziesięciolecia i właśnie dziś Abdul, który jak zazwyczaj wdrapał się na górę, by przynieść do mojej groty wieczorny posiłek, oznajmił mi niezwykłą nowinę: grupa pustelników, naśladowców świętego Antoniego, przybyła do wioski, aby osiedlić się w pobliżu. Ogarnąłem spojrzeniem brzeg Nilu, starając się wypatrzeć, gdzie są, lecz moje udręczone oczy nie zdołały dostrzec ich obozowiska. Wiem, że mogliby być moją ostatnią nadzieją. Gdyby okazało się, że któryś z nich zasługuje na moje zwierzenia, dał-

bym mu te papiery, wyjaśniając, jak ważne jest to, by zostały przechowane w odpowiednim miejscu,

do chwili aż nadejdzie czas ich ujawnienia. Lecz mam coraz mniej sił, i nie wiem, czy zdołam zejść z tej skały i zbliżyć się do nich.

Co więcej, gdybym nawet to zrobił, niełatwo przyszłoby im mnie zrozumieć.

Oliverio Jacaranda, na przykład, nigdy nie pojął tajemnicy Cenacolo, choć miał ją tuż pod nosem. Fakt, że trzynastą postaci stanowiło ucieleśnienie trzynastu liter Consolamentum, jedynego sakramentu uznawanego przez Czystych z Concorezzo - sakramentu duchowe-go, niewidzialnego i intymnego - niewiele mu mówił. Nie wiedział, jak ścisły związek łączył

ten symbol z „błękitną księgą”, której tak bardzo pożądał i której nigdy nie zdołał odnaleźć. I oczywiście nigdy nie domyślił się, że jego sługa, Mario Forzetta, zdradził go z powodu tego woluminu. Księgi, którą przez wiele pokoleń posługiwano się podczas ceremonii katarów po to, by zanurzyć neofitów w Kościele Ducha, czyli w Kościele Jana, i zainicjować ich samo-dzielne poszukiwania Ojca.

Wiem, że Oliverio wrócił do Hiszpanii, gdzie osiadł w pobliżu ruin Tarraco i nadal czerpał zyski z prowadzonych z papieżem Aleksandrem transakcji. W tym czasie Leonardo powierzył Tajemną Wieczerzę swojemu uczniowi Bernardinowi Luiniemu, który z kolei wrę-

czył ją pewnemu artyście z Langwedocji, a ten zabrał ją do Carcassonne. Tam została prze-chwycona przez inkwizycję galijską, która nigdy nie odkryła, jak należy ją interpretować. Luini nigdy nie namalował hostii. Podobnie Marco d'Oggiono ani żaden z ukochanych uczniów Leonarda.

Ciekawie potoczyły się losy Eleny, której nigdy nie poznałem. Bystra hrabianka, skończywszy pozować mistrzowi, zrozumiała, że być może Kościół Jana nigdy nie zostanie ustanowiony. Dlatego oddaliła się od bottega Leonarda, przestała dręczyć biednego Bernardina i wstąpiła do klasztoru klarysek, niedaleko granicy francuskiej. Leonardo, pod wrażeniem jej żywej inteligencji, wyjawiał jej wreszcie wielki, związany z jej pochodzeniem sekret: Maria Magdalena, jej daleka pramatka, ujrzała zmartwychwstałego Chrystusa jako światłość, poza grobem, który przygotował dla Niego Józef z Arymatei. Przez całe wieki Kościół, w przeciwieństwie do Leonarda, nie przyjmował do wiadomości jej pełnej relacji z tego spotkania.

Tamtego odległego dnia, piętnaście wieków temu, Magdalena zobaczyła Chrystusa żywego, lecz nie w cielesnej postaci. Jego ciało - nieruchome i zimne - nadal spoczywało w grobie, ona zaś spotkała jego „ciało świetliste”. Głęboko tym poruszona, postanowiła wykraść doczesne szczątki Galilejczyka. Ukryła je we własnym domu, starannie zabalsamowała i -

gdy Sanhedryn rozpętał prześladowania - wywiozła je do Francji.

To była ta tajemnica: Chrystus nie zmartwychwstał w cielesnej postaci, lecz jako światłość, ukazując tym samym drogę ku naszej przemianie, gdy nadejdzie dzień naszej śmierci.

Wiedziałem, że Elena, na której to objawienie wywarło wielkie wrażenie, pozostała u klarysek jeszcze tylko pięć lat. Pewnego dnia znikła ze swojej celi i nikt więcej jej nie widział. Podobno towarzyszyła mistrzowi Leonardowi w jego wygnaniu we Francji, osiadła na dworze Franciszka I,

gdzie jako dama dworu służyła królowej i od czasu do czasu pozowała mistrzowi. Zdaje się, że Toskańczyk aż do dnia swej śmierci chciał ją mieć koło siebie i prosił, by użyczyła mu swego oblicza i dłoni, gdy malował pewien portret, znany jako Gioconda, którego zresztą nigdy nie ukończył. Ci, którzy go widzieli, mówią, że podobieństwo między Janem z Cenacolo a namalowaną na tym niewielkim płótnie kobietą jest uderzające. Ja, niestety, nie jestem w stanie tego osądzić.

Nie wiemy, czy Elena poznała inne tajemnice na temat tego Kościoła Jana i Magdaleny, który Leonardo zamierzał przywrócić. Lecz jeśli nawet tak było, to z pewnością zabrała je do grobu. Zanim zdecydowałem się wyjechać do Egiptu, by tu przeżyć resztę moich dni, Elena zmarła na febrę.

Pozostaje mi jedynie wyjaśnić, dlaczego przybyłem właśnie tu, do Egiptu, by opisać to, co się wydarzyło. I dlaczego nigdy nie ujawniłem istnienia społeczności Doskonałych w Concorezzo, związanej z mistrzem Leonardem.

I tym razem winę ponosi ten błękitnooki olbrzym w śnieżnych szatach.

Po otwarciu Cenacolo już go nie ujrzałem. Więcej nawet, po odkryciu znaczenia tego dzieła wróciłem do Rzymu i zastukałem do bram Domu Prawdy, Betanii, gdzie powróciłem do mojej pracy, nienękany zbytnio pytaniami. Tam dowiedziałem się, że rok później Leonardo uciekł z Mediolanu, gdy tylko oddziały francuskie pokonały wojska księcia i opanowały miasto. Schronił się w Mantui, potem w Wenecji, a wreszcie w Rzymie, gdzie pracował dla Cezara Borgii, syna papieża Aleksandra VI. U Borgii był *architecto e ingegnere generale*, lecz jego pozostałe umiejętności nie były wykorzystywane. Również i tam nie zagościł długo.

Zdążył jednak spotkać się z osobą odpowiedzialną za Palazzo Sacro, czyli z Anniem da Viterbo.

Annio był pod ogromnym wrażeniem tej rozmowy. Jego sekretarz, Fabio Ponte, niezwłocznie poinformował Betanię o spotkaniu, które odbyło się wiosną 1502 roku. Rozmawiali o najważniejszym zadaniu sztuki, jej zastosowaniu dla zachowania pamięci oraz jej wszech-potężnym wpływie na ludzkie umysły. Lecz zdaniem brata Fabia, dwa wypowiedziane przez Toskańczyka zdania wywarły na Anniu wyjątkowe wrażenie:

- Wszystko, czego udało mi się dowiedzieć na temat prawdziwego przesłania Jezusa, jest niczym w porównaniu z tym, co nadal pozostaje do odkrycia - odpowiedział z powagą na jedno z pytań Łasicy.  
- Tak jak moja sztuka czerpała z egipskich źródeł i tajemnic geometrii, które przetłumaczyli Ficino i Pacioli, przepowiadam, że Kościół może jeszcze wiele zaczerpnąć z ewangelii, które nadal spoczywają nad brzegiem Nilu.

Giovanni Annio da Viterbo zmarł pięć dni później, zapewne otruty przez Cezara Borgię.

Miesiąc później, głęboko przejęty, obawiając się, iż wkrótce dościgną mnie represje tych, którzy nie chcieli powrotu Kościoła Jana, na zawsze opuściłem Betanię z zamiarem od-szukania tych ewangelii.

Wiem, że są gdzieś tutaj, lecz jeszcze ich nie odnalazłem. Przysięgam, że będę ich szukał do końca moich dni.

W roku 1945 w pobliżu egipskiej wioski Nag Hammadi, nad Górnym Nilem, odkryto trzynaście zaginionych ewangelii. Zostały spisane w języku koptyjskim i zawierały nieznane zachodniemu światu nauki Jezusa. Ich odkrycie, o wiele ważniejsze niż odkrycie w Qumran wspaniałych zwojów znad Morza Martwego, dowodzi istnienia niezwykle ważnego odłamu pierwszych chrześcijan, którzy oczekiwali nastania Kościoła opartego na bezpośrednim kontakcie z Bogiem oraz na wartościach ducha. Znane są dziś jako Ewangelie Gnostyckie. Wiadomo, że ich kopie dotarły do Europy u schyłku średniowiecza i wzbudziły zainteresowanie w pewnych kręgach intelektualnych.

Jaskinia Jabal al-Tarif, w której w sierpniu 1526 roku zmarł ojciec Augustyn Leyre, znajdowała się zaledwie trzydzieści metrów od miejsca, gdzie znaleziono te księgi.

# Table of Contents

[Rozpoczni](#)